



**W domu
innego**

RHIDIAN BROOK

Głęboka, mądra powieść napisana z niemal
z filmowym rozmachem.

„The Sunday Times”



WIELKA LITERA

RHIDIAN BROOK

**W domu
innego**

Z angielskiego przełożył
Bohdan Maliborski



*Ta książka dedykowana jest
Walterowi, Anthei, Colinowi, Sheili i Kim Brook*

I będę cię nazywać naprawcą wyłomów...

Księga Izajasza 58, 12

Myślę, że to kompletnie bez sensu – jedna rodzina w tak wielkim domu.

Powrót do Brideshead, Evelyn Waugh

Wrzesień 1946

ROZDZIAŁ 1

– Ta Bestia tu jest. Widziałem ją. Berti ją widział. I Dietmar. Ma czarne futro jak jakaś elegancka dama i kły jak klawisze fortepianu. Musimy ją zabić, bo jeśli nie my, to kto? Angole? Jankesi? Ruscy? Francuzi? Oni mają inne rzeczy na głowie. Żrą się między sobą jak psy o kość. Musimy to zrobić sami. Dopaść Bestię, nim ona dopadnie nas. Wszyscy dobrze na tym wyjdziemy.

Mały Ozi poprawił hełm i poprowadził pozostałych przez zbombardowane przez Anglików miasto. Hełm był angielski; Ozi zwinął go z ciężarówki w pobliżu jeziora Alster. Choć nie tak stylowy jak amerykański czy nawet rosyjskie, jakie miał w swojej kolekcji, najlepiej mu pasował i Ozi mógł w nim przeklinać jak ów angielski sierżant, którego widział na hamburskim dworcu Dammtor, gdy tamten wrzeszczał do jeńców: „Ej! Łapy do góry! Do góry, kurwa! Żebym je widział, durne, pierdolone Huny!”. Na chwilę opuścili ręce – nie żeby nie wiedzieli, o co mu chodzi, ale po prostu nie mieli sił, bo byli głodni. Durne, pierdolone Huny! Strój Oziego był popisem pomysłowości, mieszanką łachmanów i skarbów. Szlafrok dandysa, sweter starej panny, koszula ze stójką dziadka, żołnierskie spodnie z podwiniętymi nogawkami, ściśnięte krawatem jakiegoś urzędnika zamiast paskiem, i buty ze zdartymi czubami, po zawiadowcy stacji, który dawno gdzieś przepadł.

Zdziczałe maluchy – z odcinającymi się od usmolonych twarzy białkami oczu rozszerzonych z przerażenia – podążyły za przywódcą przez rumowisko. Obszedłszy moreny zawałonych ceglanych murów, dzieci dotarły w miejsce, gdzie leżała na boku stożkowata niczym pocisk iglica wieży kościoła. Ozi uniósł rękę, żeby się zatrzymali, sięgnął do kieszeni szlafroka po swojego lugera i wciągnął nosem powietrze.

– Jest w środku. Czuję ją. A wy?

Dzikusy zaczęły węszyć, marszcząc nosy jak króliki. Ozi przywarł plecami do iglicy i powolutku ruszył w stronę jej otwartej podstawy, z bronią w wyciągniętej ręce, jakby to była czarodziejska różdżka. Przystanął i postukał nią w bok iglicy, dając reszcie do zrozumienia, że Bestia pewnie czai się w środku. Nagle jakiś czarny cień wypadł na

zewnątrz. Dzikusy pierzchły w popłochu, ale Ozi się nie uląkł, rozkraczył nogi, zamknął jedno oko, wycelował i strzelił.

– Giń, Bestio!

Nisko wisząca mgła stłumiła odgłos wystrzału. Metaliczny dźwięk odbitej rykoszetem kuli mógł oznaczać jedno – że Ozi spudłował.

– Trafieś?

Ozi opuścił lugera i wsunął go za pasek.

– Dopadniemy ją kiedy indziej. Rozejrzyjmy się za jedzeniem.

– Znaleźliśmy dla pana dom.

Kapitan Wilkins zgasił papierosa i skierował poźółkły palec na plan Hamburga, przyczepiony pinezkami do ściany za biurkiem. Powiodł palcem od chorągiewki białej w miejscu, gdzie mieściła się tymczasowa siedziba sztabu, na zachód, przez zniszczone bombami dzielnice Hammerbrook oraz St Georg, i dalej, przez St Pauli i Altonę, w stronę dawnej wioski rybackiej Blankenese na przedmieściach, tam gdzie Łaba wpada do Morza Północnego. Plan – wyrwany z przedwojennego niemieckiego przewodnika – nie uwzględniał faktu, że owe sąsiadujące ze sobą dzielnice przypominały teraz miasto duchów, pełne popiołów i ruin.

– To cholernie duży pałac nad rzeką. Tutaj. – Palec Wilkinsa zatoczył kółko na końcu Elbchaussee, drogi biegnącej wzdłuż Łaby. – Myślę, że przypadnie panu do gustu.

Było to słowo z innego świata, dostatniego i wygodnego. W ciągu kilku ostatnich miesięcy Lewis nie myślał o gustach, ograniczając się do zaspokajania podstawowych potrzeb – dwa i pół tysiąca kalorii dziennie, tytoń, ciepło. „Cholernie duży pałac nad rzeką” zdał mu się nagle niczym zachcianka rozkapryszonego monarchy.

– Sir?

Lewis znów „odleciał”, pogrążając się w chaotycznych myślach, które przemykały mu przez głowę. Coraz częściej ostro spierał się w nich ze swoimi kolegami.

– Czy aby nikt tam nie mieszka?

Wilkins nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Jego przełożony cieszył się, jako oficer, nieskazitelną reputacją, ale miewał też swoje dziwactwa, często prezentując odmienny punkt widzenia. Młody kapitan odwołał się do tego, co wyczytał w podręczniku.

– Ci ludzie ztratili busolę moralną, sir. Stanowią zagrożenie dla nas i dla siebie. Muszą wiedzieć, kto tu rządzi. Potrzebują przywództwa, silnej, acz sprawiedliwej ręki.

Lewis w milczeniu kiwnął tylko głową i skinął na kapitana, by ten kontynuował. Chłód i ograniczona liczba kalorii sprawiły, że nauczył się oszczędzać słowa.

– Należy do niejakiego Luberta. Jego żona zginęła podczas nalotu. Pochodziła z rodziny

potentatów na rynku żywności. Łączyły ich koneksje z właścicielami stoczni Blohm i Voss. Mieli także kilka młynów. Jego jeszcze nie prześwietliliśmy, ale sądzymy, że jest czysty, no, może tylko lekko przybrudzony, do zaakceptowania. Nie stwierdziliśmy jawnych powiązań z nazistami.

– Chleb?

– Słucham?

Lewis nie jadł przez cały dzień i mimowolnie skojarzył słowo „młyny” z chlebem. Bochenek, który ujrzał oczyma wyobraźni, stał się nagle bardziej realny niż kapitan stojący przy mapie po drugiej stronie biurka.

– Opowiedz mi jeszcze o tej rodzinie – zachęcił kapitana Lewis, z udawanym zainteresowaniem przygryzając wargę i kiwając głową.

– Żona Luberta zginęła w czterdziestym trzecim. Jest córka, jedynaczka, piętnastoletnia Frieda. Poza tym w willi mieszka jeszcze służba: pokojówka, kucharka i ogrodnik złota rączka, który służył w Wehrmachcie. Lubertowie mają krewnych, do których mogą się przenieść. Służbę można przekwaterować, może też zostać. Wszyscy są czyści.

Przesiewcy dusz z Komisji Kontroli Wywiadu oceniali ową czystość na podstawie *Fragebogen*, kwestionariusza zawierającego sto trzydzieści trzy pytania, które służyły do ustalenia stopnia kolaboracji obywateli Niemiec z hitlerowskimi władzami.

Kwalifikowano ich do trzech oznaczonych kolorami kategorii – czarnej, szarej lub białej – w których były jeszcze różne odcienie, po czym umieszczano ich w odpowiednim lokum.

– Lubertowie spodziewają się, że willa zostanie przejęta. Musi pan ją tylko obejrzeć, a później ich wykopie. Myślę, że nie będzie pan rozczarowany.

– A oni?

– Oni?

– Lubertowie, kiedy ich wykopię.

– Nie stać ich na luksus rozczarowań. To Niemcy.

– Jasne, co ja plotę? – rzucił Lewis i zamilkł.

Jeszcze kilka takich pytań i ten kompetentny młody oficer ze lśniącem pasem z koalicyjką i idealnie zaplecionymi owijaczami doniesie na niego wojskowemu psychiatrze.

Lewis wyszedł z dusznej kwatery głównej na niespodziewanie chłodną jak na koniec września ulicę. Z ust buchała mu para. Włożył cienkie skórzane rękawiczki, które podarował mu kapitan McLeod z amerykańskiej kawalerii w budynku magistratu w Bremie tego dnia, gdy alianci ogłosili podział Niemiec na strefy okupacyjne. „No, to się wam dostało – powiedział Amerykanin, wczytując się w treść obwieszczenia. – Francuzi

wzięli winnice, my ładne widoki, a wy ruiny”.

Lewis mieszkał wśród ruin już tak długo, że przestał je dostrzegać. Jego cywilne kosmopolityczne ubranie pasowało idealnie do funkcji przedstawiciela władz w podzielonych na cztery części Niemczech i nie wzbudzało komentarzy w zdezorientowanym i tworzonym na nowo kraju.

Cenił sobie te amerykańskie rękawiczki, jednak największą przyjemność czerpał z owczego kożucha z frontu wschodniego, który również dostał od McLeoda. Przedtem nosił go porucznik Luftwaffe, który zarekwirował go jeńcowi, pułkownikowi Armii Czerwonej. Jeśli taka pogoda się utrzyma, Lewis wkrótce go włoży.

Z ulgą uwolnił się od towarzystwa Wilkinsa. Młody kapitan należał do rzeszy urzędników tworzących personel Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec, rozdętej instytucji pełnej ludzi z podkładkami do pisania, uznających się za architektów odbudowy tego kraju. Niewielu z nich widziało okopy – czy choćby Niemca – co pozwalało im z dużą pewnością siebie snuć teorie i wydawać opinie w różnych sprawach. Wilkins na pewno wkrótce awansuje na majora.

Lewis wyjął z kieszeni płaszcza srebrną papierośnicę. Od jej błyszczącej powierzchni odbiły się promienie słońca. Polerował ją regularnie. Była jego jedynym materialnym skarbem, prezentem, który trzy lata wcześniej dała mu w Amersham na pożegnanie Rachael, przy bramie ostatniego porządnego domu, w jakim mieszkał. „Myśl o mnie, kiedy będziesz palił”, przykazała mu. Starał się spełniać to polecenie, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt razy dziennie, od trzech lat. Mały rytuał podtrzymujący płomień miłości. Zapalił papierosa i skupił na niej swoje myśli. Z upływem czasu, z oddali, ich miłość zdawała mu się jeszcze gorętsza. Wspomnienie tego, jak się kochali, gładkiego, oliwkowego, krągłego ciała żony (im dłużej trwała ta wojna, tym gładszego i krągłego) pozwalało mu przetrwać chłód i samotność. Tak bardzo przywykł do tej zastępczej, wyimaginowanej wersji Rachael, że bliska perspektywa tego, iż wkrótce będzie mógł jej dotknąć i poczuć jej zapach, wywołała w nim niepokój.

Zgrabny czarny mercedes 540K z brytyjskim proporczykiem na masce zatrzymał się na wprost schodów kwatery głównej. Flaga, którą Lewis widział w bocznym lusterku, była jedyną rzeczą, jaka wydawała się tu nie na miejscu. Mimo skojarzeń pułkownik lubił ten samochód – jego smukłą sylwetkę i płynny pomruk silnika. Był wykończony niczym transatlantyk, a wyjątkowo ostrożny sposób jazdy szofera – Herr Schroedera – wzmagał jeszcze poczucie, że auto przypomina statek. Żadne brytyjskie insygnia nie były w stanie go odniemczyć. Brytyjski personel wojskowy pasował do pierdzącego i niezgrabnego austina 16, a nie do tej brutalnie pięknej, zdolnej podbijać świat maszyny.

Lewis zszedł po schodach i gestem pozdrowił szofera.

Schroeder, piskliwy nieogolony mężczyzna w czarnej czapce i pelerynie, wyskoczył z samochodu i podszedł do drzwi od strony fotela pasażera. Ukłonił się Lewisowi i zamiatając peleryną, otworzył mu tylne drzwi.

– Mogę siedzieć z przodu, Herr Schroeder.

Skromność Lewisa zbiła szofera z tropu.

– *Nein, Herr Kommandant* – odpowiedział.

– Naprawdę. *Sehr gut* – rzekł Lewis.

– *Bitte, Herr Oberst.*

Schroeder zatrzasnął tylne drzwi i wyciągnął rękę do przednich. Najwyraźniej nie chciał narażać Lewisa na jakikolwiek wysiłek. Lewis cofnął się o krok, godząc się na tę grę, choć usłużność Niemca wprawiła go w przygnębienie. Schroeder wykonywał gesty człowieka pokonanego, lgnącego do zwycięzcy. Lewis wręczył mu karteczkę z zapisanym przez Wilkinsa adresem willi, która w najbliższej przyszłości stanie się zapewne jego nowym domem. Szofer zerknął na adres i z aprobatą pokiwał głową.

Schroeder musiał kluczyć między rozsianymi na brukowanych ulicach lejami po bombach i sznurami zagubionych, ospałych ludzi, którzy nie bardzo wiedzieli, dokąd zmierzają, taszcząc pozostałości po dawnym życiu, zapakowane w paczki, torby, skrzynki i pudła. Mieli w sobie jakiś niemal namacalny niepokój. Sprawiali wrażenie, jakby cofnęli się w czasie do epoki nomadycznych zbieraczy.

Nad tym wszystkim unosiło się wspomnienie piekielnego jazgotu, jak gdyby jakiś nieziemski żywioł wprowadził tu chaos, pozostawiając po sobie fragmenty niemożliwej do ułożenia, starej układanki. Dawnego obrazka nie dało się już odtworzyć. Wybiła *Stunde Null*, Godzina Zero. Ludzie ci zaczynali wszystko od nowa i próbowali przeżyć, nie mając nic. Dwie kobiety ciągnęły furmankę wyładowaną meblami. Obok przeszedł mężczyzna z teczką, jakby szukał biura, w którym kiedyś pracował. Nawet nie spojrzał na to dzieło zniszczenia, najwyraźniej uznając ów apokaliptyczny krajobraz za coś naturalnego.

Ruiny ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Rumowiska wznosiły się na wysokość pierwszego piętra budynków, które jakimś cudem zdołały się uchować. Trudno było uwierzyć, że ludzie czytali tu kiedyś gazety, piekli ciasta i zastanawiali się, jakie obrazy powiesić na ścianach w salonie. Samochód minął fasadę kościoła. Tam, gdzie były kiedyś witraże, przebijało niebo, a gdzie gromadzili się wierni, hulał teraz wiatr. Po drugiej stronie ulicy stał rząd kamienic o zawalonych frontach niczym olbrzymie domki dla lalek, w których widać pokoje i meble. W jednej z nich jakaś kobieta, obojętna na kaprysy pogody i ciekawskie spojrzenia przechodniów, z czułością rozczesywała włosy młodej dziewczynie siedzącej przy toaletce.

Nieco dalej przy rumowiskach kręciły się kobiety i dzieci, usiłując znaleźć coś do

jedzenia lub ocalić fragmenty przeszłości. Czarnymi krzyżami oznaczono miejsca, w których składano oczekujące na pochówek zwłoki. Wszędzie wyrastały dziwaczne rury-kominy podziemnego miasta, z których sączył się ku niebu czarny dym.

– Króliki? – spytał Lewis na widok stworzeń wyskakujących z niewidzialnych dziur w ziemi.

– *Trümmerkinder!* – odrzekł z nagłą złością Schroeder. Do Lewisa dotarło, że to „dzieci rumowisk”, wypłoszone ze swoich jam przez samochód. – *Ungeziefer!* – dorzucił z niepotrzebną zawziętością szofer, gdy trójka dzieci – trudno było stwierdzić, chłopcy czy dziewczynki – wyskoczyła im wprost przed maskę. Zatrąbił ostrzegawczo, lecz nie ulękły się czarnego mercedesa, zmuszając kierowcę, by zatrzymał samochód. – *Weg! Schnell!* – wrzasnął Schroeder z wściekłością, aż żyły na szyi mu nabrzmiały.

Znów zatrąbił, jednak chłopak w szlafroku i kozackiej czapie podszedł niezrażony do drzwi od strony Lewisa, wskoczył na listwę i zaczął stukać w szybę.

– Co masz, Angolku? Kanapkę, kurwa? Czekoladę?

– *Steig aus! Sofort!* – Na twarz Lewisa opadły drobinki śliny Schroedera, który przechylił się w stronę pułkownika, wygrażając dzieciakowi pięścią.

Tymczasem pozostała dwójka wspięła się na maskę i próbowała wyrwać chromowany znaczek mercedesa.

Schroeder wyskoczył z samochodu i rzucił się na malców. Ci usiłowali ześliznąć się z maski, ale szofer chwycił koniuszek koszuli nocnej i przyciągnął jedno z dzieci do siebie. Trzymając chłopaka jedną ręką, drugą zaczął go okładać.

– Schroeder! – Lewis podniósł głos pierwszy raz od miesiący i najwyraźniej sam był tym zaskoczony. Schroeder wydawał się jednak głuchy i dalej z zaciętrzewieniem bił malca. – *Halt!* – wrzasnął Lewis i wysiadł z samochodu.

Pozostali malcy odsunęli się, w obawie że oni też oberwą. Szofer wreszcie usłyszał krzyk pułkownika i znieruchomiał z dziwnym wyrazem twarzy, na której malowały się wstyd i oburzenie. Puścił dziecko i wrócił do samochodu, mamrocząc coś i dysząc z wysiłku.

– *Hier bleiben!* – zawołał Lewis do malców.

Najstarszy z chłopców podszedł do samochodu. Jego dwaj towarzysze ruszyli za nim niepewnie. Z ruin wyłoniły się sylwetki innych małych dzikusów, których kamuflażem był brud. Bił od nich smród ludzi, którzy przymierają głodem. Wszyscy wyciągnęli błagalnie ręce w stronę dobrego angielskiego boga, który przybył do nich swym czarnym rydwanem. Lewis wyjął z samochodu chlebak. Były tam tabliczka czekolady i pomarańcza. Wręczył czekoladę najstarszemu chłopcu.

– *Verteil!* – poinstruował go.

Później dał pomarańczę najmniejszemu z dzieci, najwyżej sześciolatniej dziewczynce – mogła przyjąć na świat na początku wojny. Jej również przykazał, żeby się nią podzieliła, lecz dziewczynka natychmiast wbiła zęby w owoc, jakby to było jabłko, i zaczęła pochłaniać go w całości. Lewis próbował jej podpowiedzieć, że pomarańczę należy obrać, ale ta osłoniła ją ręką, bojąc się, że będzie musiała ją oddać.

Wokół tłoczyła się już chmara dzieci z wyciągniętymi rękami, w tym podpierający się kijem golfowym chłopiec bez nogi. „Czekolada! Czekolada!”, wołały.

Lewis nie miał już więcej jedzenia, ale pozostało mu coś jeszcze cenniejszego. Wyjął papierośnicę i wyciągnął z niej dziesięć playersów. Podał papierosy najstarszemu chłopcu, który wybałuszył oczy na ich widok. Lewis miał świadomość, że popełnia przestępstwo – bratał się z Niemcami i wspomagał tym gestem czarny rynek – ale było mu wszystko jedno. Malcy kupią za te dziesięć papierosów jedzenie od jakiegoś rolnika. Zarządzenia i przepisy wprowadzone przez nowe władze były tworzone w atmosferze lęku i zemsty przez ludzi siedzących za biurkami. Tu i teraz to Lewis stanowił prawo i pewnie będzie tak jeszcze przez jakiś czas.

Stefan Lubert stał przed niedobitkami służby – utykającym ogrodnikiem Richardem, z trudem łapiącą dech pokojówką Heike i niewzruszoną kucharką Gretą, która gotowała dla niego od trzydziestu lat – i wydawał im ostatnie polecenia. Heike już płakała.

– Okazujcie mu szacunek i służcie tak, jakbyście służyli mnie. Jeśli zaproponuje, żebyście zostali, nie wahajcie się przyjąć tej propozycji. Nie poczuję się urażony. Ucieszę się, że zostanieecie i będziecie mieli wszystko na oku.

Lubert pochylił się i otarł łzę z krągłego policzka Heike.

– Wystarczy tych łez. Dziękuj Bogu, że to nie Rosjanie. Anglikom może i brakuje ogłady, ale nie są okrutnikami.

– Mam podać coś do picia, Herr Lubert? – wydusiła z siebie wreszcie Heike.

– Naturalnie. Zachowujmy się w sposób cywilizowany.

– Nie mamy ciasteczek, tylko ciasto – poinformowała Greta.

– To zaparz herbatę zamiast kawy. Zresztą, kawy i tak nie mamy. Podaj w bibliotece, tu jest zbyt jasno.

Lubert liczył, że brytyjski oficer przyjedzie w szary, pochmurny dzień, tymczasem promienie wczesnojesiennego słońca przeświecały z wigorem przez witraż zdobiący wielkie okno naprzeciwko galerii dla orkiestry i padały na podłogę w holu, czyniąc go jeszcze bardziej gościnnym.

– Gdzie jest Frieda?

– W swoim pokoju – odpowiedziała Heike.

Lubert zebrał się w sobie. Od zakończenia wojny minął już ponad rok, lecz jego córka wciąż nie skapitulowała. Musiał się rozprawić z tym nastoletnim puczem. Ruszył ociężale po schodach. Stanąwszy przy drzwiach sypialni Friedy, zapukał i zawołał ją po imieniu. Odczekał chwilę, choć wiedział, że córka nie odpowie, po czym wszedł do pokoju. Leżała na łóżku z nogami uniesionymi kilkanaście centymetrów nad materacem. Między jej stopami tkwiła *Czarodziejska góra* Tomasza Manna z dedykacją autora, książka, którą żona Stefana Luberta, Claudia, podarowała mu na trzydzieste urodziny. Frieda nie zareagowała na pojawienie się ojca, skupiając cały wysiłek na utrzymaniu nóg w górze. Zaczynały już drżeć. Jak długo pozostawała w tej pozycji – minutę, dwie, pięć? Oddychała gwałtownie przez nos, starając się nie okazać słabości. Była imponująco silna, lecz ćwiczenie to nie sprawiało jej radości – ot, kolejny paniński rytuał, którego nabożnie przestrzegała od czasu wybuchu wojny.

Przemozna siła, żadnej radości.

Jej twarz pokryła się rumieńcem, a na czoło wystąpiły kropelki potu. Gdy jej nogi zaczęły kiwać się na boki, Frieda nie pozwoliła, by opadły na łóżko, tylko nieco je opuściła, kontrolując ten ruch siłą woli.

– Spróbuj z Szekspirem albo atlasem. Wyzwanie byłoby większe – rzucił Lubert.

Mimo że takie dowcipy zwykle trafiały rykoszetem w niego, wciąż wierzył, że jej zajadłość i posępny nastrój zdoła przewyciężyć jedynie humorem.

– Książki są tu nieważne – odparła.

– Zaraz przyjedzie ten angielski oficer.

Natychmiast przysiadła, nie podpierając się rękami. Zgrabnie przerzuciła stopy na podłogę i otarła pot w zaplecione w warkocze włosy. Stefan odczuł przykrość, widząc brzydkie, wyzywające spojrzenie, które nie opuszczało jej od kilku ostatnich lat. Frieda wlepiała wzrok w ojca.

– Chciałbym, żebyś go powitała.

– Dlaczego?

– Bo...

– Bo zamierzasz oddać dom matki bez walki.

– Freddie, nie mów tak. Proszę cię, chodź. Zrób to dla *Mutti*.

– Ona by się stąd nie wyniosła. Nigdy by do tego nie dopuściła.

– Chodź.

– Nie. Błagaj.

– Proszę, żebyś zeszła na dół.

– Żebraw!

Nie mogąc wytrzymać jej spojrzenia, Lubert odwrócił się i wyszedł. Serce waliło mu jak

młotem. Dostrzegł swoje odbicie w lustrze na podeście schodów. Jego twarz była wymizerowana i ziemista, nos też jakby stał się mniej wyrazisty. W tej sytuacji poczytywał to sobie za atut. Ubrał się w najbardziej przeżarty przez mole garnitur. Wiedział, że będzie musiał się wyrzec swojego domu, jednego z najpiękniejszych przy Elbchaussee. Nie oprze mu się żaden żądny luksusów angielski oficer – jednak należało właściwie się zaprezentować. Lubert słyszał opowieści o aliantach, którzy po kapitulacji Niemiec rozkradają wszelkie tutejsze skarby, a przecież wiadomo, że filisterscy Anglicy z tym swoim imperium zawsze niszczyli obce kultury. Stefana niepokoił zwłaszcza los płócien Légera i drzeworytów Emila Noldego, wiszących w najbardziej reprezentacyjnych pokojach, ale pomyślał sobie, że jeśli da się wyeksmitować w odpowiedni sposób, być może angielski oficer nabierze do niego sympatii i będzie mniej skłonny do odzierania go z tego, co mu jeszcze zostało. Pomieszał pogrzebaczem w kominku, by popiół z poprzedniego wieczoru wskazywał na to, że palą w nim meblami. Później zdjął marynarkę, poluzował krawat i przybrał pozę człowieka dystyngowanego, a jednocześnie zacnego – ręce wzdłuż tułowia, jedna noga lekko odstawiona. Uznał jednak, że wygląda zbyt swobodnie, jest zbyt pewny siebie, że za bardzo przypomina osobę, którą jest w istocie. Włożył marynarkę, poprawił krawat, przygładził włosy i nieco się wyprostował, potulnie zaplatając dłonie na wysokości paska. Tak lepiej – oto mężczyzna gotów bez urazy oddać swój dom.

Lewis i Schroeder nie odzywali się do siebie przez dalszą część podróży. Lewis widział, jak szofer porusza ustami, odgrywając w myślach spotkanie z bezdomnymi dziećmi, dostrzegał jego nieme obrzydzenie i oburzenie, jednak postanowił nie komentować tego incydentu. Wkrótce samochód dotarł na skraj miasta, tak metodycznie niszczonego trzy lata wcześniej przez brytyjskie i amerykańskie bomby. Nawierzchnia wysadzanej platanami drogi zrobiła się gładka. Za wysokimi żywopłotami i bramami stały domy nietknięte przez naloty. Jechali ulicą Elbchaussee, mijając wille bankierów i kupców, którym Hamburg zawdzięczał swój dostatek. Nic dziwnego, że tutejszy port i zakłady przemysłowe stały się celem bombowców. Domy te były okazalsze i nowocześniejsze niż rezydencje, jakie Lewis widywał pod Londynem. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zamieszka w czymś takim.

Willa Lubertów stała tuż przed zakrętem Elbchaussee, która w tym miejscu odbijała od Łaby. Kiedy Lewis ją zobaczył, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem kapitan Wilkins nie pomylił adresu. Do domu prowadził długi, wysadzany topolami podjazd. Była to okazała, przypominająca tort ślubny, biała budowla z portykami i dużym, półkolistym, podpartym kolumnami tarasem. Parter wznosił się metr nad ziemią. Wiodły nań imponujące schody, które prowadziły także na taras znajdujący się na wysokości

pierwszej kondygnacji. Porośnięte glicyniami filary podtrzymywały balkon na piętrze, skąd można było podziwiać płynącą około stu metrów dalej rzekę. Elegancja i rozmiary willi zaskoczyły Lewisa. Może nie był to pałac, lecz rezydencja ta bardziej pasowała do generała lub kanclerza niż do pułkownika, który nigdy nie miał własnego domu.

Kiedy mercedes wjechał na okrągły podjazd, Lewis dostrzegł trzy postacie – dwie kobiety i mężczyznę, z wyglądu ogrodnika – tworzące gwardię honorową. Czwartha, wysoki mężczyzna w luźnym garniturze, ruszyła ku nim po schodach. Schroeder zatrzymał samochód przed komitetem powitalnym. Lewis nie czekał, aż szofer otworzy mu drzwi. Wsiadł i podszedł do mężczyzny, który – jak się domyślił – był Herr Lubertem. Już chciał mu zaszalutować, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar i tylko podał gospodarzowi dłoń.

– *Guten Abend*. Pułkownik Lewis Morgan.

– Witam, *Herr Oberst*. Możemy rozmawiać po angielsku.

Stefan Lubert przyjaźnie odwzajemnił uścisk dłoni pułkownika. Lewis wyczuł nawet przez rękawiczkę, że ręka gospodarza jest cieplejsza niż jego własna. Skinął głową w stronę kobiet i ogrodnika. Służące ukłoniły się, a najmłodsza rzuciła mu zaciekawione spojrzenie, jakby był przedstawicielem jakiegoś wymarłego plemienia. Najwyraźniej bawił ją jego akcent, a może strój. Lewis uśmiechnął się do niej.

– A to Richard.

Ogrodnik stuknął obcasami i wyciągnął rękę. Lewis ujął jego pokrytą odciskami dłoni i nie protestował, gdy ten zaczął szarpać jego prawicą w górę i w dół niczym tłokiem.

– Zapraszam – powiedział Lubert.

Schroeder, który został w samochodzie, wsparł nogi na desce rozdzielczej. Wciąż był naburmuszony po reprimendzie, jaką dostał od szefa. Tymczasem Lewis ruszył po schodach za Lubertem.

Wewnątrz willa objawiła swój prawdziwy charakter. Lewisowi niezbyt przypadł do gustu jej wystrój – kanciaste, futurystyczne meble i trudne w odbiorze, zbyt śmiałe i nowoczesne jak dla niego dzieła sztuki – jednak jakość wykończenia i projekt przewyższały wszystko, co pułkownik widział w angielskich domach, nawet w rezydencji Bayliss-Hillierów w Amersham, która była szczytem marzeń Rachael. Gdy Lubert oprowadzał go po domu, z wdziękiem objaśniając funkcje poszczególnych pomieszczeń oraz opowiadając o jego historii, Lewis zaczął myśleć o chwili, kiedy zjawi się tu jego żona. Widział oczyma wyobraźni, jak Rachael chłonie wzrokiem światło oraz lekkość linii i zachwyca się wspaniałością tej rodowej siedziby – marmurowymi parapetami, fortepianem, windą do transportu dań z kuchni do jadalni, służbówkami, biblioteką, palarnią, obrazami. Całkiem nagle i niespodziewanie zaświtała w nim nadzieja, że może

ten dom zrekompensuje im chude i samotne lata wojny.

– Ma pan dzieci? – spytał Lubert, gdy ruszyli po schodach, by obejrzeć sypialnie.

– Syna, Edmunda. – Lewis wypowiedział to imię, jakby próbował je sobie przypomnieć.

– Może Edmundowi spodobałby się ten?

Lubert wprowadził Lewisa do pokoju pełnego dziecięcych – głównie dziewczęcych – zabawek. W głębi stał koń na biegunach z wyłupiastymi czarnymi oczami, którego dosiadała w pozie amazonki porcelanowa lalka. Domek dla lalek wielkości psiej budy, imitujący budynki z czasów króla Jerzego V, umieszczono u stóp niewielkiego łóżka z baldachimem. Na dachu siedziały lalki, majtając nogami przed oknami sypialń niczym porcelanowe olbrzymy korzystające z cudzego lokum.

– Nie będą mu przeszkadzać dziewczęce zabawki? – spytał Lubert.

Lewis nie był pewien upodobań Edmunda, w końcu widział go ostatni raz, gdy ten miał dziesięć lat, lecz niewiele dzieci zdołałoby się oprzeć takim skarbowi.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział.

Z każdym pięknym pokojem i nostalgicznym wyznaniem Luberta – „Stąd oglądaliśmy łódki na rzece”, „Tu grywaliśmy w karty” – Lewis czuł się coraz bardziej nieswojo, jakby Lubert przypalał go rozżarzoną żelazką. Wolałby widzieć jego wrogość albo przynajmniej szorstki, milczący opór, cokolwiek, co ułatwiłoby mu zadanie, tymczasem ten miły, wręcz uroczy obchód tylko pogarszał sprawę. Kiedy dotarli do głównej sypialni – ósmej na piętrze, z wysokim wąskim łóżkiem w stylu francuskim i zawieszonym tuż nad wezglowiem olejnym płótnem przedstawiającym zielone iglice średniowiecznego miasta – Lewis poczuł się paskudnie.

– Moje ulubione miasto w Niemczech – wyjaśnił Lubert, dostrzegłszy, że Lewis z uwagą przypatruje się iglicom. – Lubeka. Powinien się pan tam wybrać.

Lewis odwrócił wzrok od obrazu, podszedł do okna balkonowego i wyjrzał na ogród i płynącą tuż za nim Łabę.

– Moja żona, Claudia, lubiła przesiadywać tu latem. – Lubert otworzył drzwi prowadzące na taras. – Łaba – rzucił, wskazując ręką roztaczający się za oknem widok.

Oczom Lewisa ukazała się wielka rzeka, szersza i powolniejsza od tych, które płyną w Anglii. Tu, na zakolu, rozlewała się jeszcze szerzej – może nawet na siedemset metrów. Dzięki tej rzece i towarom, które nią przewożono, powstał ten dom i większość innych wzniesionych w okolicy.

– Uchodzi do Nordsee. Po waszemu to North Sea?

– To jedno i to samo morze – odparł Lewis.

Lubertowi najwyraźniej spodobała się ta odpowiedź.

– To samo morze, rzeczywiście – przytaknął.

Inni doszukaliby się w jego grze próby wzbudzenia w Lewisie poczucia winy lub dojrzeliby w wyprostowanej sylwetce mężczyzny wyniosłość i butę narodu, który pragnął zawładnąć światem, a teraz przyszło mu za to zapłacić, jednak Lewis nie patrzył na to w ten sposób. Dostrzegł w nim kulturalnego, uprzywilejowanego człowieka, który się korzy i lgnie do resztek cywilizowanej przeszłości, aby ocalić cokolwiek z życia, które legło w gruzach. Lewis miał świadomość, że Lubert próbuje zyskać jego sympatię, osłabić siłę spodziewanego ciosu, może nawet skłonić go, aby się rozmyślił, lecz nie mógł go za to winić. Nie potrafił także wywołać w sobie gniewu, by odgrywać rolę człowieka obojętnego, stanowczego i pozbawionego skrupułów.

– To wspaniały dom, Herr Lubert.

Niemiec skłonił się z wdzięcznością.

– To dla mnie zbyt wiele... zbyt wiele dla mojej rodziny. Z pewnością także więcej niż to, do czego przywykliśmy – dodał Lewis.

Wzrok Luberta nagle pojaśniał. Mężczyzna ze zdziwieniem wyczuł, że pułkownik jest w odwrocie. Lewis spojrział na wielką rzekę toczącą wody do ich wspólnego morza, którym przypłył jego dawno niewidziana rodzina.

– Proponuję panu inne rozwiązanie – rzucił.

ROZDZIAŁ 2

– „Wkrótce poznasz obcy naród w obcym, wrogim kraju. Trzymaj się od Niemców z daleka. Nigdzie z nimi nie chodź, nie podawaj im ręki i nie odwiedzaj ich w domach. Nie baw się z nimi i nie utrzymuj kontaktów towarzyskich. Nie bądź dla nich miły, bo uznają to za słabość. Trzymaj ich na dystans. Nie okazuj nienawiści, bo to by im schlebiało. Zachowuj się wobec nich chłodno, wyniosłe i z godnością. Nie brataj się...”. – Nie brataj się? – powtórzył ostatnie słowa Edmund. – Co to znaczy, mamó?

Rachael zaczęła rozmyślać o „chłodzie, wyniosłości i godności” i wyobrażać sobie, w jaki sposób będzie je okazywać Niemcom. Edmund czytał oficjalną broszurę *Wyjazd do Niemiec*, którą otrzymywała w pakiecie każda brytyjska rodzina udająca się do tego kraju, wraz ze słodyczami i z czasopismami. Rachael opracowała taktykę przekazywania synowi różnych rzeczy, polecając, by czytał na głos, co było prostym sposobem na zachęcenie go do poznawania świata, a jej dawało czas na snucie własnych rozważań.

– Słucham?

– Piszą, żeby nie bratać się z Niemcami. Co to znaczy?

– Żeby... się nie zaprzyjaźniać, nie nawiązywać z nimi kontaktów.

– Nawet jeśli ich lubimy?

– Nie będziemy mieli z nimi do czynienia, Ed. Nie będziesz musiał się z nimi kolegować.

Zaciekawienie Edmunda tym tematem okazało się niczym hydra. Gdy tylko Rachael „obciąła łeb” jednemu pytaniu, natychmiast pojawiły się kolejne trzy.

– Czy Niemcy to nasza nowa kolonia?

– W pewnym sensie.

Jak bardzo brakowało jej przez te trzy lata Lewisa, by rozprawiał się z tymi bezustannymi pytaniami! Bystry i ciekawski umysł Edmunda potrzebował wsparcia i stymulacji. Tymczasem Lewis był daleko, a jej dawne, troskliwe ja chwilowo błędziło myślami gdzie indziej. Najczęściej kwitowała pytania Eda roztargnionym kiwnięciem głowy. Syn tak bardzo przywykł do jej spowolnionych reakcji, że wszystko powtarzał dwa

razy, jakby była starą i głuchą ciotką, której należy się szacunek.

– Czy Niemcy będą musieli uczyć się angielskiego?

– Pewnie tak. Poczytaj mi jeszcze.

Edmund wrócił do lektury.

– „Gdy spotkacie Niemców, pewnie pomyślicie, że są bardzo podobni do nas.

Przypominają nas z wyglądu, choć trafiają się bardziej żyłaści, a także mocniej zbudowani, jasnowłosi, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, zwłaszcza na północy.

W rzeczywistości nie są jednak aż tak bardzo do nas podobni”. – Edmund z ulgą pokiwał

głową, ale następny fragment znów go zaniepokoił. – „Niemcy bardzo lubią muzykę.

Beethoven, Wagner i Bach byli Niemcami”. – Zmieszany tą informacją zawiesił głos. –

Naprawdę? Bach był Niemcem?

Rachael nie zdobyła się na to, by potwierdzić to wprost. W końcu piękno przynależało do królestwa aniołów.

– Niemcy były wtedy inne – odpowiedziała. – Czytaj dalej. To ciekawe.

Przekaz broszury był prosty i uspokajający. Podtrzymał przekonanie Rachael, że w sumie Niemcy są źli. Opinia ta pozwoliła ludziom takim jak ona przetrwać wojnę, ustanawiała konsensus, który sprawiał, że nie winili nikogo innego. Niemców można było obarczyć winą niemal za wszystko – za kiepskie zbiory, ceny chleba, niemoralność młodzieży i spadek frekwencji w kościołach. Przez jakiś czas Rachael posługiwała się tym szablonem, tłumacząc sobie w ten sposób najróżniejsze drobne codzienne rozczarowania.

Aż tu pewnego dnia wiosną 1942 roku zabłąkana bomba z heinkla He 111, powracającego z nalotu na rafinerię w Milford Haven, zabiła jej czternastoletniego syna, Michaela, zniszczyła dom jej siostry i cisnęła ją na podłogę salonu niczym szmacianą lalkę. Choć ostatecznie Rachael wyszła z tego bez szwanku, w jej głowie utknął mentalny szrapnel nieosiągalny dla żadnego chirurga, zatruwając i spowalniając jej myśli. Ta nedorzeczna bomba zmiażdżyła i odesłała w niebyt wiarę Rachael w to, że życie jest z natury dobre, a pozostawiła w jej uszach dudnienie, które nasiliło się wraz z zakończeniem wojny.

Mimo że w porównaniu z wąskim kręgiem jej znajomych straty, jakie poniosła, były statystycznie mniejsze – podczas desantu w Normandii Blake’owie stracili dwóch synów, a George Davies po powrocie z obozu jenieckiego dowiedział się, że jego żona i dzieci zginęli w czasie nalotu na Cardiff – Rachael nie znalazła pocieszenia w cudzych tragediach. Ból miał wymiar całkowicie indywidualny i nie pomniejszała go demokracja w cierpieniu.

Obarczenie winą Niemców przyniosło jej chwilowe wytchnienie. Po uderzeniu bomby spoglądała w niebo przez wciąż żarzące się krokwie i wyobrażała sobie, jak lotnicy śmieją

się, wracając do Niemiec. Mimo to zwalanie winy na wykonujących rozkazy żołnierzy wydało jej się bezsensowne. Przez moment skupiła się na odpowiedzialności ich dowódcy, ale uznała, że takie myśli uwłaczają pamięci jej syna.

Po kilku tygodniach zauważyła, że przestała się modlić, i wręcz zaczęła rozważać, czy Bóg w ogóle istnieje. Wszechmogący, który – jak jej się zdawało – był dotąd zawsze po jej stronie, nagle stał się odległy, kojarząc jej się z Führerem. Nie zareagowała niepokojem osoby głęboko wierzącej (wołaniem o wiarę), lecz było to raczej milczenie kogoś, kto zastanawia się, czy kiedykolwiek tak naprawdę wierzył w Boga. Słowa wielebnego Pringa, że „to, czego uczy nas cierpienie, wzmacnia”, wzmogły w niej jedynie dziwne poczucie braku boskiej obecności. Gdy pastor próbował ją pocieszyć, że wierzą w Boga, który także stracił syna, nieoczekiwanie ostro odparła, że „on przynajmniej odzyskał swojego po trzech dniach”. Zaskoczony duchowny na chwilę zamilkł, po czym zebrawszy w sobie cały dar przekonywania, zapewnił ją, że wszyscy, którzy wierzą w zmartwychwstanie, żywią tę samą nadzieję. Rachael potrząsnęła głową. Widziała zmasakrowane ciało syna wyciągnięte spod zawalonych stropów domu i jego niewinną, białą od pyłu, martwą twarz. Michael nie zmartwychwstanie.

W tamtych ciężkich czasach uzalanie się nad sobą było mocno racjonowanym luksusem, czymś, czego nie należało publicznie okazywać. Jednakże w Rachael wciąż rosło poczucie, że ta wojna źle się dla niej skończyła, bo to jej wyrządzono krzywdę, a nie odwrotnie. Straciwszy Boga, którego mogłaby o to obwinić, zaczęła szukać winnego na Ziemi i go znalazła. Nie spodziewała się, że będzie to akurat ta osoba. Początkowo próbowała zdusić w sobie tę myśl, bo uznała, że to kolejny dowód na „kruchość jej nerwów”, jak określił to doktor Mayfield. Kiedy się to zdarzyło, Lewis – któremu ta wojna służyła, bo został bohaterem – był daleko, szkoląc rekrutów w Wiltshire. Mimo że to on wpadł na pomysł, by przenieść się z Amersham na zachód, „daleko poza zasięg zainteresowania Luftwaffe”, i nalegał, by chłopcy pojechali wraz z nią, to przecież nie mógł przewidzieć, że śpieszący się do domu Niemcy postanowią pozbyć się zbędnego balastu akurat tam. Cierpienie oraz inne niewypowiedziane żale potrafią jednak wyzwolić natrętne myśli, które raz uwolnione z klatki z trudem dają się do niej z powrotem zagonić. Gdy Rachael głośno pomstowała na swój los, najwyraźniej jawiła jej się przed oczami twarz Lewisa, a to, że był nieobecny, jedynie potęgowało jego winę. Jeśli już kogoś obarczała odpowiedzialnością za tę śmierć, to właśnie jego.

– Mamo, z kim rozmawiasz? – zdziwił się Edmund.

Znów odpłynęła w sen na jawie i ponownie biedny Edmund, jej młodszy syn, musiał ją z niego wyrwać. Te wszystkie snute w skrytości ducha zakazane żale tak bardzo odsuwały ją od świata, że czasami Rachael traciła wszelkie poczucie rzeczywistości. Teraz

próbowała wrócić na ziemię.

– Z nikim, Ed. Pomyślałam tylko... Pomyślałam, że mam dla ciebie jeszcze jedną kartę reklamową.

Sięgnęła do torebki po paczkę willsów i zapaliła papierosa, co, zdaniem doktora Mayfielda, miało „ukoić jej nerwy”. Podała kartę Edmundowi, który przyjął ją z radością, ale zaraz odrzucił.

– Tę już mam – powiedział.

Rachael przyjrzała się obrazkowi. Instruował, w jaki sposób zabezpieczyć okno przed wybuchem bomby.

– Do willsów wciąż pakują te nudne, wojenne karty – pożalił się Edmund. – Nie możesz palić innych?

– Tata pali inne, wydaje mi się, że playersy.

Rachael strząsnęła popiół do popielniczki i strzepnęła parę iskierek z tweedowej spódnicy. Pierwszy raz od ponad roku wystroiła się z myślą o Lewisie, a właściwie pierwszy raz, odkąd widzieli się przez te trzy dziwne dni po Dniu Zwycięstwa, gdy Rachael czuła się jedyną osobą w Zjednoczonym Królestwie niezdolną do okazywania radości. Włożyła wtedy tweedowy kostium. Lewis – zupełnie jak nie on – powiedział jej, że wygląda w nim „bosko”. Użyła też perfum Je Reviens Wortha („bombowych”), które mąż przywiózł jej z Francji. Po latach noszenia zasłon zamiast płaszczy i używania soku z buraków zamiast szminki teraz wyglądała niemal ostentacyjnie.

Rachael dostrzegła obok swojego odbicia w szybie wagonu kolejowego kobietę z siedzącą naprzeciwko niej mniej więcej dziesięcioletnią dziewczynką. Obydwie czytały – kobieta jakąś broszurę, a dziewczynka komiks. W oczach matki malowało się zniecierpliwienie. „Sądzę, że to ważne, Lucy – powiedziała do córki. – To wiadomość od premiera Attlee. «Niemcy będą postrzegać brytyjskie żony i matki jako przedstawicielki imperium. Na podstawie zachowania ich oraz ich dzieci będą oceniać Brytyjczyków i ich styl życia w znacznie większym stopniu niż na podstawie zachowania żołnierzy». Musimy o tym pamiętać”. Choć mówiąc to, patrzyła na córkę, Rachael poczuła, że słowa te kierowała do niej. Nie było cienia wątpliwości, że ta wzorowa żona brytyjskiego oficera uznała, iż siedząca naprzeciwko niej, wystrojona, zamyślona, pochłonięta sobą kobieta, która ledwo zauważa obecność swojego syna i mruczy coś do siebie pod nosem, musi być egoistyczną żoną i fatalną matką – najgorszą kandydatką na osobę mającą reprezentować swój kraj.

– Kiedy spadła bomba, wszystko na moment jakby stanęło w miejscu – powiedział Edmund i urwał dla wzmożenia efektu. – Później wybuch odessał wszystkie dźwięki i powietrze, a moja mama przeleciała dziesięć metrów po podłodze.

Edmund był jedenastoletnim chłopcem żyjącym w ciekawych czasach. Teraz płynął przerobionym niemieckim okrętem wojennym przez Morze Północne na spotkanie z ojcem, bohaterem wojennym. Mieli wspólnie zamieszkać w kraju rządzonym do niedawna przez najpotężniejszą i najokrutniejszą władzę w dziejach świata. Co więcej, chłopiec posiadał cały arsenał wojennych opowieści, którym nikt nie mógł dorównać.

Bomba, która zabiła jego brata, sprawiła także, że jego matka przeleciała przez salon w domu ciotki – jakieś trzy metry lub siedem czy nawet dziesięć metrów (jeśli Edmund znalazł odpowiednich słuchaczy). Zdarzenie to pozostawiło u Rachael pamiątkę w postaci lekkiego roztrzęsienia i skłonności do łez (wystarczył drobiazg, jakiś utwór muzyki klasycznej w radiu lub widok zranionego ptaka w ogrodzie), lecz syn potrafił jej to wybaczyć, gdyż objawy te miały swe oczywiste źródło w śmierci Michaela i w tym, że sama ledwo jej uniknęła. Fakt, że się o nią otarła, napawał Edmunda dumą i dawał mu sposobność do ubarwiania całej historii.

Obecnie upiększał ją na użytek słuchaczy, którzy – był o tym przekonany – pasowali jak ulał do wersji „dziesięciometrowej”. Była to mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka z pieprzykiem, rudowłosa, z wyglądu jedenastoletni chłopak oraz starszy, może szesnastoletni młodzieniec w sportowej marynarce w pepitkę. Choć w ferworze podróży różnice klasowe chwilowo się zatarły, trudno było nie brać pod uwagę, jakie kto zajmie miejsce w tej nowej społeczności. Nim dzieci wyjawily, w jakiej randze służą ich ojcowie, Edmund domyślił się, że co najmniej dorównuje pozycji Rudego i Pieprzyka i niemal na pewno góruje nad Pepitką, który usiadłszy nieco z boku, postukiwał papierosem i odgarniał do tyłu wybrylantynowane włosy, udając, że nie interesuje go opowieść o dramatycznym przeżyciu matki Edmunda.

Mimo jego ostentacyjnej obojętności Edmund czuł, że ta historia go wciąga. Właśnie opisał moment, kiedy bomba uderzyła w dom, powodując potworny hałas i dziwne zjawisko „ssania”, które później próbowała wyjaśnić mu matka. Jego relacja była w zasadzie wierna rzeczywistości, jeśli nie liczyć wystrzałów z dział przeciwlotniczych, których w rolniczym walijskim miasteczku Narberth zwyczajnie nie było. Edmund nie widział też potrzeby, by wspomnieć, że w dniu, gdy bomba spadła na dom, przebywał na sąsiedniej farmie.

– Dziesięć metrów? To prawie... trzy razy tyle, co ta kabina. – Kręcąc głową, Rudy powiódł wzrokiem za wyimaginowaną Leczącą Matką Edmunda i stracił ją z oczu gdzieś za burzą. – Kurczę! – dorzucił z podziwem.

Tymczasem Edmund, pragnąc rozwiać wszelkie wątpliwości, zakończył swą opowieść niepodważalną informacją o śmierci Michaela. Tutaj nie musiał niczego ubarwiać.

– Mój brat miał mniej szczęścia.

Zyskawszy szacunek historią o tym, jak jego matka otarła się o śmierć, wzbudził także współczucie, dodając: „A mój brat zginął”.

W tamtych czasach ponoć każdy miał jakąś „bombową opowieść”, jednak Edmund nie spotkał nikogo, kto przebiłby jego historię. Teraz czekał w napięciu, czy ktokolwiek z tej trójki spróbuje rzucić mu wyzwanie. Rudy odchrząknął i nieśmiało opowiedział o kuzynie, który wraz z dziesięcioma innymi widzami zginął podczas seansu *Przeminęło z wiatrem* w kinie Alhambra w Bromley, jednak zaznaczył, że nie znał go zbyt dobrze. Pepitka milczał, choć uśmiezek na jego twarzy sugerował, że zaraz przebije opowieść Edmunda własną. O pocisku V-1? O niemieckim pilocie, który spadł na drzewo? Nieważne – w razie czego Edmund miał na podorędziu kolejną historyjkę.

Wyjął z kieszeni talię kart.

– Umiecie zbudować piramidę? – spytał.

Rozłożył je na składanym stoliku i ustawił fundamenty. Kołysanie statku było tu dodatkowym wyzwaniem.

– W naszej kabinie mieszka jeszcze jedna rodzina – wyznała Pieprzyk. – Mój tata jest tylko kapitanem. – Musiała zauważyć, że Edmund i jego matka zajęli większe lokum, stosowne dla krewnych oficera wyższego rangą. – Mama ma nadzieję, że wkrótce awansuje na majora, a wtedy dostaniemy lepszy dom w Niemczech. Jaki twój tata ma stopień?

Edmund zerknął na Pepitkę, by się upewnić, że ten słyszy ich rozmowę. Oto nadarzyła się okazja, by zadać ostateczny cios. O ile opowieść o tym, jak jego matka otarła się o śmierć, była pokerowym fulem, o tyle tę, jak jego ojciec zdobył medal, można było przyrównać do koloru.

– Na początku wojny był kapitanem, ale szybko awansował na majora, zdobył medal i znowu awansował, z pominięciem stopnia podpułkownika, wprost na pułkownika.

– Za co go odznaczyli? – Pepitka połknął haczyk.

Edmund zwrócił uwagę na jego akcent. „Gimnazjum dla dzieci nowobogackich – pomyślał. – Żadne lekcje dykcji tu nie pomogą”.

Tylko na to czekał. Opowiedział, jak jego ojciec wskoczył do rzeki Ems na ratunek dwóm saperom uwięzionym w ciężarówce i uniknął przy tym kul niemieckiego snajpera. Nie pierwszy raz snuł tę historię i wiedział, że musi w odpowiednim momencie zawiesić głos, opisując, jak jego ojciec zanurkował i uwolnił żołnierzy z pułapki, po czym wypłynął na powierzchnię i unieszkodliwił snajpera granatem. Zapadła pełna podziwu cisza, aż w końcu Pepitka spytał:

– Jaki medal dostał?

– DSO, Order za Wybitną Służbę.

– Raczej za Wodną Służbę. – Pepitka parsknął śmiechem i w myśli słuchaczy Edmunda wdarły się wątpliwości niczym woda do kabiny tamtej ciężarówki.

Syn Rachael poczuł, że zaczyna tonąć. Jedność grupie przywróciła Pieprzyk, wypowiadając zdanie, z którym wszyscy mogli się zgodzić.

– Dobry Niemiec to martwy Niemiec. – Edmund i Rudy pokiwali głowami, tymczasem dziewczynka przywołała kolejną prawdę o Niemcach, której wyuczyła się, siedząc na kolanach babci. – Moja babcia mówiła, że wystarczy spojrzeć im w oczy, żeby dostrzec diabła.

Rudy też posiadał pewną wiedzę w tym zakresie.

– Nie wolno nam z nimi rozmawiać ani nawet się do nich uśmiechać. Muszą nam salutować i robić, co im każemy.

– I nie wolno nam się z nimi bratać – dorzucił Edmund, uradowany, że może użyć tego słowa.

Tymczasem Pepitka zapalił papierosa i potrząsnął głową. Edmund po cichu podziwiał sposób, w jaki wypuszczał dym nosem, a także to, że absolutnie nikomu nie wierzył.

– Co wy wygadujecie? Nie macie o tym pojęcia. O Niemcach warto wiedzieć jedno... – Wyciągnął przed siebie dłoń z papierosem. – Za jednego kupicie bochenek chleba, a za sto rower. Wystarczy je mieć, żeby żyć jak król.

Zaciągnął się głęboko i dmuchnął w nich kłębem dymu, aż zaczęli mrugać powiekami. Tylko Edmund nie zamknął oczu i patrzył, jak sypie się jego piramida z kart.

Żony stacjonujących w Niemczech oficerów zebrały się w okrętowym barze. Sporo wysiłku włożono w to, by ukryć pochodzenie tej jednostki. Przy użyciu wapna, kremowej farby i wesołych proporczyków usunięto wszelkie ślady wskazujące, że okręt przewoził kiedyś żołnierzy Waffen SS do opanowanych przez Niemców portów w Oslo i Bergen. Jedyne najbardziej spostrzegawczy pasażerowie dostrzegali napis na burcie, który obwieszczał światu, że szeregowy Tobias Messer stał w tym miejscu na tyle długo, by wyryc tutaj nożem swoje imię i nazwisko.

Okręt SS „Empire Halladale” stanowił chlubę operacji Reunion, a jego pasażerowie byli przedstawicielami kraju wciąż pozostającego światowym mocarstwem, które nawet w chudych latach potrafiło zapewnić swym obywatelom pewne przywileje. Był to dla nich dobry czas, by wyjechać z Anglii i uciec przed dietą złożoną z ziemniaków i marchewki, malowanymi na nogach pończochami i nieustającym zaciskaniem pasa. Ten mały, unoszący się na wodzie skrawek imperium najwyraźniej sobie z tego wszystkiego kpił i niósł obietnicę dostatniego życia.

Rachael siedziała z trzema żonami oficerów. Panie porównywały listy przysługujących

im przydziałów. Rachael była żoną pułkownika, więc jej lista liczyła trzy strony. Lista pani Burnham (żony majora) obejmowała dwie i pół strony, a listy pań Eliot i Thompson (żon kapitanów) miały po dwie strony. Cała ta procedura była hołdem dla cudu brytyjskiej biurokracji, która nawet w tych czasach niedostatku potrafiła w swym zadufaniu uznać, że żona kapitana nie potrzebuje serwisu do herbaty na cztery osoby, że żona majora nie obędzie się bez pełnego kompletu obiadowego i że jedynie żonom dowódców należy się karafka do porto.

Rachael była w tym gronie żoną oficera najwyższego rangą, za to pani Burnham miała wrodzone cechy przywódcze i Rachael chętnie oddała jej palmę pierwszeństwa. Ta pewna siebie, efektowna kobieta była nieco zbyt bezpośrednia i szorstka, ale dawała pozostałym poczucie, że wyjazd do Niemiec jest przygodą i szansą, którą należy chwycić obydwoma rękami. Pani Thompson, typowa snobka, spijała każde słowo z jej ust. Jedynie pani Eliot nie czuła się tam dobrze. Chorowała, odkąd statek opuścił port w Tilbury, i była blada niczym szarozielonkawe filiżanki i spodki, które dostały z przydziału.

– Lepiej się pani czuje? – spytała ją Rachael.

– Herbata dobrze mi robi.

– To niech się nią pani nacieszy – ostrzegła pani Burnham. – Niemcy może i znają się na parzeniu kawy, ale o herbacie nie mają pojęcia.

Pani Burnham przejrzała już swoją listę i zauważyła na niej brak przypraw, serwetek oraz kieliszków. Teraz skupiła uwagę na liście Rachael.

– Niczego nie brakuje?

Rachael właściwie nie miała zastrzeżeń, ale awans Lewisa – i to od razu o dwa stopnie – przeniósł ją w nowy, nieznany świat przywilejów i odczuwała przymus pokazania, że pochodzi z wyższych sfer.

– Przydałyby się kieliszki do sherry.

Pani Burnham zareagowała udawanym oburzeniem.

– Naprawdę, brak mi słów! Żona dowódcy musi mieć kieliszki do sherry, w przeciwnym razie zgłosimy interpelację w Izbie Gmin!

Wszystkie się roześmiały. Rachael ucieszyła się, że wreszcie ktoś ją rozśmiesza. Pani Burnham wypowiedziała to, co ona sama czuła, ale nie potrafiła wyrazić. Wszystko, co bure, zakazane i sztywne miało pozostać w szarej, wypalonej Anglii. Pewnie uznano by tam panią Burnham za krzykliwą i wulgarną, lecz tutaj, na nieznanym terytorium, gdzie nie obowiązywał protokół, mogła przemawiać z nieposkromioną hardością zdobywczyni Nowego Świata.

Tymczasem praktyczna pani Eliot zadała pytanie, które kłóciło się z ogólną atmosferą tego spotkania.

– Czy to prawda, że z powodu nalotów brakuje w Niemczech zakwaterowania odpowiedniego dla rodzin? George jeszcze nie wiedział, gdzie zamieszkamy, kiedy do mnie ostatnio pisał.

– Dokonują rekwizycji domów. Będziemy miały mnóstwo miejsca – rozproszyła jej wątpliwości pani Burnham.

– Podobno ich domy są bardzo porządne – wtrąciła pani Thompson. – Zwłaszcza kuchnie.

– O kuchnię się nie martwię. Jeśli już, to o sypialnię. Liczę na wielkie, wygodne łóżko. – Pani Burnham wybuchnęła śmiechem.

Rachael zauważyła na jej szyi przypominający figlarną broszkę jaskrawy rumieniec.

Pani Eliot nie dała się jednak przekonać.

– Ale co z nimi zrobią?

– Z kim?

– Z tymi Niemcami, którym rekwirują domy.

– Przekwaterują – wypaliła niczym z wiatrówki pani Burnham.

– Przekwaterują?

– Tak.

Pani Eliot próbowała wyobrazić sobie Niemców żyjących w kwaterach z przydziału.

– To straszne – powiedziała.

– Nie sądzę, byśmy powinny się nimi przejmować – rzuciła zaskakująco twardo Rachael.

– Słusznie – przytaknęła pani Burnham. – Niech spadają i zrobią nam miejsce.

Przynajmniej tyle mogą zrobić.

– Ja też tak uważam – oznajmiła pani Thompson.

Sprawę przegłosowano i nieprzyjemny temat przekwaterowanych niemieckich rodzin został porzucony. Teraz pani Burnham zniżyła głos i zwróciła się bezpośrednio do Rachael:

– Kiedy widziała się pani z mężem?

Zadawszy to pytanie, spłonęła jeszcze intensywniejszym rumieńcem i Rachael wyczuła zapach jej ciała, skrywany dotąd przez odurzające perfumy. Był słodkawy i ostry.

– W Dniu Zwycięstwa, przez trzy dni.

– No to macie sporo do nadrobienia.

– Niestety, przez te kilka lat przywykłam do tego, że sypiam sama – wyznała jej ku swemu zaskoczeniu Rachael, ale ta obfita, energiczna kobieta skłaniała do takiej szczerości.

Lewis rzeczywiście stał się dla niej chimera – pół mężczyzną, pół abstrakcją. Naturalnie kiedyś sypiali ze sobą. Było to zawsze spontaniczne i nieskomplikowane, a także miłe

i nieegoistyczne. Teraz jednak Rachael nie pamiętała już tych zbliżeń – nawet nie potrafiła ich sobie wyobrazić – i dlatego pytanie pani Burnham wprowadziło ją w zakłopotanie. Jechała do obcego, wrogiego kraju, by rozpocząć nowe, niepewne życie, lecz źródłem tej niepewności był nie wróg, ale jej własny mąż. Minął już ponad rok, odkąd (jak nazywała to tuż po ślubie) „mieli ze sobą okoliczność” czy też odkąd „się kochali” (jak zaczęła mówić później, doceniając głębię tego określenia), ale obecnie było to już tylko niewyraźne wspomnienie kojarzące się z rozczarowaniami, jakie przeżyła po zakończeniu wojny.

– Nie wiem jak pani, ale ja zamierzam nadrobić stracone lata – oświadczyła pani Burnham, znacząco zaciągnęła się papierosem i dorzuciła do filiżanki jeszcze jedną kostkę cukru.

Mimo że od pięciu lat Rachael nie słodziła herbaty, tym razem wzięła dwie kostki.

ROZDZIAŁ 3

Lewis przyglądał się brytyjskim wojskowym tłoczącym się na peronie dworca Dammtor w Hamburgu. Niemal wszyscy przybyli tu, by powitać swoje żony. Dla niektórych przyjazd pociągu z Cuxhaven oznaczał koniec wielomiesięcznej, a nawet wieloletniej rozłąki.

Minęło siedemnaście miesięcy od nieoczekiwanie przygnębiających londyńskich uroczystości z okazji zakończenia wojny, kiedy to Lewis przez trzy dni patrzył na Rachael, czuł jej świeży oddech i słuchał, jak gra na fortepianie. Nie będzie już musiał zdawać się na jej zdjęcie zrobione w upalny lipcowy dzień na plaży w Pembrokeshire, które trzymał wetknięte za gumkę papierośnicy. Rachael wyglądała na nim jak uosobienie lata – luźna sukienka w kwiaty, włosy powiewające na wietrze, wyraźnie zarumienione policzki, choć to przecież czarno-biała fotografia. Lewis nie należał do mężczyzn, którzy myślą obrazami, ale ku własnemu zaskoczeniu w czasie tej rozłąki potrafił bez trudu przywołać wizerunek żony. Nie w wystylizowanych i upozowanych scenach niczym z filmów o miłości, ale raczej w intymnych i spontanicznych chwilach, których żaden film nie mógł albo nie umiałby pokazać. Lewis najczęściej powracał do momentu, gdy przedstawił Rachael swojej rodzinie. Siostra Kate była oszołomiona jego zdobyczą i natychmiast ją zaaprobowała. Wspominał też kąpiel nago o północy w zatoce Camarthen, gdy ich nogi i rąk czepiały się oślizłe wodorosty.

Jej rychłe przybycie niepokoiło go. Teraz stał na peronie, palił papierosa i zastanawiał się, jaką osobą będzie ta Rachael, która wysiądzie z pociągu. Jak będzie się miała prawdziwa Rachael do tej, którą podziwiał na zdjęciu i która uśmiechała się do niego przez całą wojnę, o każdej porze roku, we wszystkich okolicznościach?

Lewis wsunął zdjęcie za gumkę, gdzie trzymał także mniejszą fotografię Michaela, i zamknął papierośnicę. Zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek na tory. Na żelaznych, pozbawionych szklanego dachu belkach dworca gnieździły się ptaki. Nagły jęk zachwyty kazał spojrzeć Lewisowi w dół. Na torach stał uradowany, może

sześćdziesięcioletni mężczyzna. Chwyciwszy wciąż żarzący się niedopałek, bacznie mu się przyglądał, mrużąc pod nosem *danke, danke*. W normalnych czasach jego entuzjastyczne podziękowania za ten skromny dar brzmiałyby jak sarkazm, ale w Godzinie Zero wyrzucony niedopałek był niczym manna z zapomnianego przez Boga nieba. Lewis poczuł wzbierającą w nim falę litości i obrzydzenia. Kolejny raz litość wzięła górę. Wyjął trzy papierosy, pochylił się i podał je mężczyźnie. Ten przez chwilę wpatrywał się w osłupieniu, nie śmiając po nie sięgnąć, by nie okazały się jedynie złudzeniem.

– *Nimm Sie! Schnell!* – ponaglił go Lewis, świadomy, że inni zauważą ten hojny gest. Mężczyzna chwycił papierosy, zamknął je w dłoni i ukrył w zakamarkach płaszcza. Tymczasem Lewis dostrzegł zmierzających w jego stronę dwóch mężczyzn. Jednym z nich był kapitan Wilkins, najwyraźniej ożywiony perspektywą rychłego spotkania z żoną, którą bezustannie i bezwstydnie określał mianem swojego „kwiatuszka”. Lewis, który z trudem wyznawał czułość Rachael, a tym bardziej innym, w skrytości ducha podziwiał pantoflarską naturę swojego zastępcy. Wilkins podchodził do tego tematu z całkowitą naiwnością, opowiadając o szczegółach swego związku niczym młody kochanek, który nie potrafi się przed tym powstrzymać. Pokazał nawet Lewisowi swój wiersz zatytułowany „Dla mojego Kwiatuszka”, zawierający zdanie: „Będę cię podlewał, mój Kwiecie, i zatapiał swoją miłością”.

Wilkinsowi towarzyszył oficer w mundurze majora. Wyglądał egzotycznie, całkiem nieangielsko. Miał lśniąco czarne włosy i piękne oczy o czujnym spojrzeniu. Lewis poczuł, że musi wziąć się przy nim w garść.

– Sir, to major Burnham z wywiadu – przedstawił go Wilkins. – Przydziela Niemców do kategorii czarnych, białych, szarych i jakich tam jeszcze.

Burnham nie zasalutował, tylko podał Lewisowi rękę. Wywiad miał własną hierarchię i tamtejsi oficerowie nie podporządkowywali się wojskowym innym formacji, z góry uznając, że brakuje im wiedzy i kwalifikacji, by odbudować zrujnowane Niemcy. Lewis nie przywiązywał większej wagi do oddawania honorów, ale natychmiast wyczuł, że opanowanie i precyzja majora świadczą o jednym – że to człowiek z misją.

Burnham zaczął wpatrywać się w wychudłego zebraka.

– Wczoraj znaleźliśmy lokum dla majora – przerwał krępującą ciszę kapitan Wilkins. – Niedaleko od pana, też przy Elbchaussee. – Zastępca Lewisa znał już jego upodobania, wiedział też, że pułkownik ma skłonność do wypowiadania się bez ogródek. Wyczuł, że między tymi dwoma może dojść do spięcia. – Będziecie panowie niemal sąsiadami – dodał.

Burnham wciąż przyglądał się włóczędze, który wgramolił się na peron i wyciągnął do niego rękę, bez wątpienia licząc, że znajomi Lewisa okażą się dla niego równie szczodrzy. Tymczasem major rzucił do niego płynną niemczyzną:

– Jeśli nie odejdziesz, każę cię aresztować.

Mężczyzna uniósł ręce, zaczął się kłaniać i oddalać tak szybko, jak pozwalały mu na to jego słabe nogi.

Na twarzy Burnhama pojawił się grymas obrzydzenia.

– Ależ oni cuchną – powiedział.

– Tak to jest przy dziewięciuset kaloriach dziennie – odparł Lewis.

– Przynajmniej mniej z nimi kłopotów, kiedy są głodni – podsumował Burnham z bladym uśmiechem.

– To prawda – wtrącił, próbując rozładować atmosferę, Wilkins.

Burnham kiwnął głową i rzucił pułkownikowi dobrze wyćwiczone, pytające spojrzenie.

Ostry gwizd nadjeżdżającego pociągu sprawił, że Lewis nie wyjaśnił majorowi, jak bardzo się myli.

– Dlaczego te dzieci za nami biegają?

Edmund wychylał się przez otwarte do połowy okno wagonu. Wokół, wyciągając ręce, biegły hordy niemieckich dzieci. Pociąg zwolnił już na tyle, że mogły dotrzymać mu kroku. Maluchy wykrzykiwały nazwy swojej świętej trójcy: „Czekolada, papierosy, kanapki!”, lecz pasażerowie nie znali jeszcze obowiązujących w tym kraju obyczajów i nie podzielili się swoimi racjami żywnościowymi.

– Może chcą zobaczyć, jak wyglądamy – zaczęła zgadywać Rachael. – Już prawie dojechaliśmy.

– Czy to Niemcy?

– Tak. Włóż płaszcz.

– Nie wyglądają zbyt niemiecko.

Rachael poprawiła Edmundowi krawat, polizała palec, potarła nim policzek syna i przygładziła mu włosy.

– Jak ty wyglądasz! Co tata pomyśli?

Licniejsi od pasażerów bagażowi przejęli bagaże i nowo przybyli mogli teraz bez przeszkód rozglądać się za swymi mężami i ojcami. Oddawszy walizkę gorliwemu przyszarzałemu mężczyźnie, Rachael wysiadła na peron, gdzie pochwyciła ją rwąca rzeka upudrowanych i uszminkowanych kobiet ubranych w tweedowe kostiumy i kapelusze. Niektóre już ścisnęły swoich mężów w kłębach bijącej od lokomotywy pary. Zgodnie z obietnicą żona majora już nadrabiała stracony czas. Pani Burnham podeszła do męża, ujęła w dłonie jego twarz i zaczęła namiętnie go całować. Rachael poczuła dreszcz zazdrości. Sama nigdy nie całowała się z Lewisem przy ludziach. Nawet kiedy byli młodszy, uznałaby to za zbyt śmiałe.

Dostrzegła Lewisa, zanim on ją wypatrzył. Stał nieco z boku, z dala od tłumu. Wyglądał na lekko przestraszonego i bezbronno. Zareagowała dokładnie tak, jak opisywano to w czasopiśmie „Woman’s Own” – poczuła, jak przyśpiesza jej tętno, a oddech staje się krótszy. Ogarnęła ją fala czułości, która jednak ustąpiła, gdy tylko Lewis obrzucił ją wzrokiem i posłał uśmiech Edmundowi, a ten natychmiast podbiegł do ojca. Pułkownik zmierzwił mu dopiero co przylizane włosy i nerwowo podsumował ich rozłękę:

– Jaki wielki! Rośniesz jak na drożdżach!

– Cześć, tato.

Lewis wciąż wpatrywał się w Edmunda, nie znajdując słów, by opisać zmianę, która niezmiennie zadziwia dorosłych, a dzieciom zawsze wydaje się prozaiczna. Kiedy nie mógł już dłużej odwlekać tej chwili, przeniósł wzrok na Rachael i pocałował ją ni to w usta, ni to w policzek.

– Mieliście dobrą podróż?

– Na morzu trochę bujało.

– Napijmy się herbaty. Przy odrobinie szczęścia może trafi się nam strudel.

– Niemcy nie umieją parzyć herbaty – rzucił Edmund, próbując przypodobać się tacie.

Lewis wybuchnął śmiechem. Była to jedna z niewielu wyświechtanych opinii o Niemcach, które odpowiadały prawdzie.

– Coraz lepiej im to wychodzi.

Oczy Edmunda zrobiły się duże jak spodki, gdyż chłonał wszystkie otaczające go szczegóły. Nagle jeszcze bardziej się ożywił na widok czegoś, co działo się po drugiej stronie torów.

– Co oni robią?

– Mój Boże! – szepnęła Rachael.

Dwójka dzieci trzymała za nogi chłopca zwisającego z mostu, pod którym zaraz miał przejechać pociąg. Maluch ścisnął w rękę kij golfowy. Przez chwilę wydawało się, że malca zmiążdży parowóz, jednak pociąg przejechał niżej. Tymczasem chłopiec zrzucił z niego na pobocze trochę węgla. Wyczekujące tam kobiety zgarnęły bryłki w podwinięte spódnice.

– Wolno im to robić? – spytał pełen podziwu Edmund.

– Oficjalnie nie.

– Nie powstrzymasz ich?

– Wokół żadnych okrętów^[1]. – Lewis mrugnął do niego porozumiewawczo i poprowadził żonę i syna do wyjścia, nim pojawią się jeszcze trudniejsze pytania.

Atlantic, najokazalszy hotel w Hamburgu, szczęśliwie przetrwał wojnę i stał się oazą

przepychu w morzu panującego wokół ubóstwa. Wrażenie to potęgowała położona przy recepcji palmiarnia, gdzie pośród donic z roślinami muzycy przygrywali popijającym herbatę Brytyjczykom, którzy zapominali tu na kilka godzin o ponurych latach wojny, uznając Hamburg za najbardziej barwną placówkę, do jakiej mogli trafić. Lewis miał nadzieję, że przyblakły splendor tych wnętrz, rytuał serwowania herbaty, przypadkowy brzęk sztuców i gruba wykładzina stworzą zaciszną i komfortową atmosferę stanowiącą odpowiednie tło dla kontrowersyjnej informacji, jaką miał przekazać bliskim. Spotkał go jednak zawód ze strony muzyków. Zwykle grywali ulubione przez Anglików popularne i różne melodie, lecz tego dnia pianista i piosenkarka włożyli serce w wykonanie melancholijnej niemieckiej pieśni, której Lewis nigdy nie spodziewałby się tu usłyszeć. Przykre wieści potrzebowały oprawy w postaci wesołego podkładu muzycznego. Niechże wreszcie zagrają coś innego.

Rachael natychmiast rozpoznała w tym utworze jedną z pieśni Schuberta i całkowicie poddała się jej nastrojowi. Nie tknęła swojego strudla; karmiła się muzyką, której słuchała z niezwykłą jak na to miejsce intensywnością i skupieniem. Tymczasem siedzący obok Edmund pochłonął swoje ciastko i teraz zasypywał ojca gradem pytań. Od rozpoczęcia wojny zgromadził ich cały zapas i domagał się natychmiastowych odpowiedzi. Paląc, Lewis starał się ich udzielić i czekał na właściwy moment, by poprosić muzyków o zmianę repertuaru.

– Czy Niemcy są naszą kolonią?

– Nie do końca. Z czasem zwrócimy ten kraj ich obywatelom... kiedy zaprowadzimy tu porządek.

– Mamy najlepszą strefę?

– Ponoć Amerykanom dostały się ładne widoki, Francuzom wino, a nam ruiny.

– To niesprawiedliwe.

– Cóż, te ruiny to nasze dzieło.

– A Rosjanie?

– Rosjanie? Im dostały się farmy, ale to już inna historia. Jak twój strudel, kochanie?

Lewis spostrzegł, że Rachael dyskretnie otarła płynącą po policzku łzę. Później, dla odwrócenia uwagi, wbiła widelec w ciastko, ale było już za późno.

– Mama znowu płacze.

Wyglądało to tak, jakby Edmund zapalił na stoliku racę, by jego ojciec mógł zobaczyć, co działo się przez siedemnaście miesięcy rozłąki. Lewis ujrzał więcej, niżby chciał. Nie był to przygotowany. Miał wrażenie, że dostrzegł wierzchołek czegoś, z czym – jak liczył – uporają się lekarze, czas i dzieląca ich odległość.

– Nie bądź niemądry, Ed – zbeształa syna Rachael. – To ta smutna muzyka. Wiesz, jak

łatwo się wzruszam.

Gdy piosenkarka przestała śpiewać, w sali zapadła cisza. Lewis postanowił skorzystać z okazji, by wyrwać ich z ponurego nastroju, ale kiedy tylko wstał, Rachael przejrzała jego zamiary.

– Proszę cię, nie... – szepnęła.

– Przydałoby się coś weselszego, nie sądzisz?

Ustąpiła i zawiedziona wzruszyła ramionami. Kiedy Lewis odszedł od stolika, zwróciła się do Edmunda:

– Nie mów ojcu o mnie takich rzeczy, bo będzie się martwił.

– Przepraszam.

Gdy Lewis szeptał piosenkarce swoją prośbę, Rachael zauważyła na twarzy kobiety gorzki, wymuszony uśmiech. Może kiedyś była znaną artystką, a teraz, jako niedobitek zdziesiątkowanej orkiestry, musiała spełniać życzenia filisterskiej publiczności. Kiedy Lewis ruszył do stolika, pianista zagrał pierwsze takty szlagieru *Run, Rabbit, Run* i piosenkarka bez zająknięcia przeszła od melancholijnej niemieckiej głębi do płytkiej angielskiej frywolności.

– Dużo lepiej – ocenił Lewis. – Ten kraj potrzebuje nowej pieśni.

Żwawa melodia odmieniła nastrój. Lewis postanowił, że nie zapali kolejnego papierosa, by odwlec ten moment. Chciał już mieć to z głowy. Natura nie obdarzyła go wrodzonym darem przekonywania, dlatego w takich sytuacjach często nadużywał określeń typu „naprawdę cudowny” i „rzeczywiście wspaniały”.

– Mam wieści na temat naszego domu. Jest naprawdę cudowny. Dużo większy niż ten w Amersham. Większy niż dom cioci Klary. Są tam pokój bilardowy i fortepian... – Tu urwał, by Rachael mogła sobie to wszystko wyobrazić. – Rzeczywiście wspaniały widok na Łabę. Na ścianach wisi mnóstwo ciekawych obrazów namalowanych przez naprawdę znanych malarzy. Cóż jeszcze...? Winda łącząca kuchnię z jadalnią.

– Będziemy mieli służących? – spytał Edmund.

– Cały zastęp: pokojówkę, kucharkę i ogrodnika.

– Tylko jak my się z nimi dogadamy?

Śmiech przyniósł Lewisowi ulgę. Nawet Rachael się roześmiała.

– Wkrótce się przekonasz.

– Znają angielski? – spytała Rachael, dając się wciągnąć w tę rozmowę.

– Większość Niemców zna kilka podstawowych słów, a i wy szybko opanujecie niemieckie zwroty.

Na moment zapadła cisza. Lewis wielokrotnie przygotowywał się w myślach, żeby im to powiedzieć. Powinien wywołać u nich współczucie, jakie sam odczuwał wobec Lubertów?

Przekonać ich, że są oni ludźmi, którzy niczym się od nich nie różnią? A może lepiej trzymać się faktów, argumentować, że dom jest tak duży, iż pomieściłby nawet dwadzieścia osób, i że gdyby nastawiali na wykwaterowanie właścicieli, byłby to akt czystej pazerności? Tak czy inaczej, musiał działać z wyjątkową delikatnością.

– Właścicielem willi jest Herr Lubert, architekt. Bardzo kulturalny człowiek. Jego żona zginęła podczas wojny. Ma córkę, Friedę, niewiele starszą od ciebie, Ed. To... ogromny dom. Pomieściłby dwadzieścia osób. Na samej górze znajduje się całkowicie samodzielne mieszkanie...

Rachael głęboko westchnęła i przesunęła się na krześle.

– Zmieścimy się tam wszyscy. Oni zamieszkają na górze, a cała reszta będzie dla nas.

Rachael nie była pewna, czy przypadkiem się nie przesłyszała.

– Będziemy mieszkać z nimi? – spytała.

– Ledwo zauważymy ich obecność. Jest ich tylko dwoje. Mogą korzystać z osobnego wejścia. W mieszkaniu na górze jest wszystko, co potrzebne do życia.

– Będziemy mieszkać z Niemcami? – powtórzył za matką Edmund.

– Nie do końca. W pewnym sensie. Będziemy dzielić z nimi dom. To jak mała kamienica, a oni będą mieszkać na ostatnim piętrze.

Rachael poczuła, że musi zająć czymś ręce. Dolała sobie herbaty, choć wcale nie miała na nią ochoty. Przewróciła przy tym dzbanuszek z mlekiem. Lewis miał wreszcie pretekst, by skupić się na jakiejś prozaicznej czynności. Przykrył płamę serwetką i zawołał kelnera.

– Nie rozumiem. Czy inni też tak robią?

– To nie to samo. Nikomu nie zaproponowano tak wspaniałego domu.

Rachael nie mogła się z tym pogodzić. Nieważne, jak okazały jest ten dom, ile ma pokoi, jak cudowne dzieła sztuki są w nim zgromadzone i jak pięknie brzmi fortepian w salonie. Nawet gdyby to był pałac z zabudowaniami gospodarczymi, Rachael i tak nie znalazłaby w nim miejsca dla Niemców. Zaczęła szukać papierosów w torebce. Postanowiła, że nie przyjmie ognia od Lewisa, ale on już wyciągnął swoją amerykańską zapalniczkę i ujął jej drżącą dłoń.

– Przekonasz się. To przepiękny dom.

Lewis opracował podwójną strategię. Kiedy jego delikatne wyjaśnienia zawiodły, postanowił skonfrontować żonę i syna z twardą rzeczywistością i przewieźć ich przez najbardziej dotknięte wojną dzielnice Hamburga. Poinstruował Schroedera, by ten jechał za nimi wyładowanym bagażami austinem 16, gdy sam zafunduje bliskim przejazdkę przez ruiny, „by Frau i jego syn lepiej zrozumieli sytuację”.

Lewis z przesadną ostrożnością objeżdżał jeje po bombach, nie mogąc przez kilka pierwszych minut wygłosić pouczającej pogadanki, bo Edmund był zbyt podekscytowany jazdą mercedesem. Siedząc między rodzicami, wciąż wznosił entuzjastyczne okrzyki i zachwycał się cudem techniki, jakim było to auto. Podobnie jak informacja o tym, że Bach był Niemcem, tak i piękno tej mechanicznej bestii skruszyło w nim wcześniejsze poczucie wyższości.

– Wyciąga dwieście!

– Kilometrów na godzinę.

– Może spróbujemy?

– Na tych ulicach lepiej nie próbować, Ed. – Lewis uznał, że to właściwy moment, by przytoczyć straszliwe statystyki. – Wiesz, że w ciągu jednego weekendu zrzuciliśmy na Hamburg więcej bomb niż Niemcy na Londyn przez całą wojnę?

Co prawda skierował to pytanie do Edmunda, ale zależało mu, żeby Rachael też je usłyszała. Chciał, by pozbyła się uprzedzeń i przestała się nad sobą użalać. Niemal jak na zawołanie znaleźli się w miejscu, gdzie wszędzie wokół ciągnęły się same ruiny. Nie różniły się niczym od tych w Londynie, Coventry czy Bristolu. Przybywało ich z każdym przejechanym metrem. Przed sobą, za sobą ani obok siebie nie widzieli żadnych ocalałych budynków, jedynie zgliszcza i rzekę sunących poboczem ludzi.

– Tato, ale przecież to oni zaczęli.

Lewis pokiwał głową. Jasne, że oni – kiedy pewien czarnoksiężnik zmieszał w kotle ich frustracje, kiedy unosili ręce przystrojone opaskami, chodzili na wiece, budowali drogi, przyklaskiwali każdemu zdaniu wodza, rozbijali witryny sklepów, latali bombowcami i zrzucali z nich bomby. To oni zaczęli. I gdzie są teraz? Gdzie jest ta rasa panów, która podbijała świat? Bo przecież nie są to ci żałośnie ubrani, cherlawi troglodcy wlokący się poboczem zniszczonej drogi.

– Oni w ogóle nie wyglądają na Niemców, tato.

– To prawda.

Rachael wciąż milczała.

– Widzisz te czarne krzyże? Oznaczono nimi miejsca, gdzie pogrzebano ciała w rumowiskach. Wciąż uważa się za zaginionych ponad milion Niemców.

Lewis spojrzał na Rachael, by się przekonać, czy te słowa robią na niej jakieś wrażenie, lecz jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

„Jak sobie chcesz. Wkrótce zrozumiesz”, pomyślał.

Minęli kilka rodzin ciągnących za sobą wozy z tym, co im jeszcze pozostało.

– Dokąd oni idą? – spytał Edmund.

– Pewnie wracają z tułaczki albo zostali wyeksmitowani, żeby zrobić miejsce dla nas.

– Mama powiedziała, że ich przekwaterowują.

– Tak, ale brakuje miejsc. Co miesiąc budujemy nowy obóz.

Będzie musiał im kiedyś pokazać, jak wygląda takie miejsce.

– To takie obozy jak na zdjęciach w „Illustrated News”?

– Nie, nie takie.

– Ale przecież zasłużyli sobie na to? Na życie w obozach?

Lewis musiał pohamować rozdrażnienie. „Oddychaj głęboko. Skąd on ma to wiedzieć?”.

– Tato?

Po obu stronach drogi płynęły rzeki ludzi. Ich twarze wyrażały jedno – myśl o tym, by przetrwać i ustrzec się dalszych cierpień. Lewis nie mógł jednak bez przerwy ich bronić.

Musiał napomknąć o sprawiedliwości.

– Owszem, niektórzy zasłużyli.

I wtedy, pierwszy i ostatni raz podczas tej krótkiej podróży, odezwała się Rachael.

– Oczywiście, że zasłużyli.

Gdy ów dziwaczny konwój – przysadzisty, męzny austin ciągnący za zgrabnym, wyniosłym mercedesem – zachrząścił na zwirowym podjeździe, Stefan Lubert zerknął na zegarek i zszedł po schodach, by powitać nowych lokatorów willi. Obciągnął marynarkę, starając się prezentować godność i skromność, a jednocześnie wdzięczność, co nie było łatwe dla człowieka o jego temperamencie. Obok stanęły Heike i Greta gotowe zaoferować tej rodzinie swe usługi. Lubert wyczuwał, że są zdenerwowane, i słyszał, jak szepczą:

– Nie są tak brzydki jak inni Anglicy.

– Ładnie ubrani.

– Biedny pan, udaje, że nic się nie stało.

– Ładna ta kobieta.

– Nie tak ładna jak nasza pani.

Greta pragnęła pozostać lojalna, ale Claudia wcale nie była ładna. Przystojna, elegancka, pełna wdzięku, wyrazista, ale nie ładna. Za to Frau Morgan – jak spontanicznie zauważyła Heike – była właśnie taka i nawet brak uśmiechu i kamienny wyraz jej twarzy nie zdołały tego ukryć. Ciemnokasztanowe włosy, duże migdałowe oczy, małe pełne usta, drobna, lecz krągła figura, oliwkowa cera. Skąd pochodziła? Bo na pewno nie z Anglii. Musi mieć w sobie celtycką krew, a może nawet hiszpańską.

– Wygląda na niezadowoloną.

– Może przywykła do życia w jakimś zamku.

Pułkownik serdecznie uściskał Lubertowi dłoń.

– Frieda też chciała państwa powitać, ale źle się czuje – wyjaśnił Lubert. – Mam

nadzieję, że jej wybaczycie.

– Naturalnie – odpowiedział Lewis i wskazał na Rachael. – Moja żona, Frau Morgan. Lubert wyciągnął do niej rękę, ale Rachael nie podała mu swojej.

– Miło mi – rzucił Niemiec i użył wyciągniętej ręki do prezentacji pozostałych domowników. – Moje służące: Heike i Greta. Richarda widzieliście państwo przy bramie. Bardzo ich państwu polecam.

Heike energicznie dygnęła, Greta ledwie się poruszyła.

Lubert zauważył, że Rachael wciąż milczy. Może jadąc przez zrujnowane miasto, popadła w rodzaj otępienia.

– A to Edmund – dodał Lewis, przywołując syna.

Podekscytowany chłopiec ruszył w stronę gazonu, po którym zaczął biegać z rozłożonymi rękami, udając samolot, i wydawać z siebie wojenne odgłosy. Nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Lubert wybuchnął śmiechem, dając do zrozumienia, że zupełnie mu to nie przeszkadza. Rachael była jednak zażenowana.

– Ed, przestań! Przywitaj się.

Luberta zdziwił dźwięk jej głosu. „Ona mówi!”

Edmund podbiegł i przywitał się z nim i ze służącymi. Heike chichotała, przyglądając się wygłupom chłopca.

– Dzień dobry – powiedział Edmund do Luberta.

– Witaj w swoim nowym domu – odrzekł Lubert. – Mam nadzieję, że ci się tu spodoba.

„Lewis nie przesadzał”, pomyślała Rachael. Dom był cudowny. Jej mąż pojął to, bo pewnie nie rozumiał, co czyniło go takim wyjątkowym, i czuł się onieśmielony jego okazałością. W ogóle nie miał w sobie pretensjonalności i materialnych ambicji, które napędzały jego kolegów. Była to cecha, którą bardziej świadoma takich spraw Rachael kiedyś w nim uwielbiała, a która teraz, nie wiedzieć czemu, zaczęła ją drażnić. Gdy Herr Lubert oprowadzał ich po willi, Rachael targwały mieszane uczucia. Pragnęła mu okazać, że potrafi docenić piękno, a jednocześnie dać odczuć, że potępia Niemców. Z każdym kolejnym pokojem rosło w niej jednak poczucie niższości i wyobcowania. Cokolwiek powiedział Lubert, brzmiało w jej uszach jak zdanie: „Jesteś tu mile widziana, ale to wciąż mój dom”. Gdy wyszli na balkon z widokiem na rzekę, Rachael miała tego naprawdę dość. Kiedy Lubert zaprosił ich do obejrzenia swojego mieszkania na górze, wymówiła się zmęczeniem po długiej podróży. Co prawda szok wywołany nowymi okolicznościami, w jakich się znalazła, uśmierzył znużenie, ale nie mogła już dłużej znieść obecności tego wytwornego i – choć może tylko tak jej się zdawało – nieco impertynenckiego Niemca mówiącego po angielsku bez śladu wyuczonego akcentu.

Wcześniej miała nadzieję, że nieznamość języka wszystko uprości i pozwoli jej się odseparować. Językowa biegłość Niemca mogła zburzyć te plany, o ile Rachael nie wytyczy mu jasnych i nieprzekraczalnych granic.

Gdy Lewis poszedł do pokoju Edmunda, żeby położyć go do łóżka, zastał syna leżącego na podłodze. Edmund przesunął domek dla lalek na środek pokoju. Lewis zauważył, że chłopiec upodobił go do willi, umieszczając meble tuż pod dachem, gdzie zamieszkali teraz jej właściciele. Do domku trafiły także lalki będące odpowiednikami Luberta, jego córki, Edmunda, Lewisa i Rachael.

– Czas do łóżka, Ed.

Chłopiec wstał z podłogi i wspiął się na łożo z baldachimem.

Lewis już dawno nie układał syna do snu i trochę zapomniał, jak się to robi. Powinien przeczytać mu bajkę? Coś powiedzieć? Odmówić modlitwę? W końcu przykrył go kocem, a także jego szmacianego żołnierzyka, Cuthberta. Chciał pogłaskać Edmunda po twarzy i odsunąć mu kosmyk włosów z oczu, ale zabrakło mu odwagi, więc tylko poklepał zabawkę.

– Podoba ci się tutaj? – spytał.

– Wielki ten dom.

– Myślisz, że będzie ci tu dobrze?

Ed skinął głową.

– Dlaczego ta dziewczyna się z nami nie przywitała?

– Chyba źle się czuła, ale wkrótce ją poznasz. Może będziecie się razem bawić.

– A wolno mi?

– Oczywiście, jak się trochę zdomowimy.

Edmund zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Lewis już zgasił nocną lampkę.

– Dobranoc, Ed.

– Dobranoc.

Lewis wyszedł z sypialni, a Edmund pomyślał, że może i lepiej się stało, że nie wspominał o spotkaniu sprzed godziny, kiedy to ruszył w stronę schodów prowadzących na najwyższą kondygnację, gdzie mieściły się pokoje Lubertów.

Chciał tam tylko zajrzeć, nic więcej. Gdy dotarł na półpiętro, natknął się na dziewczynę z blond włosami upiętymi w koński ogon. Oparłszy dłonie o ściany, trwała w zawieszaniu, z nogami wyprostowanymi przed siebie, jakby ćwiczyła na koniu z lękami.

– Cześć – rzucił Edmund. Wpatrywał się w nią zaintrygowany, zastanawiając się, czy to jest właśnie Frieda. W żadnym wypadku nie wyglądała na chorą. Była w pełni zdrowia

i w doskonałej formie. – To ty jesteś Frieda?

Dziewczyna wbiła w niego wzrok, cały czas utrzymując nogi w pozycji poziomej, po czym powoli zaczęła je rozsuwać, aż w końcu dojrzał jej majtki. Stał osłupiały, nie mogąc oderwać od niej oczu. Nie potrafił powiedzieć, ile to trwało. Wydawało mu się, że parę minut. Nagle dziewczyna syknęła na niego jak kotka i czar prysł. Edmund ruszył schodami w dół, wciąż się w nią wpatrując, w obawie że się na niego rzuci.

Lubert przebudził się, po nocy pełnej koszmarów, w obcym pokoju i domu, który nie należał już do niego. Przez kilka chwil nie mógł sobie uzmysłowić, gdzie jest, a świadomość szukająca jakichś wskazówek powiodła go wyboistą i poplątaną drogą pamięci o miejscach i zdarzeniach do łóżka w letnim domu jego babci, na wyspie Sylt, tego samego, w którym kiedyś kochał się z Claudią, gdy tymczasem na dole, w kuchni, jego siostry szykowały homara i kraby na kolację. Dźwięki tłuczonych skorup skutecznie zagłuszyły odgłosy skrzypiącego łóżka i ekstatyczne okrzyki młodych kochanków.

Otworzył oczy. Sączące się przez szparę między zasłonami światło wyrwało go z iluzji. Nie leżał we własnym łóżku (leżał w nim teraz inny mężczyzna i jego żona). Przebywał w pokoju, z którego przed wojną, nim Lubertowie z konieczności musieli ograniczyć liczbę służących, korzystał jego stary szofer, Friedrich, a który później Claudia przemieniła w dodatkową garderobę. Wciąż był w swoim domu, lecz już nie w roli gospodarza, natomiast pani tego domu odeszła – nigdy już nie poczuje jej zapachu ani nie obdarzy jej pieśczołą. Jednak ją czuł, a może tylko wspomnienie czasu, gdy byli razem. Jedwabna kołdra, którą się przykrył, pochodziła z letniego domu na wyspie Sylt; później tereny te zajęła Luftwaffe pod bazę lotniczą. Kołdra wciąż pachniała morzem i to sprawiło, że przed oczami stanęły mu żywe obrazy.

Lubert podciągnął kołdrę pod sam nos i wdychając jej woń, powrócił do tamtego dnia, gdy zszedł z rozplonioną narzeczoną na dół, na ucztę, jaką uraczyły ich jego siostry. Słono-rybi zapach Claudii wymieszał się na jego palcach z zapachem *bouillabaisse*. Uśmiechnęła się, gdy dyskretnie obwąchał palce w poszukiwaniu dowodu jej namiętności. Gdy sobie o tym przypomniał, przyływ podniecenia sprawił, że ponownie odtworzył w pamięci tamtą scenę.

Później nie miał wyrzutów sumienia, lecz czuł jedynie lekkie upokorzenie, że teraz pozostało mu już tylko to – wyblakłe i okrojone wspomnienia pozwalające doznać krótkotrwałej fizycznej ulgi. Usiadł na łóżku i poczuł na brzuchu stygnącą strużkę nasienia, zmarnowanego i pozbawionego celu. Właśnie o tym myślał najczęściej – częściej niż o zgliszczach, stratach materialnych czy okrucieństwie – o nagle przerwanych związkach, kiedyś zdawałoby się nierozzerwalnych, o milionach kochanków, którzy utracili

miłość swojego życia i musieli zaczynać wszystko od nowa. Rzecz jasna, dla niektórych, tych niedobrych i nieszczęśliwych w małżeństwie, była to szansa. Robotnicy z fabryki żartowali, że deficyt mężczyzn w Niemczech to ich atut, bo teraz mogą przebierać w kobietach. Tak oto pojawił się „nowy” mechanizm popytu i podaży. Tymczasem Lubert nie chciał wybierać ani być wybranym. Ta, którą wybrał – i która wybrała jego – nawet jeśli już jej nie było, pozostawała dla niego bardziej realna niż jakakolwiek kandydatka do nowego związku.

Wytarł rękę o koszulę nocną, wstał i rozsunał zasłony. Pokój zagracały rzeczy przeniesione tu w pośpiechu z sypialni i gabinetu po niespodziewanie wielkodusznym gościu angielskiego pułkownika. Lubert zawsze wyobrażał sobie, że w razie pożaru będzie je ratował w pierwszej kolejności – deskę i przybory kreślarskie, zasuszoną wiązaną ślubną oraz dwa najcenniejsze dzieła sztuki: autoportret Légera i przedstawiający nagą służącą obraz von Carolsfelda. Mimo to właściwie nie miał poczucia straty, ale wręcz doznał nieoczekiwanej radości, że musiał rozstać się z większością dobytku. Czuł się niemal nagi i tak lekki, że mógł teraz udać się, dokąd tylko zechce.

Wyjrzał przez okno na oświetlony trawnik. Na zimnym, pogodnym fioletowym niebie zawisł półksiężyc, lecz światło sączyło się do ogrodu z głównej sypialni, gdzie – bez wątpienia – ten uprzejmy, sztywny brytyjski oficer i jego ładna, choć nadąsana żona poznawali się od nowa po długiej rozłące. Lubert próbował o tym nie myśleć, lecz te jego wysiłki sprawiły, że ujrzał tę scenę w wyobraźni jak żywą. Leżeli w jego łóżku, być może nie zgasili światła, by przyjrzeć się temu, za czym tak tęsknili. Być może długo rozmawiali, nim zaczęli się kochać, a może najpierw się kochali, później rozmawiali, a później znów się kochali. Czy leżeli nieokryci, tak jak zawsze on i Claudia, czy też byli cichymi, ukradkowymi kochankami skrywającymi się pod pościelą?

Nagle światło w sypialni zgasło. Balkon, ogród i drzewa zatoneły w ciemnościach, a na niebie mocniej rozbłysły gwiazdy. Uznawszy, że para leżąca w jego dawnym łóżku zakończyła swój powitalny rytuał, Lubert odszedł od okna i na powrót spoczął samotnie pod pachnącą morzem kołdrą.

Rachael siedziała przy toalecie w swojej nowej sypialni, czesząc włosy. Wyobrażała sobie, że tuż nad nią, w mieszkaniu na górze, Herr Lubert szykuje się do snu i szydzi z jej ignorancji, bo nie rozpoznała autora jednego z obrazów, który pokazał jej w sali bilardowej. Jak on się nazywał? Léger? Nigdy o nim nie słyszała.

Nie miała ochoty wstać ze stołka o siedzeniu w kształcie nerki. Nawet jeśli ten mężczyzna na górze traktował ją protekcjonalnie, to ten za nią w pełni ją aprobował (i wiele po niej oczekiwał). Widziała w lustrze Lewisa siedzącego w piżamie na wysokim

wąskim łóżku. Przyglądał się jej. Wyczuła, że jest rozdrażniony, a jednocześnie podniecony. Nie znosił nieuprzejmości pod żadną postacią. Fakt, że jeszcze się do niej nie odezwał, mógł wynikać z tego, że liczył na to, iż znów „pobędą razem”. Rachael przestała rozczesywać włosy. Nie chciała wysyłać mu niewłaściwych sygnałów. Nadeszła chwila spodziewanego fizycznego zbliżenia, jednak Rachael nie była na nie gotowa.

– Nie podoba ci się ten dom? – spytał Lewis.

Było to łagodne pytanie, lecz – wedle jego standardów – zabrzmiało niemal konfrontacyjnie.

– Wolałabym, żeby właściciel nie mieszkał tu z nami.

Spostrzegła, że Lewis sięga po papierośnicę i zapala papierosa. Odruch z pola walki. Amunicja przed bitwą. Przeprowadzenie przez zdradliwy teren – trzeba zapalić.

– Mogłabyś być dla niego miłsza – powiedział.

Znowu miał rację. Była niemiła. Nie potrzebowała czerwonej płachty, żeby go zaatakować. Histerycznie się zaśmiała i z premedytacją dobrała słowa. Kłótnia sprawi, że odłożą seks na następny raz.

– Mam udawać, że się przyjaźnimy? Że jesteśmy po tej samej stronie?

– Jesteśmy po tej samej stronie – odparł.

Rachel wstała i podeszła do wąskiego łóżka, odciągając przylegającą do piersi koszulę nocną. Ułożyła poduszki tak, by móc się o nie oprzeć. Książka, *Spotkanie ze śmiercią* Agathy Christie, leżała na nocnym stoliku. Jej droga ucieczki, gdyby nastawał na seks.

Pewnie wyczuwając, że szansa się oddala, spytał:

– Poświęcisz mi... chwilkę?

– Musimy? Teraz?

– Nie musimy.

– Trochę dziwnie się czuję, z nimi, tam na górze. To były ciężkie trzy dni.

– Nie ma sprawy. Skoro jesteś zmęczona.

Może gdyby ją wziął bez słowa, zaskoczył, uległaby mu – i może byłoby jak dawniej. Sięgnęła po książkę.

– Naprawdę codziennie płaczesz?

Zesztywniała. Chciał porozmawiać.

– Ed nie powinien ci tego mówić.

– Płaczesz?

– Mayfield uważa, że jeszcze nie doszłam do siebie.

– A Pring? Rozmawiałaś z nim?

– Przestałam chodzić do kościoła.

Wyznała mu to z dziwną satysfakcją. Nie tłumaczyła się. Lewisowi, człowiekowi bez

fobii (ciekawe słowo użyte przez Mayfielda), chodziło o kwestie praktyczne. Chciał się dowiedzieć, czy ona bywa wśród ludzi, czy też się od nich izoluje. Z całą pewnością nie wysnuje na podstawie jej odpowiedzi wniosku, że Bóg nie istnieje, skoro pozwolił, by zabłąkana bomba spadła dokładnie tam, gdzie znajdzie się Michael, który na wołanie Rachael zszedł po schodach.

Czuła napięcie. Przez kilka dni próbowała z nim walczyć, ale w końcu tamy puściły.

– Tobie jest łatwiej. Nie było cię przy tym. Nie przeżywasz tego tak jak ja.

– Nie mam czasu na wgłębianie się w uczucia – odparł Lewis szczerze, choć nie do końca precyzyjnie.

– Dlaczego? – spytała retorycznie, ratując go przed mozołem ubrania tego w słowa. – Bo masz swoją pracę. Kraj do odbudowania. – I tu wreszcie tama nie wytrzymała. – Kraj, który zamordował... mojego pięknego syna!

Szloch, jaki z siebie wydała na wspomnienie Michaela, przypominał jej płacz z czasów, gdy była małą dziewczynką. Trzęsła się i z trudem łapała oddech. Lewis zaczął głaskać ją po plecach, ale nie był w stanie przeniknąć przez jej ból.

– A teraz każesz mi mieszkać z tymi ludźmi.

– Wszyscy, którzy mieszkają w tym domu, doświadczyli straty.

– Mam to gdzieś. Nie obchodzi mnie, że wszyscy potracili synów. To nie przyniesie mi ulgi. Nie pogodziłam się z tym.

– Żadne z nas się nie pogodziło, ale musimy jakoś sobie z tym poradzić.

– „Poradzić”? Jak zawsze! Wygląda na to, że bardziej martwisz się o naszych wrogów!

– Rach, proszę cię. To już nie są wrogowie. Zostali zmiżdżeni. Teraz trzeba to wszystko odbudować.

Rachael poklepała się dłonią po mostku i zaczerpnęła głęboki haust powietrza.

– Potrafisz to zrobić? – spytała, licząc po cichu, że sprosta temu wyzwaniu, a jednocześnie mając nadzieję, że wyjdzie i zostawi ją samą z jej cierpieniem.

[1] *I see no ships* – słynne zdanie, które wypowiedział wiceadmirał Nelson, przyłożywszy lunetę do ślepego oka, przed bitwą pod Kopenhagą w 1801 roku (wszystkie przypisy tłumacza).

ROZDZIAŁ 4

Frieda skończyła poranną gimnastykę z piłką rehabilitacyjną i zaczęła szykować się do szkoły. Nie miała mundurka (od czasu Katastrofy szkoły właściwie nie działały), więc postanowiła włożyć spódniczkę, w której chodziła kiedyś na wiece, białą bluzkę i tenisówki. Była to prowokacja wobec władz i wyzwanie rzucone ojcu, który prosił, żeby zrezygnowała z takich ubrań. Od chwili upokarzającej przeprowadzki na najwyższe piętro willi zachowywała się wobec niego jeszcze bardziej wyzywająco. Zachęcał ją, by urządziła swój pokój przytulniej, twierdząc, że wygląda „nieco spartańsko”. Zasugerował, żeby powiesiła obrazy na ścianach i przeniosła z dawnej sypialni konia na biegunach, ale Frieda wolała obecny wystrój. Porównywała się w myślach do dziecka ze Sparty, wyrzuconego z rodowej siedziby i mieszkającego w zgliszczach, gdzie musi nauczyć się przetrwać. Jediną ozdobą, na jaką sobie pozwoliła, był oprawiony w ramkę haft jej matki, który przedstawiał trzy postacie – architekta ze składaną miarką w dłoni, kobietę z bukietem kwiatów oraz dziewczynkę trzymającą ją za rękę – stojące przed domem nad rzeką, z czerwoną żaglówką w tle. Dostała go od matki na jedenaste urodziny w lipcu 1942 roku, w dniu, kiedy Brytyjczycy rozpoczęli naloty bombowe na Hamburg.

Przenosiny na górę pozwoliły jej przynajmniej pozbyć się starych zabawek i angielskich książek, które ojciec czytywał jej podczas nalotów – *Alicji w Krainie Czarów*, *Bajek Oscara Wilde’a* i *Robinsona Crusoe* – próbując odciągnąć jej uwagę od warkotu bombowców i kanonady dział przeciwlotniczych. „Wyobraźnia będzie naszą tarczą”, powtarzał, jednak opowieści te nie wrócić życia jej matce.

Frieda położyła piłkę pośrodku obręczy do ćwiczeń i przykucnęła nad nocnikiem. Później chwyciła go, wyszła na podest schodów i ruszyła na dół, do swej dawnej sypialni w „strefie brytyjskiej”, gdzie natknęła się na swoją ofiarę bawiącą się jej domkiem dla lalek. Zauważyła przez otwarte drzwi, że Edmund odgrywa jakąś scenę między kobietą i mężczyzną na strychu domku. Nie słyszała, co do siebie mówili, ale było jasne, kim w rzeczywistości są bohaterowie tej sceny.

– Chłopczyk bawi się lalkami – rzuciła po angielsku i zaczęła się z niego śmiać.

Edmund spojrział na stojącą w progu Friedę, z nocnikiem w rękach, i zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna próbuje nawiązać z nim kontakt.

– Cześć – odpowiedział, po czym przetestował świeżo poznaną formułkę: – *Guten Tag, Fräulein Lubert*.

Frieda wyciągnęła ręce z nocnikiem, jakby mówiła: „To dla ciebie”, i postawiła go na podłodze pośrodku pokoju. Dziwnie się uśmiechnęła, po czym wyszła i zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając ciepły złocisty dar u stóp Szczęśliwego Księcia^[2].

W drodze do szkoły mijała *Trümmerfrauen* w zgrzebnych fartuchach i z chustkami na głowach. Szły do miasta, gdzie za miskę zupy, bochenek chleba albo kartki na żywność, jeśli im się poszczęści, przerzucały hałdy gruzu, pozyskując z nich cegły i inne przydatne materiały. Większość niosła ze sobą szpadle. Niektóre dowcipkowały, szczęśliwe, że idą do pracy. Frieda chętnie by się do nich przyłączyła. Nie uczęszczała regularnie do szkoły od lata 1943 roku, kiedy to brytyjskie bombowce zniszczyły niemal wszystkie budynki szkolne w Hamburgu. Teraz Brytyjczycy otworzyli miejski ratusz i jedną z większych sal podzielili dyktą na „klasy”. W mieście roiło się od uchodźców. Dzieci było zbyt dużo jak na tak skromną przestrzeń, więc niektóre musiały siedzieć na zimnej posadzce.

Mimo trudnych warunków i braku podstawowych przyborów szkolnych – piór, papieru i podręczników – Brytyjczycy uznali edukację niemieckich dzieci za priorytet. Mieli na tym punkcie obsesję. Odwszawiwszy im włosy, przystąpili do porządkowania ich umysłów. Wpajali im, że Führer (którego bezceremonialnie nazywali Adolfem) i narodowy socjalizm to zło, które należy zetrzeć z powierzchni ziemi. Mówili im o demokracji, zadawali pytania i byli zaskoczeni ich ignorancją. I chociaż nauczyciel, pan Groves, zwracał się do nich po imieniu, traktował ich przyjaźnie i siadywał pośrodku klasy, a nie za stołem, Frieda odbierała te lekcje jako poniżające. Postanowiła, że nie odpowie na żadne pytanie, nawet jeśli będzie znała odpowiedź.

Zbliżając się do budynku ratusza, zauważyła, że bramy są zamknięte, a kilkoro dzieci zebrało się pod wywieszonym na murze ogłoszeniem. Niemiecki napis informował: „Szkoła zamknięta decyzją Dowództwa Strefy Okupacyjnej”. Kręciło się tam kilku brytyjskich żandarmów, a wzdłuż ogrodzenia parkowały trzy wojskowe ciężarówki z plandekami. Jakiś kapitan zwrócił się do dzieci po niemiecku:

– Ci, którzy nie ukończyli trzynastu lat, mogą wrócić do domu. Trzynastolatki, które czują się na siłach, mogą pomóc przy usuwaniu gruzu. W zamian otrzymają kartki żywnościowe. Dostaną też posiłek i przed zmierzchem będą odwiezione tu z powrotem.

Odpowiedziało mu gromkie „hura”. Wszystkie trzynastolatki – i nie tylko – ruszyły w stronę ciężarówek. Perspektywie posiłku, dzisiaj, a może i jutro, nie sposób było się

oprzeć. Frieda też wolała spędzić ten dzień na powietrzu, mimo że zjadła całkiem obfite śniadanie, a po powrocie do domu będzie czekał na nią obiad. Ruszyła więc za tym wygłodniałym stadem i wdrapała się na tył jednej z ciężarówek. Czternastolatek, który usiadł koło niej, okazał się starym wyjadaczem w kwestii odgruzowywania miasta. Kiedy jechali, podskakując na wybojach, do położonej na zachodnich przedmieściach Altony, zaczął się przechwalać swoimi osiągnięciami.

– To nie takie złe. Raz znalazłem naszyjnik i wymieniłem go na kurczaka. W dodatku dobrze tam karmią. Ostatnio dali chleb i zupę z kiełbasą.

– Z prawdziwą? – spytał inny. – Zwykle to żarcie dla psów albo i co gorszego.

– Z najprawdziwszą! – potwierdził chłopak. – *Bierwurst, Bratwurst, Rindswurst, Jagdwurst, Knipp, Pinkel, Landjäger...* – wyliczał powoli, tęsknie i z szacunkiem, tworząc w wyobraźni swoich słuchaczy żywy obraz sklepu z wędlinami.

Oczy omal nie wyszły im z orbit, gdy pomyśleli o czekającej ich uczcie.

Po dwudziestu minutach zeskoczyli z ciężarówek i znaleźli się pośród zgliszcz Altony. Miejscami zrobiło się tam tak płasko, że można było sięgnąć wzrokiem przez St Pauli aż do cudem ocalałych magazynów i kanałów HafenCity. Armia kobiet utworzyła łańcuch, przekazując sobie z rąk do rąk cegły i inne pozyskane z ruin materiały. Niektórym nie spodobało się, że przywieziono im do pomocy dzieci. „Te małe szczury przyjeżdżają i okradają nas z naszych przydziałów”.

Frieda zajęła miejsce w łańcuchu. Podawała cegły młodemu chłopakowi – miał może siedemnaście lat – który jakby w pewien sposób wznosił się ponad panujące wokół zamieszanie. Jego ruchy były powolne, choć wyczuwało się w nim siłę. Był ubrany w porządną granatową marynarkę, od której nie odpadł jeszcze żaden guzik. Nagle Frieda zorientowała się, że zaczęła bezwiednie nucić piosenkę z czasów Bund Deutscher Mädel. „Nie zaprzestaniemy marszu, nawet jeśli wszystko się zawali, bo dziś słyszą nas Niemcy, a jutro usłyszy cały świat. Wielka wojna sprawiła, że legł on w ruinach, lecz do diabła z tym! Zbudujemy go od nowa!”.

Kiedy doszła do trzeciej zwrotki, poczuła, że chwycił ją swoją ciepłą dłonią za rękę.

– Ostrożnie, panienko – przerwał jej, kierując spojrzenie w stronę brytyjskich żandarmów. – Niektórzy mogą się połapać, co to za piosenka.

– Nieważne – odparła.

Poczuła się silna i wyzwolona, wypowiadając te słowa do przystojnego młodzieńca w marynarce ze wszystkimi guzikami.

Otaksował ją wzrokiem.

– Nie jesteś za młoda, żeby cię zastrzelili? Ile masz lat?

– Szesnaście – skłamała.

Kilka metrów dalej dwaj żandarmi śmiali się i ćmili papierosy, nadzorując ich od niechcienia.

– Ale z nich głupki! – rzuciła Frieda. – Zachowują się, jakby byli u siebie.

– To my musimy zasuwac. – Roześmiał się. – A oni stoją i sobie dowcipkują, więc to raczej my jesteśmy głupkami.

Frieda oblała się rumieńcem. Wytknął jej, że plecie bzdury. Zamilkła i skupiła się na podawaniu cegieł. Jego bliskość była nawet przyjemna. Czowała ostry zapach jego potu i podziwiała mocne i gładkie ręce. Za każdym razem, gdy podawał jej cegłę, dostrzegała na wewnętrznej stronie jego ramienia bliznę lub też znamię w kształcie dwóch ósemek. Kiedy zauważył jej zaciekawione spojrzenie, czym prędzej opuścił rękaw koszuli.

– Ej, blondasku! – Frieda usłyszała krzyk jednego z żandarmów i aż podskoczyła. – Ruszaj się! *Schnell!*

Młodzieniec zapiął rękaw i na powrót zabrał się do pracy. Po chwili zauważył jej kolejne pytające, choć nieśmiałe spojrzenie.

– Mam na imię Albert. A ty?

– Frieda.

– Frieda – powtórzył.

Nigdy nie lubiła swojego imienia ani jego zdrobnienia, Freddie, ale w jego ustach zabrzmiało całkiem inaczej, dostojniej.

– Ładnie. Dobre niemieckie imię – dorzucił.

Jego podziw rozgrzał ją niczym kołdra.

– To imię... odpowiednie dla damy – odparła.

Ujął jej dłoń i delikatnie nią potrząsnął.

– Bo nią jesteś – powiedział. – Prawdziwą niemiecką damą.

Nagle usłyszeli krzyk: „Trup!”. Wszyscy przerwali pracę i spojrzeli na krzyczącą kobietę, która gwałtownie odsunęła się od swojego znaleziska. Inne kobiety podeszły do niej i zaczęły wybierać cegły, odsłaniając wystającą z ruin, przekrzywioną rękę zmarłą w błagalnym geście. Odgarniały je coraz szybciej, jakby walczyły z czasem, by uratować przysypaną gruzem ofiarę. Po kilku chwilach ich oczom ukazał się cały szkielet, a potem drugi, mniejszy, wtulony w uda tego pierwszego. Oszołomione kobiety zamilkły.

Frieda zbliżyła się, żeby to obejrzeć. Wbiła wzrok w parę martwych kochanków splecionych w ostatnim uścisku, zafascynowana tym widokiem, w przeciwieństwie do innych, którzy patrzyli z odrazą.

– No już! Cofnąć się. Nie jesteście w kinie!

Dwaj żandarmi odepchnęli gapiów, po czym sami podeszli bliżej. Jeden z nich stanął w rozkroku nad jamą, która stała się mogiłą tej pary.

– Nie najgorsza śmierć – rzucił do kolegi. – Ostatnie rżnięcie na do widzenia.

– Wyglądają, jakby wciąż było im dobrze – skomentował drugi żandarm i obaj wybuchnęli śmiechem, zapominając, że nie są sami. – No już, do roboty!

Frieda nie ruszyła się z miejsca, nie mogąc oderwać wzroku od złotych obrączek na palcach kochanków. Przynajmniej zginęli razem, jednocześnie, nie tak jak jej rodzice. Żandarm stojący nad jamą również dostrzegł obrączki. Pochylił się i ściągnął je, wyłamując przy tym w pośpiechu jeden z martwych palców. Zaczął przyglądać się obrączkom, żeby sprawdzić, ile karatów ma złoto, po czym oddał jedną kumpłowi.

– Już nie będą im potrzebne – powiedział i włożył swój łup do kieszeni. – Wsadzić ich do worków! – krzyknął po niemiecku do kobiet.

Frieda wróciła do pracy z oczami pełnymi łez. Te łzy wzięły się może nie tyle ze współczucia dla martwych kochanków, ile z bezbrzeżnej pogardy dla tych, którzy ściągnęli na nich śmierć; były też łzami po stracie matki, której ciała nigdy nie odnaleziono.

– Chcę mieć tu więcej światła. Heike, zabierz stąd te rośliny – zakomenderowała Rachael.

Wybujająca zieleń wypełniała całą przestrzeń wykuszu z oknem i jej zdaniem zatrzymywała światło, którego tak bardzo jej brakowało podczas długich miesięcy spędzonych w niskich i ciemnych walijskich wnętrzach. Rachael widywała dotąd takie nagromadzenie roślin jedynie w oranżeriach lub w domach obstawionych wszechobecnymi aspidistrami. Może w Niemczech wypełnianie pokoiów krzakami było szczytem dobrego smaku, ale ona tego nie znosiła.

Heike podeszła do pierwszej winowajczynie, zielonej juki, która wyglądała, jakby była z wosku albo z plastiku, i pochyliła się, by ją podnieść. Nim to zrobiła, spojrzała jeszcze z wahaniem na Rachael i wskazała palcem drzwi, by mieć całkowitą pewność, że właśnie tego życzy sobie jej pani.

– Tak, wynieś je do drugiego pokoju.

Rachael nadrabiała nieznajomość niemieckiego przesadną dykcją, co najwyraźniej bawiło służącą. Wynosząc jukę, zachichotała, po czym, zawstydzona, oblała się rumieńcem. Pewnie wynikało to bardziej ze zdenerwowania niż z chęci okazania niesubordynacji, jednak rozbawienie Heike zirytowało Rachael, jakby ta potraktowała jej polecenie jako wyraz dziwacznych cudzoziemskich obyczajów.

Rachael zaczęła oznaczać swoje nowe terytorium z zasadniczością i klarownością, których nie powstydziliby się sam premier Attlee. Choć nieznajomość języka i brak doświadczenia w relacjach ze służbą sprawiały, że jej polecenia brzmiały ostrzej, niż zamierzała, uznała, że od początku należy jasno wytyczyć granice, dzięki czemu życie pod

wspólnym dachem stanie się znośniejsze. Jednak żadne ilości porcelany i szkła z wojskowego przydziału ani przestawianie mebli nie mogły zmienić faktu, że znalazła się w cudzym domu, sypiała w cudzym łóżku i przebywała w cudzej przestrzeni. Zmiany, które wprowadziła – usunięcie roślin, przesłonięcie nagiej rzeźby udrapowaną tkaniną, zastąpienie krzeseł wygodniejszymi, z wikliny – jedynie podkreśliły charakter willi. Gdy przechadzała się po pokojach, wydawało się jej, że słyszy, jak ściany szepczą do niej szyderczo: „To nie jest twój dom i nigdy nim nie będzie”.

Ta pewność siebie najwyraźniej udzielała się służbie, która mimo pozornej uległości, zdawkowych ukłonów i dygnięć postrzegała ją – Rachael była tego pewna – jako oszustkę. Była dla nich osobą naiwną, a jednocześnie parweniuszką, zwłaszcza dla znużonej i skrytej Greta, która służyła u Lubertów najdłużej i była do nich najbardziej przywiązana. Słała jej bezbarwne, pełne goryczy spojrzenia niczym królewska służka, która przeżyła niejedną królową, a żadna następna nie zdołała dorównać tej pierwszej. Rachael czuła, że willa wciąż pozostaje pod urokiem swej dawnej pani, której obecność przejawiała się najdobitniej w spojrzeniach i zachowaniach domowników. Za ich wahaniem i niepewnymi reakcjami na polecenia kryła się myśl: „Nasza pani nigdy nie zrobiłaby tego w ten sposób”.

Rozmyślała o tym już podczas pierwszej przechadzki po domu. Nie chodziło wyłącznie o rośliny. Wszystkie meble i elementy wykończenia domu odbierała niczym klątwę pani Lubert. Miała poczucie, że ociera się o jakiś rodzaj doskonałości, lecz nie był to styl, który potrafiłaby polubić czy choćby naśladować. Doceniała wielkość i proporcje poszczególnych pokoi, lecz panujący w nich minimalizm bardziej ją onieśmiał, niż wyzwalał. Pragnęła światła i przestrzeni, ale jednocześnie wygody i przytulności. Gdyby miała opisać ten dom, nazwałaby go „nowoczesnym” w pejoratywnej konotacji tego słowa. Na przykład krzesła zdawały się sprowadzone do samej funkcji, nie miały w sobie miękkości ani uroku, czyli cech, które Rachael zawsze im przypisywała. To samo odnosiło się do komód, lamp i stołów. Nie było w nich nic ładnego, frywolnego, domowego. Wszystko wydawało się starannie przemyślane, nieskazitelne i pozbawione duszy i raziło oko Walijki z klasy średniej, wychowanej pośród wiktoriańskich mebli z ciemnego drewna, kominków, pianin oraz wyważonych rycin przedstawiających zamki i rośliny. Jedynie bawialnia z czarnym fortepianem marki Bösendorfer i podnóżkiem przypominała w jakimś stopniu pokój, w którym Rachael ewentualnie chciałaby posiedzieć, gdyby tylko mogła przestawić dziwaczny, stojący w rogu fotel albo najlepiej zastąpić go prostą, choć nieco pudełkową sofą z sypialni. Może wtedy poczułaby się tu bardziej jak u siebie.

Przyjrzała się uważniej skórzanemu fotelowi z chromowaną ramą. Czy na tym się w ogóle siada? Przypominał krzesło do przeprowadzania jakiejś bolesnej operacji. Może to

wcale nie jest fotel, tylko jakiś artefakt? A może jedno i drugie, i właśnie takie było zamierzenie? Nieważne – Rachael i tak go tu nie chciała.

– Proszę go wypróbować.

Odwróciła się i ujrzała Herr Luberta, z niewiadomych powodów ubranego w granatowy kombinezon mechanika samochodowego, z wielkim pękiem kluczy w ręku. Był rozczochrany. Włosy z jednej strony odstawały od głowy, jak gdyby zasnął, kiedy jeszcze nie całkiem wyschły. Lewis zaczesywał włosy do tyłu i zawsze wydawały się nieskazitelne, jakby stanowiły część umundurowania. Swobodne, chłopięce loki Luberta nadawały mu wygląd dezentera lub nonkonformistycznego artysty.

– To Mies van der Rohe. Bauhaus.

Rachael była tak zaskoczona jego widokiem – strojem, fryzurą, swobodą bycia – że w ogóle nie usłyszała, co do niej mówi.

– Fotel – doprecyzował. – Warto na nim usiąść. To na pewno jeden z najwygodniejszych foteli, jakie dotychczas wymyślono.

– Wcale tak nie wygląda – odpowiedziała Rachael. – Wprost przeciwnie.

Lubert uśmiechnął się – nieco zbyt zaczepnie, zbyt poufale.

– Ciekawa uwaga. Stworzył go projektant, który starał się odrzucać wszelkie „zbędne zdobienia”... Bodajże tak to ujął.

Rachael zastanawiała się, jak ma się zachować. Jaka reakcja będzie najstosowniejsza? Jak potraktować jego słowa? Skąd ten granatowy kombinezon? I ten jego angielski... Mówił w sposób tak naturalny, że zapominała o tym, że jest Niemcem i że pod żadnym pozorem nie należy się z nim spoufalać, a jeśli już, to wyłącznie w podstawowych kwestiach praktycznych. Tymczasem Lubert kontynuował:

– Należał do szkoły Bauhausu. Ich filozofią była prostota, powrót do czystej funkcji.

– Czy to taka filozofia zaprojektować wygodne krzesło? – odparła, zaskakując samą siebie i licząc, że taka szorstka odpowiedź przerwie tę nieznośnie przedłużającą się rozmowę.

Jednak Lubert jeszcze bardziej się zapalił.

– Ależ oczywiście! Każde dzieło sztuki, każdy przedmiot kryje w sobie filozofię!

Rachael musiała położyć kres tej wymianie zdań, bo stanowiła ona niebezpieczny precedens, który mógł rzutować na ich przyszłe relacje. Wyraźne granice, które zamierzała wytyczyć – które zaczęła wytyczać – już zostały przekroczone.

Herr Lubert wyciągnął do niej rękę z pękiem kluczy.

– Jako pani tego domu powinna je pani mieć. To oznakowane klucze do wszystkich pomieszczeń.

Rachael wzięła klucze. „Pani tego domu”. Nie czuła się nią i nie wierzyła, że potrafi

przekonująco odgrywać tę rolę.

– Mam nadzieję, że dobrze pani spała, Frau Morgan – dorzucił Lubert.

Dopatrzywszy się w tej niewinnie banalnej uwadze niestosownej poufałości, Rachael postanowiła dać jej odpór.

– Herr Lubert, chcę to stanowczo zaznaczyć na samym początku. Nie odpowiada mi ten układ, to, że mieszkamy pod jednym dachem. Powinniśmy się komunikować tylko w podstawowych sprawach. Oczywiście musimy odnosić się do siebie w sposób kulturalny, ale uważam za niestosowne... udawanie przyjaźni w sytuacji... gdy nie jest to niezbędne. Należy wyznaczyć jasne granice.

Lubert skinął głową, ale najwidoczniej jej kategoryczne słowa nie trafiły mu do przekonania. Rachael ze zdumieniem zauważyła, że wciąż beztrąsko się uśmiecha.

– Zrobię, co w mojej mocy, by nie okazywać nadmiaru przyjaźni, Frau Morgan – oświadczył, skłonił się i wyszedł.

– *Guten Morgen, alle.*

– *Guten Morgen, Herr Gouverneur. Guten Morgen, Herr Oberst.*

– *Es ist... kalt.* – Lewis poklepał się obleczonymi w rękawiczki dłońmi po ramionach.

Wszyscy przyznali mu rację. Było bardzo *kalt*.

Lewis postanowił, że będzie pozdrawiał wszystkich Niemców, których spotykał przy bramie kwatery głównej mieszczącej się w budynku dawnej biblioteki, w dzielnicy Pinneberg. Dziś przy wejściu kręciło się więcej osób niż zwykle. Para buchająca z ich ust była dowodem na to, że wkrótce nadejdzie zima. Ludzie ci, na co dzień pokorni, tym razem nie kryli rozdrażnienia. Chcieli za wszelką cenę znaleźć przed zimą nocleg w jednym z obozów dla uchodźców.

Lewis witał się z mężczyznami, kłaniał się kobietom, uśmiechał się do dzieci. Dzieciaki chichotały, kobiety dygały, a mężczyźni odpowiadali na słowa pozdrowienia, wymachując dokumentami, które miały im zapewnić dach nad głową. W tym zamieszaniu Lewis starał się natchnąć ich przekonaniem, że wszystko będzie dobrze i że wkrótce wróci normalność, choć smród oddechów tych głodujących ludzi, o którym tak bezdusznie mówił major Burnham i na który Lewis nauczył się nie zwracać uwagi, w ostry sposób uzmysławiał Brytyjczykom, że przez ponad rok okupacji nie zdołali zaspokoić ich podstawowych potrzeb.

Wszedłszy na teren kwatery głównej, Lewis przypomniał sobie, że musi kazać usunąć zabezpieczający ją drut kolczasty. Właściwie nie wiedział, przed kim lub przed czym miałyby ich chronić, jednak władze uznały, że istnieje cały wachlarz zagrożeń: bojówki organizacji Werwolf niepokodzone ze zwycięstwem aliantów, myszkujące w ruinach

watahy dzieci oraz dybiące na mężczyzn, drapieżne i roznoszące choroby niemieckie kobiety. Gruchnęła też plotka, że ze zbombardowanego ZOO Tierpark Hagenbeck uciekły zwierzęta, które wciąż grasują na hamburskich przedmieściach. Tymczasem metalowy drut, którym opletli swą siedzibę Brytyjczycy, upodobił ich samych do zwierząt w zoo, a z miejscowych uczynił jego gości, strojących miny do tych podenerwowanych obcych stworów.

Kapitan Wilkins siedział przy biurku zatopiony w lekturze jakiejś broszury.

– Dzień dobry, Wilkins.

– Dzień dobry, sir.

– Co czytasz?

– *Charakter Niemców* generała W. E. van Cutsema. Dowództwo kazało nam się z tym zapoznać. Zależy im, żebyśmy poznali groźne aspekty niemieckiej osobowości, nim postawimy ten kraj na nogi. Autor tej broszury ma rację: „Mogą nie okazywać jawnej nienawiści, ale ona tam jest, kłębi się tuż pod powierzchnią, zawsze gotowa, by objawić się w całej swej zajadłości i brutalności. Uwaga: ten naród nigdy nie zrozumie, że przegrał”.

Lewis wciąż stał, by jeszcze odroczyć dopadającą go za biurkiem niemoc. Spojrzał na swego młodego zastępcę z nieskrywaną irytacją.

– Wilkins, jak długo tu jesteś?

– Cztery miesiące, sir.

– Z iloma Niemcami w tym czasie rozmawiałeś?

– Właściwie nie wolno nam z nimi rozmawiać, sir...

– Ale przecież z kilkoma musiałeś. Obserwowałeś ich. Poznałeś.

– Jednego, może dwóch.

– I co czujesz, kiedy ich spotykasz?

– Nie rozumiem?

– Boisz się? Czujesz, że cię nienawidzą? Patrząc na nich, masz wrażenie, że wystarczy jeden strzał, żeby wzniecił powstanie? Że tylko czekają, żeby się na nas rzucić?

– Trudno powiedzieć, sir.

– Ale chociaż spróbuj. Widziałeś tych ludzi przy bramie? Czy kiedy patrzysz na tych obdartusów, na te poźółkłe, cuchnące, bezdomne szkielety, które ci się kłaniają i się do ciebie łaszą, zebrząc o jedzenie i dach nad głową, myślisz sobie: „Na Boga, tak, muszę im przypomnieć, że zostali pokonani!”?

Wilkins próbował coś tam bąknąć, ale Lewis nie oczekiwał odpowiedzi.

– Nie spotkałem jeszcze Niemca, który nie rozumie, że jego kraj przegrał wojnę, Wilkins. Sądzę, że wszyscy się z tym pogodzili, i to z ulgą. Jedyne, co nas naprawdę różni,

to fakt, że oni pojęli, iż dostali baty, za to my wciąż potrzebujemy czasu, żeby to do nas dotarło.

– Tak jest, sir.

Wilkins odłożył kontrowersyjną broszurę na bok i wziął do ręki jakąś bardziej neutralną lekturę. Był niemal urażony. Jego szef wypowiadał się dzisiaj wyjątkowo ostro, zupełnie jak nie on.

Lewis natychmiast wyciągnął do niego rękę w geście przeprosin. Mówił szczerze, ale wypadło to zbyt obcesowo. W jego głosie pobrzmiwały rozdrażnienie i rozczarowanie, jakie odczuwał, odkąd Rachael przyjechała do Hamburga. Kiepsko sypiał i choć powtarzał sobie – a także Rachael – że wynika to z faktu, iż dzieli z nią łóżko po miesiącach rozłąki, kiedy to wyciągał się swobodnie w chłodzie łóżek w kolejnych hotelach, prawda była taka, że ich spotkanie nie przyniosło mu spodziewanego spełnienia. Liczył, że Rachael podejdzie do nowego otoczenia z entuzjazmem, jaki okazywała w ich pierwszym domu, ponurym i burym segmencie, który wynajęli w Shrivensham. Dawniej potrafiła przystosować się do zmian, lecz tutaj najwyraźniej brakowało jej motywacji i wszystko ją drażniło. Także on. Śmierć Michaela przybiła ją bardziej, niż się tego spodziewał. Nie dość, że tego nie przewidział, to jeszcze pogorszył sprawę, używając niewłaściwych słów, a później milcząc. W pracy był elokwentny, pewny siebie i radził sobie z emocjami, przy Rachael zaś gasł i robił się nieporadny. Po dwóch tygodniach wciąż nie uprawiali seksu.

Rzecz jasna, nie była to wina ani zmartwienie Wilkinsa.

– Radzę ci, żebyś częściej wychodził na miasto, poznawał ludzi. To najlepsza odtrutka na te bzdurne teorie. Lokalizacja kwatery głównej nie jest najlepsza, ale pojedź kilka kilometrów na wschód, żeby zobaczyć, jak to naprawdę wygląda. Brataj się z nimi. To rozkaz.

– Sir...

Nagle rozległo się pukanie. W drzwiach pojawiła się okrągła i wesoła twarz kapitana Barkera, który obrzucił ich wzrokiem, wyczuł napięcie i uznał, że lepiej pozostać na korytarzu.

– Sir, te kobiety już czekają.

– W porządku, Barker. Dziękuję. Ile ich jest?

– Wybrałem trzy.

– Jak to zrobiłeś?

– Wziąłem te najładniejsze, sir.

Lewis pozwolił sobie na uśmiech. Brytyjska strefa okupacyjna może i stała się mekką dla nieudaczników – tych, którzy stracili posady w niepodległych teraz Indiach, politycznych kombinatorów, niewydarzonych urzędników oraz bezczynnych policjantów –

lecz przemknął się tu pewien diament. Był nim Barker, pracowity, a przy tym obdarzony niezwykłą lekkością. Nie przybył tutaj dla osobistych korzyści, nie był też uciekinierem szukającym odskoczni od poniesionej gdzie indziej porażki. Stwierdził, że przyjechał do Niemiec, by dołożyć tu swoją cegiełkę. Zdawał się pozbawiony uprzedzeń i misjonarskich zapędów charakteryzujących wielu młodych oficerów. Jego wrodzona prawość dawała Lewisowi nadzieję.

– Dobrze mówią po angielsku?

Barker zerknął na korytarz, dając mu do zrozumienia, że kobiety słyszą ich rozmowę.

– Płynnie – odpowiedział. – By to sprawdzić, poprosiłem, żeby podały nazwy wszystkich angielskich klubów piłkarskich, które znają. Jedna słyszała o Crewe Alexandra.

– Myślisz, że wywiad stosuje takie wyrafinowane metody rekrutacji?

– Oczywiście, że nie. Oni wybraliby brzydkie.

Pierwsza weszła ta od Crewe Alexandra. Lewis wstał i wskazał jej krzesło stojące po drugiej stronie biurka. Odsunął przesłaniające mu widok akta. Kobieta, ubrana w kapelusz z rondem i aksamitną suknię, skojarzyła mu się z arystokratką sufrażystką. Wrażenie to pogłębiały za duże wojskowe buty. Miała kanciastą, szeroką twarz, gęste brwi i niesamowite, wilcze spojrzenie, które przenikało Lewisa na wylot. Przeszyło go dziwne poczucie, że ją zna i – choć nie była to prawda – zarumienił się, jakby już sama ta myśl zdradzała jakieś głębsze, niestosowne emocje. Opanował się i przejrzał pośpiesznie sporządzony przez Barkera raport.

– Ursula Paulus, urodzona dwunastego marca 1918 roku w Wismarze?

– Zgadza się.

Po wybuchu wojny trudniej było się domyślić, ile kto ma lat. Śmierć bliskich, rozłąka, bieda i zatrważająco uboga dieta postarzały wszystkich, zwłaszcza kobiety. Dawne złogi tłuszczu deformowały rysy twarzy, włosy siwiały, słabły, traciły blask i wypadały. Lewis dostrzegł w twarzy tej kobiety więcej życiowych doświadczeń, mądrości i cierpienia niż u przeciętnej dwudziestoosmioletki.

– Przybyła pani z Rugii?

– Tak.

– Jak dostała się pani do Hamburga?

– Pieszo. – Spojrzała na swoje buty. – Pan wybaczy, ale lepszych nie znalazłam.

– Nie zamierzam podejmować decyzji na podstawie pani stroju, Frau Paulus. Skąd pani zna angielski?

– Uczyłam angielskiego w podstawówce na wyspie.

– Nie chciała pani tam zostać?

Potrząsnęła głową.

- Rosjanie – domyślił się Lewis.
- Nie są zbyt uprzejmi dla niemieckich kobiet.
- Oględnie mówiąc.
- To... eufemizm? – spytała, niepewna, że to właściwe słowo.

Lewis skinął głową. Bystra, jak mawiają Amerykanie.

- Zna pani rosyjski?
- Trochę.
- Może się przydać. Jeśli Sowieci dopną swego, wszyscy będziemy musieli się go nauczyć.

Lewis znów zerknął do raportu Barkera.

– Podczas wojny służyła pani w bazie Marynarki wojennej w Rostocku. Czym się tam pani zajmowała?

- Byłam... stenotypistką.
- A pani mąż? Pracuje?
- Zginął na początku wojny.
- Przykro mi... Mam tu napisane, że jest pani mężatką.
- Bo jestem... do kolejnego zamążpójścia.

Lewis wykonał przepaszający gest ręką.

- Rozumiem. Pani mąż służył w Luftwaffe.
- Tak. Zginął we Francji, w pierwszych tygodniach wojny.
- Frau Paulus, setki Niemek ubiegają się o posadę tłumaczek. Dlaczego powinienem wybrać właśnie panią?

Ursula dziwnie się uśmiechnęła.

- Dziewczyna lubi, jak jest jej ciepło.

Lewisa ubawiła ta szczerą odpowiedź. Udał, że sprawdza jakieś dane w aktach dwóch pozostałych kobiet, ale już zdecydował. Będzie musiał odbyć rozmowę z tamtymi dwiema kandydatkami, lecz to i tak niczego nie zmieni. Wynikało to po części z naglącej potrzeby podjęcia szybkich działań oraz alergicznej reakcji Lewisa na siedzenie za biurkiem, jednak Frau Paulus przekonała go do siebie, jeszcze zanim ocenił jej znajomość angielskiego i kwalifikacje do pracy w charakterze tłumaczki. Pragnął przebywać wśród ludzi obdarzonych takim pogodnym wdziękiem. Chciał też poznać szczegóły dotyczące jej butów – skąd się wzięły, jakie drogi przebyły i czego doświadczyły. Postanowił, że później, może już w samochodzie, wypyta ją o nie. Chciał też, żeby opowiedziała mu, w jaki sposób, uciekając przed Rosjanami, dotarła z Rugii do Hamburga. Sięgnął do przysłanych niedawno pudeł z kwestionariuszami i wręczył jej stosowny formularz.

- Musi go pani wypełnić. Proszę wybaczyć, że niektóre pytania są nieco niedorzeczne.

Później wyjął z szuflady coś jeszcze – książeczkę z przydziałowymi kartkami brytyjskich sił zbrojnych. Wyrwał dwa kupony.

– Proszę sobie kupić buty.

Sięgnęła po nie z wahaniem, jakby nie była pewna, co się za tym kryje. Mógł ją przecież testować.

– Śmiało – zachęcił ją Lewis. – Tłumaczka gubernatora musi się odpowiednio prezentować.

Odetchnęła z ulgą, jakby do tej pory wstrzymywała oddech. Wyciągnęła ręce, ujęła dłoń Lewisa i podziękowała mu, najpierw spontanicznie, po niemiecku, po czym zmitygowała się i przeszła na angielski.

– Dziękuję, panie pułkowniku. Dziękuję.

*Angol, Rusek, jankes, Franek.
Angol, Rusek, jankes, Franek.
Dzień w dzień nas okradają,
I dzień w dzień czujemy smród
Angola, Ruska, jankesa, Franka.
Angol, Rusek, jankes, Franek!*

Małe dzikusy śpiewały z początku cicho, dopiero na koniec przechodząc w crescendo. Finałowy „Franek!” brzmiał niczym splunięcie. Nie było to wyzwanie, ale raczej sposób na zwalczenie dojmującego zimna. Tym razem odśpiewali piosenkę tylko dwukrotnie.

Ozi usiadł na walizce i dorzucił do ognia jakiś mszał. Płomienie zrobiły się zielone, później niebieskie, a na koniec pomarańczowe. Malcy przysunęli się do rozpalonego w leju po bombie ogniska, jak najbliżej wątlęgo źródła ciepła. Ozi zastanawiał się, co ma im powiedzieć. Byli zmęczeni ciągłą tułaczką, ale nie pozostawało im nic innego.

Zrujnowany kościół stał się ich domem, odkąd opuścili poprzednią kryjówkę w Tierpark Hagenbeck, gdzie schronili się na trzy miesiące w sztucznej jaskini na wybiegu dla małp. Zniszczone domy boże dawały bezpieczne schronienie, lecz miały swoje ograniczenia. Dach Christuskirche straszył dziurą po bombie, a w prezbiterium powstał krater wielkości samochodu. Wielki lej był naturalnym miejscem do rozpalenia ogniska. Dzieci szczerze dorzucały do niego drewniane ławki, a kiedy chwycił mróz, zaczęły palić także będące pod ręką święte księgi. Były dobre na podpałkę, od razu buchały jasnym płomieniem, ale dawały niewiele ciepła. Dietmar przywiózł na taczce *Dzieła zebrane* Waltera Scotta, które znalazł w bibliotece uniwersyteckiej, jednak starczyły im tylko na kilka godzin. Milion

słów ogrzewał piątkę zmarzniętych dzieciaków ledwie przez jedną noc! Teraz nie zostało im już nic, co mogliby spalić. Widząc, jak ostatnie strony księgi psalmów obracają się w popiół, a ich zwęglone skrawki szybują ku górze, Ozi postanowił działać. Klasnął w ręce.

– Słuchajcie. Jutro ruszamy do Elbchaussee. Nad rzeką stoją domy z ciągnącymi się do samego brzegu trawnikami. W tych domach, z osobną łazienką dla każdego, kwaterują największe angielskie szychy. Angole rekwirują najładniejsze wille, ale niektóre są puste. Ustawiają tylko tablice, ale nikt tam nie mieszka, póki do takiej szychy nie ściągnie rodzina. Czasami nie przyjeżdża, a tamci zapominają, że nikogo tam nie ma. Berti twierdzi, że znalazł taki dom. Możemy w nim zamieszkać.

– A mnie się podoba tutaj, w kościele – oświadczył Otto. – To bezpieczne miejsce i nikt nam nie rozkazuje.

– Dłużej nie możemy tu zostać – odparł Ozi. – Tak się trzęsiecie, że nie mogę spać. Znajdziemy sobie dom tłustego bankiera, z fotelami, łózkami i złotymi kranami. Każdy będzie miał swoją wannę, tak głęboką, że woda sięga w niej aż po kolana. Nie taką jak w Hammerbrook, gdzie słyszeliśmy, jak nasz sąsiad, stary Langermaid, pierdzi podczas kąpieli. Jak już ulokujemy się w takim domu, zaczniemy rolować uciekinierów z Polski i Prus, z obozów. Skurwiele są tak zdesperowani, że zgodzą się na wszystko. Biją się o dokumenty, robotę i żarcie. Odkujemy się na nich, zostaniemy milionerami i niedługo sami będziemy mieli własną posiadłość nad rzeką.

– A jeśli nie znajdziemy takiego domu? – spytał Otto.

– To załapiemy się na resztki ze stołu Angoli! – zniecierpliwił się Ozi. – Ernst, wchodzisz w to?

Ernst skinął głową.

– Siegfried?

Siegfried uniósł rękę.

– A ty, Dietmar?

Dietmar nie słuchał Oziego. Wodził palcami po filigranowym wzorze na zawalonym i spękany retabulum przedstawiającym cztery sceny z życia Jezusa: narodzin, chrztu, ukrzyżowania i zmartwychwstania. Gładził biały granit, próbując odtworzyć opowieść wyrzeźbioną w zimnym kamieniu. Miał na sobie nadmuchiwaną kamizelkę ratunkową ze zwisającym gwizdkiem i z latarką, którą oświetlał rzeźbę. Wybuch bomby zrzucił retabulum z ołtarza, które roztrzaskało się na posadzce. Ozi potrzebował aprobaty Dietmara. Chłopak był mocno narwany i często plótł trzy po trzy, jednak czasami się przydawał. Wyglądał poważniej od pozostałych i dobrze znał miasto.

– Didi?

Dietmar wciąż wpatrywał się w swoje znalezisko.

– Kto to właściwie jest? – spytał, przesuwając palcem po figurze Chrystusa.

– Jezus – odparł Otto. – Zbawiciel świata.

Zapadła pełna nabożności, ale i niepewności cisza.

Dietmar przeniósł wątle światło latarki na scenę chrztu.

– Dlaczego na jego głowie siedzi ptak? – spytał i zaczął kołysać się w przód i w tył. –

Dlaczego tam jest?

Wyraźnie oczekiwał odpowiedzi. Ozi, jako przywódca, musiał mu jej udzielić. Spojrzał na gołębia siedzącego na głowie na wpół zanurzonego w wodzie Zbawiciela. Odpryski różnych biblijnych przypowieści, które kiedyś zasiała mu w głowie matka, zlały się teraz w jedno.

– Jezus mieszkał na łodzi z całą masą zwierząt, ale najbardziej lubił ptaki, zwłaszcza wróble.

Dietmar skupił się teraz na Jezusie na krzyżu. Scena ta bardzo go poruszyła.

– Dlaczego go zabijają? – spytał. – Dlaczego?!

– Spokojnie, Didi. To tylko na niby.

– Dlaczego go zabijają? – powtórzył.

– Bo był Żydem – rzucił Siegfried.

– Był Żydem. Żydem – powtórzył Dietmar i to na chwilę jakby go uspokoiło. – Był Żydem. Rozmawiał ze zwierzętami. Mieszkał na łodzi.

– Ojciec dał mi niemieckie imię, nie chrześcijańskie – powiedział Siegfried. – Twierdził, że chrześcijanie są słabi.

– Angole to chrześcijanie? – spytał Ernst.

– Wierzą w demokrację i króla z Findsoru – wyjaśnił autorytatywnie Ozi, żeby zakończyć temat.

– Jak możemy im ufać? – zaperzył się Siegfried. – Raz nas zabijają, a za chwilę rozdają czekoladę.

– Dostyc tych bredni! – zaskrzeczał poirytowany Ozi.

Dym i pył, jakich się nawdychał podczas burzy ogniowej, nadwyrężyły mu płuca i przemieniły głos w dziwaczny, chrapliwy szept. Angole zrównali z ziemią jego dom i spopielili sąsiadów, ale wdychanie pyłu z palonych ciał dało mu do ręki niespodziewany atut – zgrzytliwy, warczący głos, którym straszył i podporządkowywał sobie rówieśników oraz bawił lub zatrważał dorosłych, skłonnych rekompensować mu tę ułomność prezentami. Chłopiec stanął na walizce.

– Wiem lepiej niż którykolwiek z was, co uczyniła wielka ognista kula zrzucona przez angielskie Ciężkie Anioły. Widziałem ją i od tego patrzenia niemal zagotowały mi się oczy.

Wciąż mam ten film w głowie i nie muszę iść do kina na Einplatz, żeby oglądać go za pieniądze. Widzę, jak zawalają się ściany domów, na których wciąż wiszą obrazy, jak w powietrzu szybuje i roztrzaskuje się z łoskotem pianino, jak lecą kartki z książek. Mam to wszystko w głowie. Czasami te obrazy pojawiają się znikąd, nieproszone. Nie chcę tego filmu. Wolę inne, o Henryku V i Czarnoksiężniku z Krainy Oz. Angole nie są tacy źli. Jeżdżą beznadziejnymi pękatymi samochodami, ale mają też fajne rzeczy. Już nie musimy udawać, że jesteśmy szczęśliwi, jak kiedyś. Stawać, siadać i co cztery sekundy salutować. Teraz każdy może mówić, co chce, i żaden palant cię za to nie objedzie ani na ciebie nie doniesie. To jest właśnie demokracja. W dodatku Angole ze wszystkiego się nabijają. Nawet z jaj Führera.

Ernst ryknął głośnym śmiechem, ale inni tylko spojrzeli po sobie. Nawet teraz słowa te brzmiały jak świętokradztwo.

Ozi zeskoczył z walizki i stanął przed nimi wyprostowany.

– Nie zostanę tutaj. Idziemy.

– Ja nie chcę – odparł Otto. – Podoba mi się w domu bożym.

– Posłuchaj, Otto. Możesz zostać, jeśli chcesz, ale to my zamieszkamy w willi z pieprzoną wanną i łóżkiem miękkim jak w raju. Mam dość nor w ziemi i zoo. Kościołów też. Wkrótce będziemy żyli jak sam *Kaiser*.

Otto dał się porwać tym przepowiedniom.

Ozi ugasił nogami jeszcze tłący się popiół.

– Kto idzie ze mną?

Ernst wstał pierwszy.

Siegfried naciągnął czapkę i powiedział:

– Chodźmy, zróbmy sobie tę cholerną kąpiel.

Dietmar oderwał wreszcie wzrok od retabulum i powtórzył ich nową modlitwę:

– Chodźmy, zróbmy sobie tę cholerną kąpiel.

[2] Bohater bajki Oscara Wilde’a.

ROZDZIAŁ 5

Jesień przeszła w zimę, dni stawały się coraz krótsze i Rachael czuła, że niemiłosiernie się włoką. Lewis pracował od rana do nocy, służba wyręczała ją w pracach domowych, więc miała mnóstwo czasu i nie znajdowała dla siebie zajęcia, którym mogłaby go wypełnić. Przeczując, że tak będzie, Lewis zachęcał ją, by wróciła do gry na pianinie. „Tęsknię za twoim graniem”, powiedział i dorzucił, że „dobrze jej to robi”. Zawsze przeceniał jej grę i odnosił się do niej z autentycznym entuzjazmem i ślepym uwielbieniem, ale Rachael wiedziała, że w istocie pragnie jedynie odciągnąć jej myśli od „rzeczy, które nie pomagają”. I tak każdego ranka, kiedy Edmund uczył się z Herr Koenigiem, nauczycielem, którego Lewis znalazł mu w jednym z obozów dla uchodźców, Rachael grywała na koncertowym bösendorferze.

Możliwość korzystania z pięknego instrumentu powinna traktować jako prawdziwe szczęście, ale nie było to takie proste. Po śmierci Michaela całkowicie zarzuciła grę. Jej starszy syn był niezwykle uzdolniony i kojarzył się jej z fortepianem bardziej niż ktokolwiek inny. Wciąż krążył dokoła starego pianina firmy Norbeck (kosztem wielkich wyrzeczeń kupionego przez Lewisa z marnej podoficerskiej pensji), błagając ją, żeby w kółko grała i śpiewała niepokojącego *Króla elfów* Schuberta, tragiczną pieśń o chorym chłopcu, który zaklina ojca, by ten jechał na koniu szybciej, przekonany, że król elfów chce odebrać mu życie.

Tutaj zaczęła od lżejszego utworu, który знаła na pamięć – *Dziewczyna o włosach jak len* Debussy’ego. Zdołała zagrać go jednak tylko do połowy. Emocje były zbyt silne. Oparła głowę o klawisz fortepianu, próbując nad sobą zapanować. Potrzebowała czegoś nowego. Jak to ujął Lewis tamtego pierwszego dnia w hotelu Atlantic? „Ten kraj potrzebuje nowej pieśni”. Sięgnęła do skrytki w stołku, by poszukać nut, które nie niosłyby złych skojarzeń. Było tam pełno partytur: preludium Bacha (zbyt dobrze znane), zwodniczy nokturn Chopina (zbyt melancholijny), a nawet jej ulubiona, ostatnia sonata Beethovena (zbyt trudna). Na każdej widniało napisane piórem: „C. Lubert”. Jeśli poprzednia pani tego

domu potrafiła zagrać wszystkie te utwory, nie była zwykłą domorosłą pianistką, gdyż wymagało to wybornej techniki, by z przyjemnością je interpretować. Myśl ta obudziła w Rachael ciekawość, a także chęć rywalizacji. Wyobraziła sobie Claudię Lubert siedzącą przy fortepianie i grającą (rzecz jasna) eteryczną i skomplikowaną *Sonatę 32* Beethovena w salonie pełnym przedstawicieli niemieckiej śmietanki towarzyskiej – malarzy, poetów, architektów i wojskowych. W tej wyimaginowanej scenie jej rywalka jawiła się oczywiście jako chodząca doskonałość – Claudia Lubert, genialna i wyrafinowana pianistka, godząca w idealnych proporcjach namiętność i dystans, która przyjmuje burzliwe owacje ze wspinałą skromnością. Rachael widziała oczyma wyobraźni najdrobniejsze szczegóły, wszystko, oprócz jej twarzy.

Zaczęła od *Warum?*, krótkiej kompozycji Schumanna. Nie znała jej, ale dobrze czytała nuty i szybko się uczyła. Rozklekotane pianino w salonie rodziców natychmiast przenosiło ją w światy jakże odległe od rodzinnej parafii. Muzyka mogła stać się jej powołaniem, ale małżeństwo, dzieci i wojna sprawiły, że musiała ograniczyć się do grywania podczas świąt Bożego Narodzenia, przyjęć urodzinowych i na okazjonalnych rautach. Utwór Schumanna był bardzo interesujący. Powolny i pełen oddechu, wydawał się przystępny. Kiedy Rachael opanowała tęskną melodię, odkryła w niej ogromną głębię i nieodparty magnetyzm, jakby ujrzała niewielkie, ale bardzo głębokie jezioro i w nim zanurkowała. Zaczęła grać ten utwór bez końca, niczym pilna, ćwicząca przed egzaminem uczennica, zdeterminowana, by do perfekcji go opanować i się w nim zatracić. Pierwszy raz od wielu miesięcy pojęła pulsujące w niej emocje. Odnalazła w tej muzyce nieoczekiwane ukojenie. Gra nie tylko odciągnęła jej myśli od rzeczy, które nie pomagają, ale też pozwoliła zapomnieć o wszystkim.

Pewnego popołudnia w pierwszym tygodniu listopada Rachael postanowiła poćwiczyć z godzinę przed powrotem Lewisa do domu. Zbliżwszy się do drzwi bawialni, usłyszała, że ktoś gra jej „nową melodię” – i że kiepsko sobie radzi. Zastała tam ubranego w granatowy kombinezon Herr Luberta, pochylonego nad klawiaturą. Grał utwór Schumanna w całkowitym skupieniu, charakterystycznym dla kogoś, kto nadrabia brak talentu determinacją. Szło mu to opornie, za mocno uderzał w pedał. Wysiłek sprawił, że jego skądinąd przystojna twarz stała się tępa.

– Herr Lubert?

Tak bardzo starał się uniknąć błędu, że z początku jej nie usłyszał. Rachael stanęła w prześwicie otwartego wieka fortepianu, tak że nie mógł jej nie zauważyć, i powtórzyła, tym razem głośniej:

– Herr Lubert!

Zaskoczony, aż podskoczył i złożył dłonie w geście przeprosin. Poderwał się ze stołka, który zaszurał po dębowej podłodze, i zamknął klapę fortepianu.

– *Bitte verzeihen Sie mir, Frau Morgan.* – Pierwszy raz odezwał się do niej po niemiecku. – Powinienem był zapytać. Proszę mi wybaczyć.

Zawahała się z odpowiedzią. Na moment zapadła cisza. Rachael podświadomie poprawiła włosy.

– Zawsze ćwiczyłem pół godziny. To taki stary nawyk... którego trudno się pozbyć.

Już zamierzała powiedzieć, że nic się nie stało, ale nie chciała go ośmielać. Tymczasem on zaczął przemawiać w swoim stylu.

– Gram fatalnie, bez względu na to, ile ćwiczę. Po prostu okropnie. Ale dobrze mi to robi. Robię to nie po to, żeby się podszkolić, tylko... żeby pamiętać i zapomnieć. Za to słyszałem, że pani gra doskonale. Wiem to od Edmunda.

Nawet podczas ich nielicznych, pełnych napięcia rozmów Rachael wyczuła, że Lubert, zadając jej pozornie niewinne pytania, zastawia na nią przynętę. Teraz chciała mu odpowiedzieć, ale się wycofała na granice, które wcześniej ustalili.

– Wydawało mi się, że wyznaczyliśmy sobie pewne zasady, Herr Lubert.

– Owszem, przepraszam. Miałem zamiar spytać panią o pozwolenie, ale wróciłem dziś z fabryki nieco wcześniej. Załoga strajkowała. Chciałem zapomnieć o tym dniu, lecz skończyło się na tym, że sam się zapomniałem. Jeszcze raz przepraszam, Frau Morgan.

Spojrzał na nią, uniósłszy brew, co mogło być wyrazem impertynencji albo zaciekawienia. Nie potrafiła tego rozstrzygnąć.

Po chwili znów wdarł się w jej pełne wahania milczenie.

– „Morgan”. Zastanawiałem się, czy to popularne nazwisko w Anglii.

– To nazwisko walijskie – sprostowała, skubiąc przynętę.

– Walia... Słyszałem, że to niewielka, ale piękna kraina.

– Wystarczająco duża, żeby można ją zbombardować.

Jakież to było irytujące, ta jej nowa rola, jedna z wielu, w które tak niechętnie wcielała się w kontaktach z ludźmi – Matki w Żałobie, Żony za Morzem, a teraz Zasadniczego Okupanta. W tę ostatnią musiała włożyć najwięcej wysiłku, ale Lubert najwyraźniej nie dał się przekonać, a może nawet nie dostrzegł, że to tylko gra. Zbył jej drwinę pełnym zrozumienia skinieniem głowy, a jej nie pozostało nic innego, jak tylko zarumienić się ze wstydu.

– Przekonam pułkownika Morgana, żeby mógł pan korzystać z fortepianu – rzuciła najbardziej pojednawczym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

– Dziękuję, Frau Morgan... Byłbym bardzo wdzięczny. – Uśmiechnął się, najwyraźniej szczerze.

– Jak rozumiem, pańska żona grywała? – spytała, wskazując na podpisy na partyturach.

– Claudia miała wiele talentów... ale... – Głos mu się załamał. Wzmianka o żonie wybiła go z rytmu. Opuścił gardę, zadziorność gdzieś się rozplynęła. – Kompletnie nie miała słuchu, za to jej matka była pianistką.

Rachael przyjęła tę informację z niejaką ulgą, jednak fakt, że żona Luberta nie była chodzącym ideałem, jeszcze bardziej wzmógł jej ciekawość. Sposób, w jaki o niej mówił, wyraz jego twarzy, to wahanie...

– Właściwie, co znaczy tytuł tego utworu? *Va-rum*? „Dlaczego”?

Sposób, w jaki wymówiła to słowo, a także samo pytanie były z jej strony wyraźnym ustępstwem. Do tej pory uparcie nie wymawiała niemieckiego „w” jako „v”.

– Nie należy tego rozumieć dosłownie. Raczej znaczy to: „Dlaczego tak się zdarzyło? Z jakiego powodu?”.

– To... piękne.

– Wyrafinowane.

Przyznała mu rację kiwnięciem głowy. To był boski utwór, „kompletny”. Tymczasem niczym turystka, która nagle zdała sobie sprawę, że zapuścili się na nieoznaczony szlak zbyt daleko, Rachael spojrzała na swą wewnętrzną busolę i zwolniła kroku.

– Porozmawiam z pułkownikiem – rzuciła, lekko skinęła głową i wyszła z bawialni.

Edmund przesunął dłonią po grzbietach książek w bibliotece. „Mam cały świat na wyciągnięcie ręki”, pomyślał. Nie szukał dla siebie lektury – chwilowo wystarczył mu ten dotyk – rozpoznawał jedynie granice swojego nowego placu zabaw. Przestronne, pełne tajemnic pokoje, futurystyczne meble, nieoczekiwane spotkania – ten dom całkowicie zaspokajał jego łaknienie nowych opowieści i żądę przygód. Wydawał mu się nie tyle domem, ile żywą sceną, na której odgrywał główną rolę. Podczas gdy jego matka stąpała po niej nerwowo niczym aktorka na zastępstwie, Edmund przemierzał wraz ze swym wiernym towarzyszem Cuthbertem kolejne pokoje jak główny bohater tajemniczej historii, którą w końcu rozwikła.

Jego główną antagonistką była Frieda, której zachowanie, zamiast go odpychać, tylko przydawało jej atrakcyjności. Wspomnienie ich pierwszego spotkania – obraz czegoś, czego nie rozumiał, a co bardzo chciał oglądać – sprawiało, że wciąż wracał na podest schodów prowadzących do mieszkania Lubertów, w nadziei że się to powtórzy. Podarowany nocnik z zawartością zdawał się ostrzeżeniem, lecz i zaproszeniem. Powinien był wzbudzić w nim wstręt, uczulić na niebezpieczeństwo (chłopiec zastanawiał się, czy ma powiedzieć o tym rodzicom), ale Edmund czuł, że jest wstępem do czegoś ciekawego

niczym rozchwiany most nad przepaścią, który wiedzie do egzotycznej, gęstej, pełnej tajemniczych zapachów i dźwięków dżungli. Nawet jej mocz wypełniający naczynie z Delft pachniał tajemnicą i wydawał intrygujący dźwięk, gdy wylewał go do toalety.

– Szukasz jakiejś konkretnej książki?

Idąc do bawialni, Herr Lubert, jak zawsze ubrany w granatowy kombinezon, zajrzał do biblioteki. Jeśli Frieda była przeciwniczką Edmunda, to promienny Lubert stał się jego nieoczekiwanym sojusznikiem. Najwyraźniej brakowało mu typowo niemieckich cech, które z takim przekonaniem wyliczali autorzy broszury. Nie był wyniosły ani butny, lecz tylko pewny siebie i przyjazny. Nie był też śmiertelnie poważny czy posępny. Miał w sobie jakąś lekkość. Jego twarz – bystry wzrok, żywe nozdrza i uniesione kąciki ust – była nieodmiennie skłonna do śmiechu. W ciągu kilku tygodni Edmund przekonał się, że lubi tego Niemca. Wykazywał szczere zainteresowanie Walią („Jak tam jest?”), ich życiem podczas wojny („Czy twój tata długo przebywał poza domem?”), a nawet dopytywał się, czy jego mama już zdążyła się zdomowić („Mam nadzieję, że będzie się tu czuć jak u siebie”). Poza tym wiedział różne rzeczy. Kiedy poprzednim razem spotkali się w holu, Herr Lubert powiedział mu, że te ołowiane żołnierzyki w czerwonych mundurach, którymi się bawił, odwzorowują wojska wysłane przez króla Jerzego III do stłumienia rebelii w Ameryce.

– Tak się tylko przyglądam – odpowiedział Edmund. – Wszystkie są po niemiecku?

– Większość, ale niektóre też po angielsku, zwłaszcza książeczki dla dzieci. Możesz je sobie czytać. A jeśli dobrze się tu rozejrzysz, znajdziesz tajemną skrytkę – rzucił Lubert tonem konspiratora, obejrzał się, czy przypadkiem nie ma w pobliżu matki chłopca albo służącej, przeciągnął palcem po drugim rzędzie półek i zatrzymał dłoń na książce stojącej w jego połowie. Wyciągnął ją i pokazał Edmundowi. Na okładce widniał wykonany węglem rysunek przedstawiający cztery postacie na rozklekotanym wozie, umykające przed jakimś nieszczęściem oraz tytuł *Vom Winde Verweht*. – *Przeminęło z wiatrem* – wyjaśnił. – Ulubiona książka mojej żony.

Później zamilkł i na moment wyraźnie posmutniał. Edmundowi przypomniały się chwile, gdy jego matka nagle odpływała gdzieś myślami, ale Herr Lubert szybko się z tego otrząsnął i kontynuował:

– Byliśmy na tym filmie na początku wojny, ale moja żona wolała książkę. Nawet się o to posprzeczailiśmy. Ja filmem byłem zachwycony. Clark Gable. „Mam to gdzieś!”.

Edmund nie znał tej kwestii, ale spodobało mu się, jak pan Lubert mówi z amerykańskim akcentem i wypowiada wszystkie słowa z prawdziwą lubością.

– Widziałeś ten film?

– Moja mama widziała. Była na nim z moją ciotką.

– Jest naprawdę świetny. Twoja mama przypomina mi trochę tę aktorkę, Vivien Leigh. Widzisz tę lukę? – Lubert wskazał mu miejsce, gdzie przedtem stała książka, sięgnął w głąb i wyciągnął kolorowe pudełko cygar. Później odłożył je na miejsce i postawił książkę na półce. – Tylko nikomu nie mów. Nawet moja żona o tym nie wiedziała. Mężczyźni muszą mieć swoje sekrety.

Edmund pomagał matce przeglądać zastawę, która, z miesięcznym opóźnieniem, wreszcie dotarła. Ustawiali ją na stole w jadalni, który zaczął przypominać makietę jakiegoś miasta przyszłości. Edmund właśnie przejrzał zestaw obiadowy w kolorze szaławii. Zrobił przy tym wrażenie na matce, a i trochę ją zaniepokoił, gdyż bez zająknięcia policzył po niemiecku do dwunastu. Ona sama skupiła się na sztuccach. Przyjęła z ulgą fakt, że dojechały i że nie będzie musiała skorzystać z propozycji Herr Luberta i tymczasowo używać jego niewątpliwie pięknych srebrnych sztucców.

– Mamo? Jak wygląda Vivien Leigh?

– Vivien Leigh?

– Czy jest ładna?

– Czemu pytasz?

– Bo Herr Lubert powiedział, że jesteś do niej podobna.

Edmund zdradził jej to, w nadziei że w ten sposób wzbudzi w matce sympatię dla dawnego właściciela domu. Tymczasem z jakiegoś powodu Rachael poczerwieniała i wpadła w złość. Może Vivien Leigh była brzydka.

– Kiedy... a raczej dlaczego rozmawiałeś z Herr Lubertem?

– Pokazywał mi... różne rzeczy.

– Co ci pokazywał?

– Zabawki... i książki.

– Nie zachęcaj go do takich kontaktów, Edmundzie. Będziemy się czuli niezręcznie, jeśli się z nim spoufalisz.

– Wydaje się bardzo miły...

– To, że ktoś wydaje się miły, nie znaczy, że taki jest – fuknęła Rachael. – Nie rozmawiaj z nim za dużo, ani z jego córką, bo dojdzie do nieporozumień.

Edmund skinął głową. Teraz już na pewno nie wspomni jej o swoich bezbożnych kontaktach z Friedą. Skoro matkę niepokoi uprzejmość Luberta, to z pewnością dostanie szału, słysząc o wyczynach jego pokazującej majtki i roznoszącej pełne nocniki córki.

– Mogę się pobawić w ogrodzie?

– Tak, ale nie odchodź za daleko. I włóż sweter. Na dworze jest zimno.

Wychodząc z domu, Edmund natknął się na Heike, która próbowała przemykać niezauważenie niczym duch.

– *Guten Morgen, kleine Mädchen* – powiedział, testując kombinację świeżo poznanych słów.

Lubił te niemieckie słowa – szczerze, precyzyjne i rytmiczne jak dźwięki perkusji.

Dygnęła, nim ruszyła na górę, najwyraźniej bardzo czymś ubawiona.

Edmund wyszedł przez drzwi oranżerii do ogrodu i pobiegł przez trawnik do rozrośniętego, wiecznie zielonego rododendronu, który w naturalny sposób odgradzał dom od reszty posiadłości. Krzew był trzy razy wyższy od niego i tworzył swój własny świat, płataninę przecinających się, wąskich ścieżek. Kwiaty już prawie przekwitły i roślina szykowała się do zimowego snu, choć wciąż mogła uchodzić za dżunglę. Edmund brnął przez gęstwinę niczym Pizarro albo Cortés, torując sobie drogę wyimaginowaną maczetą i całkowicie zatracając się w tych fantazjach, póki nie dotarł do metalowej siatki – wytyczonej przez człowieka granicy rezydencji.

Przed Edmundem rozpościerała się teraz zaniedbana łąka, wzdłuż której płynęła rzeka, czyniąca to miejsce ustronnym, a jednocześnie przypominająca o tragicznych konsekwencjach wojny. Cały teren usiany był płatami wypalonej trawy i bruzdami gołej ziemi. W oddali stały stajnie i kurniki przerobione na ubogie domostwa. Nieopodal Edmund dostrzegł jakieś postacie – chyba dzieci – skupione wokół małego ogniska. Pośrodku łąki stał bez ruchu wychudzony osiołek z wydętym brzuchem.

Edmund przeskoczył siatkę i ruszył przed siebie, by lepiej przyjrzeć się zwierzęciu. Nawet gdy się do niego zbliżył, osiołek pozostał nieruchomy. Obwisły ogon, żadnej reakcji. Poraniona szyja, najwyraźniej nie miał siły, by unieść łeb. Zdawało się, jakby wystające kości miały za chwilę przebić obolałą skórę. „Biedny osiołek”, szepnął Edmund i w oczach stanęły mu łzy. Zwierzę było w beznadziejnym stanie, co odbijało się w jego smutnym spojrzeniu. Edmund zdziwił się, że płacze. Nie ronił łez nawet po własnym bracie, a tu szlochał nad podłym bydlęciem, w dodatku niemieckim – choć nie był pewien, czy zwierzęta mają narodowość. Sięgnął do kieszeni i wyjął kostkę cukru, którą wziął z kuchni, kiedy Greta poszła na górę. Podsunął ją zwierzęciu, ale nawet cukier nie wywołał u niego żadnej reakcji.

– *Mein Mittagessen!*

Edmund obrócił się w stronę, z której dobiegł go ten krzyk, i ujrzał jakiegoś upiornego chłopaka w kozackiej czapie i szlafroku – siedł ku niemu, skrzeczając chrapliwie po niemiecku. Pozostali sunęli kilka metrów za nim.

– *Finger weg!* – wrzasnął.

Brzmiało to agresywnie, ale Edmund nie odczuwał strachu. Było w tym coś komicznego

i afektowanego zarazem, jakby ten chłopak tylko popisывał się przed swoją bandą.

– *Das ist mein Mittagessen!* – powtórzył.

Edmund cofnął rękę podstawioną pod pysk osiołka. Pozostali stanęli obok przywódcy w zwariowanej czapie. A ten zaczął krążyć wokół Edmunda i go obwąchiwać. Jego kumple też byli cudacznie ubrani, jakby zgarnęli te stroje w pośpiechu z garderoby jakiegoś wodewilu. To Edmund wyglądał w tym towarzystwie podejrzanie, bo był ubrany całkiem normalnie – brązowe półbuty, wełniane podkolanówki, szare szorty, kraciasta koszula i sweter w serek. Mali Niemcy zaczęli go dotykać. Jeden, w nadmuchiwanej kamizelce ratunkowej, nawet się pochylił, musnął palcem jego błyszczący but, po czym szturchnął Edmunda w żebra niczym zwiadowca jakiejś pradawnej cywilizacji, wysłany tu, by nawiązać kontakt ze stworem z przyszłości i przekonać się, czy ma do czynienia z żywą istotą.

– *Englisch?* – spytał przywódca bandy.

– Tak – potwierdził Edmund.

Stanęli jak wryci na dźwięk tej zwięzłej odpowiedzi.

– Tak! – powtórzył przywódca w zwariowanej czapie, próbując naśladować wymowę Edmunda.

– Tak! – zakrzyknęły małe dzikusy.

– Jebać w dupę, kapitanie! – rzucił nagle ten w czapie.

Edmund osłupiał, słysząc te słowa, powszechnie uznane za niedozwolone. Już miał wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymał.

– Pierdolone skurwysyny i cipy! Pieprzone, durne teutońskie ścierwo! – Chłopak wypluwał z siebie angielskie przekleństwa, jakby rzucał granatami. Później wskazał na Edmunda, by ten się przyłączył albo nawet poprawił jego wymowę. – Ty, Angol... Ty: kurwa mać! Ty.

– Kurwa mać – powtórzył Edmund z lubością i ucieszył się reakcją, jaką wywołał.

Banda odpowiedziała mu gromkim: „Kurwa mać!”. Tymczasem ich przywódca skupił się na doskonaleniu akcentu.

– Kurwa... mać! Kurwa mać. Jeszcze „kurwa mać”, *bitte!*

– Kurwa mać – kontynuował Edmund. – Kurwa mać... szczyny... gównno... pierdolić!

– Szczyny *und* gównno! Szczyny *und* gównno! *Und* pierdolić!

Edmund pokiwał głową, aprobując ich wymowę. Wymiana kulturalna szła całkiem dobrze, wszyscy się rozluźnili. Przywódca bandy promieniał, lecz chłopak w kamizelce ratunkowej najwyraźniej chciał czegoś więcej. Wciąż krążył wokół Edmunda i głaskał sweter z szetlandzkiej wełny, zerkając na niego pożądliwie i coś niezrozumiale mamrocząc. Wkońcu ten w czapie krzyknął do niego: „Didi! *Lass ihn in Ruhe!*” –

i machnięciem ręki nakazał mu się odsunąć. Tymczasem chłopak w kamizelce albo go nie usłyszał, albo nie mógł się powstrzymać, bo zaczął ciągnąć za sweter. Edmund próbował strząsnąć jego rękę i się wyrwać, ale tamten nie puszczał, rozciągając sweter. Nagle, właściwie bez przekonania, Edmund chwycił chłopaka za ramię i tył kamizelki ratunkowej. Z łatwością go uniósł, co samego go zaskoczyło i jednocześnie podsunęło mu nowy pomysł. Przez kilka chwil obracał nim w powietrzu, aż wreszcie postawił go na ziemi i odepchnął. Chłopak w kamizelce ratunkowej natychmiast się na niego rzucił. Warcząc, zagiął palce w szpony i próbował sięgnąć połamanymi, brudnymi paznokciami twarzy Edmunda. Pozostali stanęli w kręgu, pokrzykując, wiwatując i wyjąc. Przeciwnik chwycił Edmunda za szyję, starając się unieruchomić jego głowę, lecz brakowało mu siły, a jego nerwowa energia szybko się wyczerpała. Edmund bez trudu przygwoździł go do ziemi i kolanem przycisnął mu piersi. Chłopak w kamizelce wił się, wierzgał i pluł, ale nie mógł się do niego dostać. Pokrzykiwania przerodziły się w szaleńcze wrzaski: „*Töte! Töte! Töte!*”. Edmund zrozumiał, że chłopcy kibicują nie swojemu kumpłowi, tylko jemu, domagając się dźgającymi gestami, żeby z nim skończył. Chłopak w kamizelce przestał wierzgać. Zmęczony, a może zrezygnowany, gotów był przyjąć każdy wyrok. „*Töte! Töte! Töte!*”, krzyczeli pozostali. Edmund wiedział, co oznacza to słowo, nie musieli mu go tłumaczyć. Ich przywódca podszedł do Edmunda i podał mu kij do zadania ostatecznego ciosu. Edmund kurtuazyjnie go przyjął, choć nie zamierzał użyć. Uniósł kolano, wstał i odsunął się od pokonanego przeciwnika przy aplauzie swoich nowych przyjaciół.

Przywódca przyglądał mu się z pełnym rozbawienia podziwem, gdy ten otrzepywał spodnie z kurzu.

– Dobry Angol – rzucił. – Kurewsko dobry Angol. *Ich heisse Ozi* – przedstawił się. Edmund wyciągnął rękę.

– Edmund.

Ozi spojrzał na jego dłoń, lecz jej nie uścisnął, tylko wdał się w rozmowę z kimś innym.

– *Mutti. Er ist in Ordnung. Er ist ein guter Tommy. Er wird mir helfen.*

Najwyraźniej czekał na jakąś odpowiedź, znak od swojego anioła stróża. Nadstawił ucha. Widocznie ją dostał, bo na koniec skinął głową.

– Dobry Angol przynieść szlugi – zwrócił się do Edmunda. Zaciągnął się wyimaginowanym papierosem i wskazał na swoją pierś. – Szlugi – powtórzył i pogładził się z rozmarzeniem po brzuchu. Machnął ręką w stronę budynków stajni, gdzie płonęło ognisko i kręcili się jacyś ludzie. – Ty przynieść. *Das ist mein Haus.* – Popatrzył na obrośniętą żywopłotem willę Luberta i spytał: – *Ist das dein Haus?*

Nie potrafiąc wyjaśnić szczegółów dotyczących prawa własności, Edmund skinął tylko głową i odpowiedział:

– *Das ist* mój dom.

Lewis słuchał jednym uchem, kiedy Rachael wspomniała mu podczas kolacji, że Lubert grywa na fortepianie.

– Myślisz, że powinniśmy mu pozwolić? Bo ja nie jestem pewna. Mogą wyjść z tego komplikacje.

– Niby dlaczego?

– Nie wiem. Nie chcę wysyłać mu mylnych sygnałów. Nie chcę też być złośliwa, ale jeśli zgodzimy się na jedno, w końcu zaczniemy godzić się na wszystko. Chyba byłoby lepiej, gdybyśmy trzymali się od siebie z daleka. Wszystko na swoim miejscu. Chociaż sama nie wiem...

„Nie wiem”. Poprzedzała i kończyła tym stwierdzeniem co drugie wypowiediane zdanie. Brak zdecydowania stawał się jej znakiem rozpoznawczym. Lewis nie okazał się pomocny. Czy w ogóle jej słuchał? Widziała, że jest zaprzątnięty własnymi myślami. Myślami o Niemcach. Jego umysł funkcjonował w dwóch strefach – ta większa i stanowczo ciekawsza obejmowała pracę oraz jej rozliczne rozgałęzienia. Wszystko było dobrze, póki strefa druga – życie domowe, obejmujące ją, Edmunda, Lubertów i służbę – działała samodzielnie, tylko przy minimalnej ingerencji z jego strony. Rachael powinna zapytać go, jak minął dzień. Wiedziała, że to było dla niego ważniejsze, jednak tym razem pragnęła wciągnąć go w swój świat, nawet jeśli dotyczyło to drobnych codziennych kwestii.

– No i?

– Sama zdecyduj, kochanie. Nie rozumiem, komu to może zaszkodzić.

Spojrzała na niego. Zwyczajna ugodowa odpowiedź? Wyczuwając, że próbuje ją zbyć, drążyła dalej.

– O jakiej porze dnia będzie najlepiej? Rankiem, zanim wyjdzie do pracy? A może po południu, bo wieczorem raczej na pewno nie?

Lewis odłożył sztućce, by pokazać, że się zastanawia.

– Niech gra pół godziny w porze, która najbardziej ci odpowiada.

Rachael przejrzała jego taktykę. Traktuje ją jak partnerkę w meczu tenisowym, którą należy wspierać, zamiast sprawiać jej baty. Mógłby ją minąć mocnym returnem, ale nie chce, żeby przegrała, więc po serwisie śle jej łatwe, czyste piłki na prawą stronę kortu, które z pewnością odbierze. Był to jego sposób na to, by nie uczestniczyć w grze.

Zastanawiała się, dlaczego to wszystko jest takie trudne. Dała Lubertowi do zrozumienia, iż ucieszyło ją, że on gra. Bo przecież ucieszyło, czyż nie? Wiedziała też doskonale, że Lewis nie będzie miał nic przeciwko temu. Mogła się zgodzić od razu, tam, przy fortepianie, nie zwracając głowy mężowi, więc po co te korowody? Czemu spodziewa

się, że będzie rozstrzygał jakieś drobne utarczki o korzystanie z fortepianu albo przestawianie roślin, skoro na co dzień rozstrzyga o losach ludzi, którzy nie mają co jeść ani w co się ubrać? Wiedziała, że postępuje irracjonalnie, ale nie mogła się powstrzymać.

– Świetnie. Przekażę mu, że może grać... codziennie po południu. O czwartej. Przez pół godziny. Przez godzinę.

Samo wypowiedzenie tych słów wydało jej się wielkim osiągnięciem.

– Dobrze – skwitował z ulgą Lewis. – Czyli załatwione.

Wszyscy troje jedli dalej w milczeniu. Lewis skończył pierwszy, równo odłożył sztucce, otarł usta adamaszkową serwetką i poklepał poręcz krzesła.

– To dobrze, że odciskasz swoją osobowość na tym domu. Te krzesła są lepsze niż tamte skórzane.

Zaskrzypiał wiklinowym krzesłem, żeby okazać jej swoją aprobatę. Tak naprawdę zrobiła bardzo niewiele, by cokolwiek tu zmienić, ale puściła tę uwagę mimo uszu.

– Jak ci się podoba służba? – kontynuował Lewis wyraźnie pojednawczym tonem.

– Wciąż patrzę na mnie, jakby nie rozumieli ani jednego mojego słowa.

– Poucz się z nauczycielem Eda, poznaj chociaż podstawy niemieckiego.

– Sądzę, że rozumieją mnie doskonale, tylko udają. Czasami mam wrażenie, że się ze mnie śmieją.

Lewis powstrzymał się od komentarza i zwrócił się do Edmunda, bawiącego się groszkiem na talerzu.

– Jak ci idzie z Herr Koenigiem? *Sehr gut?*

Rachael naląła sobie wody, by ugasić rozdrażnienie, po czym zaczęła zbierać talerze, nim przypomniała sobie, że teraz to zadanie należy do kogoś innego.

Skończywszy jeść, Edmund rozgrywał własną bitwę – groszek lądował na plamie sosu, tworząc przyczółek mający służyć zdobyciu wyspy z ziemniaczanego purée.

– *Sehr gut, Vater.*

Lewis wybuchnął śmiechem.

– Jesteś tu ledwie od miesiąca, a już masz lepszy akcent niż ja.

– Po co mam się uczyć niemieckiego, skoro nie wolno nam z nimi rozmawiać?

– Możesz z nimi rozmawiać, wręcz cię do tego zachęcam. Im lepiej będziemy się rozumieć, tym szybciej zrobimy tu porządek.

– Ile to potrwa?

Tym razem Lewis zerknął na Rachael. Musiał starannie dobrać słowa.

– Optymiści twierdzą, że dziesięć lat, pesymiści – że pięćdziesiąt.

– Czyli ty na pewno uważasz, że pięć – wtrąciła Rachael.

Lewis uśmiechnął się. Tak dobrze go znała.

– Ed, rozmawiałeś już z Friedą? – spytał.

– Jest trochę ode mnie starsza. – Edmund pokręcił głową.

– Może zagramy któregoś wieczoru w kanastę albo obejrzymy jakiś film na projektorze?

Do jadalni weszła Heike z tacą, żeby pozbierać talerze. Poruszała się z właściwą sobie płochliwością, przemykając tu i tam niczym ptak wyjadający ziarna na oczach farmera.

– Przepyszne, Frau – powiedział Lewis po niemiecku.

– Jesteś przepyszna, Frau – powtórzył po nim również po niemiecku Edmund, nie zdając sobie sprawy, że źle zrozumiał ojca.

Heike stłumiła chichot, ukłoniła się i zaczęła sprzątać ze stołu, przystając przy Rachael, która zjadła ledwie połowę ugotowanego przez nią dania.

– *Sind Sie fertig, Frau Morgan?*

Rachael tylko machnęła ręką, żeby zabrała talerz.

Edmund patrzył, jak służąca niesie tacę do windy kuchennej i wstawia ją do szybu.

Później pociągnęła za sznurek i niewidzialna ręka ściągnęła brudne naczynia do położonej na niższej kondygnacji kuchni.

Rachael odczekała, aż Heike wyjdzie z jadalni, nim się odezwała.

– Widzisz? Znowu to robiła, uśmiechała się drwiąco.

– Jest stremowana i przerażona, że zaliczy jakąś wpadkę i straci posadę. Wszyscy Niemcy, którzy mają pracę, tak się zachowują.

– Dlaczego wciąż ich bronisz?

Lewis wzruszył ramionami. Wedle jego standardów był to niemal wyraz rozpacz.

Wyciągnął papierośnicę, otworzył ją i podsunął Rachael.

Miała ochotę zapalić, ale podziękowała.

– Później zapalę swojego.

Lewis postukał końcem papierosa w papierośnicę, włożył go do ust, zapalił i mocno się zaciągnął, po czym, odprężony, wypuścił dym nosem. Pisk szybu windy kuchennej zapowiedział, że za chwilę na stole pojawi się pudding.

– Czy ta winda dojeżdża na samą górę, tam, gdzie mieszkają Lubertowie? – spytał Edmund.

– Lepiej się nią nie baw – ostrzegła go Rachael. – To nie zabawka.

Chłopiec skinął głową.

– W Anglii też będziemy mieli służących, jak kiedyś ciocia Clara?

– Tylko prawdziwi bogacze będą sobie mogli teraz pozwolić na służbę – odparł Lewis.

– A Herr Lubert ma służących, chociaż pracuje w fabryce.

– Zostanie tam, póki go nie prześwietlą. Później wróci do zawodu architekta.

– Póki go nie prześwietlą? – zdziwiła się Rachael.

– Pod kątem współpracy z nazistami.

– To jeszcze tego nie ustalili?

– Jestem pewien, że to czysta formalność.

– Sądziłam, że sam się tym zainteresujesz.

– Lubert jest czysty. Nie martw się.

– Przecież tego nie wiesz.

– Barker przeszedł jego akta. Nie pozwoliłbym, żeby tu został, gdyby istniało choć

najmniejsze podejrzenie, że ma coś na sumieniu. Rachael... proszę cię.

Edmund uznał, że to właściwy moment, by powiedzieć dobranoc. Była to jedna z tych rozmów dorosłych, w które dzieci nie powinny się mieszać.

– Mogę iść spać? – spytał.

– Tak, oczywiście – odrzekła Rachael.

Syn pocałował matkę. Ojciec zmierzwił mu włosy.

– Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił – powiedział.

Wychodząc z jadalni, Edmund słyszał, że rodzice zaczynają się kłócić. Rozmawiali podniesionymi głosami, w których dźwięczały prośby i usprawiedliwienia. Była to dla niego idealna wymówka. Poszedł do swojego pokoju, wziął Cuthberta, ołówek i kartkę papieru z biurka, po czym ruszył do szybu windy kuchennej, znajdującego się na podeście schodów, tuż przy drzwiach sypialni rodziców. Podciągnął klapę. W środku zwisał pojedynczy sznur łączący trzy kondygnacje domu. Kiedy Edmund za niego pociągnął, po kilku chwilach winda przyjechała z kuchni i stanęła na jego piętrze. Chłopiec wsadził do niej Cuthberta, napisał liścik i wepchnął mu go za pazuchę.

– Zbierz tyle cukru, ile zdołasz, kapitanie, i przywieź go do bazy.

– Czy to na pewno nie jest zabronione, sir?

– Rób, co mówię, Cuthbert. Zuch chłopak. Spotkamy się o ósmej w piwnicy. Uważaj na dorosłych.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Edmund pociągnął za sznur i po kilku chwilach Cuthbert zjechał na dół. Chłopiec zasunął klapę i ruszył na palcach na dół, do kuchni, stąpając po wygłuszającej odgłos kroków wykładzinie.

Zastał tam Heike, która wyrabiała ciasto, podśpiewując piosenkę dobiegającą z radia. Piosenka miała angielski tekst. Śpiewała ją jakaś kobieta zachrypniętym głosem, z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. Heike z lubością naśladowała jej zawodzenia.

– *Guten Abend, Fräulein Heike.*

Zaskoczona służąca aż podskoczyła na widok Edmunda i zareagowała tak, jakby nakrył

ją na słuchaniu wrogiej radiostacji. Szybko wyłączyła odbiornik i wytarła ręce o fartuch.

– *Guten Abend, Herr Edmund.*

Chłopak podszedł prosto do szybu windy, odsunął klapę, wyciągnął liścik, który przewiózł Cuthbert, i wręczył go służącej. Heike zerknęła na wiadomość i spytała:

– *Zucker?*

– *Bitte.*

Udała, że tego nie pochwała, ale z chęcią przyłączyła się do tej zabawy. Poszła do spiżarni i wróciła stamtąd z trzema kostkami cukru. Położyła je na talerzu i wczuwając się w sytuację, wstawiła talerz do windy, obok szmacianego żołnierza. Edmund wydał rozkaz:

– Zawieź prowiant do bazy, Cuthbert.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Pociągnął za sznurek, zasunął klapę, podziękował Heike i pobiegł na górę powitać powracającego z misji bohatera. Jednak kiedy podszedł do szybu na piętrze i odsunął klapę, windy tam nie było. Pociągnął za sznurek i czekał, ale nic się nie działo. Pociągnął jeszcze raz. Wciąż nic. Włożył głowę do szybu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zobaczył tylko czarną otchłań. Obróciwszy głowę ku górze, stwierdził, że winda dojechała piętro wyżej – do mieszkania Lubertów. Może Herr Lubert przechwycił przesyłkę, sądząc, że jest przeznaczona dla niego. Nieważne. Edmund ucieszył się, że cukier tam dotarł. Ci ludzie potrzebowali kalorii. Wyjął głowę z szybu i znów pociągnął za sznurek. O dziwo, winda ruszyła w dół, napinając sznurek i popiskując. Kiedy zatrzymała się przed Edmundem, od razu zauważył, że stało się coś złego – Cuthbert nie miał głowy. Chwycił swojego okaleczonego żołnierza i uważnie go obejrzał. Z miejsca, gdzie przedtem tkwiła głowa, zwisały białe wełniane nitki i strzępy żółtego wypełnienia. Może to winda przycięła głowę, która była przecież już nieco naderwana. W takim przypadku głowa musiałaby spaść na dno szybu. Oględziny jednak na to nie wskazywały. Nagle Edmund spostrzegł, że z talerza zniknął cukier.

Lewis rozbierał się powoli, czekając na sygnał, jakiś znak od Rachael, że dzisiaj będą się kochać. Stał w garderobie. Miał na sobie spodnie i koszulę, którą zaczął rozpinać, guzik po guziku. Przerwał na chwilę, by spojrzeć na mankiet, jakby wisiała tam jakaś luźna nitka. Wszystko po to, żeby dać żonie więcej czasu. Dawniej takie subtelne podchody nie były im potrzebne, gdyż Rachael pragnęła tego tak samo jak on. Wystarczyło poprosić. Teraz jednak wymagało to umiejętności interpretowania i rozumienia niuansów języka, którym Lewis nie posługiwał się przez ponad rok.

Zdjął koszulę i stanął przed nią nagi do pasa. Kiedy już przebrali się w piżamy, rzadko

się kochali. Jeśli się z tym pośpieszył, Rachael uznawała, że widocznie nie ma ochoty na seks, i szła spać. Z okazji należało skorzystać, w momencie kiedy się rozbierali, lub tuż przedtem, gdy jedno z nich – zwykle on – zasugerowało, żeby to zrobili. Zimą było to trudniejsze. Rachael szybko marzła i po kilku latach małżeństwa błyskawicznie przebierała się w strój nocny. Teraz w sypialni nie było zimno – temperatura w całym domu była znacznie wyższa niż na zewnątrz – jednak Lewis musiał działać szybko, jeśli chciał dopiąć swego. Fakt, że bronił chichoczącej służącej oraz rozmowa o Lubercie zirytowały Rachael, ale on był zdeterminowany. Ten chłód musi się skończyć. On, Lewis, musi przejść do ofensywy.

Rachael siedziała przy toalecie, w samej halce, jedną ręką odgarniając włosy, a drugą zmywając makijaż. Lewis patrzył na te zabiegi, zauroczony jej nagimi ramionami i delikatnymi barkami.

– Czy może... – Nie był w stanie dokończyć.

Rachael otworzyła jedną z szufladek toaletki i znalazła w niej naszyjnik z granatów, które pobrzękiwały i klekotały, kiedy zaczęła go podziwiać w świetle lampki nocnej.

– Pewnie należał... do niej. – Przyłożyła sznur chłodnych kamieni do szyi, po czym rozwiesiła go na dłoni, jakby je ważyła. – Ładne.

– Kochanie? Nie zrobimy tego? – spytał bardziej natarczywie niż zwykle.

Czyż nie przysięgali sobie, że będą czcić nawzajem swe ciała? Lewis był gotów przypomnieć jej słowa tej przysięgi, jeśli mu odmówi.

Rachael odłożyła naszyjnik i wyrzuciła brudny wacik do kosza.

– Masz chętkę? – spytała z obojętną miną, na której nie malowało się ani pożądanie, ani niesmak.

Ale to mu wystarczyło. Natychmiast poczuł mrowienie. Omdlały na samą myśl o tym, co go czeka, poszukał w podręcznej apteczce prezerwatyw, które wraz z papierosami dostawali z przydziału wszyscy wojskowi w Niemczech. Armia dbała o chucie i nałogi swoich żołnierzy.

Patrzył, jak Rachael wstaje i w halce wślizguje się pod kołdrę. W jej ruchach nie dostrzegł podniecenia ani nawet wyczekiwania, ale było mu wszystko jedno. Oderwał prezerwatywę z paska liczącego sześć sztuk i podszedł do łóżka. Jego nabrzmiały penis wypychał mu spodnie. Usiadł tyłem do niej, w nadziei że tego nie zauważy, i próbując nad sobą zapanować, zaczął ściągać skarpetki.

Tymczasem Rachael przechyliła się na jego stronę łóżka i wzięła do ręki jego srebrną papierośnicę.

– Myślałeś o mnie, kiedy paliłeś?

– Sześćdziesiąt razy dziennie.

- Nie wysilaj się.
- Naprawdę. Policzyłem. Nasza rozłąka to trzydzieści dwa tysiące papierosów.
- Kiedy o mnie myślałeś, to właściwie o czym myślałeś?
- Głównie o takich chwilach jak ta – odpowiedział szczerze.
- Jesteś przygotowany? – Spojrzała na niego zaskoczona.

Przegryzł aluminiowe opakowanie, wyjął prezerwatywę, położył ją na poduszce, po czym zdjął spodnie i majtki. Rachael odłożyła papierośnicę na miejsce, usiadła i ściągnęła halkę. Nawet ta ulotna czynność wydała mu się czymś cudownym. Wsunął się pod kołdrę, wciąż skrywając się przed Rachael. Czuł się niepewny i bezbronny. Położyła się na boku, ze zwróconą ku niemu twarzą. Ugięła rękę w łokciu i wsparła na niej głowę. Teraz, kiedy byli nadzy, cała jego pewność siebie przeszła na nią, zupełnie jakby on z pułkownika stał się szeregowym, a ona awansowała na feldmarszałka.

Wzięła do ręki gumową osłonkę.

- Mam ci ją założyć?

Nie zdobył się na odpowiedź, skinął tylko głową, lecz gdy sięgnęła pod kołdrę, chwycił jej rękę i przyciągnął ją całą do siebie, głodny pocałunków. Chciał, żeby odbyło się to bez pośpiechu. Całowali się, lecz jej usta pozostały zamknięte. Odsunęła się, żeby wypełnić postawione jej zadanie. Ściągnęła z niego kołdrę. Lewis skupił myśli na przyozdobionym sztukaterią suficie, byle tylko nie eksplodować za wcześnie, ale nawet te mechaniczne ruchy jej chłodnych dłoni okazały się dla niego nie do zniesienia. Wytrysnął, wydając z siebie jęk rozkoszy, ulgi i rozpacz.

- Za wcześnie, przepraszam.
- Nieważne.
- Przepraszam – powtórzył.
- To jakbyś wysiadł we Fratton.
- Jakbym wyskoczył w biegu tuż za Waterloo Station.

Wyraźny brak zawodu u Rachael spotęgował jego własne rozczarowanie. Był na siebie zły. Jego wrodzona samodyscyplina i cierpliwość nagle go opuściły, akurat w chwili, kiedy najbardziej ich potrzebował. Wzmianka o Fratton (ostatniej stacji przed Portsmouth w drodze z Londynu) przypomniła mu czasy, gdy ich wzajemne pożądanie zawsze wygrywało ze zdrowym rozsądkiem.

Wytarł się leżącym przy łóżku ręcznikiem.

- Tak długo to trwało. Odwykłem...
- Nic się nie stało – powiedziała Rachael i pogładziła jego brew.
- Ja...
- Ciii. To całkiem zrozumiałe.

– A ty jak?

– Doskonale.

– Na pewno?

– Tak, tylko trochę mi zimno.

Uniosła się na łóżku, wyjęła spod poduszki koszulę nocną i zaczęła naciągać ją przez głowę.

Lewis usiadł na brzegu łóżka i opuścił nogi na podłogę. Jego rozczarowanie stało się jakby mniejsze. Nawet takie niedoskonałe spełnienie było lepsze niż żadne. Chwilowa rozkosz położyła kres uporczywemu kluciu w żołądku, jakie odczuwał przez kilka ostatnich tygodni. Kiedy włożył piżamę, zgasił światło i wsunął się pod kołdrę, jego myśli powróciły w rejony, w których czuł się bezpieczny i kompetentny – w sferę podstawowych potrzeb tysięcy bezimiennych Niemców i odbudowy ich ojczyzny.

Jeszcze długo po tym jak zasnął, Rachael leżała, jak zawsze, na lewym boku i wsłuchiwała się w bicie własnego serca. Wpatrywała się w błyszczący naszyjnik z granatów, który położyła na stoliku przy łóżku – odbijał światło wpadające przez nie do końca zasunięte story. Postanowiła, że jak najszybciej odda go Lubertowi, choć kierowała się nie tylko poczuciem przyzwoitości, ale także ciekawością. Pragnęła dowiedzieć się więcej o kobiecie, która kiedyś go nosiła. Naszyjnik uruchomił w jej wyobraźni całą sekwencję efektownych scen, których pierwszoplanową postacią była Frau Lubert. I choć w każdej odsłonie Claudia Lubert pozostawała elegancka i pełna gracji, to jej twarz wciąż była rozmyta i nieokreślona. Rachael chciała nadać jej wyraz. Próbowwała stworzyć w myślach jej wizerunek, by móc wreszcie o nim zapomnieć. Może Lubert jej to ułatwi, pokazując jakieś zdjęcie żony. Cokolwiek. Pod pozorem nawiązania miłych relacji Rachael będzie mogła uporać się z problemem, który nie dawał jej spokoju, odkąd pojawiła się w tym domu.

– Gdzie mieszkasz? – spytał Friedę Albert.

Stali w kolejce do ciężarówki po dniu mozolnego uprzątnięcia ruin pewnej szkoły w dzielnicy St Pauli. Frieda ciężko pracowała przez cały dzień, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Dzięki Albertowi to, co wcześniej wydawało się jej upokorzeniem i karą, przemieniło się w coś, czego się wyczekuje i co wręcz się lubi.

– Przy Elbchaussee, niedaleko parku Jenisch.

– W jednej z tych wielkich willi?

Skinęła głową, niepewna, czy to dobrze, czy źle.

– Czyli pochodzisz z bogatej rodziny?

– Już nie. – Wzruszyła ramionami.

– Ale wciąż mieszkanie w swoim domu?

Znów skinęła głową, zażenowana, że tak ją przesłuchuje. Bała się, że będzie musiała mu wszystko tłumaczyć.

– Ja mieszkam niedaleko – powiedział Albert.

– Gdzie? – spytała, czując ulgę, że jej status społeczny go nie zniechęcił.

– Jeśli chcesz, pokażę ci.

Ich ekipa odgruzowująca składała się z hamburczyków z klasy średniej oraz różnej maści przybyłych ze Wschodu robotników. Uczesane w ciasne koki kobiety w za dużych płaszczach po nieżyjących mężach przypominały handlarki ryb z nabrzeża Lundungsbrücken – i równie wyraziście pachniały. Mężczyźni wyglądali przeciętnie i wszyscy – oprócz Alberta – byli w średnim wieku. Bez względu na zajmowaną kiedyś pozycję społeczną wszyscy ściskali w rękach kartki żywnościowe, które stanowiły zapłatę za pracę i których zdobycie było ich jedyną życiową ambicją.

Frieda siedziała w ciężarówce obok Alberta, udo przy udzie. Razem przysłuchiwali się chórowi utyskiwaczy. Tego dnia prym wśród nich wiódł sterany życiem mężczyzna, który pragnął uświadomić wszystkim wokół, jaki jest jego prawdziwy zawód.

– Trudno, żeby w takiej pracy było ciepło. Najpierw jesteśmy zgrzani i spoceni, a później pot robi się zimny i lepki.

– Ale przynajmniej nam płacą – odparła jedna z kobiet.

– Jestem dentystą. Mam zawód. Nie jestem stworzony do takiej harówki.

– A co to wielkiego wyrwać zęb? – naskoczyła na niego. – Magda jest żoną generała.

A ja byłam spikerką.

Dentysta o twarzy poszarzałej od pyłu i rozczarowań miał siłę, żeby się skarżyć, ale brakło mu jej, żeby się kłócić. Udział w sporach wymaga energii.

– Tak tylko mówię – wymamrotał niewyraźnie.

Nagle jakiś gruby mężczyzna z krótką szczeciną na głowie i brodzie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej garść lizaków, kolorowych landrynek na patyku, które przywieźli tu Brytyjczycy. Wyciągnął je przed siebie niczym bukiet tulipanów.

– Zębom nie służą, co, Steytler? Ale pomagają na szcurzy oddech i oszukują głód.

Można je lizać nawet przez godzinę.

Włożył jednego do ust, dając wszystkim do zrozumienia, że jest przepyszny.

– Mógłby się pan podzielić – rzuciła żona generała ze stanowczością osoby nawykłej do stawiania na swoim.

– Nie za darmo – odparł chełpliwy Prusak.

– Wstydu pan nie ma. – Magda potrząsnęła głową.

- Za to mam rodzinę do wykarmienia. Kartki nie wystarczą. Nie stać mnie nawet na światło. Zamiast wrzucać pieniądze do licznika, wolę je wydać na jedzenie.
- Lepiej siedzieć po ciemku niż na głodniaka – przytaknęła dawna spikerka.
- Człowiek nie chodzi głodny, jeśli tu i tam coś zwędzi. Nawet biskup Kolonii stwierdził, że wolno kraść węgiel, jeśli od tego zależy czyjeś życie. To jedenaste przykazanie.
- Robią z nas kryminalistów – poskarżył się dentysta.
- Bo za takich nas mają.
- Ja nie jestem przestępcą. Mam czyste sumienie – zaperzył się dentysta.
- Wszyscy jedziemy na jednym wózku – podsumował Prusak. – A przecież wszystkich nie wsadzą.
- Chcecie, to się obwiniajcie – zaprotestował dentysta. – Ja jestem winien tylko tego, że spełniam swój obowiązek. Wszystkie zęby i ubytki są takie same. Nieważne, w czyich ustach. Muszę dopełnić przysięgi Hipokratesa.

Na to stwierdzenie wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Frieda miała ochotę oświecić tego głupka. Już miała się odezwać, gdy Albert znów położył jej dłoń na ramieniu, tak jak wtedy, kiedy zaczęła nucić pieśń Hitlerjugend na oczach palących papierosy i dowcipkujących brytyjskich żandarmów. Rzucił jej też konspiracyjne spojrzenie, jakby mówił: „Nie warto”. Z radością poczuła, że tworzy się między nimi sojusz.

– To znamię... na ramieniu. Masz je od urodzenia?

– Nie tutaj – odpowiedział, patrząc na nią z przyganą.

Nagle zerwał się z ławki i dwukrotnie uderzył otwartą dłonią w bok ciężarówki, żeby się zatrzymała. Kierowca spełnił jego życzenie. Albert i Frieda zeskoczyli z paki w miasteczku Blankenese, kilka kilometrów od willi Lubertów, tam, gdzie Elbchaussee odchodzi od rzeki. Na jej drugim brzegu, nad miejscowością Stade, właśnie zachodziło słońce, nadając całej okolicy kolor ognia.

– Nie idź ze mną – nakazał jej Albert, unosząc klapy marynarki, by zasłonić twarz. – Trzymaj się co najmniej dwadzieścia kroków z tyłu.

– Daleko to?

Ruszył, nie odpowiedziawszy na jej pytanie. Szedł tak szybko, że Frieda miała wrażenie, jakby próbował ją zgubić. Musiała wciąż przyspieszać kroku, by nie znikł jej z oczu.

Dawna wioska rybacka Blankenese była, jak na tę okolicę, wyjątkowa, gdyż znajdowało się tam strome wzgórze, wokół którego – na średniowieczną modłę – tłoczyły się stare domy i kilka nowych willi. Przed wojną Frieda przyjeżdżała tu z matką, by podziwiać sunące po rzece statki, siedząc w urządzonej na łodzi tawernie, w której odgrywano

hymny narodowe wszystkich zagranicznych jednostek wpływających do portu w Hamburgu. Teraz na rzece nie było statków, jeśli nie liczyć ciężkiego brytyjskiego krążownika. Na niebie wisiały opasłe, szaroczarne chmury gotowe zasypać miasteczko czarodziejskim śnieżnym puchem.

Albert zaczął się wspinać na szczyt wzgórza. Frieda podążyła za nim. Zastanawiała się, gdzie mieszka jej nowy znajomy. W końcu skręcił z drogi w bramę ogrodu jakiegoś krytego strzechą domu. Podszedł do drzwi frontowych, rozejrzał się na boki i ruszył do bocznego wejścia, zerkając po drodze w oszronione witrażowe okna. Idąc po wyłożonej płytą chodnikową ścieżce, Frieda pomyślała o zagubionych w lesie Jasiu i Małgosi, którzy natknęli się na dom z chleba, ciastek i cukru. W końcu jednak wymieszała wątki i obsadziła Alberta w roli księcia, który przebudził ją z długiego snu i uratował przed ojcem, a ten – jak się szczęśliwie okazało – wcale nim nie był.

– Długo tu mieszkasz? – spytała, wchodząc za nim do środka.

– Niedługo – odpowiedział.

W domu roiło się od dywaników, poduszek i narzut. Albert rozłożył na fotelu ciężki kilim i usiadł, żeby zdjąć buty.

– Należy do lekarza wojskowego, majora Sheibli. On sam utknął w obozie dla przesiedleńców. Czeka tam na certyfikat.

Frieda dostrzegła zdjęcie doktora siedzącego w koszu motocykla gdzieś na pustyni, w pokrytych kurzem goglach i hełmie z czerwonym krzyżem. Na szyi miał Krzyż Żelazny.

– Znasz bohatera wojennego? – spytała, biorąc do ręki fotografię, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

– Nie znam go. Korzystam tylko z jego domu. Skoro Brytyjczycy mogą, to czemu nie my?

– Jeśli jest bohaterem, może trafić do więzienia.

– Kiedy Anglicy odkryją, że walczył pod Rommlem, wypuszczą go. Teraz muszę się przenieść. Zbyt wiele osób widziało, jak się tu kręcę. Znalazłem już inny dom, przy Elbchaussee, niedaleko ciebie.

– A więc będziemy sąsiadami.

– Co robili twoi rodzice, że jesteście tacy bogaci?

– Ojciec był architektem... a rodzina matki miała koneksje w stoczni.

– Blohm und Voss? – W oczach Alberta pojawiły się iskielki.

Frieda skinęła głową.

– Nie przeszkadza im, że się tak włóczysz?

– Mama nie żyje, a... zdaniem ojca się nie przejmuję.

– Nie będzie cię szukał?

– Po całych dniach pracuje w fabryce Zeissa. Mogę wychodzić, kiedy tylko zechcę.

Albert ściągnął jeden but, później drugi. Wstał, przeszedł do kuchni i zaczął szukać podpałki do pieca. W koszu nie było ani kawałka drewna. Rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na ręcznie rzeźbionym, stojącym w rogu stołku o trzech nogach. Podeszedł i trzema uderzeniami rozłupał go na kawałki na kamiennej posadzce.

– Już dawno chciałem go spalić.

Wepchnął drzazgi do pieca i je podpalił. Następnie nalał wody do dużego rondla i postawił go na palenisku.

– Jak to się stało, że wciąż mieszkacie w swoim domu? Myślałem, że Angole zajęli wszystkie najlepsze.

Frieda przygryzła nerwowo usta i zaczęła wyjaśniać, z rosnącym podnieceniem i złością, że dzielą dom z pewną angielską rodziną. Opowiedziała mu o dziwacznej decyzji pułkownika, który pozwolił im zostać, choć mógł – a właściwie powinien – ich stamtąd wyrzucić, o jego żonie, która mówiła do siebie i której drżały ręce, oraz o ich synu, który bawił się jej domkiem dla lalek i wszędzie zabierał ze sobą swojego szmacianego żołnierza. Gdy mu to wszystko opisywała, zauważyła, że Albert słucha jej z coraz większą uwagą.

– Czym się zajmuje ten wasz pułkownik?

– Jest gubernatorem okręgu Pinneberg. Nie wiem, co robi. Rzadko bywa w domu. To prawdziwa hańba, żeby jeździł takim samym samochodem, jakim wożono Führera – dorzuciła, żeby mu zaimponować, ale on tylko się zamyślił.

– Jest gubernatorem? – upewnił się i zaczął przechadzać się po pokoju.

Potwierdziła, wciąż nie wiedząc, czy jest zadowolony, czy przestraszony.

– To dobrze. Bardzo dobrze – powiedział.

Poczuła, jak ogarnia ją ciepło. Ponizenie związane ze stratą domu nagle nabrało dla niej sensu. Wiedziała, że może Albertowi wiele zaoferować. Stanął nad rondlem i sprawdził palcem temperaturę wody. Później rozebrał się do majtek. Jego zachowanie i wygląd nie miały w sobie nic powierzchownego. W oczach Friedy był ideałem, nawet ta jego blizna – dwie ósemki.

– Nie powiedziałaś mi, co to jest.

Dotknął blizny i spojrzał na Friedę.

– To symbol ruchu oporu, ludzi, którzy nie pogodzili się z klęską.

Wyciągnął rękę, żeby mogła dotknąć. Powiodła palcem po pierwszej ósemce, a później po drugiej, wyczuwając poszarpane brzegi blizny.

– Jak to sobie zrobiłeś?

Albert podeszedł do komody i wyjął z szuflady paczkę papierosów.

– Tak.

Zapalił i głęboko się zaciągnąwszy, podał papierosa Friedzie. Wzięła go, niezdarnie wcisnęła do ust i też się zaciągnęła. Natychmiast zaczęła się dusić i kaszleć. Albert wybuchnął niespodziewanie piskliwym śmiechem – takim, jakim śmieją się chłopcy, a nie mężczyźni.

– Za ostro! Powoli, o tak. – Wziął papierosa i zaczął jej demonstrować. – Po troszku – wyjaśnił, zaciągnął się lekko i oddał jej go.

Trzymała papierosa przez chwilę, przyglądając mu się. Zamiast się zaciągnąć, chwyciła go niczym magik szykujący się do pokazania jakiejś sztuczki. Upewniwszy się, że Albert na nią patrzy, obróciła rozżarzony czubek w stronę swojej otwartej dłoni, po czym zaczęła go do niej zbliżać, jakby chciała go tam zgasić.

Albert przerwał tę zabawę, odbierając jej papierosa.

– Nie marnuj ich.

Frieda poczuła wzbierające w oczach łzy. Przez moment była dla niego prawdziwą niemiecką damą, a teraz stała się małą, głupią dziewczynką.

Albert wyciągnął ku niej obrócone wierzchem dłonie.

– Widzisz je?

Spojrzała, niepewna jego następnego ruchu.

– Co widzisz? – Zbliżył się do niej, żeby mogła wyraźnie dojrzeć skórę, palce i paznokcie.

Wciąż milczała, bojąc się, że znów palnie coś głupiego. Jeśli chce mu się przypodobać, powinna siedzieć cicho. Za zamkniętymi drzwiami, z dala od obcych spojrzeń, Albert przemienił się z czujnego, ostrożnego młodzieńca w kogoś zaciekłego. Coś, co zwykle skrywał i powstrzymywał, zaczęło wypęłzać na wierzch.

– Widzisz te paznokcie? – spytał.

Jego paznokcie – podobnie jak jej – były wciąż czarne po całodzienniej harówce. Albert wydrapał kciukiem brud spod paznokcia palca środkowego i podsunął jej pod nos drobinki popiołu i zaschniętego kurzu.

– To pył tego miasta, prochy naszych rodaków. Spójrz. – Rozkruszył brud na dłoni. – Szczątki młodej Niemki. Widzisz je? – Przytknął dłoń do ust, zlizął „szczątki młodej Niemki” i połknął je, wymieszane ze śliną. Potem wydłubał na dłoń jeszcze trochę pyłu i wyciągnął rękę, by zlizala go Frieda. – Prochy niewinnych niemieckich dzieci, które nigdy się nie dowiedzą tego, co my wiemy, ani nie zobaczą tego, co my widzimy.

Frieda ujęła jego dłoń i zlizala „prochy niewinnych niemieckich dzieci”, wchłaniając je w siebie. Albert chwycił ją za nadgarstki i rozwarł jej rękę. Przesunął palcem po jej dłoni, a później po bladej skórze wewnętrznej strony przedramienia, aż do łokcia i z powrotem.

– Nie pomożesz Niemcom, jeśli zrobisz sobie krzywdę – powiedział. – Mieszkając w tym domu, możesz bardzo przysłużyć się sprawie. Potrzebujemy towarów do sprzedaży na

czarnym rynku: papierosów, leków, kosztowności, ubrań, wszystkiego, co ma jakąś wartość. Pomożesz nam?

Skinęła głową.

– Wam, czyli komu?

– Ruchowi oporu. Wkrótce ich poznasz.

– Wielu was jest?

Nagle uniósł jej brodę i pocałował ją, wpychając jej język w usta, żeby poczuła cierpki smak ich całodziennej harówki. Już ją całowali i dotykali w dusznej chacie na obozie letnim, gdzie zachęcano dziewczęta i chłopców z hitlerowskich organizacji do mieszkania w koedukacyjnych pokojach, by mogli poznać „rozkosze życia”, ale teraz to nie było to samo. Chłopak, który wepchnął jej wtedy palce, był młodziutki. Przyglądali się temu jego koledzy, a ona leżała i nie czuła kompletnie nic. W porównaniu z nim Albert był już mężczyzną.

– Musisz ustalić dla mnie parę szczegółów dotyczących tego pułkownika. Skoro jest gubernatorem, to na pewno sporo wie.

Znów skinęła głową.

Po tym pocałunku była gotowa pojechać nawet do rosyjskiej strefy okupacyjnej, gdyby ją o to poprosił.

Przyciągnął ją do siebie.

– Nikomu o mnie nie mów, jasne? – Jego uścisk sprawił jej ból, a wyraz twarzy ją przestraszył.

– Tak.

– Ja nie istnieję. Powtórz!

– Nie... istniejesz.

Jego uścisk zelżał, a na twarzy pojawił się uśmiech.

– Świetnie – rzucił.

Podszedł do płaszcza wiszącego na oparciu krzesła i wyjął z kieszeni coś, co przypominało tubkę z pastylkami do ssania. Włożył jedną do ust i popił wodą. Zaczął przechadzać się po pokoju, po czym przysiadł na brzegu fotela, nerwowo poruszając nogami. Wyglądał, jakby zupełnie nad sobą nie panował.

– Dlaczego bierzesz leki?

– Dzięki nim nie śpię.

Nagle dojrzała w jego oczach strach i cierpienie. Początkowo nie chciała w to uwierzyć. Klóciło się to z jej wizerunkiem tego człowieka. Już nie wyglądał jak prawdziwy mężczyzna. Ale poczuła także coś jeszcze. Wyciągnęła rękę i pogładziła go po twarzy, jak robiła to kiedyś jej matka, gdy Frieda nie mogła zasnąć, słysząc warkot bombowców,

przerażona, że zginie w straszliwej pożodze, podczas snu. „A co się stanie, jeśli umrę, kiedy będzie mi się coś śniło?”, pytała Claudię, a ta zawsze odpowiadała: „Nikt cię nie skrzywdzi”. Powtarzała te słowa, głaszcząc twarz Alberta.

– Nikt cię nie skrzywdzi.

Albert wzdrygnął się, nie wiedząc, jak zareagować na jej gest niczym stworzenie, które nigdy nie zaznało takiego dotyku. Pogłaskała go może dwa razy, a potem się odsunął, mruczając niewyraźnie, że musi umyć ręce. Widocznie dotyk nie był właściwym lekarstwem na to, co go gryzło.

Morganowie akurat grali w karty przy kominku w holu, gdy nagle na schodach pojawił się Herr Lubert. Kilka kroków za nim stąpała onieśmielona i oporna Frieda.

– Przepraszamy za to najście – rzucił Lubert, a jego twarz była surowa.

Lewis wstał.

– Herr Lubert, właśnie mówiliśmy... prawda, kochanie? ... że powinni państwo zagrać z nami partyjkę albo obejrzeć jakiś film na projektorze. Wszystko w porządku?

Lubert skinął głową. Czekał na Friedę, która stanęła krok za nim, poza jego polem widzenia, zmuszając go, by obrócił się w jej stronę.

– Przyszliśmy... Frieda przyszła... żeby państwa przeprosić.

Rachael spojrzała na Friedę, która miała spuszczone wzrok. Jedna jej ręka zwisała wzdłuż tułowia, a druga obejmowała ją z tyłu za łokieć. Dziewczyna nerwowo się drapała.

– Za co? – spytał Lewis.

– Za to. – Lubert wyciągnął dłoń, w której trzymał głowę Cuthberta.

– Znalazł ją pan! – ucieszył się Edmund.

– Friedo? – Lubert cofnął się o pół kroku, by oddać głos córce.

Zapadła długa i niezręczna cisza. Rachael już chciała ją przerwać, zapewniając, że to na pewno nic takiego, ale Frieda w końcu przemówiła.

– *Es tut mir leid* – rzuciła ledwie dosłyszalnie.

– Po angielsku! – upomniał ją ojciec, wciąż wyraźnie spięty.

– Przepraszam.

Frieda mówiąca po angielsku – i to w dodatku dobrze – była zaskoczeniem dla Rachael.

– To miłe z twojej strony, Friedo – pochwaliła ją.

– Przeprós Edmunda – nie dawał za wygraną Lubert.

– Przepraszam – powtórzyła Frieda, spoglądając na chłopca.

– Nie ma sprawy – odpowiedział. – Nic się nie stało.

– Wybacz, ale stało się, Edmundzie – zaoponował Herr Lubert i wyciągnął rękę z głową Cuthberta. – To twoja własność.

– *Das gehört mir!* – krzyknęła Frieda, obróciła się na pięcie i wbiegła na schody, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Lubert wrzasnął za nią:

– *Komm sofort zurück, Frieda!*

Przez chwilę wydawało się, że zaraz rzuci się za nią w pościg.

– Herr Lubert, bardzo pana proszę – wtrąciła się Rachael. – Przeprosiny wystarczą.

Zostały przyjęte.

– Ach! – Niemiec westchnął, rozkładając ręce w geście rozpaczony. – Jest w niej dużo złości i cierpienia. Przepraszam...

– Herr Lubert, wszyscy doceniamy, że przyszła nas przeprosić – odezwał się Lewis. – Na pewno jest jej ciężko.

– Same kłopoty – rzekł Lubert. – Może jednak powinniśmy zamieszkać u mojej szwagierki w Kilonii.

– Nie ma takiej potrzeby – zaprotestowała stanowczo Rachael. – Proszę mi to dać.

Lubert podał jej oderwaną głowę szmacianego żołnierza.

– Zaraz ją przyszyję – powiedziała Rachael.

– Dziękuję. – Niemiec skinął głową i bezwiednie zastukał obcasami. – Panie pułkowniku – rzucił i obrócił się w stronę Edmunda. – Przepraszam cię za to. Obiecuję, że już nigdy się to nie powtórzy.

ROZDZIAŁ 6

– Podoba ci się moja fryzura? Tylko szczerze.

– Tak.

– Nie wydaje ci się, że wyglądam jak pudel?

– Nie, pasuje ci.

– Co chciałaś przez to powiedzieć, Rachael? Zabrzmiało to bardzo dwuznacznie.

Uważasz, że jestem zepsutą, rozkapryszoną krową? Nieważne. Moja fryzjerka, Renate, twierdzi, że to najmodniejsze cięcie. „Na Katharine Hepburn”. Ma okropne zęby i śpiewa amerykańskie szlagiery z nedorzecznym akcentem, ale z wałkami i szpilkami radzi sobie jak nikt. Powinnaś do niej zajrzeć.

– Myślisz?

Susan Burnham aż przystanęła i spojrzała na Rachael z udawaną zgrozą.

– Pewnie, że tak. Spójrz tylko, wyglądasz jak zarośnięty ogród. Nie dbasz o siebie.

Pamiętaj, że konkurencja nie śpi. W tym mieście jest dwa razy więcej Niemek niż Niemców. Musimy chronić naszych mężów przed nimi samymi, żeby nie strzelali do nich oczami!

Pani Burnham zakończyła tę wypowiedź efektownym zmysłowym salutem. Rachael uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że wybuchnęła śmiechem, a raczej dzikim chichotem, który – jak niezmiennie powtarzał Lewis – był jednym z powodów tego, że się w niej zakochał.

Śmiała się jeszcze więcej podczas trwającej dwadzieścia minut jazdy samochodem do sklepu dla brytyjskich wojskowych, w centrum Hamburga. Siedziała wraz z panią Burnham w wozie o wyłupiastych reflektorach i sylwetce chrząszcza, nowym, niezwykle pożądanym modelu volkswagena. Był niewygodny jak kościelna ławka i hałaśliwy niczym dwupłatowiec. Kobiety musiały przekrzykiwać warkot umieszczonego z tyłu silnika, ale i tak jazda nim była frajdą.

Wyprawa miała bardziej charakter ekspedycji poznawczej niż przejażdżki do sklepu.

Susan Burnham żartowała ze wszystkiego – począwszy od samochodu („mały dziwny wózek, przypomina biedronkę, ale nawet mi się podoba”), a na szczegółach swojego pożycia intymnego skończywszy („Odkąd tu jesteśmy, parzymy się jak króliki”). Mało brakowało, żeby opisała Rachael, jak przebiegł ich ostatni stosunek. „Nie wiem, co to takiego, ale tu naprawdę jest coś w powietrzu. Nie czujesz tego? Tu jest po prostu inaczej, mam poczucie, jakbym mogła bezkarnie szaleć. To bardzo wyzwalające”. Mimo jej wulgarności Rachael znajdowała w niej sporo zalet. Nawet jeśli była bezwstydną, to miała również wielkie serce. Jeśli była sprośna, to przynajmniej szczerą i jedynie mówiła głośno o tym, o czym inni po cichu myśleli. Może i chciała piąć się po szczeblach drabiny społecznej, ale wydawało się, że w każdej chwili mogłaby z tego zrezygnować. Zawsze też korzystała z nadarzających się okazji.

– A wy nadrabiacie stracony czas?

Rachael zerknęła na szofera – młodzieńca niewiele starszego od Michaela, z identycznym meszkiem na karku. Pewnie oblewał się rumieńcem pod swoją tramwajarską czapką z daszkiem.

– Erichem się nie przejmuj. Nic nie rozumie, prawda, Erich?

– *Bitte, Frau Burnham?*

– Nic, nic.

Zaczęła malować sobie usta, przeglądając się w lusterku wstecznym. Przesunęła się przy tym na środek i – żeby lepiej widzieć – wychyliła się do przodu, prezentując przy okazji swój obfity biust. Erich zerknął w lusterko i odwrócił wzrok. Jego ręce zacisnęły się na kierownicy.

– No to, jak wam się układa?

– Nie ma o czym mówić – odrzekła Rachael.

– Daj spokój. Nie odpuszczę. Ciocia Susan chce się dowiedzieć.

– Serio.

– Nic a nic?

– Nic szczególnego. Jakie masz relacje ze służbą?

– O, nie, kochana. Nie dam się tak łatwo zbyć. To niedobrze. Straciłaś ochotę?

Rachael nigdy nie mówiła tak otwarcie o seksie. Nawet doktor Mayfield, ze swoimi wszystkimi nowymi teoriami dotyczącymi neuroz, manii i libido, nie drażył z nią tego tematu. Zawsze uważała, że o tych sprawach, tak jak o religii, nie powinno się rozmawiać, nawet z mężem.

– Na czym polega problem?

Rachael pokręciła głową, próbując znaleźć odpowiedź na to pytanie. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to sufit w ich sypialni, przyozdobiony subtelną sztukaterią, abażury lamp

w kształcie łabędzich skrzydeł i Lewis przegryzający opakowanie prezerwatywy.

– Prawdę mówiąc, rzadko się widujemy. On dużo pracuje...

– ... i ciężko. Wiem. Jak oni wszyscy. Musisz przejąć inicjatywę. Nie możesz liczyć tylko na to, że wreszcie trafi się odpowiedni moment.

– Susan... wolałabym o tym nie rozmawiać – ucięła Rachael, czując, jak coś ściska ją w gardle.

– Jasne. To przykre, gdy coś, co powinno być miłe i naturalne, staje się trudne i krępujące. Ale to ważna sprawa. Tak samo ważna jak praca naszych mężów. Zresztą pomaga im lepiej wypełniać obowiązki.

– To kwestie intymne.

– Nie zgadzam się. Powinniśmy częściej o tym rozmawiać. Zdrowe pożycie małżeńskie ma na nas większy wpływ, niż myślisz. Uniknęlibyśmy wielu wojen, gdyby ludzie poświęcali tyle samo czasu miłości, co próbom zapanowania nad światem. Jestem o tym przekonana. Ten paskudny kurdupel Hitler powinien był znaleźć sobie porządną żonę, a nie tę wywłokę, sekretarkę. Stalin się kurwił. Mussolini miał cały zastęp kochanek... i co? Wojnę wygrali żonaci faceci cieszący się udanym życiem seksualnym, jestem tego pewna!

Teoria pani Burnham wywołała uśmiech Rachael, ale także ciąg dziwacznych, nieprzyjemnych obrazów: Hitler w pizamie, Stalin w objęciach bujnej kaukaskiej służącej, Mussolini i jego kochanka na stryczku, opuchnięci, zmasakrowani, wiszący na drzewie...

– Za chwilę oskarżysz mnie o wywołanie wojny!

– Przyjaźnimy się, więc będę cię wypytywać, indagować i wściubiać nos. To mój obowiązek. Wiem od Keitha, że w przyszłym tygodniu ma się odbyć spotkanie z tym obdartym socjalistą, Shawem. Lewis pewnie też przyjdzie?

– Wspomniał, że w najbliższych dniach czekają go jakieś ważne sprawy, ale nie jest wylewny, jeśli chodzi o pracę. Zwykle zostawia ją za drzwiami.

– Przyjrzałaś się jego tłumaczce?

– A powinnam?

– Ja uparłam się, żeby Keith wybrał najbrzydszą i rzeczywiście, wziął to sobie do serca. Jak najszybciej zaprosz tłumaczkę Lewisa na herbatę. Jeśli jest choć odrobinę atrakcyjna, każ mu ją zwolnić.

Myśl, że jakaś kobieta mogłaby się zainteresować Lewisem, wydała się jej dziwnie budująca, bo jeśli Rachael czegoś była pewna, to tego, że mąż nigdy jej nie zdradzi.

– Musisz być bardziej stanowcza. Ja nigdy nie dałabym się zbyć, gdyby Keith powiedział mi, że „w najbliższych dniach czekają go jakieś ważne sprawy”. Cóż jest w nich takiego ważnego, że nie może mi o nich powiedzieć? Domagaj się informacji i nie spocznij,

póki ich nie uzyskasz. O tak, ja zawsze wiem, co się dzieje. Keith przejął większość metod przesłuchań ode mnie.

– Lubi swoją pracę?

– Podobno jest w tym bardzo dobry. Ma dużo cierpliwości, a to chyba istotne. Ja byłabym kiepską śledczą.

– Mówisz mu o wszystkim?

– O wszystkim, o czym powinien wiedzieć. – Pani Burnham mrugnęła do niej, zakręciła pomadkę, głośno cmoknęła i zajęła poprzednią pozycję na kanapie. – Nie martw się, twoje sekrety są bezpieczne. Keith w życiu niczego ode mnie nie wyciągnie.

Nie zabrzmiało to uspokajająco. Rachael nie powiedziała przyjaciółce właściwie niczego ważnego, a już miała poczucie, że zbyt odsoniła przed nią zarówno siebie, jak i Lewisa, pozostawiając jej pole do najróżniejszych domysłów.

– Nie mamy żadnych sekretów. Wszystko jest i będzie dobrze – rzuciła.

Susan Burnham zerknęła na nią, jak dorosły spoglądający na dziecko, które właśnie mu oświadczyło, że polecą razem na Księżyc i z powrotem.

Sklep dla rodzin brytyjskich wojskowych – NAAFI – mieścił się w schludnym, nietkniętym przez bomby, piętrowym budynku niedaleko jeziora Alster. Żeby tam dotrzeć, musiały minąć operę ze zburzoną salą koncertową oraz kino Astra, w którym na seansie popołudniowym wyświetlano film *Henryk V*, z Laurence’em Olivierem w roli głównej, w wersji angielskiej, a wieczorem ten sam film w wersji niemieckiej. Informowały o tym dwa wiszące obok siebie różnojęzyczne plakaty.

– Godzina, Erich – rzuciła pani Burnham, gdy zatrzymali się przed sklepem. – *Zurück in einer Stunde.*

Na ulicy stało kilka Niemek z tekturowymi tabliczkami na szyi. Rachael sądziła, że to demonstrantki, ale gdy podeszła bliżej, zauważyła, że na tabliczkach widnieją zdjęcia mężczyzn – mężów, synów lub braci – ich krótki życiorys, adres kontaktowy oraz prośba o wszelkie informacje dotyczące zaginionych. Jej uwagę przyciągnęła twarz na tabliczce pierwszej z kobiet. Nazywał się Robert Schloss i był z zawodu kasjerem. Miał na głowie niepozorną czapkę sanitariusza, na nosie okulary w drucianej oprawie. Kształt jego podbródka i otwarte spojrzenie przypomniały jej Michaela. Nagle zapragnęła dowiedzieć się jak najwięcej o Herr Schlossie. Adres kontaktowy...

– *Bitte?* – rzuciła kobieta z nadzieją w głosie. – *Haben Sie ihn gesehen?*

Rachael przeniosła wzrok z tabliczki na twarz kobiety. Elegancki kapelusz przytrzymała zawiązana pod brodą chustka. Wywinięty brzeg upodabniał go do czepca. Kobieta wyglądała w nim jak pasterka. Były w niej desperacja i nedorzeczne

wyczekiwanie, jakby Rachael rzeczywiście mogła coś wiedzieć o jej zaginionym mężu i przyjechała tu specjalnie po to, by przekazać jej dobre wieści.

– *Haben Sie ihn gesehen?* – powtórzyła.

Rachael poczuła na swoim łokciu dłoń pani Burnham.

– Jasne, że go nie widziała! *Lassen Sie sie in Ruhe!* – Susan zbyła ją machnięciem ręki i szepnęła do Rachael: – Pamiętaj, że one polują na naszych mężów. – Po czym przeprowadziła ją przez coś, co było kiedyś główną bramą kamienicy, do niepozornych drzwi w zaułku.

Nie wiedząc, co się za nimi mieści, nikt by tam nie wszedł. Szklana witryna sklepu została zaciemniona, żeby nie było widać zgromadzonych wewnątrz towarów.

– Nie chcę, żeby Niemcy widzieli, co jest w środku, bo poczuliby się tym większymi nędzarzami – wyjaśniła pani Burnham. – Osobiście uważam, że tak wygląda to jeszcze gorzej.

Rachael przyznała jej rację. To zaciemnienie kłuło w oczy. Było nie tyle dyskretną przesłoną, ile potwierdzeniem, że sprzedawane wewnątrz dobra pozostają poza zasięgiem większości tutejszych przechodniów i że wbrew deklaracjom brytyjskich władz okupacyjnych w strefie funkcjonują dwie gospodarki – jedna dla miejscowych i druga dla sił okupacyjnych.

– Wiesz, co naprawdę myślę? – ciągnęła pani Burnham. – Myślę, że władze chcą, abyśmy Niemcy uważali, że jesteśmy bogatsi, niż to ma miejsce w rzeczywistości. To kwestia fałszywego honoru: kraj okupanta ma być postrzegany jako potężny i zamożny.

Jej cyniczne uwagi potwierdziły się, kiedy weszły do środka. To nie zawstydzenie własnym bogactwem kazało Brytyjczykom zasłonić witrynę, lecz wstyd spowodowany ubóstwem oferty sklepu. Gdyby Niemcy zobaczyli, jakie produkty są tam dostępne, byłiby zaskoczeni ich lichością i pewnie zaniepokojeni faktem, że kraj, który narzuca im swoje rządy, sam ledwo potrafi się porządnie wyżywić.

– Jedyna rzecz, która sprawia, że robienie tu zakupów jest do zniesienia, to świadomość, że mam tutaj większy wybór niż moja siostra w East Sheen. W Anglii obowiązują teraz kartki na chleb. Uwierzyłabyś? Na chleb! Nie było ich nawet w czasie wojny.

Naturalnie był tam gin. Całe półki Gordon's, London Dry i Booth's. Obecność krajowych marek dodawała otuchy i uspokajała. Destylarnie najwyraźniej nie borykały się z problemami nękającymi wytwórców innych towarów. Wybór podstawowych produktów może i był skromny, lecz wypróbowane imperialne używki wciąż lały się szerokim strumieniem. I nie było to wcale złe. Każdy komendant, generał i gubernator wiedzieli, że gin przydaje wyrafinowania choćby najskromniejszej placówce i podnosi morale

najbardziej załamanych sług królestwa. Jego produkcja i dystrybucja była zatem narodowym priorytetem.

To właśnie do półek z ginem pani Burnham ruszyła najpierw.

– Keith narzeka, że bez toniku smakuje jak parafina, ale nędzarze nie kapryszą. Bóg jeden wie, kiedy znów posmakujemy toniku. Chwilowo będziemy pić gin z wermutem. Póki mamy angostura bitters^[3], będziemy pić różowy gin, a póki mamy syrop pomarańczowy, będziemy pić gin z sokiem: gin, syrop i trochę wody! Nikt się nie będzie skarżył, jakoś przeżyjemy, aż w końcu wróci nasz pyszny tonik. A zanim nadejdzie ten szczęśliwy dzień, będziemy się wykazywać pomysłowością. Patrz, jaki tani! Cztery szylingi za butelkę! Najwyraźniej chcą, żebyśmy się upijali i prowadzili bujne życie towarzyskie. Spełnimy to życzenie. Zresztą już najwyższy czas, żeby żona gubernatora zorganizowała pierwsze przyjęcie.

Wypowiedziawszy te słowa, pani Burnham chwyciła cztery butelki ginu i włożyła je do torby.

Sprzedawcy w NAAFI nie dbali o właściwą prezentację towarów. Wszystkie produkty żywnościowe i napoje stały jak popadło, w rzędach, popakowane w kartony. Ten brak sztafażu podziałał na Rachael kojąco. Nigdy nie lubiła robić zakupów i taka forma sprzedaży sprawiała, że nie były one dla niej zbyt wielką udręką. Regały obstawione wyłącznie jednym produktem bardzo upraszczały sprawę. Było w tym coś niemal futurystycznego. Płacenie kuponami lub ośmiokątnymi tekturowymi „monetami” wzmagало poczucie zakupów na niby.

Inne obecne w sklepie Brytyjki – bo były to niemal wyłącznie kobiety – dokonywały zakupów z ledwo skrywaną histerią. Kilka wystroiło się tak, jakby za chwilę szły do teatru. Rachael też zdobyła się na pewien wysiłek, wkładając wełniany kostium, nieco bardziej elegancki, niż było to konieczne, i dla kogoś z zewnątrz jej strój i zapach idealnie komponowały się z wełnami, nylonami, wonią perfum i pudru, jednak sama czuła się tam nie na miejscu. Nie chodziło o to, że przebywa w innym kraju, ani nawet o „rozbitcie osobowości”, którą zdiagnozował u niej doktor Mayfield. Zakupy zawsze przynosiły jej poczucie niespełnienia.

– Gotowa do zmiany piętra?

Pani Burnham poprowadziła Rachael w stronę windy, którą pojechały z działu żywności i napojów do mieszczącego się na pierwszym piętrze działu ubrań i zabawek. Okazało się, że winda to stary paternoster bez drzwi. Rachael, która nigdy wcześniej nie widziała takiego urządzenia, podeszła do niej z wahaniem, bojąc się, że trafi na moment, kiedy dźwig nie będzie ani na dole, ani na górze. Stała obok jakiegoś chłopca, rozradowanego, że wybrał się na zakupy z mamą. Maluch przesuwiał kółka małego samochodziku po

swojej dłoni.

– Ładny samochód – powiedziała. – Skąd go masz?

– Kupiliśmy na górze. To lagonda tourer – odpowiedział, z dumą demonstrując Rachael nowy nabytek. – Dzisiaj kupimy niemiecką wyścigówkę. Mają wszystkie najnowsze modele.

Rachael ani razu nie pomyślała tego ranka o Edmundzie, ale zaczęła myśleć o nim teraz. Został w domu, bo właśnie miał lekcje z chudym jak szkielet i nieco przerażającym Herr Koenigiem. Rachael udzieliła sobie w duchu nagany. Ostatnio zaniedbywała syna i poświęcała mu mało uwagi, usprawiedliwiając się sama przed sobą, że daje mu wolność i przestrzeń, które rekompensują mu brak czułości i zainteresowania z jej strony. Stwierdziła, że przesadza z tą swobodą i że jeśli nie będzie ostrożna, w końcu go straci. Wjchawszy na piętro, w przypływie nagłej troski kupiła synowi lagondę tourera i niemal biegiem wróciła do samochodu.

– Uwaga na lód! – ostrzegła pani Burnham, kierując ją na przód samochodu. – Wszystko tu na odwrót! Bagażnik tam, gdzie silnik.

Rachael podała Erichowi ciężką papierową torbę pełną butelek ginu, whisky i papierosów, ale prezent dla Edmunda zatrzymała przy sobie.

– Podjedziemy na kawę i przejrzyć czasopisma do Carlisle Club?

– Wolałabym wrócić prosto... do domu – odpowiedziała Rachael, zaskakując samą siebie, że użyła tego słowa.

– Dobrze, pokaż mi ten swój pałac.

Kiedy mijali dworzec kolejowy Dammtor, znów zobaczyły obwieszone tabliczkami kobiety. Wylewały się z niego setki grubo ubranych mężczyzn przybyłych z różnych zakątków kraju. Kobiety obracały głowy to w tę, to w tamtą stronę, próbując dojrzeć, czy przypadkiem ich zaginiony nie podąża wraz z rzeką uciekinierów. Rachael dostrzegła, jak jakiś mężczyzna podbiega i rzuca się w ramiona jednej z kobiet. Padł przed nią na kolana i ucałował zdjęcie, które miała zawieszona na szyi, po czym wstał, uniósł ją z ziemi i zaczęli razem wirować.

– Nie patrz!

Jeśli pani Burnham sądziła, że nakryła Rachael na niestosownym okazywaniu współczucia wrogom, to się myliła. Rachael nie współczuła, tylko zazdrościła szczęścia tym tańczącym z radości ludziom. Czy gdyby Lewis zaginał, przyczepiłaby sobie tabliczkę i wystawała z nią przed dworcami kolejowymi, na mrozie, licząc, że w końcu się zjawi? Nie była tego taka pewna.

– *Ich heisse Edmund. Ich bin Englisch.*

– *Engländer* – łagodnie poprawił go „Szkielet”.

– *Engländer. Ich heisse Edmund. Ich bin Engländer.*

– Masz doskonały akcent.

„Szkielet” wyraźnie się trząsł. Próbował to ukryć, zacierając i składając ręce niczym ksiądz. Edmund nie dał się na to nabrać, ale z sympatii i szacunku dla nauczyciela udawał, że tego nie widzi, tak jak udawał, że nie czuje bijącego od niego, mdląco żywicznego zapachu. Mimo że w pokoju, w którym odbywały się lekcje, było cieplej niż w pozostałych pokojach w tym domu – w Hamburgu, ba, pewnie w całej brytyjskiej strefie okupacyjnej – Koenig cały czas siedział w płaszczu, jakby próbował ogrzać się na zapas albo rozpuścić tkwiący w nim głęboko kawałek lodowca. Spojrzał pożądliwie na ciasto i szklankę mleka, które przyniosła dla niego Heike. Zwykle podawała je po lekcji, ale dziś zrobiła wyjątek i postawiła na stoliku, nim zaczęli, na pokuszenie Herr Koeniga.

– Może zje pan od razu? – spytał Edmund. – *Kuchen?*

– Dobry Boże, chętnie – bez tchu wymamrotał po niemiecku nauczyciel, po czym, już wyraźnie, podziękował po angielsku.

Edmund wstał z za biurka i postawił talerz z ciastem i szklankę mleka przed Herr Koenigiem. Ten duszkiem wypił mleko, do ostatniej kropli. Odstawił szklankę i dyskretnie oblizał wąsy po mleku. Później zjadł ciasto, trzymając je obydwoma rękami niczym wymykającą się mysz. Na koniec włożył palec do szklanki, by stał się wilgotny, i zebrał z talerza wszystkie okruszki, które przyłgnęły do niego niczym opiłki żelaza do magnesu. Talerz był teraz lśniący i czysty, jakby wylizał go pies.

Ojciec wyjaśnił Edmundowi, że Koenig był kiedyś dyrektorem szkoły w Kilonii, człowiekiem wszechstronnie wykształconym, prawdziwym erudytą, dlatego Edmunda zaskoczyły jego liche ubranie i nikła postura. Wyglądał zbyt staro i niechlujnie jak na dyrektora szkoły. Nic nie wskazywało na to, że mógł być autorytetem lub posiadać jakąś nadzwyczajną wiedzę. Jednak po kilku godzinach spędzonych w jego towarzystwie Edmund stwierdził, że ojciec miał rację. Herr Koenig okazał się równie biegły w matematyce, jak i w historii i literaturze angielskiej. Był też czujny niczym jakiś leśny stwór. Tak jak nie miał na sobie choćby grama tłuszczu, również i w tym, co mówił, nie było żadnych pustych znaczeń. Jego słowa zdawały się przefiltrowane, pozbawione wszelkich zanieczyszczeń. To, a także wspomnienie chwalebnej przeszłości nadawało mu godność.

– Zajrzyjmy do atlasu.

Zdanie to zawsze zapowiadało rychły koniec lekcji. Herr Koenig korzystał wtedy z okazji, by udzielić Edmundowi krótkiego kursu historii i geografii, po niemiecku. Chłopiec otworzył stary atlas na mapie świata. Pan Koenig poprosił, by nazywał kolory

krajów, które wskaże mu palcem. Zaczął od Kanady.

– *Rosa.*

Stany Zjednoczone Ameryki.

– *Grün.*

Brazylia.

– Hm... *Gelb?*

– Dobrze.

Indie.

– *Rosa.*

Cejlon.

– *Rosa.*

Australia.

– *Rosa.*

– *Warum sind sie rosa?* – spytał Herr Koenig.

– Bo wszystkie należą do imperium brytyjskiego?

– Dobrze! Szybko się uczysz.

– Tata powiedział, że po wojnie nasze imperium się skurczy, bo nie mamy już pieniędzy, i że teraz najpotężniejsze będą Ameryka i Związek Sowiecki.

– Wiele się zmieni na mapie świata. Już nie będzie taka różowa.

Edmund zastanawiał się, co Herr Koenig myśli naprawdę o Brytyjczykach i ich imperium. Czy wskazywał na jego zasięg i potęgę tylko przez grzeczność? Może to był przypadek, ale jego palec nie powędrował ku brązowej Japonii, żółtym Włochom i bardzo wyraźnie zaznaczonym na niebiesko Niemcom, które – mimo granic okrojonych wedle ustaleń traktatu wersalskiego – wciąż zajmowały centralne miejsce na mapie Europy. Edmunda dziwiło, że jedynie nieliczne inne kraje na świecie – Tanganika, Togo i Namibia – były oznaczone w tym starym atlasie tak jak Niemcy, na niebiesko.

– Czy Hitler zazdrościł nam imperium? – spytał.

Pytanie to wywołało natychmiastową reakcję. Pan Koenig zeszywniał, wyprostował się i zaczął nerwowo przetykać ślinę, najwyraźniej usilnie się nad czymś głowiąc.

– Nie wolno mi o tych sprawach rozmawiać – powiedział wreszcie.

Edmund nie do końca go zrozumiał.

– Spokojnie, mamy nie ma w domu.

Herr Koenig wciąż jednak milczał. Było widać, że czuje się niezręcznie.

– Nie wolno panu, bo będą pana oświeślać?

– Prześwieślać. My, Niemcy, nie lubimy wracać do tamtych czasów.

– Przecież był pan dyrektorem szkoły. Wszystko będzie dobrze. Dostanie pan białą

kartę.

- Mam nadzieję.
- Będzie pan miał *Persilschein*?
- Znasz to słowo?
- Od niemieckiego kolegi.
- Od „niemieckiego kolegi”?

Edmund skinął głową.

- Powiedział, że wszyscy Niemcy marzą o *Persilschein*.

Koenig znów potarł ręce, jakby próbował coś z nich usunąć.

- Tak. Chcą być czyści jak pranie, bez żadnych plam.
- Niektórzy kupują takie karty na czarnym rynku. Za czterysta papierosów.
- Widzę, że jesteś świetnie poinformowany.
- Może mógłbym kupić jedną dla pana?

Herr Koenig uniósł ręce.

- *Nein*. Muszę poddać się... procedurze, jak wszyscy.

Jasne. Był dyrektorem szkoły, a ci muszą przestrzegać przepisów.

- Później znowu zostanie pan dyrektorem szkoły?

Herr Koenig pierwszy raz posmutniał. Spojrzał do atlasu na duży, zaznaczony na szaro kraj za wielką wodą.

– Brat zaprasza mnie do Ameryki. Wyemigrował tam po pierwszej wojnie. Wynalazł dojarkę wydajniejszą od wszystkich innych, a teraz jeździ buickiem i mieszka w domu nad jeziorem, w Wisconsin. To prawie tak duży stan jak całe Niemcy. Pisał mi, że w Ameryce wszystko jest większe. Krowy, posiłki, samochody. Jego buick ma bycze rogi na masce.

Edmund był gotów wyruszyć tam z Herr Koenigiem.

- To wyjedzie pan?

Herr Koenig znów spojrział w atlas i dotknął palcem miejsca, gdzie leżało Wisconsin.

- Dla mnie już za późno.
- Dlaczego?
- Za parę lat będę miał sześćdziesiątkę.

Dla Edmunda wszyscy dorośli po czterdziestce zlewali się w jedną niewyraźną kategorię. Nie wyczuwał subtelnych różnic między oczekiwaniami i ambicjami wciąż sprawnego czterdziestojednolatka a pięćdziesięciodziewięciolatka na skraju starości. Nie wiedział, co to spadek sił witalnych i fizyczne niedomagania, które ograniczają i kształtują losy człowieka. Herr Koenig mógł wyjechać do Ameryki. Dlaczego wiek miałby stanowić tu przeszkodę?

- Ale jeśli pan tu zostanie, też będzie pan miał sześćdziesiątkę.

Nauczyciel tylko się uśmiechnął, wypuszczając powietrze nosem. Jego usta pozostały zamknięte.

– To dlatego że podróż jest zbyt droga?

– Tyle pytań. To prawie jak *Fragebogen*. Nie, podróż opłaciłby mi brat.

– Czyli... może pan pojechać?

Edmund z radością wyobrażał sobie, jak jego nauczyciel wyrusza do Ameryki. Cieszyła go myśl, że mógłby mieć swój udział w jego wyprawie za Atlantyk, gdzie Herr Koenig rozpocząłby nowe życie. Tymczasem Niemiec najwyraźniej pragnął położyć kres tej dyskusji. Przesunął się na krześle, wyprostował i rzekł bardziej zdecydowanym tonem:

– To... skomplikowane. – Zamknął atlas, ucinając możliwość dalszego drażenia tematu.

Edmund poczuł, że czas pytań się skończył. Gdy dorośli używali tego słowa, sprawa zawsze była zamknięta.

Zegar podróżny wybił południe, co przerwało krępującą ciszę.

– Koniec zajęć – oznajmił z ulgą Herr Koenig. – Jutro porozmawiamy o demografii i bogactwach naturalnych. Przy okazji popracujemy też nad wielkimi liczbami.

– Chętnie. Dziękuję panu.

Herr Koenig zwykle korzystał z bocznego wejścia, ale śnieg utworzył tam zasępę, z którą Richard jeszcze nie zdążył się uporać. Ponieważ w domu nie było dorosłych, Edmund odprowadził Herr Koeniga do drzwi frontowych, gdzie nauczyciel obwiązał głowę i kapelusz chustką z taką samą skrupulatnością, z jaką wcześniej konsumował ciasto. Przez otwarte drzwi wtargnął kłęb mroźnego powietrza, rozsypując w holu kryształki śniegu. Koenig poradził Edmundowi, by jak najszybciej zamknął drzwi i nie marnował cennego ciepła, ale intuicja podpowiedziała chłopcu, żeby zostawić je uchylone. Wiało tak silnie, że musiałby je zatrzasnąć za panem Koenigiem, a nie chciał tego robić. Oparł się o nie, by zrównoważyć podmuchy, i patrzył na oddalającą się sylwetkę nauczyciela. Koenig truchtał niepewnie, jakby szedł po lodzie i robił wszystko, by się nie pośliznąć. Był coraz mniejszą, szaroczną plamką w śnieżnobiałym świetle *Persilschein*.

Edmund pobiegł na górę do sypialni rodziców, żeby poszukać papierosów. Pogmerawszy w kieszeniach marynarek ojca, natrafił na srebrną papierośnicę. Była pusta – Lewis nie zdążył przełożyć do niej zawartości paczki. Uwagę chłopca przykuły dwie zatknięte za gumkę fotografie. Na pierwszej była jego matka. Siedziała na plaży w Pembrokeshire, gdzie Edmund i Michael usiłowali powstrzymać morze, budując tamę z piasku. Na drugiej, o zagiętych rogach, był Michael w ich ogrodzie w Amersham. Edmund przeżył szok na widok nieżyjącego brata, w swetrze o grubym wzorze, z uśmiechem rozbawienia na twarzy, jakby dopiero co wymienił żart z autorem zdjęcia. Musiała to być ich matka. Edmund przypomniał sobie stypę, mamę w saloniku, ocierającą łzy z policzka, ojca, który

za chwilę miał wrócić na front, zbyt zatroskanego o wszystkich pozostałych, by dojść do ładu z własnymi emocjami, oraz siebie, gdy próbował powstrzymać napływające do oczu łzy, bo nie chciał, żeby zobaczyli je kuzyni. Teraz poczuł to samo, jakby odessana z brzucha woda przeszła przez płuca i próbowała znaleźć ujście, cisnąc mu się do oczu. Ale nie płakał nad Michaeliem. Płakał nad sobą. W papierošnicy taty nie było jego zdjęcia. Dlaczego? Może nosił je w portfelu. Może go nie potrzebował, bo on, Edmund, żył. A może musiałby zginąć tragiczną śmiercią, żeby jego zdjęcie trafiło do tej prywatnej galerii taty? Wyobraził sobie, jak ginie w najróżniejszych heroicznym okolicznościach – w pożarze, na wojnie, podczas śnieżycy – gdy jego matka wystukuje na fortepianie smętną pieśń *Król elfów*, a ojciec zagląda do pudełka po butach, żeby wybrać zdjęcie Edmunda, i przycina je, by zmieściło się w papierošnicy.

Zamknął ją i włożył z powrotem do kieszeni marynarki, wdychając zapach mięsa i mchu, zapach swego ojca. Jego miłość do taty była prosta. Matkę też kochał, ale było to niczym skomplikowany labirynt w porównaniu z prostą ścieżką uczuć, jakimi darzył ojca. Łatwiej kochać kogoś, kto jest daleko.

Sposób, w jaki ciężka papierošnica osunęła się do wyściełanej podszewką kieszeni, sprawił, że Edmund jeszcze kilkakrotnie powtórzył tę czynność, po czym wznowił poszukiwanie papierosów, grzebiąc w torbie z przyborami toaletowymi, pachnącej olejem smołowym i eukaliptusem. Znalazł w niej szylkretowy grzebień, kawałek wilgotnej flaneli i Order za Wybitną Służbę. Wyjął biały krzyż obwiedziony złotą obwódką, żeby mu się przyjrzeć. Dlaczego się tu poniewierał? Przecież to świętokradztwo wrzucać medal do zwyczajnej torby. Powinien spoczywać w wyłożonym aksamitem pudełku albo – jeszcze lepiej – być na stałe przypięty do płaszcza jego taty, na piersi. Tak nosili je Rosjanie, nawet gdy ruszali do boju. Na odwrocie widniała wygrawerowana data nadania odznaczenia – maj 1945 roku. Kawałek mydła przyłgnał do czerwono-niebieskiej wstążeczki. Edmund odkruszył plamę i przystawił medal do własnej piersi. Już miał pogratulować sobie heroizmu, gdy z dołu dobiegły przenikliwe okrzyki, które kazały mu się czym prędzej kryć.

Pani Burnham przemknęła przez dom niczym gorący wicher, wywołując turbulencje i fale powietrza i podnosząc temperaturę wokół. Rachel podążała za nią. Żałowała, że wpuściła tu taki żywioł, i modliła się w duchu, by Herr Lubert nie wrócił wcześniej do domu.

– Zaczniemy tutaj – zakomenderowała Susan, przejmując tę przestrzeń, by ziścić w niej własne fantazje. – Otrzepiemy się ze śniegu i ogrzejemy przy kominku. Wypijemy parę różowych ginów albo grzańca. Thompsonowie się spóźnią. To u nich wrodzone, a do tego

w dobrym tonie. Powinnaś podać im wcześniejszą godzinę. Pogawędzimy sobie o wszystkim i o niczym. Rzecz jasna, wszyscy będą grzecznie zachwycać się domem, z trudem skrywając zazdrość. Później przejdziemy do... – Pani Burnham bez cienia wahania skierowała kroki ku podwójnym drzwiom. – Dobry Boże! Prawdziwa sala bilardowa! Spójrz na te obrazy! Rozumiem, że nie wasze. Co to ma być? – Spojrzała na jeden, jakby chciał ją ugryźć. – Nowoczesna sztuka. Kompletnie jej nie rozumiem. A wyobraź sobie, że Keithowi się podoba. Idziemy dalej. – Weszła przez otwarte drzwi do jadalni. – Tu już lepiej, ale chyba zaprosiłam za mało gości. Przy tym stole usiądzie co najmniej... szesnaście osób? Może zaprosisz generała dywizji z żoną? Lubują się w szykownych rezydencjach. Teraz kolacja. Pięć dań? Tylko błagam, bez kiszanej kapusty. Kojarzy się z biedą i pubami. Naturalnie nie unikniemy dyskusji o sytuacji w kraju. Ktoś wspomni o Rosjanach, ktoś inny napomknie o kłopotach z benzyną. Kiedy podasz pudding... ja też przywiozę jakiś deser... wszyscy odczują już efekt działania ginu czy też tego, co akurat będziemy pili. Twarz Keitha przybierze kolor buraczkowy. Na pewno z kimś się pokłóci i trzeba będzie zabrać facetów... Nie! Niech tu zostaną, a my się zmyjemy. – Susan pchnęła zwieńczone łukiem drzwi i obydwie znalazły się w najpiękniejszym pokoju willi Lubertów, tak pięknym, że pani Burnham nie zdobyła się na to, by się nim zachwycić. – Hm... Tak, może być. Fortepian. Znakomicie. Zaczniemy ryczeć szlagiery z operetek Gilberta i Sullivana. Damy się wyszumieć Dianie i będziemy udawać, że ma fantastyczny głos. Ty pewnie też śpiewasz? I grasz? Świetnie. Później może kalambury... – Urwała i wyjrzała przez okno wychodzące na główną bramę. – To ich córka?

Frieda szła zdecydowanym krokiem wzdłuż podjazdu. W tym śniegu i z zaplecionymi w warkocze włosami wyglądała jak dziewczynka z baśni braci Grimm, potencjalna ofiara czarownicy lub wilka.

– Wcześniej dziś wróciła.

– Powinna coś zrobić z tymi warkoczami. Wyślij ją do Renate.

Obserwując Friedę, Rachael poczuła się winna, że nie pomyślała o tym wcześniej. Obiecała sobie w duchu, że przy najbliższej okazji zaproponuje jej wizytę u fryzjerki.

Pani Burnham zmrużyła oczy, by ostatni raz przyjrzeć się młodej Niemce, po czym obróciła się w stronę bawialni.

– Rozchodniaka możemy wypić tutaj... albo nie, tam! – Ruszyła przez drugie drzwi do holu z kominkiem i zakończyła obchód okrzykiem: – Hura! Od tego zaczęłyśmy. Tutaj napijemy się po kieliszeczku, patrząc, jak dogasa żar w palenisku... i o trzeciej do powozów! Czy coś pominęłam?

– Wysoko ustawiasz poprzeczkę.

– To tylko próba generalna. Prawdziwe przyjęcie wypadnie o wiele lepiej.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Nonsens. Jesteś bystrą dziewczyną, a poza tym masz służbę.

Rachael przytaknęła, ciesząc się, że domownicy nie widzieli tego przetaczającego się przez dom tornada.

– Wspomniałaś, że masz z nimi jakiś problem?

– Nie umiem wydawać poleceń.

– Musisz być stanowcza. Udawaj, że przywykłaś do służby, bo jeśli nie, od razu to wyczują i będą ci robić na złość.

– Myślę, że oni już wyczuli. – Przez otwarte drzwi obie słyszały odgłosy dochodzące z kuchni. Rachael zamknęła drzwi. – Zwłaszcza kucharka – dorzuciła.

– Musisz im pokazać, kto tu rządzi. Wszyscy dobrze na tym wyjdą.

Susan Burnham w dalszym ciągu chłonęła i klasyfikowała szczegóły dotyczące willi Lubertów.

– A ta rodzina? Jak to działa? Na Boga, gdzie oni jedzą?

– Mają na górze własną kuchnię. I jest tu winda kuchenna.

– Macie z nimi kontakt?

– Raczej nie. Ed próbuje kruszyć lody.

– Na twoim miejscu trzymałabym ich na górze.

Rachael postanowiła, że nie wspomni jej o incydencie z Cuthbertem. Susan Burnham wyolbrzymiłaby go do rozmiarów zabójstwa, a po tygodniu huczałby o tym cały okręg.

– Spójrz. – Pani Burnham wbiła wzrok w ścianę nad kominkiem. – Zdjęli go.

Rachael podążyła za jej spojrzeniem. Na tapecie widać było ciemniejszy prostokąt w miejscu po usuniętym obrazie.

– Kogo zdjęli?

– Führera. Musiał tam wisieć. W niemieckich domach roi się od takich ciemniejszych miejsc na ścianach, tyle że większość Niemców miała dość oleju w głowie, żeby je czymś zakryć. Nie bądź taka zaskoczona. On wisiał wszędzie. Keith nazywa to „plamą nie do usunięcia”.

Rachael spojrzała jeszcze raz w to miejsce i z łatwością wyobraziła tam sobie portret Hitlera. Że też nie zauważyła tego wcześniej!

– Myślę, że nawet Keith przymknąłby oko na parę szarych prostokątów na ścianach, gdyby mógł zamieszkać w czymś takim.

– Nie sądzę, by Herr Lubert miał coś wspólnego z nazistami. Przynajmniej z tego, co mi wiadomo.

– Jasne, oni wszyscy tak mówią. – Susan rozejrzała się wokół i rozłożyła ręce, jakby

chciała powiedzieć: „Przecież to oczywiste”. – Myślisz, że osiągnęli to wszystko bez kompromisów? Bogata, wpływowa niemiecka rodzina musiała mieć kontakty z władzą.

Rachael czuła, że nie są to własne przemyślenia pani Burnham i że musiała dyskutować o tym z mężem.

– Jestem pewna, że oni nie.

– Daj spokój, Rachael. To bardzo po chrześcijańsku dobrze myśleć o ludziach, ale nie bądźmy naiwni.

Rachael nie wierzyła, że Herr Lubert mógł działać w taki sposób. Zresztą gdyby przyznała rację Susan, wyszłaby na idiotkę, Lewis też jawiłby się jako głupek i nie mogliby dłużej mieszkać w tym domu.

– Przecież nie wszyscy są winni. – Tym razem to ona zacytowała swego męża. – Naprawdę nie wierzę, żeby był w to umoczony.

– Moja droga, oni wszyscy byli umoczeni. Pozostaje tylko do rozstrzygnięcia kwestia tego, jak bardzo.

^[3] Gorzka wódka pochodząca z Wenezueli.

ROZDZIAŁ 7

– Dobry Angol. Dobry chrześcijanin. Lubię angielski styl życia. Lubię króla i królową Findsoru. Lubię demokrację. Uczyłem się o kondominium Nowej Zelandii. Chcę mieszkać w kondominium. Pomożesz mi tam wyjechać, Angolu?

– Spadaj, gnojku.

– Dobry Angol. Znam Londyn. Macie rzekę Ritz. Elektrownia w Batterzee!

– Spieprzaj! Jazda! *Schnell!*

– Ty dobrze *sprechensiedeutsch*.

– *Schnell!*

– Nie Ruscy. Nie Stalin. Chcę żyć jak Angol.

– Powinieneś być w szkole. *Schule?*

– Nie ma *Schule*. Nie ma *Haus*. Nie ma *Mutti*. Parę szługów, Angolu. Proszę. Dasz mi?

Moja *Mutti* nie żyje.

– Moja też. Spadaj. Nie zawracaj głowy.

– *Ich glaube, ich werde... ohnmächtig.*

– Przestań!

Ozi padł jak długi przed żandarmem. Osunął się na śnieżną zaspę i jęknął, jakby chwycił go skurcz. Gdy tak leżał, ubrany w futro, wyglądał jak zastrzelony lis. Wartownik strzegący wejścia do siedziby dowództwa brytyjskiej strefy okupacyjnej wytrwał w swojej nieugiętej pozycji, ze wzrokiem utkwionym w dal, całkowicie go ignorując, jednak kobieta pchająca przed sobą wypełniony ziemniakami wózek przystanęła przy leżącym na chodniku Ozim. Spojrzała na nieruchomego wartownika i skinieniem głowy wskazała mu chłopca.

– *Schämen Sie dich, Soldat.*

Wokół zaczęli zbierać się gapie. Chcąc uniknąć zamieszania, żandarm oparł karabin o budkę strażniczą, przykucnął, a raczej przysiadł przy Ozim, żeby nie pobrudzić sobie kolan, i chwyciwszy go za kołnierz, podniósł do pozycji siedzącej.

– No, mały, ocknij się – powiedział i zaczął cucić chłopaka, okładając go po twarzy lodowatymi rękawiczkami. – Coś ty na siebie włożył? Wyglądasz jak pajac.

Ozi zamrugał powiekami i odegrał nieraz przeciwioną scenę delirium.

– Panie Attlee, *danke*. Królu Jerzy, *danke*. Angielski żandarmie, *danke*. Szlugi. Szlugi dla Oziego. Szlugi na chleb. Angole chrześcijanie. Dają szlugi.

Żandarm wyjął z kieszeni na piersi paczkę papierosów i wyciągnął kilka sztuk, tak żeby wszyscy to widzieli.

– Masz tu, mały – powiedział i dał chłopcu nie jednego, nie dwa, ale aż trzy papierosy. Zadowolony, że zrobił swoim rodakom dobrą reklamę, wstał i rozejrzał się wokół, jakby spodziewał się braw, ale zorientował się, że nie ma już nikogo, kto doceniłby jego gest. – A teraz spadaj, gnojku – rzucił.

W zamian za lawinę komplementów pod adresem Anglii i Anglików Ozi zyskał papierosy oraz wyrażenie wzbogacające jego już i tak okazały arsenał niezbyt eleganckich angielskich odzywek.

– Teraz. Spadaj, gnojku! – powtórzył, otrzepał się ze śniegu i ruszył rażnym krokiem przez Ballindamm, w stronę jeziora Alster, ściskając w ręku ciężko zdobyte owoce miłości bliźniego.

Według jego zawyżonych standardów żebraka i złodzieja łup okazał się marny. Przez cały dzień Ozi poszukiwał jedzenia i innych dóbr wokół zajętych przez Anglików sklepów i koło hoteli skupionych nad brzegiem jeziora, na próżno powtarzając scenę z komplementowaniem Brytyjczyków i omdleniem. Kobiety robiące zakupy w sklepach NAAFI okazały się nieczułe na jego peany dotyczące ich fryzur i kapeluszy, a zwykle pełne śmietniki na tyłach hotelu Atlantic zostały opieczętowane. Gdy zaczął żebrać na schodach Victory Club – „Hej, jankesie, co tu robisz? Zabierz mnie do Ameryki” – przepędzili go, wołając z amerykańska: „Wynocha!”.

Oziemiu przemknęło przez głowę, czy to przypadkiem nie strój zniechęca do niego Brytyjczyków. Dzisiaj wystąpił w pełnej krasie: skórzana czapka pilotka z podszewką, eleganckie kobiece futro, jedwabny szlafrok na wierzchu i za duże o trzy rozmiary buty do jazdy konnej. Futro zdobył w Armii Zbawienia, gdzie co tydzień rozdawali ubrania, a buty dostał w Czerwonym Krzyżu. Może prezentował się zbyt okazale, żeby wzbudzić współczucie, ale ze swoimi słabymi płucami nie mógł sobie w taki mróz pozwolić na skromniejszy ubiór.

Papierosy schował do piórnika. Trzy sztuki za cały dzień harówki. Mógł je wymienić na bochenek chleba, ale to za mało, żeby zadowolić Bertiego, który robił się coraz bardziej wymagający. Chciał już nie tylko papierosów i lekarstw, lecz domagał się także dokumentów i przepustek, trudno dostępnych towarów, za które trzeba było słono płacić.

Ozi będzie musiał złapać kontakt z Herr Hokkerem z Ośrodka Informacyjnego, żeby wymienić swój zegarek na towary, których żądał Berti.

Ozi czerpał większość swojej wiedzy o kulturze brytyjskiej z wizyt w eleganckim Ośrodku Informacyjnym, wzniesionym w sercu miasta, tuż obok ratusza. Burmistrz Petersen zainaugurował jego działalność latem, wygłaszając długą mowę na temat przyjaźni i edukacji. „Powstał *Die Brücke* – perorował *Bürgermeister* – most, który przybliży Niemcom główne instytucje oraz osiągnięcia Wielkiej Brytanii”. Mieściły się tam: duża czytelnia, galeria, sala kinowa oraz biblioteka. Zawsze było w nim tłoczno. Niemcy wydawali się spragnieni informacji o świecie i chcieli poznać brytyjski styl życia. Z chęcią chłonęli wiedzę o brytyjskich rzekach i prawach kobiet, ale tak naprawdę chcieli posiedzieć w cieple, a przy okazji uszczknąć jakiś kupon albo dwa. Wszyscy rozsądni Niemcy wiedzieli, że *die Brücke* to miejsca służące zarówno wymianie kulturowej, jak i towarowej.

Ozi sięgnął do kieszeni futra i wyjął z niej zegarek. Było to prawdziwe cacko firmy Holdermann und Sohn, ale chłopiec z radością by się go pozbył. Zwinął go z kieszeni martwego dipisa leżącego na klatce schodowej jakiejś kamienicy w Altonie. Nie było to do końca fair, że zegarek wciąż chodził, mimo że przestało bić serce tego człowieka. Podobnie jak paznokcie, nadal roszące, gdy dusza uleci już z ciała, świadczyły o swego rodzaju nielojalności. Zegarek śpieszył się o dwadzieścia minut na godzinę. Teraz informował Ozię, że jest wtorek, chociaż był dopiero poniedziałek. Działając w tym tempie, przed końcem miesiąca wskaże, że jest już rok 1950.

Powietrze w ośrodku było duszne od woni stłoczonych, rozgrzanych ciał. Różnica temperatur sprawiła, że Oziem zakręciło się w głowie. Trudno było dostrzec wystawę w galerii przy takim natłoku ludzi złaknionych ciepła i darmowych gazet. Plakat nowo utworzonego anglo-niemieckiego klubu dla kobiet *Frauenclub* informował o odczycie pani T. Harry, pod tytułem „Podróż z Kairu do Jerozolimy”, oraz o zbliżającej się wizycie wielkiego poety, T.S. Eliota, „który poprowadzi po niemiecku i po angielsku wykład o jedności kultury europejskiej”. Ozi przystanął, by przyjrzeć się jego fotografii. Nie był pewien, czy przedstawia kobietę, czy mężczyznę. Wiszący obok plakat reklamował film *Brytania da radę!* oraz pokaz slajdów ukazujący lud Pasztunów z pogranicza Pakistanu i Afganistanu.

Herr Hokker siedział tam gdzie zawsze i czytał angielskie gazety. Strony były pokryte laminatem i przykute łańcuszkami do ścian, by odwiedzający ich nie kradli. Hokker spędzał w ośrodku większość czasu. Nie musiał nigdzie chodzić, skoro wszyscy przychodzili tu do niego. Pośredniczył w większej liczbie nielegalnych transakcji niż jakikolwiek inny paser w Hamburgu. Wszystkie brudne strumyki, cieki i ruczaje w tym

mieście spływały do Herr Hokkera. Jeśli człowiek czegoś potrzebował, Hokker mógł to załatwić – pod warunkiem że miało się czym zapłacić.

Ozi precyzyjnie się przez tłum. Ubrany w czarny płaszcz i homburg Hokker wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy. Siedział zatopiony w lekturze, wodząc palcem po liniijkach druku. Kapelusz leżał na biurku. Na jego rondzie topniał śnieg.

– Witam, Herr Hokker! Co tam dzisiaj w Anglolandzie? – rzucił Ozi.

Mężczyzna nawet na niego nie spojrzał. Czytając po angielsku, poruszał ustami.

– Ozi Leitman. W Anglolandzie sprawy nie mają się najlepiej.

– Nie? Czemu?

– Angole nie chcą płacić za okupację. Pytają: dlaczego Niemcy mają jeść, skoro nam brakuje jedzenia?

Herr Hokker lubił popisywać się swoim angielskim, a także umiejętnością tłumaczenia. Nim przystępowali do rzeczy, Ozi zawsze prosił go, żeby coś mu przeczytał, i dzięki temu zwykle urywał kilka papierosów z ceny towaru, po jaki akurat przyszedł.

– Zima też nie pomaga – dodał Hokker.

– Otto twierdzi, że potrwa tysiąc lat – odparł Ozi. – To kara za wszystkie nasze grzechy. W Stade nie zakwitną wiśnie. W sadach nie wyrosną jabłka. Słońce nie zaświeci przez zasłony. Nie będzie kąpeli na golasa w Alsterze. Tysiąc lat śniegu i lodu. A pan jak myśli, Herr Hokker?

– Na to wygląda. Wszystkie rzeki w Niemczech zamarzły, nawet Ren. – Polizał obficie palec i zaczął przerzucać strony gazety. – Jesteśmy sławni. Spójrz. Strona siódma „Daily Mirror”, zdjęcie Hamburga.

Ozi oniemiał. W samym środku angielskiej gazety pokazano zrównaną z ziemią dzielnicę Hammerbrook, gdzie kiedyś mieszkał. To tam widział, jak topią się szyby w oknach i jak gotuje się asfalt na jezdniach. Widział też kobietę, z której niewidzialna gorąca fala powietrza zerwała całe ubranie. Wciąż miał w uszach świst tego wichru – dźwięk, jakby ktoś uderzał we wszystkie klawisze kościelnych organów naraz. Widział opadające płatki czerwonego żaru i bramy kamienic płonące niczym kręgi ognia, przez które skaczą cyrkowe lwy. Sorbenstrasse. Mittelkanal. Ludzie zatopieni we wrzącym asfalcie. Włosy *Mutti* w ogniu! Mózgi wyciekające przez nosy i przez rozerwane skronie. Ciała niczym manekiny, skurczone o połowę. Nazywali je *Bombenbrandschrumpffleisch*. „Ciałaskurczoneprzezogień”.

– *Mutti...*

– Dobrze się czujesz, chłopcze?

Ozi zamknął oczy i znów je otworzył, by przegnać te obrazy. Jeszcze raz spojrzał na zdjęcie swojej starej, nieistniejącej już dzielnicy. Nałożono na nią plan nowego osiedla.

– Zbudują je dla nas? – spytał.

– Dla siebie. Wcześniej wysiedlą wszystkich Niemców. W tytule napisali: „160 milionów funtów rocznie, żeby nauczyć Niemców, by nas nienawidzili”.

– A to? – zainteresował się Ozi, pokazując historyjkę obrazkową. Przedstawiała parę Brytyjczyków, stojącą przed zrujnowanym domem. Mąż mówił: „Przenieśmy się do Niemiec. Podobno mają tam piękne duże domy”. – O czym rozmawiają?

– Żartują sobie, że w Niemczech jest lepiej niż w Anglii.

– Angole to wariaci. Ze wszystkiego robią sobie jaja.

– Co dziś dla mnie masz, Ozi?

Chłopiec położył zegarek na gazecie. Hokker, niczym magik, nakrył go kapeluszem.

– Co za to chcesz?

– Nawet pan nie spojrzy?

– Widziałem. To dobry zegarek. Porządna niemiecka marka.

– Potrzebuję lekarstw i przepustki dla kierowcy ciężarówki.

Hokker obrzucił go wymownym spojrzeniem.

– Trudne te twoje tematy.

Uniósł kapelusz i otaksował wzrokiem zegarek. Przyłożył go sobie do ucha. Musiałby długo słuchać, żeby się zorientować.

– Należał do mojego ojca – wyjaśnił Ozi.

Mężczyzna spojrział na niego sceptycznie.

– Żaden facet z Hammerbrook nie miał takiego zegarka.

– Załatwi mi pan tę przepustkę?

Hokker podłubał w zębach i wpatrzył się w to, co w nich odkrył. Była to bodajże odrobina boczku. Bezwiednie włożył ją do ust.

– Na nic mi ten zegarek. Dzisiaj nikogo nie interesuje godzina. W Godzinie Zero czas jest nieistotny. Wszystko zamarło. Nie ma czasu na czas.

– Jednak jest coś wart.

Hokker sięgnął do kieszeni płaszcza i położył na gazecie kupon z trzema kartkami na żywność.

Ozi potrząsnął głową. Przez cały dzień spławiali go Angole, a teraz znów to samo.

– Dziesięć.

Hokker roześmiał się i zdjął kapelusz z zegarka. Ozi mógł go sobie zabrać.

– Trzy albo nic z tego.

Chłopiec zerknął na kupon. Jedna kartka na chleb, druga na mleko i trzecia na

margarynę. Będzie musiał dogadać się z Bertim, znaleźć kolejną wymówkę, ale w myślach już przygotowywał śniadanie, które zje jutro.

Paser przesunął kupon w jego stronę.

– Weź je. Zegarka nie zjesz.

Lewis golił się przed lustrem. Nie chciał budzić Rachael, więc ściągał włoski z ostrza żyletki paznokciem, zamiast płukać maszynkę pod wodą. Wszystkie łazienki w willi były wyłożone musztardowo-złotym marmurem. Pułkownik za nic nie mógł do tego przywyknąć. Przy każdym goleniu czuł się jak opływający w luksusy nabab, oficer brytyjskiej armii w Indiach. Nawet myśl o tym, że wykazał się wielkoduszością, pozwalając Niemcom zachować ich własność, nie zdołała zatrzeć w nim wrażenia, że jest tu kimś przyniesionym w teczce.

Ogolił się, wytarł twarz i doprowadził się do ładu. Srebrny pasek z przydziałowymi prezerwatywami leżał za kubkiem do mycia zębów, przypominając mu, że w ciągu trzech miesięcy zużył tylko jedną. Fatalna średnia. Lewis zostawił je tam, bo miał cichą nadzieję, że Rachael zauważy je i zechce ją poprawić. Było to niedorzecznie pokrętne podejście do seksu – zapewne równie nieefektywne, co nieeleganckie – jednak Lewis stracił pewność siebie i nie umiał już szczerze z nią o tym rozmawiać (Kiedy próbował przypomnieć sobie chwile z przeszłości, w których był z nią otwarty w tych sprawach, przyszedł mu do głowy jedynie okres zalotów, gdy zapowiedział jej bez wahania, że przed końcem roku zostanie jego żoną). Tłumaczył sobie, że niechęć Rachael do intymności, podobnie jak migreny i późne wstawanie, to tylko objaw jej stanu, który eufemistycznie i skrótowo określał mianem „powojennego bluesa”. Liczył, że z czasem wszystko się ułoży, ale był też zbyt zabiegany, by zastanowić się nad jakąś kuracją.

Rachael leżała na boku, delikatnie cmokając przez sen. Co jakiś czas na jej twarzy pojawiał się grymas. Być może coś jej się śniło. Doktor Mayfield twierdził, że sen to zarówno objaw choroby, jak i lek na nią, jednak Lewis wolałby, żeby jego żona wykazywała większą aktywność. Jeśli już miał jakąś filozofię, to brzmiała ona: szukaj sobie zajęcia.

Dobre było to, że przyjąwszy kolejną propozycję Susan Burnham, znów wybierała się do miasta. Lewis spotkał Susan, żonę oficera wywiadu, tylko raz, w klubie oficerskim. Choć bywała wścibska, miała duże poczucie humoru i lubiła uczestniczyć w życiu kulturalnym i towarzyskim. Lewis był jej wdzięczny, że potrafi wyciągnąć Rachael z domu.

Postanowił włożyć swój rosyjski płaszcz polowy. Była to jedna z niewielu rzeczy, które chroniły jego pozbawione tłuszczu ciało przed atakiem zimy. Mróz już zaczął bić rekordy. Lewis otrzymał raporty o zamrożonym porcie w Cuxhaven i ludziach uciekających po zamrożonym Bałtyku z rosyjskiej strefy okupacyjnej. Teraz zerknął na zapas papierosów w komodzie. Czyżby palił więcej, rekompensując sobie brak fizycznego

spełnienia? Odniósł wrażenie, że za szybko ubyło kilka paczek. Wziął jak zwykle sześćdziesiąt sztuk, obiecując sobie w duchu, że do świąt Bożego Narodzenia ograniczy tę liczbę do dwudziestu – choćby tylko po to, by zmanifestować solidarność z ludźmi, dla których papierosy znaczyły tyle co chleb. Znowu spojrzał na Rachael. Chciał pocałować ją w czoło, ale w końcu się rozmyślił. Wymknął się z sypialni, pozostawiając ją z jej snami i marząc, by być bohaterem chociaż jednego z nich.

Mimo grubej warstwy śniegu samochód pewnie parł naprzód niczym krążownik tnący taflę oceanu. Po odejściu Schroedera na emeryturę z powodu odnawiającej się kontuzji, której doznał podczas wojny, Lewis powinien już dawno znaleźć nowego szofera, ale prowadzenie mercedesa sprawiało mu zbyt wielką radość. Traktował to jako nieodzowną codzienną rozrywkę. Samochód stał się jego ciepłą, mobilną klauzurą, gdzie mógł do woli medytować. Gdy tylko siadał za kierownicą, zamęt w głowie zniknął i wracała pewność siebie.

Tego dnia pogoda także działała niczym balsam. Z nieba zniknęły stalowoszare chmury. Teraz było błękitne i czyste jak fartuch siostry przełożonej. Wszystko wokół iskrzyło się w promieniach wschodzącego słońca. Gruba pokrywa śniegu działała kojąco na wzrok, biała i świeża niczym szpitalne prześcieradła. Było pięknie – i to niepokoiło Lewisa. Minister odniesie mylne wrażenie. W taki dzień ktoś, kto dopiero przyjechał, gotów był pomyśleć, że Hamburg zadziwiająco szybko staje na nogi. Śnieg maskował traumę, pokrywając wszystko grubą pierzyną. Poszarpane żelastwo i rozbite cegły zyskały nowy, dający nadzieję wymiar. Nie był to dobry dzień na wycieczkę po mieście, która miała pokazać, jak bardzo brzydkie i szare jest życie pośród niemieckich ruin.

Lewis wszedł przez obrotowe drzwi do hotelu Atlantic, minął recepcję, gdzie na ścianie powyżej stanowiska konsjerża powieszono portret księcia Wellingtona, co upodobiło to wnętrze do sal Whitehallu. Minister prawie nie zauważył, że wyjechał z Anglii.

Ursula stała przy wielkim kominku, próbując się ogrzać. Wyglądała jednocześnie elegancko i skromnie w dzierganej wełnianej bluzce, spódnicy w jodełkę i czarnych butach na koturnach. Jej fryzura również przystawała do roli oficjalnej tłumaczki. Włosy były zebrane za uszy i upięte do góry. Jeśli jednak uczesanie miało stonować jej urodę, to przeciwnie, wręcz ją podkreślało – gęste brwi, szczupła szyja jak u antylopy. Lewis próbował nieporadnie skomplementować jej wygląd.

– ... *Schön*.

Nie było to najwłaściwsze słowo, ale wypowiedział je, nim zdążył znaleźć bardziej odpowiednie. Pewnie lepszym wyborem byłoby określenie *lieblich*, ale przecież nie wypadało oczekiwać, że Ursula skoryguje skierowany pod jej adresem komplement.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Przepraszam za spóźnienie... *Die Strassen sind eisig*. Dobrze powiedziałem? *Eisig?*

– Tak. Oblodzone.

Od chwili gdy Edmund zadał mu wypowiedziane poprawnie po niemiecku pytanie, Lewis postanowił jak najczęściej porozumiewać się w tym języku z Ursulą. Biegłość syna sprawiła, że się zawstydział.

– Nie jeżdżą dziś tramwaje.

– *Eine schlechte Reise?*

– Całkiem przyjemna. Mam ciepły płaszcz. Miły spacer. Tu jest harmonogram dnia. –

Ursula wręczyła Lewisowi rozpisany na maszynie plan. Rzucił na niego okiem i dostrzegł na górze strony nazwisko ministra Shawa i adres ministerstwa. – Jakiś błąd?

– Nie... *Nein. Ist... perfekt*. Tyle że Kensington, nie Kensingtonn.

– Och! – Ursula była wyraźnie na siebie zła. Powtórzyła za Lewisem: – Kensingtonn.

Przepraszam.

– Nie szkodzi. Łatwo się pomylić. Nikt nie zwróci uwagi. *Ist der Minister schon hier?*

– Czeka w salonie.

– Mam nadzieję, że to jeden z naszych.

– Jeden z naszych?

– W przeciwieństwie do „jednego z nich”. To znaczy, że jest po naszej stronie. Że to porządny gość.

Ursula dała Lewisowi do zrozumienia, że ma coś na brodzie, dotykając własnej.

– Krwawi pan.

Lewis poklepał ranę palcem.

– Tak to jest, kiedy człowiek goli się bez kremu. Nieudana próba oszczędzania. – Polizał palec, by zasklepić ranę śliną. – Wciąż leci?

Ursula wyjęła z kieszeni chusteczkę i już chciała jej użyć, lecz nagle się zawahała, najwyraźniej czekając na przyzwolenie Lewisa. Ten wysunął brodę, mając tylko nadzieję, że w tym momencie nie pojawi się jakiś generał albo *Bürgermeister*.

– *Bitte*.

Ursula zajęła się jego raną jak matka i choć zrobiła to zręcznie i dyskretnie, Lewis nieco się zarumienił. Ta dziewczyna pachniała jak świeża pościel.

– Gotowe. Teraz może się pan spotkać z ministrem z Kensington. – Cofnęła się o krok, wyczuwając jego skrzępowanie.

– Dziękuję. *Auf in den Kampf!*

– *Auf in den Kampf* – przytaknęła i ruszyli „na bitwę” do salonu.

W sali rozlegał się głośny gwar rozmów mężczyzn, którzy stali w parach i trójkami,

pałac papierosy. Doborowe towarzystwo: generał Surtees, śmietanka dowódcza brytyjskiej strefy okupacyjnej, krągły burmistrz Petersen z wielkim kubańskim cygarem niczym jakiś niemiecki Churchill oraz wyprężony i sumienny komisarz Vaughan Berry. Minister Shaw od razu rzucał się w oczy. Tylko on i jeszcze jeden uczestnik spotkania nie mieli na sobie munduru. Stał otoczony wianuszkami petentów, z których każdy próbował coś z niego wycisnąć.

Lewis wyjaśnił Ursuli, kto tu jest kim.

– Ten szczupły to generał Surtees, mój najważniejszy szef. I pani.

– Jeden z naszych?

Lewis uśmiechnął się. Szybko się uczyła. Pokręcił głową.

– A ten, który wygląda jak bankier?

– To komisarz.

Vaughan Berry był tym drugim mężczyzną, który nie miał na sobie munduru. Lewis go lubił. Berry ostentacyjnie odmówił noszenia granatowego uniformu, bo kojarzył mu się z mundurami pilotów bombowców.

– On jest nasz.

– A ten, który właśnie rozmawia z ministrem?

Lewis cały się zjeżył. Major Burnham. Wyglądało na to, że już próbuje owinać sobie ministra wokół palca. Lewis miał sobie za złe, że nie zjawił się na spotkaniu wcześniej, zanim Burnham zaczął mieszać ministrowi w głowie. Tymczasem Shaw sprawiał wrażenie człowieka, który autentycznie stara się rozstrzygnąć jakiś skomplikowany problem. W zamyśleniu gładził brodę i z troską przechylał głowę, jakby chciał zapamiętać wszystko, co tutaj usłyszy.

– To major Burnham z wywiadu.

– Jeden z nich – podsumowała Ursula bez zbędnych pytań.

Podczas śniadania Lewis siedział naprzeciwko Burnhama i amerykańskiego generała Ryana Caine'a, który zawitał do Hamburga, by zobaczyć, jak radzą sobie Brytyjczycy, i podzielić się wrażeniami z amerykańskiej strefy okupacyjnej. Ulubiona nawet przez trzygwiazdkowych amerykańskich generałów fryzura na jeża nadawała mu męski i młodzieńczy wygląd, za to licznie zdobiące jego twarz piegi wskazywały, że sporo czasu spędził w tropikach i niejedno w życiu widział. Biło od niego zadowolenie z faktu, że przebywa w Niemczech, i poczucie umiarkowanej satysfakcji, że może złożyć wizytę biedniejszym, borykającym się z problemami kuzynom.

– Czy przypadkiem już nie czas złagodzić nieco przepisy dotyczące kontaktów z Niemcami? Podobno zwykła rozmowa z Niemką jest tu traktowana jako nagabywanie do seksu?

– Sądzę, że Niemcom, przynajmniej na razie, bardziej odpowiada taki ścisły rozdział.

– My utworzyliśmy we Frankfurcie urząd, który udziela ślubów amerykańskim

wojskowym i niemieckim cywilom. To najprostszy sposób na integrację – rzucił Caine, wpatrując się w Ursulę. – Jeśli chciałaby pani przenieść się do bardziej przyjaznej strefy, Fräulein...

Lewis zauważył z satysfakcją, że Ursula przyjęła tę ofertę z wdziękiem, acz chłodno.

– W tej strefie jest znacznie więcej problemów, panie generale.

– To akurat racja.

Kelner przyniósł śniadanie: parówki, bekon, grillowane pomidory, pieczarki, cebulę, kaszanke i wątróbkę.

– Może i nie macie forsy, ale to miłe, że wciąż jesteście gościnni – ocenił Caine, po czym uderzył w poważniejszy ton. – Nie sądzicie, że już czas, by to Niemcy znów przejęli stery? Czas nagli. Jeśli będziemy nieostrożni, gotowi pomyśleć, że Sowieci to dla nich lepsze rozwiązanie. Trzeba rozruszać ich gospodarkę i dać im kapitał, którego tak potrzebują. Niech sami się rządzą. Wystarczy przekazać im odpowiednie instrumenty. Mówi się o wielkim planie pomocowym dla Niemiec i całej Europy. Właśnie dyskutują o tym w Waszyngtonie. Silne Niemcy są w interesie nas wszystkich.

– Na początek potrzebujemy czystych Niemiec, generale – odparł Burnham.

Caine odkroił kawałek wątróbki i włożył kęs do ust.

– To oczywiste, że najpierw trzeba pogonić popaprańców. Proszę mi wybaczyć to sformułowanie, Fräulein.

Ursula uśmiechnęła się, dając do zrozumienia, że bardziej ją to rozbawiło, niż uraziło.

Lewis zjadł pół jajka i plasterek bekonu. Przebieg rozmowy sprawił, że stracił apetyt. Miał ochotę coś powiedzieć. Spojrzał na pozostałych uczestników spotkania. Generał de Billier rozmawiał z marszałkiem Sholto, nie słyszał ich. Za to siedzący obok Ursuli Shaw przysłuchiwał się rozmowie Caine’a z Burnhamem.

– Przekonuje mnie to, o czym wspomniał pan wcześniej, majorze: „Nie da się zbudować domu na przegniłych fundamentach”.

Lewis poczuł rozczarowanie. Słyszał już te same słowa od Wilkinsa. Najwyraźniej Burnham powtórzył je, jak w zabawie w głuchy telefon, podczas wcześniejszej pogawędki z ministrem. Tak oto uprzedzenia przemieniały się w oficjalne opinie i trafiały do polityki.

– Niemcy przez dwanaście lat żyli w kraju ignorancji i ciemnoty, co uczyniło z nich zwierzęta – podjął temat zachęcony przez ministra Burnham. – Będziemy mogli rozpocząć proces zmiany ich mentalności, dopiero gdy wprowadzimy tu rządy prawa i odbudujemy podstawową infrastrukturę, ale nim to się stanie, należy zachować czujność. Dobroć to luksus, na który nas nie stać. – Major puścił oko do Lewisa.

– Uważa pan, że istnieje możliwość sabotażu? – spytał Shaw, kierując rozmowę na tory, które kompletnie nie odpowiadały Lewisowi.

– Chaos towarzyszący masowemu przemieszczaniu się ludności daje nazistom doskonałą sposobność do nagłego pojawiania się, znikania i podszywania się pod osoby „niewinne”.

– Przecież macie kwestionariusze – odpowiedział Caine.

– Są przydatne, ale trzeba je lekko skorygować. Musimy sięgać głębiej w przeszłość tych ludzi, by dotrzeć do prawdy. Potrzebujemy też więcej personelu. Nasz wywiad również musi działać sprawniej, żeby wyłuskiwać kryminalistów. Mamy tu do czynienia nie tylko z owcami i kozami. Czasami tutejsze kozy okazują się owcami, a owce wilkami... albo członkami Werwolfu.

Słowo to zwróciło powszechną uwagę.

– Macie ich tutaj? – spytał Caine.

– Dwóch zaatakowało w zeszłym tygodniu nasz konwój. Wysadzili ciężarówkę pełną ginu.

– Wiedzą, gdzie uderzyć, żeby zablokować najbardziej – zażartował Caine.

– To sabotażyści? – wtrącił Lewis. – Czy może ludzie szukający jedzenia?

– Ci dwaj, których aresztowaliśmy, byli całkiem nieźle odżywieni – odparł Burnham. – Wierzą, że Hitler żyje i powróci, żeby sprawić nam lanie. Kiedy im oświadczyłem, że nie żyje, jeden z nich domagał się dowodów, powołując się na fakt, że Rosjanie nie pokazali jego zwłok.

– Pokażcie ciało! – wykrzyknął Caine. – Jakby to był Jezus Chrystus!

– Propagandowy sukces organizacji Werwolf znacznie przewyższa jej realne dokonania, panie ministrze – oznajmił Lewis, pragnąc obalić ten mit i sprowadzić rozmowę na ważniejsze tematy.

Jednak Burnham już dopiął swego.

– Obaj mają wypaloną na przedramieniu liczbę 88.

– Co to znaczy? – spytał minister.

– To szyfr. Jaka jest ósma litera alfabetu?

Shaw dokonał szybkich obliczeń.

– H. Czyli HH?

Burnham skinął głową. Chciał, żeby minister sam rozwikłał ten skrót.

– *Heil Hitler?*

Lewis poczuł, że musi natychmiast interweniować.

– Kompletne bzdury. Liczba 88 widnieje na murach w całym mieście, ale to jedynie dowód, że sytuacja jest bardzo zła i ludzie zastanawiają się, czy w tamtych czasach nie

żyło im się lepiej.

– A może niektórzy nie odebrali nauczki? – zasugerował Caine.

– Należy pokazać, że sprawiedliwości staje się zadość – oznajmił Shaw. – Tego oczekują nasi obywatele.

– Lepiej ją wymierzać, niż się z tym obnosić.

– Nie jest pan politykiem, pułkowniku. W moim świecie ogląd to dziewięć dziesiątych prawdy.

– Uganianie się za grupką fanatyków nie może być naszym priorytetem – stwierdził z rosnącym uporem Lewis.

Zauważył, że Ursula zmarkotniała, gdy tamci zaczęli krytykować jej rodaków.

– A jakie są, pańskim zdaniem, nasze priorytety? – spytał Shaw.

Lewis wyprostował się i rozłożył ręce na stole.

– Nie da się wprowadzić demokracji w kraju, którego obywatele wciąż poszukują swoich bliskich i głodują. Jeśli ich nakarmimy, zapewnimy im dach nad głową, połączymy rodziny, stworzymy miejsca pracy, nie będziemy mieli się czego obawiać. Tymczasem teraz miliony sprawnych Niemców nie mogą pracować z powodu „prześwietlania”. Rodziny wciąż są rozdzielone, tysiące ludzi przebywa w obozach internowania.

– To prawda – przyznał Shaw, jednak ta lista zadań nie była tak frapująca jak opowieści o organizacji Werwolf.

– Żywi pan autentyczną sympatią do tutejszych mieszkańców, pułkowniku – orzekł generał Caine. – To dlatego nazywają pana Lawrence’em z Hamburga?

Musiał to usłyszeć od Burnhama.

– Może by pan opowiedział panu ministrowi i panu generałowi o szczególnym rozwiązaniu, jakie przyjął pan w swoim domu, pułkowniku? – podsunął Burnham i zwróciwszy się do Shawa i Caine’a, dodał: – Pułkownik Morgan odgrywa rolę pioniera w stosunkach brytyjsko-niemieckich.

Lewis zawsze zazdrościł chłopcom z wywiadu możliwości wypowiedzania się bez ogródek przy generałach i ministrach, ale tym razem Burnham wystawił jego egalitaryzm na wyjątkowo ciężką próbę. Najwyraźniej sterował tą rozmową.

Lewis niechętnie wyjaśnił, w jaki sposób zamieszkał w jednym domu z pewną niemiecką rodziną. Gdy skończył, przy stole zapadła długa cisza. Widział ich oskarżycielskie spojrzenia. To, co wcześniej wydawało się zwykłym ludzkim odruchem, teraz nabrało cech skandalu.

– To bratanie się, pułkowniku – zawyrokował Caine.

– Zastanawiam się, czy takie działania nie potęgują niechęci – rzucił Burnham racjonalista. – Czy ci Niemcy nie woleliby mieszkać w obozie, ze swoimi rodakami?

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Lewisa.

– W barakach? Marznąć na kość? – odparł, wiedząc, że neguje tym samym oficjalne stanowisko władz, jednak uznał, że musi to uzmysłwić ministrowi.

– Słyszałem, że całkiem im tam dobrze – powiedział Shaw. – Mają opał i jedzenie, czyli więcej, niż ma połowa Brytyjczyków.

– Sądzę, że gdyby mogli wybierać, większość wolałaby jednak pozostać w swoich domach – odrzekł Lewis.

– Oby pańska dobroć nie odbiła się panu czkawką, pułkowniku.

Lewis miał świadomość tego, że powiedział za dużo. Dostrzegł, że generała de Billiera zirytowały jego krytyczne uwagi wygłoszone w obecności ministra. Uznał, że Shaw przekona się, jak naprawdę wygląda sytuacja w obozach, podczas czekającego ich objazdu miasta.

Lubert siedział w zalatującej kwaśnym mlekiem poczekalni Ośrodka Przesłuchań, próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, co jeszcze może go obciążyć w oczach brytyjskiego wywiadu oprócz tego, że jest Niemcem.

Ośrodek mieścił się w dawnej Akademii Sztuk Pięknych, nieopodal jeziora Binnenalster. Lubert był tu ostatnio w 1937 roku z Claudią na wystawie obrazów Böcklina, jednego z niewielu dobrych malarzy, którego hitlerowskie władze nie uznały za degenerata. Sam Hitler kupił osiem jego prac. Po wizycie w galerii Lubert ostro starł się z żoną, której podobało się jasne moralne przesłanie zawarte w płótnach artysty. Tymczasem Lubert był całkiem odmiennego zdania. Claudia nazwała go snobem i zarzuciła mu, że nie zna się na sztuce, a on stwierdził, że jest populistką. Tak naprawdę kłótnia dotyczyła nie malarstwa czy dobrego gustu, tylko ich stosunku do władz.

Lubert doszedł teraz do wniosku, że nie ma się czego obawiać. Przeprowadził rachunek sumienia, *Besinnung*, coś, do czego zachęcano wszystkich Niemców w ramach rozliczeń ze zbrodniami, których dopuścił się ich naród. Nie podobała mu się idea odpowiedzialności zbiorowej, ale nie należał do tych, którzy obwiniali o swoje nieszczęścia aliantów. Nie uważał się też nad losem skazanych na stryczek w procesie norymberskim. Wypełnienie zawierającego sto trzydzieści trzy pytania kwestionariusza, który miał zadecydować o jego przyszłości zawodowej, przyszło mu łatwiej, niż się spodziewał. Naprawdę nie rozumiał, w jaki sposób liczyli, że zidentyfikują dzięki niemu rzeczywistych winowajców. Pytania były za grzeczne, mało podchwytliwe i niezbyt szczegółowe. Przy jednym czy dwóch aż się roześmiał. Ogólnie odpowiedział na nie bez wahania i szczerze. W sumie to ćwiczenie na przypomnienie sobie, kim jest, nawet mu się podobało.

Gdy wywołali jego nazwisko, ruszył do pokoju przesłuchań. Zbliżywszy się do drzwi,

wziął głęboki oddech i przestrzegł sam siebie, żeby się im nie stawiać. Pokora i kulturalne zachowanie. Plotka głosiła, że Brytyjczykom brakuje Niemców o „niewłaściwym kolorze” i w związku z tym podchodzą do przesłuchań z coraz większym wigorem.

Dwóch śledczych siedziało za dębowym biurkiem. Jeden, ten z papierosem, wskazał Lubertowi krzesło. Drugi nawet nie podniósł wzroku, tylko wertował leżące przed nim dokumenty. Zielony tusz i paskudny charakter pisma podpowiedziały Lubertowi, że to wypełniony przez niego kwestionariusz. Śledczy przerzucał kartki w tę i z powrotem, jakby zaskoczyła go jakaś niezgodność. Coś się nie zgadzało albo czegoś brakowało. Jeśli ta długa, teatralna pauza miała wywołać w Lubercie niepokój, to spełniła swoje zadanie. Zdenerwował się, jeszcze zanim zaczęli.

– Herr Lubert? – spytał ten pierwszy.

– Tak.

– Jestem kapitan Donnell, a to szef wywiadu, major Burnham. Rozmowę będziemy prowadzić po angielsku bądź po niemiecku, w zależności od potrzeb. Jak rozumiem, władza pan biegle angielskim?

– Tak.

Major wciąż nie zaszczycił Luberta spojrzeniem. Sprawiał wrażenie, jakby bawiły go niektóre z odpowiedzi w kwestionariuszu. Wreszcie przemówił, nieskazitelną niemczyzną, cicho i delikatnie.

– Szczęściarz z pana, Herr Lubert.

Lubert nie podjął tematu. Czekał. Wiedział, że jego „szczęście” zostanie zaraz przeanalizowane i rozłożone na czynniki pierwsze przez tego mężczyznę o niespotykane długich rzęsach.

– Przeżył pan wojnę bez uszczerbku. Na pierwszą był pan za młody, na drugą za stary. Wciąż mieszka pan w swoim domu. Posiada pan majątek i wyrozumiałego współmieszkańca.

Chciał zaprotestować w sprawie majątku, ale nie odezwał się słowem.

Burnham uniósł dłoń. Lubert spojrzał na niego. Facet miał rzeczywiście zbyt ładne oczy jak na śledczego. Niemiec starał się doszukać w nich sympatii.

– Jestem za to wdzięczny – odpowiedział po angielsku, próbując zachować równowagę.

– Doprawdy? – Burnham spojrzał w kwestionariusz i otworzył go na stronie, która najwyraźniej budziła jego wątpliwości. – W niektórych pańskich odpowiedziach wyczuwam niewdzięczność czy wręcz pogardę.

Lubert musiał zgodzić się z tą krytyką. Nigdy nie lubił odpowiadać na pytania, zwłaszcza te natrętne. Natychmiast wywoływały w nim opór.

– Sądzę, że chodzi o pytanie o zabawę żołnierzami. Nie wydało mi się istotne.

– Poświęciliśmy mnóstwo czasu i wysiłku na przygotowanie tych kwestionariuszy.

– Tak, ale... nie potrafiłem zrozumieć, co to może mieć do rzeczy.

– Czy kiedykolwiek bawił się pan żołnierzami?

– Aresztujecie wszystkich mężczyzn, którym się to kiedyś zdarzyło? – wypalił Lubert.

– Herr Lubert, taki pogardliwy ton może sprawić, że podpadnie pan pod kategorię,

której wolałby pan uniknąć. Bawił się pan żołnierzami czy nie?

– Tak, jak każdy normalny chłopiec.

– Świetnie. To wszystko, co chciałem wiedzieć. – Burnham postawił ptaszek we właściwym miejscu. – I jeszcze to... – Przesunął palec do następnego punktu. Na jego twarzy odmalował się grymas niezrozumienia. – Pytanie R.iii. Co oznacza ta odpowiedź?

Jeśli można to nazwać odpowiedzią. Dosyć... frywolna, zważywszy na wagę pytania.

Lubert wyczuł, że Burnham jest inteligentny. Major wiedział, dlaczego Niemiec odpowiedział na pytanie w taki właśnie sposób – było ono po prostu niedorzeczne. Wypełniając ankietę, Lubert przeczytał je dwukrotnie, uznając, że zostało błędnie przetłumaczone lub miało służyć wystawieniu go na próbę. W końcu doszedł do wniosku, że sformułował je jakiś bezmyślny urzędnik z Whitehallu lub z Waszyngtonu i nie zasługuje ono na poważną odpowiedź.

– No więc?

– Ten, kto wymyślił to pytanie, zrobił sobie żart albo nie miał pojęcia, jak to wtedy było...

– To całkowicie poważne pytanie, Herr Lubert. „Czy bombardowania wpłynęły na stan zdrowia pana i pańskiej rodziny?”. Jeśli marzy pan o powrocie do pracy na pełny etat, musimy mieć pewność, że nie cierpi pan na żadne dolegliwości psychiczne ani fizyczne. Wstawienie wykrzykników w miejscu odpowiedzi może świadczyć o niezrównoważeniu.

– Sądzę, że bombardowania wpłynęły na stan zdrowia mojej żony, majorze, która zginęła, podobnie jak czterdzieści tysięcy innych osób, w lipcu 1943 roku, w dniu, w którym Brytyjczycy zniszczyli to miasto ogniem.

Burnham zachował kamienną twarz, ale był najwyraźniej zadowolony, że Lubert poruszył ten temat.

– Porozmawiajmy o pańskiej żonie. Jak na architekta mieszka pan po królewsku. Posiada pan kolekcję dzieł sztuki, w tym dzieła Légera i Noldego. To ona miała pieniądze, jak rozumiem?

– Tak, pochodziła z zamożnej rodziny.

– Jak się dorobili?

– Na handlu.

– Z kim handlowali? Czym?

– Wszystkim. Byli właścicielami paru terminali portowych.

– Przez które przechodziła broń dla nazistów?

– Począwszy od 1933 roku, handlowali tym, czym im kazano.

Mógł wspomnieć, że wiele z tych statków przyplęwało z Anglii, ale przecież major

Burnham musiał doskonale o tym wiedzieć.

– Zatem jest to kolekcja dzieł sztuki kupiona za pieniądze pochodzące z handlu z nazistami?

Jakże proste było to równanie. Wynik zawsze brzmiał: „Winny”. Liczby i ułamki pozostawały nieistotne.

– Hamburg prowadził własne interesy – odparł Lubert. – To był czysty handel. Nie mieliśmy związków z partią. Jedynie brat Claudii...

– Właśnie. – Burnham zerknął na stosowną stronę kwestionariusza. – Martin Fromm.

Lubert przez chwilę pomyślał nawet, żeby nie wpisywać nazwiska szwagra i jego stopnia: gauleiter. W rubryce brakowało miejsca, by wdać się w szczegóły partyjnej kariery Martina oraz opisać konsternację, jaką wywołało w rodzinie jego wstąpienie do tej organizacji.

– Przejdźmy do kolejnego pytania. F.iii. „Czy liczył pan, że Niemcy wygrają wojnę?”.

W odpowiedzi napisał pan: „Chciałem, żeby wojna jak najszybciej się skończyła”.

– Oczywiście, jak każdy.

– Chciał pan, żeby Niemcy wygrały?

– Byłem i wciąż jestem patriotą, ale to nie czyni ze mnie nazisty.

– Moim zdaniem to sofistyka. W 1939 roku termin „patriota” oznaczał nazistę.

– W ogóle nie chciałem tej wojny.

– Proszę opowiedzieć o swojej córce.

Major Burnham umiał zaskakiwać. Lubert poczuł, że traci grunt pod nogami.

– Niby co mam powiedzieć?

– Jak przypuszczam, bombardowania musiały mieć na nią jakiś wpływ, podobnie jak utrata matki.

– Ona... wciąż... nie może się z tym pogodzić. – W głosie Luberta pierwszy raz pojawiła się niepewność. – Jest jej też bardzo trudno zaakceptować fakt, że mieszkamy pod jednym dachem z Brytyjczykami.

– Nie może się pogodzić? Z okupacją?

– Ze stratą matki.

– Należała do organizacji Bund Deutscher Mädel.

Mało brakowało, by Lubert pominął ten fakt w kwestionariuszu.

– Od 1936 roku przynależność była obowiązkowa.

– Nie próbował jej pan powstrzymać?

– Ja... i moja żona... próbowaliśmy. Sprzeciwiałem się temu... ale przecież nie było wyjścia. Ciężko mi to, jednak odmowę traktowano jako zdradę. Wszyscy byśmy za to zapłacili.

– Ale człowiek uczciwy woli więzienie niż drogę zła, nieprawdaż?

– Najwyraźniej chce się pan we mnie doszukać jakiejś winy, majorze.

– Dla mnie liczy się tylko jej ciężar, Herr Lubert. Mam za zadanie określić jej kolor, odcień. Ciekawi mnie jeszcze jedna sprawa... Nie przewraca się panu w żołądku na myśl, że mieszka pan z byłymi wrogami?

– Dobrze nas traktują.

– A co na to pańska córka?

– Jest... nabydzona.

– Jak się to objawia?

– Cóż... Nie docenia faktu... że mogliśmy pozostać w naszym domu.

– Bo niby jak? Po tym, co spotkało jej matkę? Właściwie co teraz porabia, kiedy szkoły są zamknięte?

– Pracuje przy odgruzowywaniu miasta.

– Patrząc na zgliszcza, pewnie zastanawia się pan, czy architektura ma jeszcze sens.

Jest pan pewien, że chce wrócić do zawodu?

– Do niczego innego się nie nadaję. Chciałbym... – zaczął szukać odpowiedniego słowa – ... zaangażować się w odbudowę. Kiepski ze mnie robotnik.

– Tęskni pan do czasów, kiedy projektował pan domy letniskowe dla partyjnych oficjeli?

Kiedyś Herr Lubert rzeczywiście wykonywał wiele takich zleceń – zaprojektował między innymi „mały pałac” dla producenta broni Harolda Armfelda – ale to dlatego że brakowało zamówień na projekty obiektów cywilnych.

– Po 1933 roku możliwości pracy były ograniczone. Nie pomagało też to, że partia gardziła szkołą architektoniczną, z której wyrosłem.

Burnham spojrział na kolejną stronę kwestionariusza.

– Tęskni pan za przeszłością?

– Tęsknię jedynie za moją żoną.

– A za starymi dobrymi czasami nie?

– Nie wiem, jakie czasy ma pan na myśli. Po 1933 roku dla większości z nas Niemcy stały się więzieniem.

Burnham odchylił się na krześle, otworzył szufladę i wyciągnął plik fotografii. Rzucił je na blat i rozłożył niczym karty.

– O takim więzieniu pan mówi?

Pokazał mu zdjęcie wycieńczonego i wychudzonego Żyda, a później następne, cały czas wpatrując się w twarz Luberta, by wyczytać jego reakcję. Lubert widział takie fotografie w pierwszych miesiącach po wojnie. Rozwieszano je na murach, by mogli je zobaczyć wszyscy Niemcy. Popatrzył na nie ze znużeniem, po czym odwrócił wzrok.

– Mimo wszelkich niedogodności, jakich pan doświadczył, radzę, żeby nie porównywał pan swojego losu do losów tych ludzi, Herr Lubert.

Zerknąwszy do formularza, major Burnham skupił się na ostatniej stronie. Pytanie Y.

– Widzę, że rubrykę „Inne uwagi” pozostawił pan pustą. Czy teraz chciałby pan coś dodać?

Lubert rzucił mu możliwie najbardziej skruszone i miłe spojrzenie, na jakie mógł się zdobyć, po czym odrzekł:

– Nie, panie majorze.

– Dlaczego pan to powiesił, nie spytawszy mnie przedtem o zdanie?

– Wcześniej wisiał tam jakiś obraz. Został żółty ślad. Pomyślałem, że chciałaby pani...

– Nie chciałabym.

Rachael czekała na niego, przechadzając się nerwowo po holu. Przywitała go nieustępliwym spojrzeniem. Najeżyła się, jakby ćwiczyła u srogiej guwernantki sposoby radzenia sobie z krnąbrnym uczniem. Lubert właśnie pojawił się w drzwiach. Był głodny, zziębnięty i zły. Po przesłuchaniu poszedł do pracy, gdzie zobaczył, że fabryka została zamknięta. Brytyjczycy utrzymywali, że to ze względu na pogodę, lecz wszyscy wiedzieli, że zrobili to, by uspokoić wrzące nastroje. Współpracownik Luberta, Schorsch, stał przy bramie i rozdawał ulotki. Planowali wielki wiec, zachęcając wszystkich robotników z brytyjskiej strefy okupacyjnej do pikietowania fabryk w proteście przeciwko zamknięciu ich zakładu. „Niech pan pamięta, po czyjej jest pan stronie, Herr Lubert”, mruknął do niego, wciskając mu ulotkę. Lubert miał takich uwag po dziurki w nosie.

Spojrzał na obraz, który na jego prośbę zawiesił rano Richard. Zadał sobie nieco trudu, kiedy go wybierał, uwzględniając prowincjonalne gusta Morganów – nic zbyt śmiałego ani niezrozumiałego. Początkowo zdecydował się na piękny krajobraz pędzla Liebermanna, ale płótno nie zdołało zakryć całości przebarwienia. Uznał zatem, że półnaga kobieta von Carolsfelda będzie idealna – elegancki i stonowany portret zasłaniał pozostały prostokąt i przydawał całemu pomieszczeniu lekkości. Było to arcydzieło godne każdej ściany w każdym holu w każdym kraju. Tylko filister mógłby mieć jakieś obiekcje – filister albo świętoszek.

– To jeden z największych dziewiętnastowiecznych niemieckich malarzy.

– Nic mnie to nie obchodzi. – Rachael zaplotła ręce na piersiach, najwyraźniej nie

ulegając łagodnemu urokowi uwiecznionej przez artystę dziewczyny.

– Nie podoba się pani?

– Nie o to chodzi.

„Więc pewnie o to, że jest naga”, pomyślał Lubert. Może i była w tym nutka erotyzmu, lecz zarysowana na tyle powściągliwie i delikatnie, że nikogo nie powinna urazić. Nagle poczuł nieodpartą chęć, żeby utrudnić jej tę rozmowę, sprawić, by się spłoniła i zawstydziała, pokazać, gdzie jest jej miejsce.

– Może wolałaby pani wiejski landszaft? Scenę polowania? A może kogoś w ubraniu? – Wypowiadając te słowa, czuł się jak wyniosły starszy brat pouczający swoją głupiutką siostrę, ale było mu wszystko jedno.

Rachael odwróciła wzrok. Wiedziała, że się czerwieni. Pani Burnham miała rację – Niemcy to banda zarozumiałców, a ona pozwoliła mu na zbyt wiele.

– Wypraszam sobie taki ton, Herr Lubert.

Tymczasem on nie mógł się już powstrzymać.

– Jestem ciekaw, dlaczego się pani nie podoba. To bardzo szczery portret, nie jest ani trochę... Nie wiem, jak to powiedzieć po angielsku... *unschicklich*... niestosowny. Proszę się jej przyjrzeć. To piękna dziewczyna. Sądziłem, że potrafi pani to docenić, że ma pani dobry gust. – Urwał dla wzmocnienia efektu. – Widocznie się pomyliłem.

Wywołało to burzę.

– Co pan sugeruje? Przecież wiem, że to dobry obraz. Nie życzę sobie takich uwag. Nic pan nie wie o mnie ani o moim guście.

– To prawda – przytaknął.

Całkiem niezła rozrywka na koniec długiego i przygnębiającego dnia.

– Cóż pan może wiedzieć o moich upodobaniach? O tym, co uznaję za dobrą sztukę? Nie ma pan pojęcia, kim jestem i skąd pochodzę.

– I w tym cały problem! – wypalił. To już była brawura. – Jak mamy się porozumieć, skoro żadne z nas nie zna przeszłości drugiego?

– Właśnie pańska przeszłość mnie niepokoi. – W głosie Rachael zabrzmiała nowa nuta. Spojrzała na obraz, a raczej na miejsce, w którym zawisł. – Przedtem wisiał tu on, prawda?

Lubert milczał, oszołomiony pogardą zawartą w tym pytaniu. Tymczasem Rachael pochyliła się do przodu, ciężko oddychając.

– Mam rację? Portret waszego Führera? – dodała, unikając jak ognia tego straszego nazwiska.

Lubert zaśmiał się i zabrzmiało to nieco bardziej bez trosko, niż zamierzał.

– No więc? – przyparła go do muru przekonana o swojej racji Rachael. – Czy to był

portret Führera? Wiem, że większość z was miała go w domach. Chcę się tylko upewnić.

Nie wierzył, że naprawdę go o to podejrzewa. Czuł, że kryją się za tym wykute na pamięć, cudze opinie.

Nie mogła się powstrzymać przed zadaniem mu ostatecznego ciosu:

– Jestem rozczarowana. Myślałam, że akurat pan ma dużo lepszy gust.

Przez chwilę chciał zbyć tę uwagę milczeniem, lecz ignorancja Rachael sprawiła, że jednak zareagował.

– Proszę się tu rozejrzeć, Frau Morgan. Proszę popatrzeć na te meble, książki... na partytury. Mendelssohn, Chopin... Partia skazała ich na niebyt. Proszę iść do biblioteki. Znajdzie pani tam dzieła Hessego, Marksa, Fallady, które dawno kazano nam spalić. Proszę spojrzeć na obrazy. Chętnie panią oprowadzę, jeśli jest pani zainteresowana. To dzieła sztuki zakazanej trzynaście lat temu. Zdegenerowanej. Nawet ten drzeworyt Noldego. – Wskazał na prostą rycinę na ścianie przy schodach, przedstawiającą trawler. – Wszystko antyniemieckie, żydowskie, bolszewickie. Ci malarze nie mogli tworzyć i sprzedawać swoich prac, bo nie odpowiadały gustom Führera. – Zaczął krążyć po holu, przemawiając do ścian i elementów wyposażenia. – Wiem, że kogoś trzeba obwinić. To pomaga. Wygodnie jest wskazać twarz złoczyńcy. Ale naprawdę sądzi pani, że powiesiłbym na takim honorowym miejscu portret człowieka, którego idiotyczne idee doprowadziły do tych wszystkich zakazów i palenia dzieł sztuki? Był wandalą, wyznawcą jednej zasady: zniszczyć, nie tylko sztukę, ale także życie, rodziny, narody, miasta, kraje, a nawet Boga! Jego jedyną spuścizną są śmierć i zgliszcza. – Lubert przystanął, by zaczerpnąć tchu.

Rachael poczuła, że musi wykonać jakiś ruch. Odwróciła wzrok od portretu dziewczyny i utkwiała spojrzenie w kominku. Zaczęła rozgarniać popiół pogrzebaczem. Ręka wyraźnie jej drżała.

– Myślę, że już dość pan powiedział.

Tymczasem Herr Lubert dopiero się rozkręcał.

– Nie – odparł. – Ma pani rację. Nic o sobie nie wiemy. Pani nie wie nic o mnie. O mojej przeszłości, teraźniejszości ani przyszłości. Zgadza się, ja też mam jakieś nadzieje na przyszłość. Nawet ja, Niemiec!

Rachael odwiesiła pogrzebacz na stojak i skrzyżowała ręce na piersi, by ukryć ich drżenie.

– Twierdzi pani, że niepokoi ją moja przeszłość, a ja myślę, że bardziej pani własna. Coś tam słyszałem, nie tylko to, czego dowiedziałem się od Edmunda. W każdym razie przynajmniej próbowałem ją sobie wyobrazić, zajrzeć pod powierzchnię.

– Co pan wie od Edmunda?

– Mówił mi o waszym synu Michaelu, o pani... cierpieniu. Twierdzi, że kiedyś była pani weselsza, opowiadała pani dowcipy i śpiewała. Uważa, że polubiłbym panią bardziej, gdybyśmy poznali się wcześniej. Nie jest pani taka jak dawniej.

Zauważył jej przyśpieszony oddech. Wiedział, że to ją zraniło.

– Współczuję pani tej straty, wyjazdu z kraju i kłopotów, jakie stwarza mieszkanie pod jednym dachem z byłym wrogiem i stale nieobecny mężem. Wierzę, że jest pani kimś więcej niż tylko zgorzkniałą i pełną uprzedzeń kobietą. Przeżywa pani swój ból.

Dostrzegam go w pani oczach i słyszę w pani grze. Ale inni też cierpią. Niech się pani ocknie! Nie jest pani jedyna.

Stanął na wprost niej.

– Już wystarczy. Proszę przestać.

– Bo co mi pani robi? Wyrzuci mnie za drzwi? Tego by pani chciała? Proszę bardzo, ułatwię to pani! – Nagle chwycił ją za ramiona i pocałował, nie do końca w usta, więc wyszło to trochę nieporadnie. Cofnął się i nadstawił twarz, oczekując na policzek. – No to stało się – wymamrotał, choć nie bardzo wiedział, co to właściwie było.

Policzek nie został wymierzony. Rachael odwróciła się i zakryła usta dłonią.

Lubert nie mógł pozbierać myśli. Czuł krążącą w żyłach adrenalinę. Musi wyjść, nim zrobi coś gorszego. Uniósł ręce i zaczął się wycofywać.

– Pójdę już. Spakuję rzeczy. Wiem, że tego pani oczekuje. – Ruszył ku schodom.

– Nie, Herr Lubert – odpowiedziała z nieoczekiwanym spokojem. – To naprawdę nie jest konieczne.

– Nie powinienem był pani oskarżać – rzucił, położywszy dłoń na balustradzie. – Sprowokowałem panią. To było nieporozumienie. Nie wracajmy do tego.

Nie spojrzał na nią, tylko po dłuższej chwili poklepał słupek poręczy, jakby oznajmiał oficjalne zawieszenie broni, po czym udał się na górę.

Nowy samochodzik Edmunda jeździł po wykładzinie na podeście schodów między domkiem dla lalek a miejscem dostaw papierosów, i z powrotem. Chłopiec słyszał dochodzące z holu słowa – „zapomnieć”, „przeszłość”, „obraz”. Wyczuwał, że ton rozmowy dorosłych jest nieprzyjemny, lecz był zbyt skupiony na swoim zadaniu, by zrozumieć jej sens. Dla przechodzącej obok służącej lub matki byłaby to normalna chłopięca zabawa, jednak Edmund kamuflował nią o wiele poważniejszą grę.

Przesuwając samochodzik do swojego pokoju, wciąż czuł na nim zapach perfum matki. Zrobiła sporo zamieszania, kiedy mu go dawała. Wzięła Edmunda na kolana, ujęła dłońmi jego buzię i pocałowała go w czoło, nim w końcu wręczyła mu zabawkę. Wyjaśniła, że to wcześniejszy prezent gwiazdkowy, ale od razu dodała, że nie pomniejszy puli innych

podarków od Świętego Mikołaja. Najwyraźniej bardzo chciała zrobić mu przyjemność, a to sprawiło, że poczuł się trochę nieswojo.

– Wiem, że nie do końca ci to okazuję, ale chcę, żebyś czuł... że cię Kocham – powiedziała.

Taka deklaracja, zamiast dodać mu pewności, zrodziła w nim zwątpienie, gdyż zawsze uznawał jej miłość za pewnik, jak istnienie powietrza i siły ciężenia.

Z prezentu jednak się ucieszył. Mimo że model był nie ten, co trzeba, lagonda stała się rekwizytem w jego próbie odtworzenia willi Lubertów. Gdyby wytwórcy zabawek produkowali mercedesa 540K, replika byłaby idealna. Edmund powierzył nawet jednej z lalek rolę ogrodnika Richarda, doczepiając jej skleconą naprędcę z tektury łopate. Gdy samochodzik Edmunda zaparkował przed domkiem dla lalek, Richard odebrał zakupy, a chłopiec włożył do bagażnika papierosy. Wcześniej upewnił się, że pozostałe lalki tego nie widzą – matka grała na fortepianie w bawialni, Lubert się jej przyglądał, Greta i Heike były w kuchni, Frieda na strychu, a ojciec po drugiej stronie trawnika z wykładowy ratował Niemcy. Tymczasem Edmund pobiegł z dwiema wielkimi paczkami papierosów do sypialni rodziców. Obejrzał się w stronę drzwi, nasłuchując, czy przypadkiem nikt się nie zbliża. Później przesunął meble pod ściany i uniósł miniaturowy perski dywan. Leżało pod nim osiem paczek papierosów. W sumie ma już dwieście sztuk, o które prosił Ozi. Miesięczny przydział dla żołnierza, majątek dla sieroty. Teraz nadszedł czas, by przerzucić ten łup przez pokrytą śniegiem łąkę do Chłopców bez Matek.

Na łące zalegał dziewiczy śnieg, w którym Edmund z lubością odciskał swoje ślady. Cieszył go chrzęst zapadających się butów i fakt, że są na tyle wysokie, iż biały puch nie przedostaje się do środka. Dostrzegł w oddali ognisko, a unoszący się z niego słup czarnego dymu wyznaczał miejsce, gdzie niebo stykało się z ziemią. Niskie szare chmury zlewały się z krajobrazem, zacierając linię horyzontu. Wszechobecną biel rozcinała ciemna struga rzeki zwężonej po obydwu stronach o kilkaset metrów przez siarczysty mróz, który przemienił ją w sieć wąskich strumyków i lodowych archipelagów. W całkowicie zamrożonym starorzeczu ugrzęzła żaglówka, tkwiąc nieruchomo z zadartym dziobem i opadłą rufą. To tu, to tam prąd wypychał poszarpane bryły lodu. Przypominały Edmundowi pola lodowe, które przemierzał Scott podczas swej ostatniej feralnej wyprawy. Na środku, tam gdzie jeszcze płynęła woda, sunęły niczym pogrzebowe karawany zwały kry. Jedną z nich obsiadła zgraja kruków. Natura nie planowała, by człowiek użalał się nad losem tych ptaków, lecz ich widok poruszył Edmunda. Przemarznięte, z nastroszonymi piórami, wyglądały, jakby dały za wygraną w swej pogoni za padliną i pogodziły się z tą podróżą na lodowych tratwach do morza.

Edmund zbliżył się do obozowiska, niosąc pod pachą szarą papierową torbę ze sklepu NAAFI. Był pewien, że jego hojność wzbudzi szacunek i zjedna mu sympatię małych dzikusów. Siedzieli wokół ogniska, bliżej płomieni, niż zdawało się to fizycznie możliwe. Jeden z malców podtrzymywał ogień, dorzucając pokruszone kawałki kurzego guana. Szop było teraz mniej – zniknęły drewnitnia i stajnia. Chłopcy musieli poświęcić na ognisko połowę swego lokum. Ozi siedział na walizce niczym starzec wyczekujący mocno opóźnionego pociągu. Tkwił w całkowitym bezruchu, jakby zamarzał. Jeden z kolegów lekko go szturchnął.

– Dobry Angol.

Ozi zerwał się na równe nogi, zasalutował w stronę ogniska, po czym odwrócił twarz do Edmunda i zaczął obchodzić ogień, nie opuszczając kręgu ciepła. Przywitał go obłąkańczym, niemal ekstatycznym uśmiechem.

– Edmund – rzucił z lubością. – Co masz?

Mały Anglik dotarł do skraju błotnistej brei. Ogień stopił lód, tworząc metrowej szerokości krąg burej mazi. Malcy stali w nim bez zmrużenia oka, jakby zdążyli przywyknąć do buchającego od ognia gorąca.

– Co masz? – powtórzył Ozi. – Co masz? Co masz? – dopytywał się, szczękając zębami.

– Szlugi.

Kiedy Edmund podawał mu torbę, musiał osłonić twarz, żeby się nie poparzyć. Na widok towaru Ozi przemienił się z wyczekującego dziecka w eksperta. Wyjął paczkę playersów i obwąchał ją, żeby sprawdzić, czy jest szczelna. Dobrze. Świeżutkie jak jajka z rana. Nienaruszone opakowanie dodatkowo podnosi cenę. Wyciągnął rękę ze zdobyczą i obwieścił:

– Playersy. Słynne papierosy.

Celofan na opakowaniu zaczął ciemnieć i marszczyć się od gorąca.

– *Gut* szlugi – przytaknął Edmund. – Playersy.

– Cholernie dobre angolskie szlugi – zgodził się Ozi.

Gdy zaczął częstować papierosami, wśród malców rozległy się pomruki uznania. Tylko ten, którego Edmund wcześniej tak łatwo pokonał, stanął nieco z boku i obojętnie obserwował całą scenę. Edmund wykorzystał moment swego triumfu, by pokazać, że nie czuje do niego urazy. Wyjął paczkę z torby, którą trzymał Ozi, i poczęstował papierosem swego dawnego wroga. Chłopiec przez chwilę się wahał, ale w końcu podszedł i wziął papierosa. Nałóg był silniejszy niż duma.

Przy ognisku czuć było nie tylko zapach palonego drewna. Coś na nim piekli, jakieś zwierzę nadziane na rożen. Edmund nie potrafił określić jakie, gdyż łeb i łapy zostały obcięte. Było większe od świni, ale mniejsze i mniej pękate od krowy. Zresztą wszystko

jedno, bo pachniało apetycznie. Ozi wziął go za rękę i poprowadził do skwierczącego pieczystego. Uciął kawałek chudego zadu i mu podał. Mięso miało lekko zwęgloną skórę i było chrupiące.

– *Was ist los?*

Rozległ się chichot. Edmund uznał, że to reakcja na jego niemiecki.

– *Esel* – odrzekł Ozi.

Edmund wiedział, jak jest po niemiecku świnia, pies, krowa i lew, ale tego słowa nie znał. Może wołowina. Nie chcąc urazić gospodarza, włożył kawałek do ust.

– Angolowi smakuje? – spytał Ozi.

Edmund przeżuwał mięso, a chłopcy patrzyli na niego, czekając, co powie. Było twarde i miało posmak, którego nie umiał określić. Jak wołowina, tylko słodsze. Zresztą było tak spalone, że mogło to być cokolwiek.

– *Ich liebe* – powiedział wreszcie.

Nie był pewien, czy rzeczywiście mu smakuje, ale najwyraźniej była to właściwa odpowiedź.

– *Tommy liebt Esel!* – wykrzyknął Ozi.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i z jakiegoś powodu zaczęli z aprobatą ryczeć jak osły. Edmund poczuł, że przeszedł swego rodzaju inicjację. Nagle przypomniał sobie, że ma dla nich coś jeszcze. Sięgnął do kieszeni, wyjął zawiązaną na węzeł chustkę i zaczął się rozglądać, gdzie mógłby ją rozłożyć. Ozi wskazał mu swoją walizkę, którą odwrócił do góry dnem, tworząc z niej stolik.

– *Muttis Haus* – wyjaśnił.

Edmund położył chustkę na walizce, a gdy malcy otoczyli ją kręgiem, rozwiązał węzeł i ich oczom ukazał się połyskliwy kopczyk kostek cukru. Wszyscy wstrzymali oddech, jakby wykonał dla nich czarodziejską sztuczkę. Nie mając pewności, czy wiedzą, co to jest cukier, Edmund wziął leżącą na szczycie kostkę i ustawił ją pod światło. Granulki zaśniły iskierkami.

– Cukier – powiedział i podał kostkę Oziemu, który natychmiast włożył ją do ust.

Najpierw tylko ją ssał, a dopiero potem pogryzł. Nagle się skrzywił i z ust pociekła mu gęsta czerwona ślina. Sięgnął palcami, pogmerał nimi w ustach i wyciągnął zakrwawiony, żółty, spróchniały ząb. Obrócił się, by pokazać wszystkim wykrzywioną z bólu twarz, po czym znów zerknął na umazany krwią ząb spoczywający w jego różowo-czarnej dłoni. Zacisnął palce i wsunął ząb do kieszeni. Edmund zaczął się zastanawiać, co z nim robi. Nie można go było wstawić z powrotem, a do cuchnących ust Oziego na pewno nie zajrzy zębowa wróżka, jeśli w ogóle jeszcze odwiedzała niemieckie dzieci. Z pewnością znalazły się teraz na szarym końcu jej listy, nawet dalej niż mali Włosi i Japończycy.

Ozi pochylił się, zgarnął trochę śniegu i przyłożył do wciąż krwawiącego dziąsła. Ktoś krzyknął:

– *Mann auf dem Fluss!*

Wszyscy się odwrócili. Od strony starorzecza zmierzał w ich kierunku jakiś mężczyzna. Z tej odległości trudno było ustalić, w jakim jest wieku, ale poruszał się dziarsko. Szedł po zamarzniętej rzece najwyraźniej z jakimś konkretnym zamiarem. Chłopcy odebrali jego zamysł, jakby dostali telegram, i zbili się w nerwowe stadko. Nawet jeśli nie wiedzieli, kto to jest, to byli pewni, z kim nie życzą sobie spotkania.

– *Tsss. Ist er es?*

– *Nein.*

– *Ich kann ihn nicht erkennen.*

Piechur kontynuował wędrówkę po lodzie. Fala gorącego powietrza znad ogniska sprawiła, że przez chwilę wydawało się, jakby stąpał po wodzie.

Jedynie na Ozim nie zrobiło to wrażenia.

– To Berti, głupki.

– Nie będzie zadowolony – odezwał się Siegfried. – Prawie nic nie zwędziliśmy.

Berti wyszedł na brzeg. Tutaj, na śniegu, czuł się już pewniej i stawiał dłuższe kroki. Sunął w ich stronę przez czarno-szarą łąkę i tylko żar jego papierosa migotał pomarańczowo w brudnoszarym zimowym powietrzu.

– To Berti – powtórzył Ozi. – Mam to, czego chciał – dodał, ale było jasne, że jego spokój jest tylko pozorny i że przygotowuje się na każdą możliwość.

Edmund był zdenerwowany. Poczul mdłości. Z chęcią pomknąłby przez łąkę do bezpiecznego domu, ale było już za późno.

– Edmund! – zawołał Ozi, wsadziwszy głowę do walizki. Zazdrośnie osłaniając wiekiem jej zawartość, wyjął swoją kozacką czapkę, rzucił ją Edmundowi i pokazał mu, żeby ją włożył. – Nic nie mów.

Edmund naciągnął czapkę i stanął z tyłu. Z zimna skostniały mu nogi. Czapa cuchnęła olejem, była zmarznięta i twarda niczym hełm.

Z bliska Berti nie robił aż takiego wrażenia. Był niewiele od nich starszy i niewiele wyższy. Ogromny kapelusz jeszcze go pomniejszał. Mimo to, gdy zbliżył się do ogniska, chłopcy zbili się w milczącą i roztrzęsioną gromadkę. Cofając się przed Bertim, niechcący o mało nie wepchnęli Edmunda w płomienie. Tylko Ozi wciąż zachowywał pozory obojętności i nie wykonał żadnego ruchu. To do niego podszedł Berti, ledwo dostrzegając obecność innych. Spytał go o coś szeptem, żeby reszta nie słyszała. Ozi podał mu jakiś skrawek papieru, gorączkowo coś tłumacząc. Twarz Bertiego pozostała bez wyrazu. Starannie złożył kartkę i schował do kieszeni.

– *Was hast du für mich?*

Usłyszawszy to pytanie, Ozi zaprezentował cały repertuar wzruszeń ramionami, błagalnych gestów i potrząśnięć głową, po czym wskazał palcem za siebie na jakiegoś wyimaginowanego współnika, który wystawił go do wiatru. Mniej więcej w połowie tego nieprzekonującego przedstawienia – nawet Edmund stwierdził, że Ozi zachowuje się jak wykrętny, kłamliwy gnojek – Berti uciszył go, chwytając ręką za twarz. Atak ten, jego brutalność oraz fakt, że zdarzył się tuż obok, przeraził Edmunda. Poczuł, że za chwilę zwymiotuje.

Uwolniony z żelaznego uścisku Ozi, najwyraźniej gotów natychmiast zapomnieć o tej napaści, przeistoczył się w uprzejmego kelnera, wskazując Bertiemu rożen, jakby chciał przydzielić mu najlepszy stolik w restauracji. Berti zbliżył się do upieczonego zwierzęcia, uważnie mu się przyjrzał, po czym obrócił się w stronę Oziego i jego kumpli. Był jeszcze bardziej rozjuszony niż przedtem.

– *Wir essen Esel, während die Engländer Kuchen essen!*

Znów to samo słowo. *Esel*. I coś o Anglikach jedzących ciasto.

Tymczasem Ozi próbował odwrócić uwagę Bertiego kolejną sztuczką. Zaczął wymachiwać czymś, co wyglądało jak tubka z pastylkami do ssania. Zachowywał się niczym cyrkowy treser, który za pomocą bicia zmusza lwa, by ten przeskoczył przez płonącą obręcz i wylądował na podeście, i czyni wszystko, by zwierzę zapomniało, jaką siłą dysponuje.

– *Berti, schau mal, was wir für dich haben! Pervitin!*

Berti chwycił tubkę i natychmiast połknął dwie pastylki. Ozi klasnął w dłonie na znak, by wszyscy wyjęli to, co mają w kieszeniach. Otto wyciągnął zza pazuchy kościelną tacę i położył ją na ziemi. Reszta dorzuciła inne marne, acz zróżnicowane łupy: lek na chorobę weneryczną, prezerwatywy, kostki cukru. Ozi z niechęcią oddał większość rzeczy przyniesionych przez Edmunda.

Bertiego szczególnie zainteresował cukier.

– *Wo hast du den Zucker gefunden?*

Cisza.

Ozi zaczął wreszcie bąkać coś o hotelach, ale Bertiego to nie przekonało. Dopadł Dietmara, założył mu nelsona i przysunął koniec żarzącego się papierosa na odległość dwóch centymetrów od jego oka. Chłopak jęknął, bo już przypalały mu się rzęsy.

Edmund przełknął podchodzącą mu do gardła kwaśną ślinę. Po nodze zaczął mu spływać ciepły mocz. Chciał powiedzieć Bertiemu, żeby przestał, ale bał się odezwać, choć czuł się w jakimś sensie odpowiedzialny za cierpienia Dietmara. Jak postąpiłby w tej sytuacji jego tata?

– Przestań! Proszę cię... Przestań.

Wypowiedziane po angielsku słowa od razu odniosły skutek. Berti puścił Dietmara.

Pozostali rozstąpili się, tworząc szpaler między Bertim a Edmundem.

– On jest w porządku, Berti – pośpieszył z wyjaśnieniami Ozi. – Przynosi nam szlugi... i cukier. To dobry Angol.

Gorący mocz pociekł pełnym strumieniem po spodniach i dotarł do butów.

Niespodziewane ciepło przyniosło Edmundowi chwilową ulgę, ale poczuł też, że nogi ma jak z waty. Nawet gdyby chciał, już nie zdołałby uciec. Znowu pomyślał o ojcu. To nie była ta heroiczna śmierć, którą sobie wyobrażał. Kiedy go znajdą, odkryją żółtą plamę na śniegu. Odznaczeni nie sikali w majtki. Tu leży Edmund Morgan. Spoczywaj w gnoju.

Tymczasem z jakiegoś powodu Berti nie wykonał żadnego ruchu. Stał i coś sobie kalkulował, po czym zaczął szeptem naradzać się z Ozim, od czasu do czasu zerkając na Edmunda. W końcu obrócił się i uważnie mu się przyjrzał. Później spojrzął na tacę i wziął paczkę playersów.

– Przynoś szlugi – rzucił po angielsku. – Tutaj. Codziennie.

– Dobrze...

– Bo zrobię to... tobie. – Machnął mu przed oczami papierosem.

– Dobry Angol – zaczął łagodzić sytuację Ozi. – Przynieś szlugi jutro *und* – zakreślił w powietrzu łuk, co miało oznaczać tydzień – ... *und* następny.

Edmund gorliwie pokiwał głową.

I wtedy Berti cisnął kostki cukru do ognia. Wylądowały na palących się resztkach kurzego guana. Ozi zaskrzeczał i rzucił się, by je ratować, ale ogień płonął zbyt gwałtownie, więc odskoczył niczym żaba i opadł na ziemię, z żarzącymi się połami futra. Pozostali ryknęli śmiechem, a on zaczął tarzać się w śniegu, by ugasić płomienie.

Berti zabrał resztę haraczu ściągniętego od malców, wskazał palcem na Edmunda, a później na willę Lubertów. Edmund nie potrzebował słów. W lot zrozumiał, o co chodzi. Zaczął się posłusznie wycofywać pod srogim spojrzeniem Bertiego, aż przerażony puścił się pędem do domu, zataczając się i potykając w śniegu.

Śnieg zasypał baraki w Hammerbrook po same dachy. Żółta poświata ustawionych w oknach lamp naftowych sprawiała, że obóz przypominał spokojną, przykucniętą, zaciszną wioskę.

– „Przybądź, przybądź, Emmanuelu...”. – Minister Shaw pokiwał głową, rozpoznając melodię pieśni.

Lewis prowadził go odśnieżoną ścieżką między barakami w stronę grupy ludzi czekających przed punktem wydawania darów. Tak jak przewidział, padający

nieprzerwanie przez dwa dni śnieg zasypał wszelkie widoczne oznaki niezadowolenia i skłonił demonstrantów do pozostania w domach. Jak dotychczas wszystko, co minister zobaczył podczas objazdu miasta, świadczyło o tym, że sytuacja jest trudna, ale całkowicie pod kontrolą władz. Nawet protestujący w fabryce robotnicy zwinęli swoje transparenty, a tymczasem w obozie, gdzie – jak liczył Lewis – Shaw oraz towarzyszący mu fotograf z dziennika „Die Welt” ujrzą niepodważalne dowody tragedii, trwała w najlepsze akcja rozdawnictwa darów. Urządziły ją Czerwony Krzyż, Towarzystwo Przyjaciół oraz Armia Zbawienia, której orkiestra dęta wygrywała kolędy, a ochotnicy wydawali darmową zupę i paczki żywnościowe stojącym w kolejkach dipisom.

– Miło, że ich karmicie, pułkowniku.

– W tym miesiącu dwadzieścia osób zmarło z wygłodzenia, panie ministrze, a będzie jeszcze gorzej. Bez tych paczek ci ludzie by nie przeżyli. Niemcy sami się nie wyżywią.

– Przecież wszędzie wokół są farmy i żyzne pola.

Fotograf próbował ustawić ministra do kolejnego ujęcia.

– Zagłębienie upraw leży w strefie opanowanej przez Rosjan, którzy nie chcą się z nami dzielić – odparł Lewis, lecz Shaw słuchał go jednym uchem. – Dostawy dla miasta w większości przychodzą stamtąd, ale Rosjanie nie będą wysyłać tu ziarna, póki nie zamkniemy większej liczby fabryk. W związku z tym dziewięćdziesiąt procent żywności musimy importować. To dwa miliony ton dziennie. W dodatku statki nie mogą przebić się przez lód. Jeśli zamkniemy fabryki, Niemcy nie znajdą pracy. Wielu i tak nie może jej podjąć ze względu na procedury denazyfikacyjne. To błędne koło.

Shaw pokiwał ze zrozumieniem głową, ale Lewis czuł, że jego wyjaśnienia są zbyt drobiazgowo. Same draśnięcia, żadnego strzału w dziesiątkę. Teraz jeszcze wtrącił się fotograf.

– Panie ministrze, czy mógłby pan stanąć za stołem? Chciałbym zrobić zdjęcie, jak wręcza pan paczkę.

Dla Leylanda, komisarza wojskowego z „Die Welt”, sprawa była prosta: pokazać Niemcom Brytyjczyków w dobrym świetle, przekonać, jak solidarnie wspierają ich w nieszczęściu. Miał już w zanadrzu stosowne zdjęcia: Shaw w szkolnej ławce z trzema uśmiechniętymi niemieckimi uczennicami pilnie studiującymi podręcznik na temat brytyjskiego parlamentu („Niemieckie dzieci uczą się podstaw demokracji”), Shaw w drukarni „Die Welt” („Niemcy znów korzystają z dobrodziejstw wolnej prasy”), jednak fotografia z adnotacją „Minister rozdaje wdzięcznym Niemcom paczki żywnościowe” byłaby prawdziwym szlagierem. Pokazałaby Niemcom, że Brytyjczycy potrafią współczuć i są kompetentni, uciszyłaby głosy krytyki kierowane do Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec i pozostawiłaby wrażenie, że Shaw to człowiek czynu. Pan minister wiedział, jak

się zachować – zadać pytanie, ucisnąć dłoń, spojrzeć z troską.

Shaw przywitał po niemiecku jakąś staruszkę i wielkodusznie się pochylił, wręczając jej paczkę. Kobieta skrzywiła się i odeszła bez słowa. Wystudiowana empatia ministra nie znalazła jej uznania. Fotograf zrobił zdjęcie – ale gdzie była wdzięczność? Musiał ją uchwycić. Następna do stołu podeszła młoda matka z dzieckiem na ręku. Fotograf zastygł w napięciu. Shaw pogładził główkę dziewczynki i podał jej paczkę niczym Święty Mikołaj w cywilu. Fotograf przykucnął, wycelował obiektyw i pstryknął.

Jakiś obdarty młody mężczyzna, który podążał za nimi od samego początku, zawołał do ministra:

– *Tommy gibt mehr zu essen, sonst werden wir Hitler nicht vergessen!*

Lewis słyszał to hasło już wcześniej. Najpierw od kobiety kradnącej węgiel na dworcu kolejowym Dammtor, a później od jakiegoś chłopca na targu.

Leyland kazał mężczyźnie się wynosić, po czym przeprosił Shawa za te obraźliwe słowa.

– Ale co on powiedział? – spytał Shaw, spoglądając na Ursulę.

– „Angolu, dajcie nam jeść, bo inaczej nie zapomnimy o Hitlerze”.

Minister wydawał się bardziej ucieszony niż urażony. Zyskał sposobność, by móc coś udowodnić.

– Proszę go spytać, czy mówił to poważnie – zwrócił się do Ursuli.

Tłumaczka przekazała mężczyźnie pytanie ministra. Tamten stanowczo przytaknął, nie kryjąc pogardy.

– Powiedział: „Wtedy było nam lepiej niż teraz. Tak źle nigdy nie było, nawet

w ostatnich dniach wojny” – przetłumaczyła odpowiedź mężczyzny Ursula.

Fotograf, który pewnie bał się o posadę, przykazał śmiałkowi, żeby się przymknął. Tymczasem Shaw był wyraźnie zaintrygowany.

– Proszę go spytać, czy odczuwa wdzięczność za zwróconą wolność.

W odpowiedzi mężczyzna wskazał na barak, a Ursula przełożyła jego słowa:

– „Czy to jest wolność? Odkąd skończyła się wojna, byłem już w trzech obozach: w Belgii, Kolonii i tutaj. Od dziewięciu miesięcy nie widziałem się z żoną. Dlaczego? Bo walczyłem za ojczyznę?”.

– Co przyniosłoby mu ulgę? – spytał Shaw.

Mężczyzna wymamrotał coś pod nosem.

Ursula z trudem powstrzymała uśmiech, wbijając wzrok w swoje dłonie.

– Co odpowiedział?

– Jest... po prostu zły – odrzekła Ursula. Najwyraźniej bardziej próbowała chronić tego mężczyznę przed nim samym niż Shawa przed jego obelgami. – Mówi tak, bo jest głodny.

Shaw postanowił udowodnić, że nie jest mięczakiem.

– Może mówić otwarcie. Nie ma sprawy. Śmiało. Co powiedział?

Ursula zawahała się i spojrzała pytająco na Lewisa.

– Myślę, że pan minister ma prawo to usłyszeć – rzucił.

– Powiedział: „Przestańcie traktować nas jak przestępców”. I... „Wracajcie do Anglii”.

– Podejrzewam, że zabrzmiało to mocniej.

Lewis powstrzymał uśmiech i skinął na Ursulę, żeby przełożyła to dosłownie.

– Z grubsza to znaczy: „Spierdalajcie do Anglii”.

Lewis wiózł Ursulę do domu, niespecjalnie zwracając uwagę na drogę. Jego myśli zaprzętały sprawy, o których miał wspomnieć ministrowi.

– Dziękuję – odezwała się nagle Ursula.

– Za co?

– Za to, że próbował pan mówić o tym, co trudne.

– Byłem nie dość stanowczy i nie wyrażałem się jasno. Miałem okazję, żeby coś zmienić.

Teraz minister wróci do Londynu i nikt się nie dowie, jak bardzo skomplikowane jest to, co się tu dzieje.

– Zbyt surowo się pan ocenia.

– Dureń ze mnie. Nawaliłem.

– Wszystkiego pan sam nie załatwi.

Ta ostatnia uwaga zabrzmiała niczym reprimenda. Na drodze przed nimi leżała przewrócona ciężarówka z szoferką na chodniku. Świeży śnieg zdążył już przykryć ślady po wypadku. Kiedy ją mijali, Lewis zauważył jakąś postać, która w pośpiechu wyciągała coś z kabiny. Udał, że tego nie dostrzegł.

– Nie musi mnie pan odwozić pod same drzwi.

– Nie pozwolę pani brnąć w takim śniegu.

– Ale przecież to panu nie po drodze.

– Nalegam.

Potężny grzejnik nawiewał ciepłe powietrze na nogi Lewisa. Po chwili poczuł, że ciepło wędruje wyżej, przywracając krążenie w odrętwiałych z zimna palcach. Wyższa temperatura sprawiła, że w samochodzie zaczęły mieszać się zapachy wilgotnej wełny, tytoniu i kojarząca się z czystą pościelą woń Ursuli.

– Jak pana nazywają? Lawrence'em z Hamburga? To dobre przezwisko czy złe?

– Zależy, kto go używa. – Barker nadał mu to przezwisko. Lewis nie protestował.

W istocie mile polechtało to jego próżność. – To nawiązanie do T. E. Lawrence'a. Lawrence'a z Arabii.

Ursula nigdy o nim nie słyszała.

– Był odstającym od reszty oficerów brytyjskim porucznikiem. Podczas pierwszej wojny światowej stacjonował w Egipcie. Świetnie znał i rozumiał tamtejszych mieszkańców, Beduinów. Napisał książkę pod tytułem *Siedem filarów mądrości*. Dla mnie to coś w rodzaju biblii. Wszędzie ją ze sobą wożę. Barker czasami nazywa mnie Lawrence'em. Widocznie ktoś to usłyszał.

– Ta postać bardzo mnie zaintrygowała.

– Zawsze przysparzał problemów władzom, bo trzymał z tubylcami. Przełożeni mieli go za aroganta. Nienawidzili go, bo wolał autochtonów od swoich. Pożyczę pani tę książkę. Z dedykacją autora. Poznałem go.

– Jaki był?

– Sprawiał wrażenie, jakby chciał zostać kimś innym.

– Pan też woli miejscowych?

– Wszyscy mnie za to krytykują, nawet żona.

Koła samochodu przestały rozbryzgiwać rozjeżdżone błoto. Teraz skrzypiały na równej, zmrożonej nawierzchni. Lewis poczuł, że kierownica nie wibruje już tak silnie jak przedtem. Wzmianka o Rachael sprawiła, że mocniej zacisnął ręce.

– Uważam, że jest bardzo odważna, skoro zdecydowała się zamieszkać pod jednym dachem z Niemcami. Niewielu by się na to zdobyło.

Lewis miał tę świadomość, lecz nigdy nie nazwałby Rachael odważną.

– Czy... już się zadomowiła?

„Zadomowiła”. Dobre słowo.

– Myślę, że... jest na dobrej drodze. Nie czuła... Nie czuje się dobrze. Długo trwało, nim uporała się ze śmiercią naszego starszego syna.

Lewis wspomniał Ursuli o śmierci Michaela tuż po tym, jak dowiedział się o jej własnej stracie. Była to uczciwa wymiana informacji – śmierć męża za śmierć syna – ale Lewis nie rozwodził się na ten temat. Teraz też nie zamierzał.

– Sądzę, że byłoby mi bardzo trudno zamieszkać z dawnymi wrogami, których obwinałabym o śmierć syna. I jeszcze mąż, który się o tych wrogów troszczy. To naprawdę trudne.

Doszła do tego na podstawie szczątkowych informacji. Jak to zrobiła?

– Owszem, ale ona musi... – Powstrzymał się, żeby nie powiedzieć za dużo.

– Musi?

– Ona... Miałem nadzieję, że z czasem... jakoś się z tym upora.

– Niby dlaczego? Czas nie ma tu nic do rzeczy.

Lewis nie znalazł na to właściwej odpowiedzi.

– Czas nie zagoi ran po śmierci syna – dodała Ursula.

Lewis głęboko odetchnął, aż zaparowała przednia szyba. Zaczął przecierać ją rękawiczką.

– Ale pogoda!

Ursula w mig pojęła jego intencje.

– Przepraszam. Nie powinnam się wtrącać.

– Nie ma sprawy.

Chwila ciszy.

– Macie jeszcze jednego syna?

– Tak.

– Jaki on jest?

Na myśl o Edmundzie Lewis się uśmiechnął. Cieszył się nim i chciał go lepiej poznać. To, że znał go tak słabo, dręczyło go, a jednocześnie sprawiało, że nie potrafił mu tego powiedzieć.

– To... dobry chłopak...

Nagle kierownica wysliznęła mu się z rąk, obróciła się w prawo, a później w lewo, jakby samochód prowadził pijany szofer widmo. Kiedy nad nią zapanował, samochód już sunął na bok, wpadając w pozornie kontrolowany, elegancki poślizg. Lewis uznał, że nie warto z tym walczyć. Pozwolił, by mercedes potoczył się w poprzek jezdni i wylądował tam, gdzie było mu pisane. Krzyknął: „Uwaga!” i oparł wyprostowaną rękę na piersiach Ursuli, przytrzymując ją, póki nie zatrzymali się cicho i bezboleśnie w głębokiej zaspie pod jakimś starym kupieckim domem. Mimo że mercedes stał już bez ruchu, Lewis nie cofnął ręki. W ułamku sekundy zdecydował, że tego nie zrobi.

– Nie wiem, jak to się stało. Po prostu... kierownica...

Jego ramię już jej nie chroniło, tylko ograniczało niczym szlaban. Spojrzał na nie w oczekiwaniu na jej reakcję. Ursula ujęła je lewą ręką, uniosła i odsunęła.

– Przepraszam. To było...

– Nie szkodzi, pułkownik. Na lodzie łatwo o coś takiego.

Tymczasem samochód utknął w zaspie. Lewis postanowił, że odprowadzi Ursulę do domu, po czym dotrze do klubu oficerskiego przy Jungfernstieg, gdzie znajdzie kogoś, kto go podwiezie i powiadomi odpowiednie służby, by odkopały mercedesa. Odczuwał przemożną chęć zapalenia papierosa, ale nie było ich nawet w skrytce w podłokietniku.

– Odprowadzę panią do domu.

– Nie musi pan.

– Ale chcę.

Ruszyli opustoszałą ulicą Neuer Steinweg w starej, nietkniętej przez naloty części miasta. Zażenowanie, jakie odczuwał Lewis po incydencie na drodze, sprawiło, że szedł

nieco za szybko.

Rachael zawsze wytykała mu prostolinijność, z jaką odnosił się do kobiet, jednak z dala od domu był to dla niego najlepszy sposób obrony. Jego nieskomplikowana wierność pozwalała mu przetrwać w sytuacjach, które dla innych okazywały się zbyt kuszące. Koledzy często miewali erotyczne przygody, na które otoczenie przymykało oko. Tymczasem Lewisa nigdy nie dopadła pokusa, która zżerała, a niekiedy niszczyła życie skądinąd całkowicie racjonalnych mężczyzn. Zastanawiał się nawet kiedyś, czy przypadkiem nie jest z nim coś nie tak. Pewnego wieczoru w Bremie jego ówczesny zastępca, Blackmore, zarzucił mu, że zachowuje się jak „oklapły mnich”. Miało to miejsce w pierwszych tygodniach po zakończeniu wojny, kiedy hucznie świętowano pokój i żołnierze całymi plutonami używali sobie z młodymi Niemkami. Raz Lewis musiał powstrzymać kapitana Blackmore’a, który dopiero co się ożenił, by ten nie zaprzepścił swojego szczęścia, spędzając noc z barmanką. „Pieprzony oklapły mnich – zaszydził jego podwładny, gdy Lewis stanął w drzwiach i czekał, aż ten się ubierze. – Spójrz na nią! Jak można się oprzeć? Ty nie miałbyś ochoty?”. Dziewczyna spała z wystającą spod prześcieradła nogą, najwyraźniej mocno wyczerpana. Była świeżutka, delikatna i nęcąca, ale nie, Lewis nie miał ochoty. I nie wynikało to, wbrew twierdzeniom Blackmore’a, z braku ikry lub nadmiaru samokontroli. Te rzeczy interesowały go wyłącznie z żoną.

Teraz jednak, patrząc, jak Ursula niczym antylopa przeskakuje co głębsze zaskpy, zaczął się zastanawiać, czy ten jego wewnętrzny system ochronny wciąż działa. Zauważał u niej rzeczy – drobne gesty, spojrzenia – które, jak dotąd sądził, może dostrzegać tylko u Rachael. Klarowne, dokładne obserwacje. Jakby nagle dostał okulary, które uświadomiły mu, że przez lata żył z krótkowzrocznością. Co dojrzałaby teraz Rachael, gdyby ich widziała? Zaczyna brytyjskiego oficera czy męża ukradkiem szykującego się do pierwszej zdrady? Lewis wiedział, co pomyślałby Blackmore, ba, połowa jego kolegów sztabowców! Ale co myślał on sam? Naprawdę tylko odprowadzał swoją tłumaczkę do domu czy też ten rycerski gest był jedynie przykrywką dla jego niecznych zamiarów? Mróz najwyraźniej mieszał mu myśli i wyostrzał zmysły.

Doszli do sześciopiętrowej kamienicy stojącej naprzeciwko starego kupieckiego domu. Ursula zaczęła szukać kluczy w torebce.

– To mieszkanie mojej ciotki.

Jasne. Mieszka u ciotki. To dlatego, uciekając przed Rosjanami, przybyła do Hamburga.

– Zaprosiłabym pana na kawę, ale ciotka to okropna plotkara.

– Nie ma sprawy. I tak na to nie liczyłem.

– Dziękuję, że mnie pan odprowadził. Do zobaczenia jutro w biurze, jeśli pogoda pozwoli.

– No właśnie.

Rachael leżała na łóżku, wciąż odtwarzając w myślach swoją kłótnię z Lubertem, wszystkie zapamiętane słowa, aż do chwili, kiedy ją pocałował. Mimo szoku nie czuła się dotknięta. Było to dla niej niemal miłe – to, jak nie wcelował w jej usta, i jego szczeniackie wyczekiwanie na policzek. Była zaskoczona tym, jak szybko zgodziła się na rozejm, choć z całą pewnością nie czuła się później spokojna. Chciała go spytać, dlaczego wypowiadał się o jej przeszłości, stracie syna i małżeństwie. Ujął to wszystko całkiem precyzyjnie, czym wytrącił ją z równowagi. Miała poczucie, choć nie pojawiło się ono od razu, że wreszcie ktoś ją rozumie.

„Polubiłbym panią bardziej, gdybyśmy poznali się wcześniej... Nie jest pani taka jak dawniej”. „Nie taka jak dawniej”. Po śmierci Michaela Lewis powtórzył jej to kilkakrotnie. Widocznie Edmund musiał usłyszeć. Lewis nie mówił tego krytycznie – jeśli już, to prędeż chciał ją zachęcić. Zawarł w tych słowach pragnienie i nadzieję, że Rachael znów stanie się kobietą, którą będzie mu łatwiej kochać. Tą, którą była, nim spadła bomba, „dawną Rachael”, która nie zastanawiała się, czy jest naprawdę „sobą”, czy jest szczęśliwa i czy chce się z nim kochać. Ale już nie mogła się nią stać. Utraciła swoją niewinność. Bomba unicestwiła tamtą Rachael, która nie wyobrażała sobie, by to wszystko mogło wrócić. Jeśli Lewis tego nie zrozumie, nigdy nie zdoła jej pomóc. Kiedy spytała go: „Co we mnie przedtem kochałeś, Lew?”, odpowiedział: „Po prostu cię Kocham, Rach. Nie umiem tego wyjaśnić”. Ale jeśli Rachael miała ozdrowieć, potrzebowała kogoś, kto będzie umiał to wyjaśnić.

Wyciągnęła rękę na drugą połowę łóżka. Była zimna i pusta i choć Rachael przywykła do tego, że sypia sama, gorące ciało Lewisa powinno tam na nią czekać. Tymczasem jej dłoń natrafiła jedynie na piżamę pod poduszką, niezbity dowód jego nieobecności. Przez cały pierwszy rok małżeństwa kładli się spać nago, nawet zimą. Nie było między nimi barier ani wstydu. Kryły się za tym energia młodości oraz pewność siebie i wolność wynikające z przeszłości bez obciążeń. Później przez lata nawzajem się przed sobą zasłaniaли i odgradzali kolejnymi warstwami prywatności. A przywdziawszy po śmierci Michaela surowy żałobny strój, Rachael zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdoła się go pozbyć.

Usiadła na łóżku. Gdzieś w domu paliło się światło, przez szparę w zasłonach rzucając odbłask na podłogę sypialni. Rachael włączyła nocną lampkę. Poczowała przemożną chęć wypicia szklanki gorącego mleka. Był to nawyk z czasów wojny, gdy Lewis przebywał poza domem.

Nasłuchiwała odgłosów nocy. Wokół panowała cisza, słyszała jedynie bulgot wody

w grzejnikach. W końcu wstała i wyjrzała przez szczelinę między zasłonami. Światło paliło się na dole. Może Lewis już wrócił i właśnie nalewał sobie drinka. Nasunęła kapcie, włożyła szlafrok i ruszyła do holu.

Na palenisku kominka zarzył się pojedynczy czerwony płomyk. Rachael spojrzała na portret nagiej dziewczyny, o który pokłóciła się z Herr Lubertem, i poczuła złość, że dała się podpuścić dominującej pani Burnham. Sam obraz w jakimś sensie się jej podobał – był doskonale namalowany, piękny, lekki i delikatny. Może poprosi Herr Luberta, żeby jej o nim opowiedział. A później niech opowie jej o sobie.

W bawialni paliło się światło. Rachael spodziewała się zastać tam Lewisa siedzącego ze szklaneczką whisky na krześle Miesa van den Rohe, ale pokój był pusty.

Podeszła do okna wykuszowego z widokiem na łagodnie opadający ku rzece trawnik na tyłach willi. Wciąż padał śnieg. Na drugim brzegu Łaby migotało kilka świateł. Rachael przeniosła wzrok na rzekę. Nie widziała jej, ale wiedziała, że tam jest i płynie w stronę Anglii, którą coraz trudniej było jej sobie wyobrazić.

Nagle dostrzegła na trawniku jakiś ruch. Zwierzę było wielkości jelenia albo bardzo dużego psa, lecz jego brzuch sunął zbyt blisko ziemi, żeby mogło być jednym lub drugim. Miało gruby zakręcony ogon długości ludzkiej ręki. Rachael zgasiła światło, by lepiej mu się przyjrzeć. Okazało się, że po zasypanym śniegiem gazonie kroczy wielki ciemny kocur – nie pies ani nie jelen, tylko kot – ogromny jak lampart, a może nawet małe lwiątko, flegmatyczny i obojętny. Nie powinno go tu być, a jednak był i czuł się jak u siebie, jak w swoim naturalnym środowisku.

– Zaczekaj! – zawołała Rachael. – Wracaj.

Chciała, żeby przystanął, by mogła się przekonać, że się nie pomyliła. Chciała, by się zatrzymał i zauważył, że go obserwuje, by się obrócił i napotkał jej wzrok, by spojrzał na nią porozumiewawczo i przekazał jakiś znak, ale przeszedł, nie oglądając się za siebie, i rozpląnął się w mroku.

ROZDZIAŁ 8

Lubert i Frieda jedli kolację złożoną z gotowanych jaj i czarnego chleba z margaryną marki Petersen und Johannsen. Luberta zadziwiła umiejętność człowieka – jego samego – przystosowania się do skromnych warunków życia i gotowość do obniżenia wymagań. W ostatnim okropnym roku wojny taki posiłek uznaliby za podły, a teraz rozkoszował się każdym kęsem. Smakowała mu nawet licha margaryna.

– Możesz podać margarynę, Friedo?

Dziewczyna pchnęła w jego stronę porcelanową maselniczkę i znów zajęła się moczeniem chleba w rozlanym żółtku. Siedziała przygarbiona. Na jej przetłuszczonym czole wykwitł jeden, może dwa pryszcze. Na warkoczach i dłoniach znać było jeszcze ślady pyłu po wczorajszym odgruzowywaniu. Podczas posiłków zwykle milczała, więc Lubert oddawał się lekturze, czego nie tolerowała Claudia, a co było kolejnym znakiem, że wpływ nieżyjącej żony na jego życie staje się coraz mniejszy. „Stefan, dołączysz do nas?”, pytała, gdy już dłuższą chwilę siedzieli przy stole, przy którym Lubert był obecny jedynie ciałem, gdyż jego myśli skupiały się na gazecie. „Czy świat czubiących się ze sobą mężczyzn jest naprawdę bardziej interesujący ode mnie?”.

Teraz „Die Welt” leżał pod talerzem, rozłożony na artykule o Niemcach mieszkających w obozach w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Po lekkomyślnym pocałunku, jakim obdarzył Frau Morgan, Stefan Lubert spodziewał się rychłej eksmisji. Mimo że szybko mu wybaczyła, czuł, że to, co się zdarzyło, będzie miało swoje reperkusje. Może był bardziej podobny do córki, niż przypuszczał. Oboje byli uparci i nieco popędliwi. Podobnie jak Frieda, Lubert też rzadko miewał wyrzuty sumienia.

– Widziałem pewnego wieczoru, jak ktoś próbuje się włamać do domu Petersena – zwrócił się do Friedy. Wiedział, że Claudia zachęcałaby go do podjęcia dialogu z córką. – Już chciałem interweniować, ale pomyślałem nie, niech ten ktoś skorzysta. To skandal, żeby tyle domów stało pustych. Kompletnie bez sensu.

Frieda nie przerwała jedzenia, nawet na niego nie spojrzała.

– Biedny Petersen – podsumował Lubert i posmarował chleb margaryną.

Nawet jeśli jedzenie w dawnej kuchni Grety było oznaką degradacji, to myśl o sąsiedzie gnieźdzącym się w jakimś baraku pozwalała odzyskać właściwą perspektywę. Magnat przemysłowy Petersen, producent margaryny, miał kiedyś rolls-royce'a, konia wyścigowego i wielki jacht, którym żeglował po Łabie, wczuwając się w rolę admirała von Spee. Jego rezydencję przy Elbchaussee przejęto w pierwszej kolejności, wraz z jachtem, samochodami i koniem. Brytyjczycy mocno go upokorzyli. Nie dość, że umieścili go w baraku obozu w Hamm, to na dodatek dziewięć miesięcy po przejęciu jego willa wciąż stała pusta. Być może o niej zapomnieli.

– Jak idzie odgruzowywanie?

– To ciężka praca.

– Matka byłaby z ciebie dumna.

– Zapomniałeś? Ona nie żyje.

– Nie zapomniałem, Freddie. Jak mógłbym zapomnieć? Szukałem jej przez wiele miesięcy, nie mogąc pogodzić się z jej śmiercią. Ale już się pogodziłem.

Zwykle właśnie w taki sposób kończyły się jego próby nawiązania kontaktu z córką. Nie był w stanie przebić się przez grubą skałę jej gniewu. Pukanie do drzwi uratowało go przed podjęciem dalszego nadaremneho trudu.

– Proszę! – zawołał, spodziewając się, że to Heike.

Tymczasem była to Rachael. Lubert zerwał się z krzesła, bardziej z nerwów niż z grzeczności. Teraz to usłyszy. Z tego, co wiedział, Rachael zawitała do nich pierwszy raz. Może na dole czekał pułkownik i chciał się z nim rozmówić. Najpierw pogada chwilę o pogodzie, a później wyzwie go na pojedynek.

– Frau Morgan...

Rachael nienatarczywie rozejrzała się po skromnej kuchni, oceniając jej metraż i porównując ją ze swoją.

– Znalazłam to... w szufladzie i pomyślałam, że powinnam oddać. – Wyciągnęła do niego rękę z naszyjnikiem Claudii.

Lubert wziął go, zważył na dłoni, a gdy usłyszał, jak pobrzękuje, wróciły wspomnienia. Kupił go Claudii jeszcze przed ślubem i bał się, że nie dorówna odziedziczonej przez nią rodzinnej biżuterii. Zachwyt, z jakim przyjęła naszyjnik, rozwiął jego lęk i upewnił go, że jego przysła żona nie dba o bogactwa.

– Dziękuję, Frau Morgan. Friedo, ty go powinnaś wziąć. – Podał naszyjnik córce, a ona bez słowa wcisnęła go do kieszeni roboczego kombinezonu.

Teraz Rachael zwróciła się bezpośrednio do niej.

– Zastanawiałam się, czy nie chciałabyś może zrobić czegoś ze swoimi włosami. Jutro...

przychodzi do nas fryzjerka. – Zerknęła na Luberta, żeby przetłumaczył to córce.

– Freddie – odezwał się po niemiecku Lubert – Frau Morgan proponuje ci wizytę u fryzjerki. Miałabyś ochotę?

– A co jest nie tak z moimi włosami?

– Nic, ale... sędzę, że to całkiem dobry pomysł. Frau Morgan jest bardzo uprzejma. Rachael najwyraźniej wyczuła skrępowanie Friedy.

– Oczywiście, tylko jeśli chcesz... – powiedziała, po czym rzuciła do Luberta: – Nie musi decydować się od razu. Renate przyjdzie jutro po południu. Jeśli Frieda będzie miała ochotę, zapraszam.

Lubertowi przemknęło przez głowę, że Rachael wygląda dziś jakoś inaczej. Zdjęła swój twardy pancerz.

– Dziękuję pani. Friedo?

– *Danke*. – Było to mruknięcie, ale jednak podziękowanie.

„Szkielet” się spóźniał. Powodem mogła być pogoda, choć nigdy wcześniej nie stanowiła dla Herr Koeniga przeszkody. Winowajcami mogły też być chore płuca, dzięki którym nie trafił do służby w Wehrmachcie, jednak w ostatnich tygodniach wyglądał całkiem zdrowo – mniej trupio niż zazwyczaj. Jego cera nieco się zaróżowiła i nie był już tym przedwcześnie zestarzałym się mężczyzną, jakim Edmund go poznał. Ciasto i mleko przynieszone przez Heike oraz czekoladowe batony, które podrzucał mu Edmund, sprawiły, że nawet się zaokrąglił. Podczas lekcji nie siedział już w płaszczu. Zaczął też napomykać o nadziejach na przyszłość.

Edmund obserwował podjazd przed domem niczym czujny wartownik wyczekujący ciemnej postaci, która złamie panującą wokół biel. Wypatrywał swojego nauczyciela z niecierpliwością. Była to ostatnia lekcja przed świętami Bożego Narodzenia i miał wręczyć Herr Koenigowi prezent, niespodziankę – czterysta papierosów, za które kupi *Persilschein*, i będzie mógł rozpocząć nowe życie w stanie Wisconsin, u boku brata, właściciela buicka z byczym porożem na masce. Początkowo Herr Koenig odmówił, gdy Edmund zaproponował mu pomoc, ale w końcu zmienił zdanie i stwierdził, że jeśli „Robin Hood z Hamburga” umożliwi mu wyjazd do Ameryki, będzie mu za to bardzo wdzięczny (pod warunkiem że pozostanie to ich tajemnicą). Mile połączony porównaniem do bohaterskiego króla angielskich złodziei Edmund stawał się coraz śmielszy. Wykradanie papierosów dla małych dzikusów okazało się całkiem prostym przedsięwzięciem. Teraz wystarczyły ledwie dwie wyprawy do sypialni rodziców, by zdobyć łup dla swojego nauczyciela. Czterysta papierosów przemyconych w torbie lekarskiej, w której trzymał zabawki, czekało przy pustym krześle Herr Koeniga.

Do pokoju weszła Heike z kawałkiem ciasta i szklanką mleka – a Koeniga wciąż nie było.

– Witaj, Edmundzie.

– Cześć, Heike.

Coraz lepsza niemieczyna Edmunda sprawiła, że ich rozmowy stały się żartobliwe. Stałe powitanie nawiązywało do lingwistycznej wpadki Edmunda z początku ich znajomości.

– Jak się dziś miewasz?

– Bardzo dobrze.

– Jesteś przepyszną dziewczyną.

– A ty przepyszny chłopcem.

Heike postawiła tacę na stoliku.

– Gdzie Herr Koenig?

Edmund wzruszył ramionami.

Heike podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Po drodze znalazła się w niebezpiecznie bliskiej odległości od prezentu, który miał odmienić życie Herr Koeniga. Następnie wcieliła się w postać nauczyciela. Uniósłszy dłonie, złożyła usta w dziubek i zaczęła kręcić nosem, upodabniając się do gryzonia.

– Może... wciąż jest w swojej norce! – rzuciła. Byłaby zabawna w każdym języku.

Edmund zachichotał, choć czuł, że zachowuje się trochę nielojalnie wobec swojego nauczyciela. Heike omiotła wzrokiem pokój, aż w końcu jej spojrzenie spoczęło na książce Edmunda. – Co to?

Chłopiec zerknął na pożyczone od Herr Luberta ilustrowane niemieckie wydanie *Podróży Guliwera*, które czytał na głos przy Herr Koenigu, i pokazał jej swoją ulubioną, kolorową rycinę przedstawiającą Guliwera powalonego przez Liliputy.

Heike była zachwycona.

– Przeczytaj mi trochę – zakomenderowała.

Edmund otworzył książkę na chybił trafił i zaczął czytać bez zająknięcia:

– „Przywiodło mnie to do refleksji na temat jasnej skóry angielskich dam, które zdają się nam tak piękne tylko dlatego, że są w takim samym rozmiarze co my i nie oglądamy defektów ich urody przez szkło powiększające, przez które nawet najgładsza i najbielsza skóra wygląda chropowato i nabiera szpetnej barwy”.

– Angielskie damy mają świetną cerę – potwierdziła Heike. – Spójrz na swoją mamę. Ma piękną skórę.

Edmund skinął głową, choć nie znalazł wcześniej powodu, by zachwycać się skórą swojej matki czy dokonywać porównań między cerą Angielek i Niemek.

Heike zaczęła przypatrywać się własnej twarzy w lustrze nad kominkiem, kręcąc

szczęką, bijąc się delikatnie po policzkach i doszukując się na niej skaz.

– Wielu panów komplementuje moją cerę. Niektórzy twierdzą, że jestem jak brzoskwinka. Czy przypominam brzoskwinię, Edmundzie?

Edmund nie znał tego słowa po niemiecku, ale domyślił się, o co chodzi, kiedy Heike zaczęła udawać, że zajada jakiś owoc.

– Podoba ci się moja skóra?

Wzruszył ramionami.

– Mały, niegrzeczny Anglik. Nie wierzysz, że mam adoratorów?

Tego słowa Edmund też nie znał, ale niezrażonej tym Heike najwyraźniej zebrało się na jeszcze bardziej intymne zwierzenia.

– Mój Josef pojechał na front wschodni i już stamtąd nie wrócił. Może powinnam znaleźć sobie Anglika? Myślisz, że powinnam wyjść za Anglika? Jak ci się wydaje?

Czyżby chciała, żeby się z nią ożenił? Edmund znów wzruszył ramionami.

– Spróbuj tknąć ciasto Herr Koeniga! – Pogroziła mu na niby palcem, jeszcze raz zrobiła minę gryzonia i wyszła.

Edmund spojrział na ciasto i szklankę mleka, lecz nie wzbudziły one w nim pożądania. Raczej zrobiło mu się smutno. Za każdym razem, kiedy Herr Koenig pił mleko albo jadł ciasto, Edmund odwracał wzrok lub zatapiał się w lekturze. Robił to z szacunku – przecież nie będzie się przyglądał, jak ktoś je – ale także dlatego że rytuał z tym związany, odgłosy przeżuwania i mlaskania, nawyk zbierania okruchów i oblizywania ust wydawał mu się tak okropny jak dźwięk, który wydają paznokcie skrobiące po tablicy.

Zegar wciąż tykał, jakby przyzywał do siebie Herr Koeniga. „Koenig, Koenig, Koenig”. Po kilku minutach Edmund odłożył książkę i podszedł do okna.

– Koenig, Koenig, Koenig... gdzie jesteś?

Wciąż nie było go widać, za to w bramie pojawił się mercedes ojca. Sunął po podjeździe niczym czarny lodolamacz na morzach Antarktydy. Ojciec Edmunda nigdy nie przyjeżdżał do domu w ciągu dnia. Zawsze znikał jeszcze przed śniadaniem i wracał po zmroku. Dlaczego przyjechał tak wcześniej? Może zabrał po drodze Herr Koeniga?

Z samochodu wysiadł jednak tylko ojciec. Pochylił się jeszcze i sięgnął do środka po teczkę i aktówkę. Później zrobił coś trochę dziwnego. Zamiast ruszyć po schodach do drzwi, stanął i zaczął przyglądać się willi, jakby ważył coś w myślach. Następnie zaczerpnął powietrza. Jak głęboki był to wdech, świadczyła ilość pary, którą po chwili z siebie wypuścił. Powoli wszedł po schodach i otworzył drzwi. Podkute obcasy butów stuknęły coraz głośniejsze, w miarę jak zbliżał się do gabinetu. Edmund zerknął na torbę z łupem, ale było już za późno. Ojciec stanął w progu.

– Cześć, Ed.

– Cześć, tato.

Lewis uśmiechnął się półgębkiem. Zamknął za sobą drzwi, usiadł na krześle Herr Koeniga, pochylił się w stronę Edmunda, zapalił papierosa i wypuścił kłęb dymu. Jego ruchy były precyzyjne i oszczędne, a przy tym tak wyćwiczone, że zdawał się wykonywać je bez wysiłku. Edmund rejestrował je po kolei: przygryzienie górnej wargi po wypuszczeniu dymu z ust, drapanie wierzchu dłoni, papieros między palcem wskazującym a środkowym. Na ojca miło się patrzyło i łatwiej się go naśladowało niż matkę, bardziej skomplikowaną i zmienną. Dzisiaj wydawał się jednak poważniejszy niż zwykle. Czyżby coś podejrzewał? Ojciec rzadko okazywał mu gniew. Długie okresy jego nieobecności i fakt, że narzucaniem dyscypliny zajmowała się głównie Rachael, sprawiły, że w istocie Edmund nie przypominał sobie, by ojciec go kiedykolwiek zbeształ. A jednak tym razem był pewien, że nie ominie go kara.

– Wszystko w porządku? – spytał Lewis.

Edmund skinął głową.

– To dobrze.

Ojciec nie wydawał się zagniewany, ale sprawiał wrażenie, jakby chciał powiedzieć mu coś bardzo ważnego. Edmundowi nagle przypomniał się moment, gdy usiadł z nim, żeby porozmawiać o śmierci Michaela. Tamta rozmowa przebiegła mniej więcej tak:

„Wszystko w porządku?”.

Skinienie głową.

„To dobrze. Jeśli chcesz... Jeśli chciałbyś porozmawiać... o czymkolwiek... daj mi znać”.

Wzruszenie ramionami. Skinienie głową. Tak się to skończyło.

Teraz ojciec patrzył na niego prawie tak jak wtedy.

– Niestety, Herr Koenig dzisiaj nie przyjdzie – powiedział Lewis. – W ogóle nie będzie już przychodził. Ma kłopoty.

– To moja wina! – wypalił Edmund.

– Dlaczego?

– Namówiłem go na wyjazd do Ameryki.

Ojciec spojrzał na niego zaskoczony.

– Chciałem... mu pomóc. Żeby zaczął nowe życie.

Torba z czterystoma papierosami nagle urosła do rozmiarów olbrzymiego bagażu poczucia winy. Oczy ojca podążyły za wzrokiem Edmunda.

– W tej torbie jest coś dla Herr Koeniga?

Edmund skinął głową.

Lewis pochylił się, z papierosem w ustach, mrużąc oczy od dymu, i zajrzał do środka.

– Mama powiedziała, że chciałbyś ograniczyć palenie. Myślałem, że już ich nie

potrzebujesz.

Lewis patrzył na zawartość torby.

– Zastanawiałem się, gdzie one się wszystkie podziały.

– Potrzebował czterystu, żeby kupić *Persilschein*.

– Czterystu?

– *Persilschein* kosztuje czterysta, pozwolenie na podróż dwieście, a rower pięćset.

– Skąd to wszystko wiesz, Ed?

Lewis był najwyraźniej ubawiony, ale też wiedza syna zrobiła na nim wrażenie.

– Od... moich kolegów. Tych z łąki. Od Chłopców bez Matek.

– Czy... im też „pomagasz”?

Wstyd sprawił, że Edmund pochylił głowę i zaczął mówić szeptem. Jego „tak” było ledwie słyszalne. Podczas regularnych spotkań z Ozim przekazał mu przez te dwa miesiące pewnie jakieś tysiąc papierosów.

– Robię to samo, co ty.

Lewis zgasił papierosa w popielniczce z onyksu, która stała na biurku.

– Dawanie to dobra rzecz, ale kradzież już nie. Nawet jeśli chcesz komuś pomóc, to nie jest najlepszy sposób. Trzeba było mnie spytać.

Edmund pokiwał głową. Czuł ciężar rozczarowania ojca. Zaczął pocierać jednym paznokciem kciuka o drugi, żeby opanować emocje. Bał się, że jeśli spojrzy na ojca, to się rozplacze. Nie może się rozplakać.

– Tak czy owak, dobrze się stało, że mu ich nie dałeś. Herr Koenig nie był tym, za kogo się podawał. Nie był dyrektorem szkoły. Współpracował z SS.

– Przecież nie mógł walczyć. Miał słabe płuca. Słyszałem, jak rzeził. Przez cały czas. Nie lubił Hitlera. Nawet nie chciał o nim rozmawiać.

– To nie tak.

– Ale... Nie rozumiem. Jesteś tego pewien? Nie wydawał się zły.

– Pozory czasami mylą, Ed. Niekiedy zło... jest bardzo głęboko schowane.

Edmundowi ścisnęło się serce. Bez względu na potworność zbrodni, jakich dopuścił się jego nauczyciel, było mu smutno, że już go więcej nie zobaczy i że Herr Koenig nie rozpocznie nowego życia w Wisconsin. To było jeszcze gorsze niż to, że go oszukał.

– Co się z nim stanie?

Ojciec potarł ciemne włoski porastające wierzch jego dłoni.

– Pewnie pójdzie do więzienia.

Nagle mleko i ciasto wydały się Edmundowi jeszcze bardziej osamotnione. Koenig już nie wypije tego mleka ani nie zje ciasta. Zaczął drapać paznokciem okładkę *Podróży Guliwera*.

– Zjadasz jajka od grubszego końca czy od cieńszego? – spytał Lewis.

Edmund wzruszył ramionami. Wiedział, że ojciec nawiązuje do wojny z *Podróżą Guliwera* – między tymi, którzy zaczynali jeść gotowane jaja od grubszego końca, a tymi, którzy zaczynali od cieńszego – ale nie mógł się zdobyć na jakąś lekką odpowiedź.

– Może namówimy Herr Luberta, żeby cię pouczył, przynajmniej do czasu, gdy znajdziemy nowego nauczyciela.

Edmund próbował przypomnieć sobie wszystkie chwile spędzone z Herr Koenigiem, zastanawiając się, cóż takiego przeoczył, co pomogłoby mu właściwie go ocenić.

– On naprawdę nie wydawał się zły – powtórzył.

– Ja też myślałem, że to dobry człowiek. Uwierzyłem mu na słowo. Pomyliłem się, ale to nie znaczy, że nie warto ufać ludziom. Czasami trzeba zaufać tym złym, żeby im pomóc. Nawet jeśli cię zawiodą.

– Przepraszam za te papierosy.

Lewis skinął głową.

– Co z nimi zrobisz?

– Pewnie wypalę.

Edmund spojrział ze smutkiem na torbę.

– A może dam je... moim kolegom? Wymienią je na jedzenie.

– Powinni dostawać je w obozie. Gdzie oni mieszkają?

– Właściwie nie wiem. Trochę tu, trochę tam.

– To sieroty?

Edmund przytaknął.

– Ilu ich jest? – Ojciec był wyraźnie bardziej zaintrygowany niż zły.

– Chyba sześciu albo siedmiu.

Lewis utkwiał wzrok w torbie i zaczął kołysać nogą, jak zawsze, gdy usilnie nad czymś rozmyślał. W końcu przesunął torbę w stronę Edmunda.

– Tylko niech nie przepuszczą wszystkich od razu.

Rachael zamaszyście wypisywała piórem ostatnią karteczkę z nazwiskiem gościa, gdy do jadalni wszedł Lewis. Było to nazwisko majora Burnhama. Założyła kartonik i umieściła go przy nakryciu sąsiadującym z miejscem, które przeznaczyła dla siebie.

– I jak? – spytała.

– Ślicznie. Bardzo ci do twarzy – odpowiedział Lewis.

– Dziękuję, ale miałam na myśli stół – odrzekła i dotknęła swoich loczków. – Renate nieźle się napracowała. Najpierw ja, później Heike, a na końcu Frieda. Ją akurat musiałam namawiać.

– Herr Lubert pewnie jest ci wdzięczny.

– Owszem.

– Każdy taki drobiazg jest ważny. Frieda z pewnością to zapamięta.

Rachael była poruszona, widząc, jak Renate kładzie dłonie na barkach Friedy i delikatnie do niej przemawia, po czym rozplata mocno zaplecione warkocze, palcami burzy jej włosy i je rozczesuje. „Ho, ho, co my tu mamy! Wyglądasz jak Veronica Lake”^[4] – skomentowała.

– Gotowe – oznajmiła Rachael, odsuwając się od stołu.

Lewis ogarnął całość wzrokiem. Na stole stało osiem nakryć. Komplet talerzy firmy Wedgwood w kolorze szalwii, z wojskowego przydziału, srebrny kandelabr, niegdyś należący do jego matki (jedyne srebro w rodzinie), podkładki pod talerze z wizerunkami największych atrakcji Londynu oraz wieńczące efekt kryształowe kieliszki Lubertów. Czyje zdrowie pito z tych kielichów? Jakie pełne nadziei twarze odbijały się w tym szkle? Lewis ucieszył się, że Rachael powróciła do zwyczaju ustawiania przy nakryciach białych wizytówek z rysunkiem różnych kwiatów przy nazwiskach pań i skrzyżowanych mieczy przy nazwiskach panów.

– Wygląda wspaniale – ocenił, odpychając od siebie myśl, że niedaleko są ludzie, którzy przymierają głodem.

Przyjęcie było po części jego pomysłem. Rzucił nim wyzwanie Rachael, a ona je podjęła. Zadanie, które przed nią stanęło, dodało jej energii. Obserwując ją, Lewis czuł się podekscytowany, jak dawniej.

– Susan uparła się, żeby siedzieć koło ciebie, więc dla równowagi ja usiądę obok majora Burnhama. Panią Eliot posadzimy pośrodku między majorem a kapitanem Thompsonem. Myślisz, że się dogadają?

– Piorunem.

– Mam nadzieję, że nie pokłócisz się z Burnhamem? Susan twierdzi, że sporo was różni.

– Będę grzeczny.

– Możecie rozmawiać o czymkolwiek: o krykiecie, pogodzie, nawet o polityce. Byle nie o pracy. Ignoruj ten temat. Proszę cię, Lew, zrób to dla mnie.

Dostrzegł w niej jakąś nową nutę. Od czasu burzy śnieżnej zaczęła przejmować rolę pani domu. Służba traktowała ją teraz z szacunkiem i działała sprawniej. Umawiała się na poranną kawę z „Drużyną”, jak nazywały siebie żony oficerów, które poznały się na pokładzie SS „Empire Halladale”. W dodatku na nowo polubiła czułe słówka.

– Tak dobrze? Chyba nie. – Rachael zaczęła stawiać wizytówki na talerzykach do przystawek, ale w połowie stołu się zatrzymała. – Wizytówki na talerzykach czy na podkładkach?

– Obojętne, nikt nie zwróci na to uwagi.

– Ale żona gubernatora powinna wiedzieć takie rzeczy. Celia na pewno jakoś to skomentuje. Ostatnio wytknęła mi coś przy kawie. Powiedziałam: „Słucham?”, a ona mi na to: „Nie «słucham», tylko «co»”! – odparła Rachael, naśladowując tubalny głos pani Thompson. – Później przyczepiła się do zieleniny, którą podam na kolację. „Nie zielenina, tylko warzywa, moja droga”.

Rachael poprzestawiała wizytówki z talerzyków na podkładki. Własną Lewis przestawił osobiście, zauważając, że przydzieliła mu jego ulubioną, z żołnierzami paradującymi na Mall. Utkwił spojrzenie w ręcznie wykonanym, starannym rysunku przedstawiającym skrzyżowane strzelby.

– Dałaś mi broń.

– Wolałbyś kwiatek?

To pytanie w połączeniu z kpiącym spojrzeniem zabrzmiało zdumiewająco zalotnie.

– Myślę... – zaczął szukać lepszego słowa niż „wspaniałe” – ... że są przepiękne.

Dotknął jej ręki i ze zdziwieniem poczuł, że ścisnęła jego dłoń. Nigdy nie potrafił jej do końca rozszyfrować, ale nie potrzebował pomocy kryptologa, by złamać ten kod.

– Chciałabyś?

– Tylko musimy się pośpieszyć.

– A Ed?

– Ma karę.

– Za co?

– Późno chodzi spać i koleguje się z jakimiś małymi Niemcami. Ale już wszystko dobrze, porozmawialiśmy sobie. Przez tydzień będzie się kładł do łóżka wcześniej.

Nagle zjawiała się Heike. Dygnęła i wbiła wzrok w podłogę, czując, że przychodzi nie w porę.

– *Bitte*. Telefon, Herr Morgan.

– Dziękuję, Heike. – Lewis odczekał, aż służąca wyjdzie z jadalni.

– Kto to może być? – spytała Rachael.

Lewis westchnął. Wiedział, że aparat podłączony do wojskowego systemu łączności może przyjmować rozmowy tylko z jednego miejsca – ze sztabu. Wiedział też, że chodzi o coś pilnego.

– Nie odbierzesz?

Zupełnie jakby odciągali ich od siebie końmi – jeden to solidny koń pociągowy, a drugi płochliwy i zmysłowy arab.

– Idź na górę. Będę tam za chwilę.

Kilka minut później zastał Rachael stojącą przed lustrem w łazience w samych

majtkach, przymierzając do nagich piersi jakiś naszyjnik.

– Lepiej zamknij drzwi – powiedziała.

Zamknął je, ale nie na klucz.

– Co się stało? – Spojrzała na niego.

– Zamieszki w fabryce.

– Och!

– Użyto broni.

– Nie możesz tam teraz pojechać. Za trochę ponad godzinę przychodzą goście.

– Kochanie, przykro mi. Postaram się wrócić... przed końcem wieczoru.

Rachael cisnęła naszyjnik do umywalki i prawą ręką zakryła piersi.

– To idź. Ratuj te swoje Niemcy – rzuciła z dawnym znużeniem, bardziej zrezygnowana niż zła.

Potem, wciąż zakrywając piersi, z obojętnością machnęła ręką i odwróciła się do niego plecami.

Rachael otworzyła drzwi wejściowe w niebieskiej, głęboko wyciętej, ozdobionej cekinami sukni, której przed wojną nie dorównywała wieczorowa kreacja żadnej zaproszonej do ich domu kobiety. Włosy upięła wysoko, by odsłaniały szyję. Naszyjnik z lazurytu podkreślał jej pozostałe atuty. Ubrała się tak, by zagłuszyć przemykające jej przez głowę myśli i pokazać gościom, że jest w świetnej formie i potrafi doskonale radzić sobie bez męża u boku. Miała trzydzieści dziewięć lat. Jeszcze sporo przed nią.

Susan Burnham skapitulowała od razu, zanim zdjęła płaszcz.

– Rachael, ale się wystroiłaś! – zawołała i wręczyła jej ciasto z owocami i kremem w ciężkiej kryształowej misie. – Wlałam tu dość sherry, żeby robić z niego drinki. Tylko przypomnij mi, żebym zabrała później misę.

– Wyglądasz... jak z Tołstoja – oceniła pani Eliot.

– Zakładam, że to komplement, Pamelu. Wy obie też wyglądacie pięknie. – Gdy Richard odbierał od nich płaszcze, Rachael oznajmiła z pogodną miną: – Zdarzył się drobny kryzys. Lewis wszystkich was przeprasza. Ma nadzieję, że zdąży na deser. Czy może powinnam powiedzieć „pudding”, Celio?

– Zawsze pudding. Desery jadają szeregowi – odrzekła pani Thompson, tak bardzo wcielając się w rolę arbitra elegancji, że nie wyczuła jej kpiarskiego tonu.

Rachael postanowiła sobie, że nieobecność Lewisa nie będzie tematem rozmów dłużej, niż okaże się to konieczne. Dopuściła, by każdy z gości rzucił pojedynczy komentarz w rodzaju: „Szkoda!”, „To przykre!”, „Biedak!”, i zaprosiła wszystkich do kominka, gdzie czekała już Heike z drinkami. Gdy Eliotowie, Thompsonowie i Burnhamowie sączyli

różowy gin i wznosili toasty za „Drużynę z Halladale”, nikt już nie pamiętał o Lewisie.

– Znowu razem – powiedziała Rachael, unosząc kieliszek. – Zdrowie Drużyny.

– Zdrowie! – zgodnym chórem przyłączyły się panie.

– Zabawne, jak mile wspominam naszą podróż – przyznała pani Eliot. – Choć było mi cały czas niedobrze.

– Ciesz się, że nie płyniesz teraz – odparł kapitan Eliot. – Morze zamarzło.

– To najzimniejszy grudzień w dziejach pomiarów temperatury – oznajmił kapitan Thompson. – Nikt w Camberley nie pamięta takiej zimy. Trzymetrowe zasy w Kent. Minus dwadzieścia stopni w Devonie.

– Ale tam przynajmniej mają ogrzewanie. I jedzenie – dopowiedziała wiecznie utyskująca pani Eliot, która zawsze potrafiła odwrócić ich myśli od podróży przez Morze Północne i ściągnąć je na zlodowaciałą i zasypaną śniegiem hamburską ziemię. – W szkole zamarzył atrament. A wczoraj widziałam chłopca, który grzebał w naszym śmietniku i wylizywał pustą puszkę po puddingu. Był ubrany w szlafrok i miał torby na nogach. Aż żal było patrzeć.

– Pamelu, czy możemy spędzić ten jeden wieczór bez rozmyślań na temat cierpień tego świata? – odezwała się z westchnieniem pani Burnham.

– Tobie na pewno się uda, Susan – wtrąciła Rachael, posyłając jej spojrzenie, które mówiło: „Zaraz narzucę własny ton”, po czym zwróciła się do pani Eliot: – Jak tam ta twoja grupa dyskusyjna?

Pani Eliot znalazła naturalne ujście dla swych trosk w jednej z wielu grup dla kobiet, którą Rachael omijała szerokim łukiem – w anglo-niemieckim klubie dyskusyjnym, utworzonym z inicjatywy kapelana, pułkownika Huttona, mającym zachęcić Niemki do uczestniczenia w wolnej debacie.

– Jest bardzo popularna, choć podejrzewam, że większość tych kobiet przychodzi tam dla darmowych ciasteczek i żeby się ogrzać. Siadają w kręgu, z początku atmosfera jest dosyć sztywna, ale pewnie gorąca herbata sprawia, że szybko się rozgrzewa. Miałyśmy kilka cudownych dyskusji, wręcz polemik. Jedną, przeciekawą, na temat różnic charakterologicznych między Anglikami a Niemcami, a w zeszłym tygodniu debatowałyśmy o tym, czy miejsce kobiety jest w domu.

– Zależy od domu – wyraziła swą opinię Susan, nie kryjąc znużenia tym całym „humanitarnym podejściem”.

Tymczasem Rachael to zainteresowało. Pani Eliot znalazła upust dla nerwowej energii i najwyraźniej jej to służyło.

– Mów dalej.

– One nie są w ogóle przyzwyczajone do debat czy do wyrażania własnej opinii,

odmiennej od zdania większości, jednak zaczynają się tego uczyć. Młodszym jest trudniej. Lubią gry, ale dyskusje są dla nich wyzwaniem. Większość jest pozbawiona złudzeń, podejrzliwa i najwyraźniej straciła już nadzieję.

Rachael pomyślała o Friedzie.

– Pułkownik Hutton próbuje je przekonać, że jednak mają przed sobą przyszłość i że życie ma sens – dodała pani Eliot.

– Tak, jeść, pić i nie chrzanić o sensie życia! – wtrąciła Susan.

Była w naprawdę bojowym nastroju.

– Nie przejmuj się nią, Pamelu – powiedziała Rachael, wzięła od Heike dzbanek z ginem i zwróciła się do mężczyzn: – Jeszcze ginu, panowie?

Lewis niemal jak jasnowidz potrafił przewidzieć, kiedy należy uzupełnić czyjś kieliszek. Rachael postanowiła, że zadba o to, by wszyscy zawsze mieli pełno. Kapitanowie najwyraźniej miło spędzali czas, wdawszy się w rozmowę o rywalizacji krykieistów Edricha i Comptona w niedawno zakończonym sezonie. Tymczasem major stał nieco z boku i obracał w dłoni prawie już pusty kieliszek. Rachael bez słowa go napełniła.

– Miło, że wreszcie mogę pana poznać, majorze. Susan wiele mi o panu opowiadała.

Nie tak go sobie wyobrażała. Na podstawie opowieści Lewisa i anegdot pani Burnham jawił jej się jako chłodny, ambitny ideolog, bezlitosny wróg wirusa nazizmu w brytyjskiej strefie okupacyjnej i pozbawiony poczucia humoru nudziarz.

Nie przypuszczała, że ujrzy przed sobą nieśmiałego, niemal zalęknionego bruneta o wyglądzie południowca. Jego skromność – która mogła być, rzecz jasna, jedynie wystudiowaną pozą – kłóciła się z reputacją człowieka wyjątkowo ostrego. A może Lewis źle go ocenił.

– Widzę, że zakryłaś tę plamę. – Wzrok Susan Burnham spoczął, jakżeby inaczej, na nowym obrazie nad kominkiem.

– Owszem.

– Pewnie jest lepszy od tego, co wisiało tu wcześniej.

– To nie było to... co myślałyśmy.

– Pytałaś go o to?

– Był... urażony.

– I mu uwierzyłaś?

– Tak. – Rachael nie miała ochoty przystawać tu na dłużej. Klasnęła w dłonie, by przykuć uwagę gości. – Może przejdziemy dalej – zaproponowała.

Susan Burnham zmrużyła oczy.

– Pani Morgan, jest pani dziś wyraźnie odmieniona.

Heike podała pierwsze danie, zupę cebulową, która posmakowała gościom tak bardzo,

że już po trzeciej łyżce pośpieszyli z gratulacjami dla kucharki. Rozmowy przy stole były niezobowiązujące i ogólnikowe. Dopiero gdy pojawiło się danie główne, Rachael postanowiła zainteresować się majorem Burnhamem, który siedział obok. O ile podczas ogólnej wymiany zdań major pozostał milczący i wycofany, o tyle w indywidualnej rozmowie sprawiał wrażenie niezwykle skupionego.

– Pewnie to coś poważnego, skoro Lewis nie mógł poczekać z tym do rana – rzucił.

Rachael nie wiedziała, jak ma skomentować tę uwagę. Jak większość żon wojskowych przywykła do tego, że o manewrach i misjach się nie dyskutuje, dlatego odpowiedziała wymijająco:

– Mąż bardzo przejmuję się wszystkim, co dzieje się w tym okręgu.

– Poświęca własne dobro dla lepszego jutra?

Rachael wyczuła subtelny przytyk i odpowiedziała w podobnym tonie.

– Z równym zapałem walczy o pokój, jak walczył na wojnie.

– Pod pewnymi względami pokój jest trudniejszy. Ciężko wytropić wroga.

– Lewis nie lubi tego słowa. Zakazał go używać, bo wybacza szybciej niż ja.

– Może ma mniej do wybaczenia.

Lewis rzucił kiedyś uwagę, że zdolność wybaczenia jest najpotężniejsza w całym arsenale broni i choć Rachael w jakimś sensie przyznała mu rację, Burnham wypowiedział teraz coś, na co ona sama nie mogła się zdobyć – że Lewisowi łatwiej wybaczyć, bo nie doświadczył straty w taki sam sposób jak ona.

– Nie wiem, czy to się da wymierzyć – odparła, mając świadomość, że mówi to wbrew sobie. – Wiem od Susan, że jest pan dobrym śledczym. Jak tam wasze kwestionariusze? Udało się wykryć przestępców?

– Mogą się łatwo maskować, dlatego tak bardzo zależy mi na przesłuchaniu możliwie największej liczby osób. Nie ma to, jak spojrzeć im w oczy.

– Potrafi ich pan rozgryźć, patrząc im w oczy?

Burnham spojrział w oczy Rachael. Jego własne, z długimi rzęsami i tęczówkami w kolorze tygrysięgo futra, były niepokojąco piękne.

– Ci, o których sądzimy, na podstawie ich zachowania lub przeszłości, że są winni, często wcale nie są. Przesłuchiwałem w tym tygodniu byłego pułkownika, który chce zająć się biznesem. Wygląda jak typowy Prusak: wyniosły, wojowniczy, nieugięty. Nienawidzi Niemców z południa. Zawsze stawia na swoim, ale gardził Hitlerem i jego partią jak wielu pruskich wojskowych. Okazał się czysty. Tymczasem ci, których najbardziej chciałbym przesłuchać... których muszę przesłuchać, w ogóle nie wypełniają kwestionariuszy. To grube ryby, które mają swoje układy albo pieniądze i nie muszą pracować.

– Wielu wyłapaliście?

- Za mało. Do więzień trafiło około trzech tysięcy.
- W mojej ocenie to sporo.
- Nie, bo mówimy tu o milionie wypełnionych kwestionariuszy.
- Ilu pana zadowoli?

Burnham wyciągnął rękę z kieliszkiem, podziwiając mieniący się w świetle świecy kryształ.

- Tu nie chodzi o liczby, pani Morgan.

Rachael poczuła się przez chwilę jak jedna z przesłuchiwanym przez niego osób. Cokolwiek nim kierowało, było to znacznie głębsze niż tylko chęć wykonania zadania. Mimo umiejętności panowania nad sobą i oddzielania emocji od rozumu major Burnham miał w sobie coś nienaturalnego. Rachael zaczęła podejrzewać, że jego motywacja nie jest aż tak racjonalna, jak chciałby to wszystkim przedstawić.

- Dlaczego został pan śledczym?

Burnham odłożył sztućce i otarł usta serwetką.

- To przesłuchanie?

– Przepraszam. – Rachael się roześmiała. – Po prostu... ciekawi mnie, co stało za pańskim wyborem.

Nalał sobie kieliszek wina. Był to odruch człowieka, który zwykł kontrolować rytm i kierunek rozmowy. Burnham sygnalizował jej, że dobiegła ona końca.

- Zaczny trunek – rzucił.

Rachael nie kontynuowała tematu. Podjęli rozmowę o przewadze niemieckiej kuchni nad angielską. Do tej dyskusji natychmiast włączyła się pani Thompson. Gdy Heike zaczęła zbierać ze stołu, pani Eliot zauważyła, że Lewis jeszcze nie wrócił. Wyraziła też nadzieję, że wszystko jest w porządku i wzniosła toast za „gubernatora okręgu Pinneberg”.

Rachael zapomniała, że mówiła, iż Lewis wróci w porze deseru. Chciała w ten sposób dać mu trochę czasu i zadbać o dobry nastrój gości, lecz ani przez chwilę nie wierzyła, że jej mąż naprawdę się zjawi. Nagle uświadomiła sobie, że przez cały wieczór ani razu o nim nie pomyślała. Organizując wszystko sama, poczuła się wolna i zaczęła się nawet zastanawiać, czy przypadkiem jej dobra forma nie jest zasługą jego nieobecności. Czyżby lepiej jej było bez niego? Kiedy unosiła kieliszek, miała poczucie, że wznosi toast nie za męża, lecz za jakiegoś anonimowego oficjela, którego nawet nie zna.

– I jeszcze zdrowie gospodyni – dorzucił kapitan Eliot. – Naprawdę pierwszorzędna kolacja. Zdrowie Rachael.

- Za Rachael.

- To wyłącznie zasługa naszej kucharki, Grety, nie moja.

– A więc jej też gratuluję.

– Na pewno przekażę. Czy zechce przyjąć gratulacje, to już inna sprawa. Jest wyjątkowo oporna na wszelkie tego rodzaju gesty.

– Nasza kucharka jest okropna – obwieściła pani Burnham. – Te jej miny! „Mój Vater być szlachcic!”. I okazuje się, że wcale nie zmyślała. Nie wierzyłam jej, póki nie pokazała mi swojej biżuterii. – Odsunęła szal, by zaprezentować broszkę z topazem wielkości orzecha. – Trzysta papierosów plus butelka Gilbey’s.

– Dobry Boże! Przepiękna! – Pani Thompson aż sapnęła z zachwytem.

– Cóż, Keith rzucił palenie, miałam więc czym zapłacić. Zresztą trzeba ich wspierać.

Myślę, że była zachwycona.

Rachael wzdrygnęła się na myśl, że kucharka musi wyprzedawać swoją schedę. Susan zachowywała się tego wieczoru wyjątkowo arogancko, jakby coś ją zirytowało – czyżby to, że tym razem nie była gwiazdą na towarzyskim nieboskłonie?

– „Szlachcic”... bodajże tak nazywają tu producentów broni? – spytał kapitan Eliot, rzucając spojrzenie specjalście od denazyfikacji.

Burnham zakręcił winem w kieliszku.

– Gdyby to było takie proste, zgarnęlibyśmy wszystkich Niemców z *von* przed nazwiskiem.

– A jak tam twój „szlachcic”, Rachael? Grzeczny? – spytała Susan na tyle głośno, by wszyscy mogli to usłyszeć, zmuszając ją tym samym do udzielenia odpowiedzi.

– Zdarzają się trudniejsze chwile, ale ogólnie układa nam się całkiem nieźle.

– Opowiedz o tym.

– Chodzi o drobiazgi – odparła obojętnie Rachael. – Z jakich nakryć kto korzysta, kto używa bocznego wejścia, tego typu rzeczy.

– Nie wyobrażam sobie, jak można z nimi żyć pod jednym dachem – zaczęła się głowić pani Thompson. – Jak ty to robisz? – spytała, jakby zwracała się do osoby leżącej na łożu śmierci. – Mnie by to denerwowało.

– Jakoś sobie radzimy. Jak wspomniałaś, Pamelu, jesteśmy szczęściarzami – odrzekła Rachael i machając serwetką, zapowiedziała kolejny punkt wieczoru. – Już czas trochę pośpiewać.

Wszyscy zgromadzili się wokół fortepianu. Na stojaku stała księga pieśni bożonarodzeniowych. Rachael zasiadła przy instrumencie i z wigorem odegrała *I Saw Three Ships*, po czym zaintonowała *God Rest Ye Merry, Gentlemen*. Przy każdym refrenie major Burnham dziarsko, acz nieudolnie wystukiwał dłonią na pudle bösendorfera rytm pieśni, niemiłosiernie przy tym fałszując. Całe towarzystwo było pod dobrą datą, więc jego stan nie rzucał się aż tak bardzo w oczy, ale Rachael wytrąciło to z równowagi. Szybko się

upił. Obyty i subtelny mężczyzna, z którym dyskutowała przy stole, przemienił się w prostaka. Opanowała nieco sytuację, grając *In the Bleak Midwinter*, a później próbowała wprowadzić spokojne tony, wykonując kolędę *Cicha noc*, ale Burnham uparł się, żeby odśpiewali ją po niemiecku, i wszystko popsuł, gdyż z przesadą wymawiał niemieckie słowa i całość zabrzmiała szyderczo.

– A może teraz Gilbert i Sullivan? – podrzucił kapitan Thompson. Znalazł oprawną w skórę książkę z tekstami ich piosenek i otworzył ją na *Piratach z Penzance*. – Coś dla pana, majorze.

Burnham wyprężył się i odstawił kieliszek. Rachael czuła jego kwaśny oddech i wzbierający w nim, tłumiony gniew. Teraz już nie fałszował, ale w jego głosie wyczuwało się agresję i brak zahamowania.

„Jestem wzorem współczesnego generała dywizji.

Posiadam wiedzę o roślinach, zwierzętach i minerałach.

Znam imiona królów Anglii i wydarzenia historyczne.

Od Maratonu po Waterloo w porządku kategoriowym...”.

Rachael zwolniła nieco tempo, by Burnham mógł za nimi nadążyć, lecz szybki i zabawny tekst okazał się dla niego zbyt dużym wyzwaniem. Po odśpiewaniu kilku wersów resztę piosenki wypełnił głośnym „la la la”, coraz gwałtowniej waląc dłońmi w pudło fortepianu. W połowie ostatniej zwrotki stojący na bösendorferze wazon z hukiem poleciał na podłogę.

– Ups...! – wykrzyknął major.

Rachael wstała, by oszacować straty. Wazon rozpadł się na cztery kawałki.

– Keith! – upomniała męża Susan.

– Bardzo przepraszam. Na pewno da się skleić.

– To nie mój wazon, majorze.

– Cóż, w takim razie nie ma sprawy. – Zaśmiał się i ku przerażeniu Rachael pozostali też wybuchnęli śmiechem.

Kiedy zbierała kawałki wazonu z podłogi, nagle ktoś otworzył drzwi. Przez chwilę myślała, że to Lewis, ale to był Herr Lubert.

Wyglądał, jak gdyby zrobił – albo zaraz miał zrobić – coś strasznego. Na jego czole, tuż nad brwią, widniała świeża rana. Chwiał się i ciężko dyszał. Wpatrywał się w nich niczym jakiś prorok, który natknął się na orgię.

– Herr Lubert? – odezwała się Rachael takim tonem, jakby próbowała go przedstawić, a jednocześnie sprawdzić, jaki będzie jego następny ruch. – Dobrze się pan czuje? Pan

krwawi.

Lubert spojrział na wazon, a później na Burnhama. Nozdrza mu drgały, a gwałtowny oddech sprawiał wrażenie, jakby Niemiec zbierał się w sobie, by unieść fortepian i cisnąć nim w majora.

– Przepraszam za wazon, stary – wyrwał się Burnham. – Jestem pewien, że... z pomocą wszystkich królewskich rumaków^[5]... Frau Morgan jakoś zlepi go do kupy.

Rachael rzuciła spojrzenie Susan, nakazując jej wzrokiem, by podjęła natychmiastową interwencję.

– Chodź, Keith – mruknęła pani Burnham. – Myślę, że masz już dość.

– Jak to? Jeszcze jedna piosenka. Może Herr Lubert do nas dołączy? – zaproponował i zaczął wybijać gwałtowny rytm, który wciąż telepał mu się w głowie.

– Prosiłbym, żeby nie uderzał pan w fortepian – powiedział Lubert i wpatrując się w majora z nieskrywaną wrogością, zacisnął dłonie w pięści.

Nie spuszczał z niego wzroku, odkąd zjawił się w bawialni. Tymczasem major był jeszcze na tyle trzeźwy, że rozeźlony zaczął walić w instrument tak mocno, iż zaczęły brzęczeć w nim struny.

– Ten fortepian został zarekwirowany, Herr Lubert, a to znaczy, że jest własnością władz brytyjskich, co z kolei w praktyce oznacza, że należy do mnie.

Rachael nie miała wątpliwości, że Lubert zaraz rzuci się na majora, dlatego wstała, położyła rozbity wazon na fortepianie i stanęła między dwoma mężczyznami.

– Trochę za dużo wypiliśmy – powiedziała cicho do Luberta.

Spojrzął na nią i rozwarł palce. Później przeniósł wzrok na Burnhama, odwrócił się i wyszedł z bawialni, mrużąc pod nosem:

– *Sie ekeln mich an!*

– Ha! – wykrzyknął major. – Słyszeliście?! „Brzydzicie mnie”! Powiedział, że go brzydzimy. My brzydzimy jego! – Spojrzął na Rachael, domagając się natychmiastowych przeprosin i wymierzenia kary Niemcowi.

– Sądzę, że on miał na myśli ciebie – odrzekła Susan, wzięła męża pod rękę i poprowadziła w stronę drzwi, nim narobi więcej szkód. – Czas do łóżka – dorzuciła.

– Ale ja przecież „jestem wzorem współczesnego generała dywizji” – zaprotestował Burnham.

Wieczór dobiegł końca. Nie tak zaplanowała to sobie Rachael – miały być jeszcze karty i gra w kalambury przy kominku – ale teraz chciała, żeby wszyscy jak najszybciej wyszli. Myślała tylko o jednym: pójść do Herr Luberta. Goście grzecznie się oddalili w gwarze komplementów, podziękowań i przeprosin. Po dziesięciu minutach Rachael zamknęła drzwi za zatroskaną panią Eliot, która wyraziła nadzieję, że wszystko będzie dobrze,

i zasugerowała, by Rachael wraz z Herr Lubertem przyszła na spotkanie jej grupy dyskusyjnej.

Pani Morgan miała już ruszyć na schody, żeby zapukać do Lubertów, gdy nagle usłyszała jęk. Z głową opartą na rękach, zakrywając oczy dłońmi, na fotelu przed kominkiem siedział Herr Lubert. Dyszał ciężko, szcękając zębami, co przypominało odgłos przyływu na kamienistej plaży.

– Stefan?

Lubert otworzył zdrowe oko, gdyż drugie całkiem już spuchło, i spojrzał na nią przez palce. Dostrzegł jej kształtne niczym wiolonczela biodra i migocące w świetle kominka cekiny.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

Poczuł jej dłoń na swoim ramieniu i opuścił rękę. Uniósł głowę, by mogła obejrzeć jego ranę. Jęknęła, gdy ją zobaczyła.

– Zaraz ci to opatrzę, za chwilkę. – Ruszyła na górę, by przynieść coś z apteczki.

Słyszał szelest jej sukni na schodach.

Oparł łokcie na udach i opuścił głowę na dłonie. Czuł na palcach zapach i metaliczny smak krwi. Przed oczami przemknęły mu zdarzenia całego wieczoru. Przypomnił sobie wypisane na transparentach hasła: „Chcemy pracy!”, „Bevin, nie zamykaj fabryki!”, „Dajcie Niemcom życie!”. Na demonstrację poszedł wbrew sobie, zastraszonego przez kolegów. Bał się, że może to wpłynąć na kategorię, jaką przyznają mu Brytyjczycy, ale też nie cierpiał tłumów. Ich bezmyślność i skłonność do agresji wyprowadzały go z równowagi i czyniły z niego mizantropa. Ten tłum był jednak uspokajająco ubogi i zwarty i Lubert nagle poczuł, że lepiej być wśród swoich sióstr i braci niż w zaciszu własnego domu. Wysłuchali mądrego przemówienia Schorscha, który apelował do Brytyjczyków o grę fair i odwoływał się do ich poczucia humoru, pokazując Niemcom, że można się jednocześnie śmiać i dać szturchańca władzom, od czego przez lata odwykli. Odśpiewali nawet niemiecki hymn, bardziej stoicki niż wyzywający, bez znanej z poprzednich lat nadgorliwości. Był to głos narodu próbującego odnaleźć wspólny język. I nagle dysonans – dźwięk klaksonu i jazgot silnika wojskowego samochodu przedzierającego się pod bramę. Demonstranci starali się go przepuścić, ale ten i ów, chcąc wyładować frustrację, zaczął walić pięścią w dach. Któryś pochylił się, chwycił za listwę samochodu i go rozkołysał. Inni poszli w jego ślady, bo uznali, że to fajna zabawa. Rozkołysali go tak mocno, aż koła oderwały się od ziemi. Lubert widział twarz siedzącego wewnątrz oficera, na której najpierw malowały się złość, a później strach. Potem jakby nieświadomi własnej siły młodzieńcy przewrócili wóz na bok, a wraz z nim nieszczęsnego oficera, który przywarł policzkiem do szyby niczym złota rybka w akwarium. Wyglądało to niemal komicznie, ale

Lubert wyczuł, że za chwilę zdarzy się coś strasznego. Wtem usłyszał odgłos wystrzałów. Pierwszy kompletnie ich zmroził. Drugi wywołał panikę niczym w stadzie owiec, które w jednej chwili zmieniają kierunek, poganiane niewidzialnymi kulami. Lubert ruszył za tym stadem, czuł, jak porywa go ze sobą. Coś uderzyło go w głowę, ale nie przystanął. Sunął kilka metrów unoszony przez tłum, nie dotykając stopami ziemi. Później zobaczył iskry i zahuczało mu w głowie, gdy ktoś przyłożył mu kolanem w skroń. Dopiero po chwili dotarło do niego, że czerwone plamy na śniegu to jego własna krew.

Rachael wróciła z opatrunkiem, bandażem i jodyną.

– Pokaż. – Stanęła nad nim i delikatnie uniosła jego brodę. – Mógł się tam dostać piach – powiedziała, przyciągnęła do siebie podnózek i usiadła naprzeciwko Luberta. Namoczyła opatrunek w jodynie. Biała bawełna natychmiast pożółkła. – Zaboli – ostrzegła go.

Lubert skrzywił się i zadrżał.

– Jak to się stało?

Wciąż widział te obrazy, lecz nie był w stanie jej tego opisać. Pękała mu głowa.

– Oni...

– Już dobrze.

Rachael przytrzymała opatrunek i pochyliła się nad Lubertem. Jęknął ponownie, czując działanie jodyny, i chwycił ją za rękę, szukając ukojenia. Przez chwilę trwali w tej pozycji. Cierpienie sprawiło, że nie chciał puścić, ale jej to nie przeszkadzało. W końcu zdjęła opatrunek z rany, żeby ją obejrzeć.

– Wygląda w porządku. Teraz opatrzemy... – Owinęła bandaż wokół świeżego opatrunku, który dodatkowo nasączyła jodyną. Pochyliła się, by sięgnąć tyłu jego głowy. Przez moment jej brzuch znalazł się o centymetry od jego nosa. Na koniec spięła bandaż agrafką. – Gotowe. Jak z podręcznika pierwszej pomocy. No i jak?

– Szczypie, ale dziękuję.

– Przepraszam za majora. Był pijany.

– Dziękuję za interwencję. W przeciwnym razie skończyłoby się na międzynarodowym skandalu.

Jego twarz znalazła się niepokojąco blisko jej twarzy. Rachael dostrzegła zmarszczki wokół jego oczu i smutek, którego nie widziała tam wcześniej. Wyobraziła sobie, jak go całuje, i w tej samej chwili poczuła, że chce tego i że to zrobi. Przytrzymując opatrunek, musnęła policzkiem jego policzek i pocałowała go delikatnie w usta. Nie odsunęła się od razu, czekając, aż wymieszają się ich oddechy. Spodziewała się, że usłyszy dzwonki alarmowe albo ujrzy jakieś zasieki, ale nic takiego nie nastąpiło. Wkroczyła na to nowe terytorium niezatrzymywana przez nikogo. Okazało się to całkiem proste.

– Wolę ten pocałunek od tamtego – wyznał jej Lubert.

Rachael spojrzała na niego, czując, że musi wrócić na ziemię.

– Czy to... element planu, dzięki któremu mnie stąd wyrzucisz? – spytał.

– To... podziękowanie – odpowiedziała.

– Za co?

– Za to, że mnie obudziłeś.

^[4] Amerykańska aktorka (1922–1973).

^[5] Cytat z dziecięcej rymowanki.

ROZDZIAŁ 9

Fabryczne reflektory oświetlały zrytą, przysypaną śniegiem przestrzeń, na której niczym padłe bociany leżały porzucone transparenty. W mroku kręciło się kilku niemieckich, niepewnych swej roli policjantów. Przyglądając się pozostałościom po zamieszkach, Lewis poczuł, że sytuacja wymyka się spod wątlej kontroli władz.

Dowódca żandarmerii, który wydał rozkaz, by strzelać – major Montagu – zrelacjonował mu przebieg zdarzeń, ale nie zmieniało to w żadnym sensie tego, co się stało. Doszło do kolosalnej wpadki – i to podczas jego dyżuru.

– Ten oficer próbował dojechać do bramy, gdy nagle otoczył go gniewny tłum. Zaczęli kołysać samochodem. Oddaliśmy kilka strzałów ostrzegawczych, ale tamci w końcu przewrócili wóz na bok. Całe szczęście, że nie dostali się do środka.

Montagu opisał cały incydent z mechaniczną obojętnością. Lewis czekał na ciąg dalszy, lecz major zamilkł.

- Później zaczęliście strzelać do nieuzbrojonych cywilów – dokończył za niego Lewis.
- Nie było innego wyjścia.
- Tylko zabici nie mają wyjścia, majorze. Trzech zabitych, do cholery!

Lewis obszedł samochód i stanął w miejscu, gdzie na śniegu widniały plamy krwi. Leżący na boku volkswagen jeszcze bardziej przypominał chrząszcza.

- Zlinczowali go, gdybyśmy nie zareagowali.
- Jest pan tego pewien?
- Całkowicie, sir. Przemienili się w... bezrozumną hołotę. Podejrzewamy, że byli wśród nich sabotażyści, którzy przyszli tu, żeby rozrabiać. Pewnie ci z Werwolfu.
- Na litość boską! Aresztowaliście choć jednego?
- Zatrzymaliśmy kilku do wyjaśnienia – odburknął Montagu i wyprężył pierś.
- Pewnie jakieś dzieciaki?

Żandarmerię spotkała wcześniej fala krytyki w związku z aresztowaniem ponad setki dzieci, które kradły węgiel. Informacja ta w końcu przeniknęła do prasy, ale wiek

zatrzymanych został zmieniony.

Lewis podniósł z ziemi jeden z transparentów. Napis głosił: „Dajcie nam narzędzia, pracę wykonamy sami!”^[6]. Pułkownik pokazał go żandarmowi.

– Wie pan, z kogo to cytat?

Pytania Lewisa najwyraźniej zirytowały majora Montagu.

– Na naszym miejscu postąpiłby pan tak samo.

Lewis rzucił transparent na ziemię.

– Dajemy im demokrację, a później karzemy za to, że chcą z niej korzystać.

Barker podwiózł Lewisa na pilne spotkanie z szefem, generałem de Billierem.

– Ten major miał rację – przyznał Lewis. – Powinienem tam być, a przynajmniej wysłać więcej żołnierzy, którzy by ich chronili.

– To miała być pokojowa demonstracja, sir. Tak zapewniali związkowcy. Żandarmi spanikowali. To nie pańska wina.

– Spodziewam się dymisji.

– Wątpię.

– To czemu de Billier wzywa mnie do siebie o północy?

– Pewnie dostał nową whisky i jest ciekaw pańskiej opinii.

Lewis blado się uśmiechnął. Generał słynął z zamiłowania do tego trunku i dobierał sobie ludzi na podstawie ich znajomości tematu.

– Nie wyleje pana – ciągnął Barker. – Jest pan jednym z niewielu ludzi, którzy rozumieją, po co tu przyjechali. Na pewno chodzi o coś innego.

– Wierz mi, Barker, naprawdę nie jestem niezastąpiony.

Nawet jeśli Lewis zbył ten komplement, to jednak przyjął go z wdzięcznością jako antidotum na ogarniające go zwątpienie. W armii rzadko słyszało się proste sformułowanie „dobra robota”. Jeśli już kogoś chwalono, zwykle towarzyszyła temu obelga. Ta niechęć do zachęcania i motywowania nie odnosiła się wyłącznie do wojska. Lewis uważał, że to bardzo angielskie podejście, którego źródłem były wrodzony dystans, skłonności do racjonalizowania, a także obawa, by nie wywyższyć kogoś ponad innych. Dostrzegał te cechy także u siebie. Był to jeden z powodów, dla których – jak zwykli mawiać Anglicy – ich kraj jest mniej podatny na dyktatorów niż jego sąsiedzi z kontynentu.

– Rejestr jest już prawie gotowy, sir.

– Rejestr?

– Osób zaginionych, ten, o który pan prosił.

Lewis miał poczucie *déjà vu*. Ileż to razy rzucał jakiś pomysł, a potem o nim zapominał?

Idea, by sporządzić listę zaginionych, których ciał nie zidentyfikowano po bombardowaniach, i zestawić ją z nazwiskami osób przebywających w szpitalach, lazaretach, klasztorach bądź innych miejscach rekonwalescencji w rejonie Hamburga, była jednym z tych pomysłów, które odłożył na bok w obliczu pilniejszych wyzwań.

– Kompletnie zapomniałem. Mam nadzieję, że nie zajęło ci to zbyt dużo czasu.

– Zajęło, ale wkrótce będę mógł porównać obydwie listy. Potrzebuję jeszcze paru tygodni.

– A ta druga sprawa, raport w sprawie majątków?

– Góra trochę się jeży. Nie podoba im się. Szybko nie awansuję.

– Świetnie – skwitował Lewis i naprawdę tak myślał.

Potrzebował Barkera, a poza tym uważał, że ludzie, gdy już wdrapią się na szczyt, tracą motywację i marnując swój talent, wcielają się w role, które zupełnie do nich nie pasują. Życiowe hasło Lewisa brzmiało: „Lepiej zostać po gorszej stronie biurka”.

Kiedy Lewis pojawił się w jego gabinecie, de Billier bardziej opierał się o biurko, niż za nim siedział. Generał wskazał mu krzesło i poczęstował whisky oraz papierosem, więc raczej nie zapowiadało to niczego złego. Obecność komisarza Berry’ego sugerowała, że Barker mógł mieć rację – chodziło o coś innego niż o strącenie go ze stołka.

– Zna pan komisarza?

– Tak jest, sir. Poznaliśmy się podczas wizyty ministra.

Lewis lubił Berry’ego. Z wdziękiem i godnością pełnił niezwykle trudną i nieprzysparzającą popularności funkcję. Berry serdecznie uściśnął jego dłoń.

– Witam, panie pułkowniku. Ten, który dzieli się swoim domem.

– Nie swoim, ale zgadza się.

– Cieszy się pan dobrą opinią wśród Niemców.

– I właśnie dlatego... – odezwał się de Billier, podając Lewisowi ogień – ... tu pana wezwałem. Umie pan spojrzeć na to z ich strony.

Lewis usiadł. Przemknęło mu przez głowę, że skazańców też częstuje się papierosami przed egzekucją. Takie miłe powitanie zapowiadało, że szykują dla niego jakąś wyjątkowo paskudną misję. Za oknem, za plecami generała, Lewis wyraźnie widział porowatą powierzchnię Księżyca w pełni. Może tam go wyślą.

– Kredyt zaufania, jaki u nich miałem, wyczerpał się po wydarzeniach w fabryce Zeissa.

– Istotnie był to bardzo niefortunny incydent – przyznał de Billier. – Ale to element znacznie poważniejszego problemu. Demontaż fabryk wywołuje niepokoje w całej strefie. Do protestów dochodzi w Kolonii, Hanowerze, Bremie i Zagłębiu Ruhry. Wzmagają napięcie, które pogłębia pogoda i niedobory żywności. Niemcy zaczynają nas nienawidzić.

Są przekonani, że chcemy przemienić ich kraj w gigantyczną fermę i że zniszczyliśmy ich przemysł stoczniowy, by forować Belfast i Clyde.

– Rzeczywiście wysadziliśmy w powietrze sprawnie działającą, pierwszorzędną stocznię.

– Wysadzenie Blohm i Voss było pomyłką. Teraz już to wiemy, jednak nasze cele wciąż się zmieniają, niemal co miesiąc. Rok temu dążyliśmy do demilitaryzacji, później do denazyfikacji, jeszcze później do obniżenia potencjału przemysłowego, a na koniec do wykarmienia tych wszystkich cholernych ludzi. Teraz wszyscy już wiedzą, oprócz Francuzów i Rosjan, że potrzebujemy silnych Niemiec. Dogadaliśmy się z Amerykanami w sprawie połączenia naszych stref okupacyjnych. Po Nowym Roku utworzymy Bizonię, a gdy Francuzi wreszcie zrozumieją, gdzie jest ich miejsce we wszechświecie, być może także Trizonię. Staje się oczywiste, że Rosjanie są coraz mniej skłonni do zwrócenia Niemcom swojej strefy. Im dłużej będziemy zwlekać z demontażem tutejszych zakładów przemysłu ciężkiego, tym mniej będą się do tego palić.

Generał nie wspominał o tragicznych zdarzeniach, które miały miejsce tego wieczoru, i najwyraźniej nie zamierzał. Z jego punktu widzenia był to jedynie drobny wstrząs w porównaniu z istnymi trzęsieniami ziemi, do jakich dochodziło między mocarstwami. Lewis był nieco rozczarowany. Perspektywa utraty stanowiska, o której rozmyślał po drodze, wcale nie była taka zła.

– Nadal istnieje szansa uniknięcia całkowitego zerwania stosunków z Rosją. Pierwszym warunkiem, jaki musimy spełnić, jest przestrzeganie postanowień konferencji poczdamskiej dotyczących reparacji wojennych, w przeciwnym wypadku Sowietci wstrzymają dostawy zbóż. Międzysojusznicza Komisja do spraw Odszkodowań nałoży na nas sankcje, jeśli natychmiast nie zamkniemy niemieckich fabryk. Amerykanie będą musieli wyżywić miliony ludzi i żelazna kurtyna, o której wciąż trąbi Churchill, stanie się faktem. – De Billier wręczył Lewisowi teczkę z nagłówkiem: „Lista fabryk do demontażu. Kategoria 1. Poufne”. – W naszym rejonie działają cztery zakłady kategorii pierwszej. Rosjanie przyślą tu swoją komisję, która dopilnuje demontażu. Będzie pan naszym łącznikiem z Niemcami. Pojedzie pan tam od razu.

Lewis zaczął wertować dokument, zapoznając się z nazwami miejscowości, gdzie znajdowały się fabryki.

– Helgoland? – Dla Lewisa mogło to być choćby na księżycu.

– Zwiożą tam całą amunicję i wysadzą fabrykę w powietrze. Potrzebujemy kogoś, kogo Niemcy lubią, kto potrafi ich przekonać, że to konieczność, i kto umie złapać z nimi dobry kontakt. Jest pan z tego znany. Major bardzo wysoko pana ceni.

Dla kogoś z zewnątrz mogło to zabrzmieć jak pochwała, ale Lewis zdawał sobie sprawę, że w taki sposób usuwa się po cichu ludzi niewygodnych. Bali się, żeby nie paplał różnych

rzeczy ministrom i dziennikarzom. Podczas wizyty Shawa już raz skrytykował ich działania. Wymagał zdyscyplinowania. Konstruktywnego.

– Właściwie... to nie jest moja działka.

– Tu chodzi o kontakty z ludźmi, pułkowniku – odparł de Billier. – A pan jest w tym najlepszy.

– Czyli szukacie kogoś, kto delikatnie wysadzi coś w powietrze.

De Billier odchrząknął, nie kryjąc zniecierpliwienia. Wykorzystał do granic swój dar perswazji i nie zamierzał dalej ubierać tego w piękne słówka.

– Pułkowniku, nie cierpię Rosjan i kwestii odszkodowań, ale jeśli chcemy uniknąć kolejnej wojny, musimy to załatwić. Przed końcem zimy.

Propozycja zamieniła się w rozkaz.

– Pojedzie pan z Kutowem i pozostałymi obserwatorami. Towarzyszyć panu będą Francuz i Amerykanin. Jak rozumiem, pańska tłumaczka zna rosyjski. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wróci pan za kilka tygodni. Pańskie obowiązki przejmie zastępca.

Od początku tej rozmowy Lewis myślał o Rachael. Jak ona to przyjmie? Czy to ich ostatnia deska ratunku?

– Mam zacząć po świętach?

– Rosjanie nie obchodzą świąt Bożego Narodzenia. Zresztą to doskonały moment na przeprowadzenie takiej akcji. My będziemy śpiewać kolędy, a pan wysadzi towar w powietrze i nawet nikt nie usłyszy – zażartował de Billier.

Generał nie zdobył pozycji po tamtej stronie biurka, bawiąc się w sentymenty. Nawet po śmierci Michaela nie zaproponował Lewisowi urlopu – zresztą Lewis o niego nie prosił.

– Spędziłem ledwie kilka miesięcy z rodziną, a i tak zwykle nie mam dla niej czasu.

Będzie nam ciężko...

– Panie pułkowniku, ja tu kieruję krajem po wojnie, a nie poradnią małżeńską.

– Herr Morgan zaprasza pana do bawialni.

– Czy jest... zły?

Heike musiała to rozważyć.

– Nie, nie sędzę.

Nie. Jasne, że nie. On nigdy się nie złości. Nawet gdyby odkrył, że jego żona całuje się z innym, pewnie zagadałby o pogodzie, a później oddał mu swój samochód.

– Dziękuję, Heike, już schodzę.

Lubert odłożył piórko i zamknął kałamarz. Przygładził dłonią włosy, podumał chwilę, po czym znów je wzburzył.

Zamyślony Lewis stał koło fortepianu i spoglądał przez okno na rzekę. Był w mundurze,

w rękawiczkach i płaszczu. Widocznie znów musiał dokąś jechać. Błado uśmiechnął się do Luberta.

– Herr Lubert, śmiało, proszę usiąść.

Lubert przysiadł na ławie w wykuszu okna.

– Jak tam głowa? – spytał Lewis, dotykając własnej skroni.

Łuk brwiowy Niemca mienił się wszystkimi kolorami tęczy, ale wyglądał już trochę lepiej.

– Ja z tych, na których wszystko szybko się goi.

– To się stało wczoraj.

Lubert czekał, aż Lewis nawiąże do wydarzeń poprzedniego wieczoru, zastanawiając się, czy pułkownik czasem nie wyczekuje komentarza z jego strony. Anglicy najwyraźniej cierpieli na coś w rodzaju emocjonalnego zatwardzenia. Może powinien mu ulżyć, podając środek przeczyszczający w postaci przeprosin, wyjaśnić, że to była jego inicjatywa, a nie Rachael. Oberwał w głowę, nie był sobą i tak jakoś wyszło.

– Przykro mi z powodu tego incydentu.

Lewis spojrział na niego pytająco i uniósł rękę.

– To nie pan powinien przepraszać. Jest mi wstyd za ten wazon. Za wszelkie powstałe szkody. I za zachowanie jednego z naszych gości. – Lewis pogładził pudło bösendorfera, jakby chciał mu wynagrodzić brutalne uderzenia Burnhama. – Wiem od Rachael, że... zważywszy na okoliczności... wykazał się pan niezwykłym opanowaniem.

W tej sytuacji, zamiast po rycersku się przyznać, Lubert tylko wyjąkał:

– Cóż... Nikogo tu nie winię. Towarzystwo było rozbawione. A wazon, nieważne. Nawet go nie lubiłem.

– Ale to nie jest żadne usprawiedliwienie tego, co się zdarzyło. Sam pan powiedział, że to pańska własność.

– Owszem. – Lubert wyczuł, że pułkownik chciałby, żeby wszystko rozeszło się po kościach.

– Przykro mi też, że wciągnięto pana w tę awanturę w zakładach Zeissa – dodał Lewis.

– Niewiele pamiętam. Słuchałem przemówienia i nagle padły strzały.

Lewis wyraźnie zmarkotniał.

– Nie da się obronić tego, co się tam stało. Już wydawało się, że jest jakiś postęp, a tu nagle coś takiego. Ktoś stracił zimną krew i rozpętało się piekło. Sytuacja w rejonie jest bardzo delikatna, wystarczy jedna iskra. Tak czy owak, cieszę się, że dochodzi pan do siebie.

– Ma pan trudną pracę, pułkowniku. Nie zazdroszczę.

– Słusznie. Poprosiłem o tę rozmowę, żeby pana przeprosić, ale też żeby zwrócić się do

pana o przysługę. Szukamy nowego nauczyciela dla Edmunda. Teraz już nie będzie pan pracował w fabryce, więc może pouczyłby pan Edmunda... i Rachael niemieckiego. Wyjeżdżam i chwilowo nie znajdę nikogo na zastępstwo. Rachael będzie miała okazję wreszcie poznać język. Wiem, że irytuje ją to, że nic nie rozumie, zwłaszcza w kontaktach ze służbą.

– Oczywiście – zgodził się Lubert. – Wyjeżdża pan?

– Jutro, na parę tygodni, na Helgoland.

– A więc... nie będzie pana na święta?

– Niestety, armia żyje według własnej liturgii. Byłbym wdzięczny, gdyby czuwał pan na posterunku. Chciałbym, żeby czuł się pan tu bardziej u siebie niż dotychczas. Wiem, że początkowo... nie było wam łatwo. Jak się pan pewnie domyśla... tuż po przyjeździe Rachael była trochę nieswoja... ale ostatnio zauważyłem, że wraca do formy. Myślę, że chce więcej bywać wśród ludzi, może pojedzie z Friedą na zakupy. Towarzystwo dobrze jej robi. Nie powinna być sama, zwłaszcza o tej porze roku. Zresztą zawsze powtarzam, że jeśli w Niemczech ma być lepiej, to powinniśmy więcej ze sobą obcować i bliżej się poznać. Chcę po prostu powiedzieć, żeby nie trzymał się pan na uboczu. Proszę się czuć jak w domu.

– Dziękuję, pułkowniku.

Lubert lubił Lewisa. Podziwiał jego wielkoduszność i był mu za nią wdzięczny. Podobało mu się też to, że pułkownik nie zadziera nosa. Słuchając go, nie potrafił jednak wyzbyć się myśli, że ten człowiek jest ślepy. Może był zwyczajnie prostolinijny, a może umysł miał zajęty czym innym. Jedno było pewne: mylił się co do swoich priorytetów.

– Fatalne wieści, Rach.

Rachael czytała kolejny kryminał Agathy Christie, którego kunsztowna fabuła całkowicie ją wciągnęła – i właśnie nastąpił kluczowy moment dla wyjaśnienia całej zagadki. Gdy odłożyła książkę, w jej głowie zrodziły się dwie całkiem różne, choć równie nieprzyjemne myśli: „Ciekawe, kto jest mordercą” oraz: „Mam nadzieję, że Lewis nie powie mi, iż Stefan jest «umoczony» tak jak Herr Koenig”.

– Co się stało? – spytała.

Lewis przybrał swoją „wyjazdową” minę. Już nieraz ją widziała, a najlepiej zapamiętała wtedy, gdy oznajmił jej, tuż po powrocie do domu z pogrzebu Michaela, że wraca prosto do bazy.

– Mam nadzorować demontaż fabryk. Zaczynam od jutra. Nie będzie mnie przez kilka tygodni.

– Och! – Rachael westchnęła.

– Wiem, to już przesada – przytaknął, źle odczytując jej reakcję, po czym zaczął szukać walizki w garderobie.

Znała wszystkie komunały, które żony wojskowych zawsze miały na podorędziu, kiedy ich małżonkom skrócono lub wstrzymano przepustkę, ale w głębi serca ich nie uznawała. Zresztą czuła, że Lewis wcale ich od niej nie oczekuje.

– Służba nie drużba – rzuciła.

Pułkownik spojrzał na nią i skinął głową.

– Przykro mi, Rach.

Kiedy zaczął szukać rzeczy, skierowała wzrok z powrotem na książkę. Nie miała ochoty pomóc mu się pakować. Nie tym razem. Może i był to jej obowiązek, ale obowiązki należały dla niej do przeszłości. Chciała koniecznie dokończyć ten fragment, żeby dowiedzieć się, kto zabił. Nie mogła jednak patrzeć na nieporadność Lewisa. Odłożyła książkę i pomogła mu znaleźć skarpetki w koszu z czystymi rzeczami, który przyniosła im rano Heike.

– Ile par?

– Pięć, sześć powinno wystarczyć.

Rzucała mu zwinięte skarpetki jedna para po drugiej, a on, ułożywszy dłonie w miseczkę, wyłapywał je jak piłki w krykiecie i płynnym ruchem odsyłał do walizki. Widząc w niej bałagan, Rachael zaczęła ją przepakowywać.

– To awans? – spytała.

– Raczej kara za to, że nie podzielałam opinii ministra. Najwyraźniej powiedziałem za dużo.

– Zupełnie jak nie ty. Kto będzie cię zastępował?

– Barker. Poprosiłem, żeby do was zaglądał i przywoził pocztę. Dacie sobie radę sami?

– A jak myślisz?

No tak, głupie pytanie.

– Kiedy wrócę, może... dokądś pojedziemy, we dwoje. Jak się trochę ociepli. Na przykład do Travemünde albo do jednego z tych wspaniałych kurortów nad Bałtykiem?

– Byłoby miło.

– Tyle że nie na długo.

– Jasne...

Nie umiał dobrać właściwych słów, a ona nie zamierzała mu ich podrzucać.

– No to już pójdę. – Zamknął walizkę i podszedł do niej, żeby się pożegnać.

Żeby uniknąć niezręczności, pocałowała go w policzek, jak gościa, który właśnie wychodzi, albo znajomego.

[6] Słowa Winstona Churchilla z przemówienia radiowego 9 lutego 1941 roku.

ROZDZIAŁ 10

Szara papierowa teczka, którą wepchnęła sobie za gumkę pończoch, wpijała się Friedzie w brzuch. Córka Luberta właściwie nie wiedziała, co zawiera – tekst był po angielsku, ale nagłówek: „Zastrzeżone”, czerwony pasek i zdjęcia fabryk oraz obiektów wojskowych upewniły ją, że dokument wyciągnięty z teczki pułkownika robi wrażenie na Albercie. Myśl, że zaraz mu ją wręczy, przepełniła ją poczuciem dumy.

Na bramie posiadłości dawnego potentata, producenta margaryny, wisiała obwiedziona czarną obwódką wywieszka z literą „R” oznaczająca, że dom został zarekwirowany. Frieda spojrzała w prawo i w lewo, sprawdzając, czy nie nadjeżdża żaden samochód, po czym wspięła się na niski mur w miejscu, gdzie Albert położył drewniane sanki na kawałkach tłuczonego szkła, które umieścił tam kiedyś Petersen, by zniechęcić włamywaczy. Ostre fragmenty butelek wystawały nawet spod grubej pokrywy śniegu. Środki bezpieczeństwa, jakie Petersen wprowadził jeszcze przed wojną, zawsze wprawiały jego sąsiadów w konsternację. Matka Friedy, która uważała go za zwykłego dorobkiewicza, stwierdziła pewnego razu, że żaden szanujący się złodziej nie ukradnie nic z domu takiego parweniusza. Rodzina Petersenów szybko zbiła majątek – najpierw na handlu sizalem z niemieckich kolonii w Afryce Wschodniej, a potem na sztucznym maśle – i wyznawała zasadę: „Im szybciej się dorobiłem, tym szybciej muszę wydać pieniądze”. Frieda była wtedy zbyt mała, by dostrzegać niuanse hierarchii posiadaczy starych i nowych fortun, lecz teraz, gdy zmierzała ku najokazalszej willi przy Elbchaussee, przekonała się, że słowa jej matki okazały się prorocze: wielki kubistyczny dom Petersena stał smutny, cichy i pusty.

Weszła do środka przez okno w kuchni, tak jak przykazał jej Albert. Wspinając się po prowadzących na parter schodach, poczuła zapach palonego drewna oraz świec i usłyszała jakieś chłopięce głosy. Podążając za nimi, dotarła do bawialni na tyłach domu, gdzie jej oczom ukazała się isticie szalona sceneria – pokój oświetlony blaskiem świec i ozdobiony pamiątkami z Afryki: tarczami, dzidami, skórami zwierząt i maskami. Czterej chłopcy

słuchali piątego, który stał na blacie stołu bilardowego z pudełkiem pełnym czegoś, co wyglądało jak szczypce do cukru. Na głowie miał płaski hełm, na ramionach skórę z zębry i pokrzykiwał niczym handlarz rybami z St Pauli.

– Świeżutkie, prosto z dworca Dammtor! – Chłopak potrząsnął pudełkiem, wyjął parę szczypiec i zaczął poszczękiwać ich żarłoczną gębą.

Światło świec rzucało groteskowy cień na ścianę, przemieniając jego samego w gigantycznego karła, a jego metalowy przyrząd w homara.

– Na co nam one? Przecież nie mamy cukru – zapiszczał jeden z malców.
– Patrz i się ucz, Otto. Dla ciebie może to są szczypce do cukru, ale dla pięknej damy...
– Chłopak odstawił pudełko i zaczął udawać, że skubie sobie nimi brwi niczym pęsetą. – Albo... – Otworzył usta i wyrwał sobie na niby ząb. – Albo... – Zatkał nos i się nadał. – Albo... – Pochylił się i podniósł coś z podłogi. – Albo... – Sięgnął do kieszeni i wyjął papierosa. Chwycił go szczypcami, przystawił do ust i elegancko się zaciągnął. – Kobiety oszaleją na ich punkcie.

Na pozostałych malcach nie zrobiło to jednak wrażenia. Falę krytyki zainicjował chłopiec z dzidą.

– Ludzie nie chcą szczypiec do cukru, ludzie chcą kartofli.
– Zmarnowałeś papierosa, Ozi.
– Przynosisz kiepski towar.
– Spokojnie. – Ozi uniósł rękę. – Mam tu coś wyjątkowego. To zasługa tego małego Angola. Coś zupełnie wyjątkowego.

Sięgnął pod skórę zębry i wyciągnął tubkę w kształcie cygara. Frieda poznała, że to tabletki, które bierze Albert – pervitin, lek na pobudzenie, rozdawany żołnierzom w ostatnich dniach wojny.

– Te tabletki wzmacniają, rozgrzewają i sprawiają, że nie czujesz głodu. Berti ma całe pudło, dał mi po fiolce dla każdego. – Nagle Ozi urwał i spojrzał w stronę drzwi. – Sprawdźcie, kto to.

– One nie są dla dzieci – odezwała się Frieda, przytrzymując ręką drzwi, na wypadek gdyby musiała uciekać.

Mały dzikus uniósł dzidę i zaczął nią potrząsać.

– Kim jesteś, panienko? – spytał.

Chłopak w hełmie zeskoczył ze stołu.

– W porządku, to dziewczyna Bertiego.

Jego kumpel opuścił dzidę.

– Skąd wiesz, kim jestem?

– Widziałem cię.

– Gdzie?

– Widziałem, jak... – Ozi wsunął palec wskazujący prawej ręki pomiędzy zagięty palec wskazujący i kciuk lewej i zaczął nim miarowo poruszać, do przodu, do tyłu.

Jego kolesie zachichotali.

Był bezczelny, powinna mu przywalić. Gdzie ich podejrział? W tamtym domu w Blankenese czy tutaj?

– Gdzie on jest?

– Na górze, ze swoją przyjaciółką.

– Z jaką przyjaciółką?

Ozi wyciągnął do niej rękę z fiolką.

Albert był w sypialni, ale nie leżał w łóżku. Tańczył do muzyki z płyty obracającej się na przenośnym gramofonie. Była to jedna z tych dzikich amerykańskich melodii, których słuchała w Radiu Hamburg Heike – bębny niczym z dżungli, ostre dźwięki instrumentów dętych i ogólne poczucie chaosu. Frieda zezłościła się, kiedy go zobaczyła. Nie miał na sobie koszuli i poruszał się nieskładnie niczym marionetka w rękach pijanego lalkarza, wciskając stopy w dywan, jak gdyby rozdeptywał mrówki. Tak się w tym zapamiętał, że nawet jej nie zauważył. Poczuli się zażenowana, patrząc na niego. Ten podskakujący i wierzgający chłopak nie był opanowanym i chłodnym Albertem, jakiego znała. Jakby coś go opętało.

– Albert? Co ty wyprawiasz?

Obrócił się w jej stronę, ale się nie spieszył i tańczył dalej.

– Moja prawdziwa niemiecka dama – powiedział.

Udając, że zaraz się na nią rzuci, podkradał się coraz bliżej w takt muzyki, aż w końcu wyciągnął rękę, zapraszając ją do tańca. Był cały spocony, a jego rozszerzone źrenice wzbudzały w niej nieufność. Podała mu wyjętą z za pazuchy teczkę.

– To jakieś ważne rzeczy – oznajmiła.

– Benny Goodman – odpowiedział, nie przerywając tańca. – Benny Goodman. Tańcz! – Jeszcze bardziej natarczywie wyciągnął do niej rękę.

Była rozpalona i cała się kleiła. Skóra na jego bicepsie z blizną w kształcie dwóch ósemek drżała. Frieda chciała go zadowolić, lecz nie umiała tak tańczyć.

– Nie umiem.

– Umiesz... moja prawdziwa niemiecka damo.

Jedną rękę położył na jej biodrze, a drugą ujął jej dłoń. Dociskając teczkę do piersi, Frieda zaczęła od niechcienia poruszać nogami, ale pozostała sztywna. Było w tej muzyce zbyt wiele anarchii, nie potrafiła jej ogarnąć. Zresztą nie chciała... takiego Alberta!

Oddalał się od niej z każdym kolejnym wygibasem.

– Nie mogę!

Nie przerywając tańca, podszedł do gramofonu i zdjął igłę z płyty.

– Moja dziewczyna nie chce tańczyć, a przecież żołnierz powinien umieć się zabawić. No dobra, moja gorliwa pomocnico, pokaż, co tam masz.

Podala mu teczkę. Albert nadal poruszał się w takt muzyki, którą najwyraźniej wciąż słyszał w głowie. Pogładził papier.

– „Zastrzeżone” – przeczytał. – Świetnie. – Odciągnął gumkę i zajrzał do środka. Powoli tłumaczył tekst na niemiecki, poruszając przy tym ustami. Po kilku chwilach zaczął z uznaniem kiwać głową. – Skąd to masz? – spytał.

– Gwizdnęłam pułkownikowi.

Albert kontynuował lekturę, z zadowoleniem mrucząc pod nosem.

– To coś ważnego? – spytała.

Odłożył teczkę i spojrzał na nią, tym razem z pożądaniem. Dotknął swoimi gorącymi dłońmi jej ramion. Frieda czuła jego pulsującą żyłę na szyi i nabrzmiały członek. Przypomniawszy sobie, jak na niego działa, zaczęła rozpinąć mu pasek. Albert znów zamruczał i przywarł do jej ciała. Zadarł jej spódniczkę, a ona ściągnęła majtki. Oparła się o ramy łóżka. Wszedł w nią, jęcząc z rozkoszy. Znów poczuła się dumna i silna. Ona też zaczęła jęczeć, z początku żeby sprawić mu radość, a później już mimowolnie. Tym razem tak się nie śpieszył, dzięki czemu miała więcej czasu, by czerpać przyjemność z nowych doznań. Kiedy było już po wszystkim, wciąż się do niej tulił, choć teraz już miękki i oklapły. Później wstał i naciągnął spodnie. Frieda miała poczucie, jakby słyszała i widziała wszystko, co dzieje się w sypialni, a także na dworze.

– Naznaczysz mnie? – spytała.

Roześmiał się i łyknął jeszcze jedną tabletkę.

– Dobra. – Wyjął papierosa z paczki leżącej na stoliku przy łóżku. Zapalił go, zaciągnął się i podszedł do niej. – To boli – ostrzegł.

– Nieważne.

– Gdzie?

– Tutaj. – Odchyliła blade przedramię i obwiodła palcem delikatne miejsce na skórze.

– Jeśli weźmiesz tabletkę, nic nie poczujesz.

Potrząsnęła głową.

– Chcę poczuć.

Chwycił ją mocno za nadgarstek i zgasił papierosa na jej przedramieniu. Starła się nie krzyknąć, tylko jęknęła przez zaciśnięte zęby. Albert ponownie zapalił papierosa i zrobił kolejne kółko nad poprzednim, by razem tworzyły ósemkę. Frieda spojrzała na nową,

zaczerwienioną i piekącą ranę. Zapach palonejskóry wydał jej się wspaniały. Ujrzała oczyma wyobraźni swą płonąca, naznaczoną w całości matkę i skinęła głową na znak, że chce jeszcze. Albert próbował znów zapalić papierosa, ale ten się rozczapierzył, bo wcześniej gasił go zbyt mocno. Zapalił drugiego i przystawił jej następne kółko. Ból, jaki odczuła wcześniej, znieczulił ją na kolejne cierpienie. Kiedy wypalał jej ostatnie kółko, zaczęła pojękiwać tak jak kilka minut wcześniej, kiedy się kochali. Później ujęła jego twarz w dłonie, wyobrażając sobie, że właśnie tak robią dorosłe kobiety – a przecież właśnie się nią stała – i zajrzała mu w oczy. Tabletki sprawiły, że jego powieki drżały i mrugały, a ona pragnęła, by skupił wzrok na niej. Zakryła mu oczy dłońmi.

– Po co je łykasz?

– Żeby zachować czujność. Jest tyle spraw, które muszę przemyśleć. Pomagają mi wypełnić moją misję.

– Nie mówisz mi, jaka to misja, nie opowiadasz o swoich planach.

– Wszystko w swoim czasie.

– Wciąż to powtarzasz. Nie ufasz mi?

– Jasne, że ci ufam, ale... lepiej, żebyś nie wiedziała. Jesteś... przydatna.

Chciała być dla niego kimś więcej.

– Twierdzisz, że jesteś żołnierzem, a ja nie widzę, żebyś walczył. Widzę tylko, jak tańczysz, łykasz tabletki i się objasz.

Zesztywniał i odsunął się od niej.

– Spokojnie, moja niemiecka damo. Wiem, co robię. – Uśmiechnął się z wyższością.

– Czyżby? Mówisz o armii, a gdzie ona jest? Bo ja widzę tylko *Trümmerkinder*.

Spojrzał na nią, próbując się skupić.

– Moja prawdziwa niemiecka damo, jesteś jak eskadra angielskich bombowców. Nic tylko bum-bum-bum. Ale nie martw się, wiem, co muszę zrobić. Mam to poukładane. Tutaj. – Popukał się w głowę. – To będzie duża rzecz.

Myszka Miki stała na skrzyżowaniu z parasolem w ręku. W poszukiwaniu schronienia zapukała do drzwi domu, którego ganek się zawalił i odsłonił drugie, otwarte drzwi. Wiatr hulał po domu, niemal odrywając go od fundamentów. Kiedy Miki weszła do środka, drzwi nagle zatrzęsnęły się za nią na amen. Było tam mnóstwo nietoperzy, więc przerażona myszka wskoczyła do garnka, a potem uciekła na zewnątrz, wołając: „Mamusi!”.

Wszyscy domownicy, oprócz Grety, która nie skorzystała z zaproszenia Rachael, zebrali się wokół projektora, by obejrzeć ostatni tego wieczoru film – *Myszka Miki w nawiedzonym domu*. Rachael podarowała projektor Lewisowi na dziesiątą (cynową lub aluminiową) rocznicę ślubu, choć równie dobrze mogłaby go sprezentować Edmundowi,

który czerpał z niego najwięcej radości i najczęściej z niego korzystał. Jej syn był teraz w swoim żywiole, wcielając się w rolę operatora, sprzedawcy słodczy, dyplomaty i tłumacza. Rozdawał lizaki i imbirowo-cynamonowe ciasteczka ze zdobionym wierzchem, komentował zbliżające się zabawne sceny („Ten kawałek jest niezły”, „To się wam spodoba”), śmiał się i sprawdzał, czy inni też się śmieją. W hipnotycznej poświacie towarzyszącej wyświetlaniu tych naiwnych i lekkich filmów w domu zapanowała radosna atmosfera jedności. Heike początkowo chichotała ukradkiem, ale z czasem zaczęła rechotać na całego. Uwagę Richarda najpierw przykuły kwestie techniczne, lecz w końcu i on nie wytrzymał na widok prężącego muskuły Marynarza Popeye’a. Uśmiech zdziwienia zagościł nawet na hardej twarzy Friedy, gdy swoje mrozące krew w żyłach numery zaczął demonstrować Buster Keaton. Kiedy wreszcie się roześmiała, można było odnieść wrażenie, że podobnie musiał śmiać się za młodu jej ojciec.

Tymczasem Lubert – człowiek wyrafinowany, którego bawią proste przyjemności – co rusz parskał rubasznym śmiechem. Rachael zastanawiała się, czy rzeczywiście wciągają go oglądane kreskówki, czy też tylko udaje na użytek pozostałych widzów. Czy czuł, tak jak ona, że to ledwie wstęp do czegoś znacznie bardziej interesującego? Gdy na końcu taśmy pojawiły się rysy i kropki, rzucił jej spojrzenie, w którym, jak jej się zdawało, dostrzegła podobne do własnego wyczekiwanie.

– Koniec! – obwieścił entuzjastycznie, z zapamiętaniem bijąc brawo. Edmund włączył światło. Nagła jasność sprawiła, że wszyscy zaczęli mrugać oczami. – Dziękujemy, Edmundzie. To twoja przyszłość. Myślę, że zostaniesz filmowcem. Zgadza się pani ze mną, Frau Morgan?

Edmund, który dotąd marzył, żeby zostać oficerem, jak jego ojciec, spojrzał na matkę, by sprawdzić, co sądzi o perspektywie jego tak niecodziennej kariery.

– Bardzo możliwe – przytaknęła Rachael, wprawiając tym syna w jeszcze większy zachwyty.

Richard podziękował Edmundowi za seans filmowy.

– Marynarz Popeye! – wykrzyknął, naprężył muskuły i zachichotał.

Heike najwyraźniej odebrało mowę. Przyłożyła tylko dłonie do piersi i zaczęła dygać w podzięcie za dostarczoną jej rozrywkę, choć Rachael wydawało się, że rzuciła po cichu do Edmunda słowo „przepyszne”. Za to Frieda, która po wizycie fryzjerki zdążyła już znowu zapleść włosy w warkocze, pozostała milcząca.

– Podziękuj Edmundowi i Frau Morgan, Friedo – upomniał ją ojciec.

– *Danke* – powiedziała posłusznie, spojrzała na Rachael i blado się uśmiechnęła. – Chcę się już położyć – dodała po angielsku.

– Oczywiście.– Rachael skinęła głową. – *Frohe Weihnachten.*

– Możemy jeszcze raz puścić film o Myszce Miki? Mamo, proszę cię – odezwał się błagalnym tonem Edmund, właściwie pewny odmowy.

– Myślę, że już wystarczy, Ed. Im szybciej trafisz do łóżka, tym szybciej obejrzysz prezenty.

– Nie otworzymy ich tutaj, tak jak robią to w Niemczech?

– Myślałem, że wolisz angielskie obyczaje. – Lubert mrugnął do niego.

Edmund przez moment bił się z myślami, ale w końcu przystał na sugestię Herr Luberta.

– Niech będzie – rzucił. – Dobranoc, mamo. – Ucałował matkę.

– Dobranoc, kochanie.

Heike zaczęła sprzątać ze stołu.

– Zostaw – powiedziała Rachael. – Sama to zrobię.

Heike zawahała się i spojrzała niepewnie na Herr Luberta.

– Dzisiaj masz wolne – potwierdził Lubert, bez wysiłku wcielając się w swą dawną rolę pana domu.

– No to dobranoc – wybąkała Heike, zarumieniła się i dygnęła.

Rachael i Lubert odczekali, aż wszyscy trafią do swoich pokojów. Herr Lubert z udawanym zainteresowaniem przyglądał się soczewce rzutnika, a Rachael zaczęła zbierać talerze. W końcu skrzypienie desek podłogowych ustało i w domu rozległo się tylko potrzaskiwanie ognia w kominku.

– Wspaniały wieczór – oceniła Rachael. – Miło było patrzeć na te roześmiane twarze.

– To cud Myszkki Miki. Może dzięki niej na świecie znów zapanuje pokój.

– Masz ochotę na rozchodniaka?

Lubert najwyraźniej nie znał tego słowa.

– Na ostatniego drinka – wyjaśniła Rachael. – Pomaga zasnąć.

– W Wielkiej Brytanii drink nie jest nigdy zwykłym drinkiem.

– No więc?

– *Bitte*.

Rachael nalała do szklanek dwie duże whisky i rozcieńczyła odrobiną wody. Podążyła do drinka Lubertowi, po czym przysunęła podnóżek i usiadła przed kominkiem. Zachęciła go, by poszedł za jej przykładem. Wpatrywali się w płomień, siedząc ledwie kilka centymetrów od siebie. Ogień jest niczym teatr, a ten płonął żwawo, z trzaskiem, przepełniony intrygującymi wątkami i zwrotami akcji. Rachael wbiła wzrok w żarzącą się pomarańczowo bryłkę węgla.

– Podoba mi się to, w jaki sposób obchodzicie tu Wigilię – powiedziała. – Zawsze wolałam adwent od Gwiazdki.

– Jesteś religijna?

Rachael z wolna pokręciła głową.

– Raczej lubiałam całą tę otoczkę.

– A sama religia, odarta z ozdobników?

– Myślę, że wiara, jakakolwiek była, uszła ze mnie, kiedy wybuchła tamta bomba.

– Może nie powinniśmy o tym rozmawiać.

– Wręcz przeciwnie – zaprotestowała Rachael, czując głęboką potrzebę wyrażenia swoich przekonań. – Rzadko rozmawia się o sprawach ważnych. Omijamy je i wycofujemy się z nich rakiem. Takie czasy. Może to pozostałość po epoce wiktoriańskiej albo dzieje się tak dlatego, że przeżyliśmy zbyt wiele wojen. Sama nie wiem. Jeśli czeka nas jakaś przyszłość, chciałabym, żeby ludzie potrafili rozmawiać o tym, co jest ważne.

Zegar w gabinecie wybił północ.

– Wesołych świąt.

– *Prosit!* – odpowiedział Lubert, trącając się z nią szklanką.

– *Prosit!*

– Za nowe czasy, w których będziemy rozmawiać o tym, co ważne.

Tymczasem to, co było dla nich ważne, wciąż pozostawało niedopowiedziane.

– A ty? – spytała Rachael, jeszcze nie całkiem gotowa na to, by usłyszeć odpowiedź. –

Wierzysz?

Lubert uniósł szklankę pod światło bijące od kominka. Jej zawartość zdawała się płonąć.

– W Boga, który przemienia się w dzieciątko? To trudne. – Przechylił szklankę, rozszczepiając złoto w kryształ. – Łatwiej uwierzyć w silnego człowieka niż w słabego Boga.

Ich rozmowa wciąż przypominała taniec, w którym żadne z nich nie chciało przejąć prowadzenia. Rachael zauważyła, że rana Luberta szybko się goi.

– Pułkownik powiedział mi, że wyjeżdża na Helgoland – rzucił Lubert. – To wyspa, na którą w dawnych czasach udawali się święci.

– No to będzie się tam czuł jak w domu – palnęła Rachael bez zastanowienia i znów zapatrzyła się w ogień.

Żar bryłki węgla, w którą wbiła wcześniej wzrok, objął także sąsiednie.

– Kiedy usłyszałem, że wyjeżdża... ucieszyłem się – wyznał Lubert.

Rachael zakręciła szklanką, tworząc w niej wir. Poczowała subtelne, przekorne vibracje serca.

– Ja też – odpowiedziała.

Linie, podziały, granice. Kilka już przekroczyła, lecz te dwa słowa okazały się

najśmielszą z jej dotychczasowych eskapad.

Lubert ujął jej dłoń i czule pocałował. Rachael ścisnęła jego znacznie cieplejszą od swojej rękę i przekręciwszy głowę, wskazała mu drogę do swych ust. Zareagował natychmiast, wpijając się w nie wargami. Rachael zaskoczyło to, z jaką łatwością się do siebie zbliżyli. Później Lubert próbował coś powiedzieć, lecz powstrzymała go kolejnym pocałunkiem. Gdyby zaczęli rozmawiać, gdyby zaczęła się zastanawiać, mogłaby się wycofać. Kiedy, po tym drugim pocałunku, próbowała pocałować go raz jeszcze, niczym ptak odwrócił głowę, tak że nie zdołała dosięgnąć jego ust.

– Teraz pójde do siebie – powiedział. – Poczekaj, aż włączę światło. Zobaczysz je przez okno. Drzwi zostawię otwarte.

Szczegółowe instrukcje. Musiał je sobie przygotować już wcześniej. Wstał i nie odrywając od niej wzroku, uniósł palec do ust. Tym gestem upewnił ją, że rozłączają się nie na długo.

Rachael zaczęła liczyć do sześćdziesięciu jak dziewczynka bawiąca się w chowanego. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w trzeszczenie desek podłogowych. Myślała, że głos rozsądku albo nagły wyrzut sumienia podpowie jej, by do niego nie szła, ale nic takiego nie nastąpiło. Jedyne, co słyszała, to zew swego pożądania. Teraz mogło ją powstrzymać tylko jakieś wyjątkowe zdarzenie – kosmiczna ingerencja, trzęsienie ziemi lub widok wielkiego kota przemierzającego trawnik.

Doliczywszy do sześćdziesięciu, otworzyła oczy i dostrzegła światło padające z okna pokoju Luberta. Ruszyła ostrożnie po schodach. Stąpała po bieżniku, unikając trzeszczących odsłoniętych boków, pomna obecności ciekawskiej służącej i syna, który z pewnością jeszcze nie spał. Przekonała się, że zdrada wymaga nie tylko przebiegłości i sprytu, lecz także niewinnej dziecięcej śmiałości. Ale czy była to zdrada? Rachael nie miała takiego poczucia. Bo czy w ogóle ma je ktoś, kto zdradza? Czym jest zdrada? Wystarczy sama myśl? Pocałunek? Czy też może zostanie cudzołożnicą, dopiero gdy odda się Lubertowi?

Minęła otwarte drzwi swojej sypialni. U stóp schodów na drugie piętro zerknęła w stronę pokoju Edmunda. Wchodząc na pierwszy stopień, nasłuchiwała najdrobniejszych odgłosów. Wszystko wydawało się jej zwielokrotnione i spowolnione. Rejestrowała wszelkie szczegóły – rzeźbienia na tralkach schodów, ostre dźwięczenie w uchu, fakt, że na samej górze było cieplej. Przez lekko uchylone drzwi sypialni Luberta sączyła się strużka światła. Postawiła tam stopę i ujrzała swój pantofel, ten sam, w którym przechadzała się bez poczucia winy po pokojach willi, wypełniając domowe obowiązki. Nie wyglądał jak pantofel cudzołożnicy. Pchnęła drzwi, które litościwie nie zaskrzypiały, i wkroczyła na nowe terytorium.

Lubert stał przy oknie, odwrócony do niej plecami. Rachael zamknęła drzwi i oparła się o nie, zaciskając dłonie na klamce i nie dopuszczając do siebie wątpliwości. Czuła, jak klamka wpija jej się w plecy. Lubert obrócił się, z twarzą odmienioną przez obietnicę rozkoszy, a może lęk. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby się wahał i chciał się wycofać, jednak dopadł do niej jednym susem i ją pocałował. Całując się, zaczęli się rozbierać. Nie było w tym żadnego planu. Wyglądali, jakby tańczyli scenę komediową z jakiegoś baletu. Rachael niezdarnie sięgnęła ręką za plecy, żeby rozpiąć suwak sukienki, a on rozdarł koszulę, gdy próbował ściągnąć ją przez głowę i nie mógł uwolnić dłoni z mankietów. Gdy byli już nadzy, znów jakby się zawahał, ale Rachael poprowadziła go wprost do łóżka.

Początkowo prawie go nie zauważała, jego zapachu, smaku, tego, co różniło go od innych. Nie pożądała jego odrębności, nie patrzyła mu w oczy i nie pozwalała mu spojrzeć w swoje, zaciskając powieki. Nie chciała czułości. Nie chciała dobroci. W finale krzyczała tak głośno, że zagłuszyła jego jęki rozkoszy. Tak głośno, że musiał zakryć jej usta dłonią.

– Usłyszają nas!

Ale jej było wszystko jedno.

Leżała, chłonąc zapach ich miłości. Czuła, jak rozlewa się w niej i promieniuje ku najdalszym zakamarkom ciała.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odpowiedziała.

– Właśnie tak sobie ciebie wyobrażałem. Taką... ognistą.

Nie odezwała się. Teraz oczy miała już otwarte. Trzymali się za ręce, a ich ramiona i uda lepiły się do siebie. Rachael stała się nagle wyczulona na każdy szczegół – znamię wielkości sześciopensówki na jego boku, swój gwałtownie unoszący się i opadający brzuch, jego kościste biodra i maleńkie niebieskie żyłki na piersi. Nagi wydawał się wyższy i szczuplejszy. Miał bladą skórę, o kilka tonów jaśniejszą niż ona.

Zaczęła też ogarniać elementy zapełniające naprędce urządzonego pokój. Dostrzegła meble przeniesione tu w pośpiechu z innych pomieszczeń, by nie zawadzały nowym lokatorom – deskę kreślarską, przybory do rysowania, piętrzące się na podłodze książki i oparty o ścianę, odwrócony tyłem, duży obraz. Sądząc po rozmiarach, musiał wcześniej wisieć w holu.

Lubert zaczął pieścić jej ramię.

– To ten obraz? – spytała.

Nie odpowiedział.

– Stefan?

– Tak.

– Mogę go obejrzeć?

Jego opór sprawił, że jeszcze bardziej pragnęła go zobaczyć.

– Możesz – zgodził się wreszcie.

Rachael opuściła stopy na podłogę i owinęła się narzutą, bardziej z powodu zimna niż ze wstydu. Przykucnęła i obróciła obraz w swoją stronę. Nie musiała pytać, żeby wiedzieć, kogo przedstawia. Gdzieś w zaułkach jej wyobraźni wciąż majaczył tamten utkany z domysłów portret. Podobieństwa między tym wymyślonym a tym realnym były oczywiste.

– Claudia.

Lubert skinął głową.

– Urzekająca. Widzę w niej Friedę. Dlaczego go zdjąłeś?

– Nie chciałem, żeby wciąż na mnie patrzyła. Rachael, chodź tu. – Poklepał puste miejsce na łóżku, najwyraźniej próbując odciągnąć ją od tego tematu, jednak jej ciekawość była silniejsza.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to była ona, kiedy niesłusznie cię oskarżałam?

– Bo... – Lubert zmieszał się – ... chciałem zapomnieć. Poza tym, gdybym ci powiedział, pewnie bym cię nie pocałował. Byłoby ci mnie żal i myślałabyś, że wciąż kocham moją żonę.

– A kochasz ją?

– Proszę cię, odwróć go do ściany.

– Kochasz?

– Nie da się kochać wspomnień. Chcę czegoś więcej.

Rachael jeszcze raz spojrzała na obraz, postawiła go frontem do ściany i wróciła do łóżka.

Lewis przykucnął za murem ochronnym, wraz z Ursulą i trzema delegatami Międzysojuszniczej Komisji do spraw Odszkodowań, w oczekiwaniu na pierwszy kontrolowany wybuch. Rosyjski pułkownik Kutow zaczął coś krzyczeć, ale Lewis nie zrozumiał ani jednego słowa, więc zdjął nauszники i zwrócił się do Ursuli:

– Co powiedział?

– Coś o wysyłaniu zboża do waszej strefy.

Lewis nałożył nauszники.

– Tego drania to bawi – rzucił.

Pomyślał o niedorzeczności całej tej sytuacji. Wysadzają w powietrze fabrykę proszków i mydła zatrudniającą dwa tysiące robotników, która wytwarzała towar pierwszej potrzeby i z punktu widzenia wojskowego nie miała żadnego znaczenia, a w zamian

Rosjanie wyślą Niemcom chleb. Kompletny idiotyzm.

Kilkunastu niemieckich policjantów w czarnych czapkach bez trudu zapanowało nad garstką demonstrantów stojących pod bramą zakładów firmy Henkel. Generał miał rację – Gwiazdka to był idealny czas na taką akcję.

Członkowie komisji oszacowali, że detonację słyhać będzie w promieniu od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu kilometrów. Sama eksplozja przebiegła spokojnie i okazała się dziwnie piękna. Dym wzbił się w niebo symetrycznie z obu stron budynku, po czym – jak człowiek, który z godnością pada na kolana, starając się trzymać prosto – cała budowla zwała się na ziemię i zniknęła w kłębach pyłu przybierającego kształt wielkiego kalafiora. Mało brakowało, by fala uderzeniowa sięgnęła muru, za którym skryli się delegaci. Łomot spadających cegieł mógł wydać się z oddali niczym uderzenie potężnego pioruna lub przejazd wyładowanego po brzegi pociągu towarowego. Ktoś mógł też pomyśleć, że to ostatni nalot widmowych bombowców, które wróciły tu, by dokonać dzieła zniszczenia.

Gdy na koniec padł wysoki komin fabryki, Kutow wyprostował się i zaczął bić brawo, jakby był na jakimś prywatnym pokazie sztucznych ogni. Nic dziwnego, że zrobiło to na nim wrażenie. W sensie technicznym akcja przebiegła bez zarzutu. Brytyjskie oddziały inżynierskie osiągnęły dużą wprawę w przeprowadzaniu tego typu operacji. Francuski członek delegacji Jean Bolon i amerykański podpułkownik Ziegel również się wyprostowali i zaczęli klaskać.

Wpatrując się w sterty gruzu, Lewis nagle wyobraził sobie, że widzi Michaela przygniecionego przez krokwie i gliniane cegły ich domu w Narberth. Mimo że Rachael opisała mu, jak to wyglądało, nigdy w pełni nie odtwarzał tego obrazu w myślach. Stworzył sobie jedynie jego fragmentaryczną, znośną wizję ze schludnym stosem cegieł, trochę jak to gruzowisko, w której nigdy nie pojawiał się ciało jego syna.

Kutow znów zaczął wykrzykiwać. Powtarzał coś w kółko, wskazując na zegarek.

– O co mu chodzi? – spytał Lewis.

– Już północ – odpowiedziała Ursula. – Mówi: „Wesołych świąt”.

Zakwaterowali ich w niewielkim hotelu przy drodze do Cuxhaven. Dotarli tam o pierwszej w nocy, jednak Kutow traktował tę misję jak wycieczkę i nie zamierzał puścić ich do łóżek. Ruszyli w piątkę do baru, by wznieść toast za Zbawiciela i za pomyślnie zakończoną operację. Pułkownik wyciągnął butelkę wódki.

– Trunek, dzięki któremu wygraliśmy wojnę – oznajmił. – Wy, Anglicy, macie swój gin – dodał, zwracając się do Lewisa.

– Trunek, który pozwalał nam o niej zapomnieć – powiedział Lewis.

– A pan, monsieur?

– My mamy pastis – odrzekł Bolon. – Trunek tych, którzy unikali wojny.

– Za to my mamy trunek, który zapewni światu pokój – oświadczył Ziegel. – Martini, najwspanialszy spośród wszystkich amerykańskich wynalazków. Nie lekceważcie go. Mogę wypić dwa, po trzecim ląduję pod stołem. Za to tego – uniósł kieliszek z wódką – nawet nie widać.

– A pani kraj, Frau Paulus, jaki trunek uznaje za własny? – spytał Kutow.

Ursula przysłuchiwała się dotąd tej rozmowie w milczeniu. Lewis wyczuł, że nie trawi Rosjanina.

– Pewnie piwo, panie pułkowniku, ale zabraliście nam chmiel i pszenicę – odparła, dając mu jasno do zrozumienia, że nie żartuje.

Spojrzał na nią groźnie i świdrująco, lecz wytrzymała jego spojrzenie, zmuszając go, by to on odwrócił wzrok. Kutow uderzył pięścią w blat stołu i ryknął śmiechem niczym człowiek, którego nie sposób obrazić. Był krępy, miał gruby, krótki kark i mnóstwo siły. Stół aż się zatrzęsł po tym uderzeniu.

– Ma pani poczucie humoru, Frau Paulus. Lubię to. W dodatku przypomniała mi pani o zabawie, którą często urządzamy sobie przy kieliszku w Armii Czerwonej.

Polegała na tym, by nie mrugnąć, gdy ktoś zaczyna klaskać ci przed nosem. Klaskał Kutow. Bolon wytrzymał dziesięć sekund, Ziegel pół minuty. Lewis wytrwał prawie minutę. Pewnie zawdzięczał to senności. Wygrała Ursula, która mrugnęła dopiero po trzech minutach, gdy Kutow nagle wrzasnął jej nad uchem: „Ha!”

Później Rosjanin odśpiewał ckliwą ludową pieśń i Lewis miał kłopot, bo nie potrafił stwierdzić, czy to oznaka wrażliwości, czy tylko taniego sentymentalizmu. Chciał iść do łóżka, ale Ziegel zaproponował następną zabawę.

– Dla zabicia czasu przed kolejnymi desantami urządzaliśmy sobie grę „Gdyby nie wojna”. Dzięki temu lepiej poznawaliśmy nowych żołnierzy. Znacie tę grę? Jest prosta. Mówisz, co byś robił, gdyby nie było wojny. Dobre rzeczy, złe, wszystko jedno, byle prawdziwe. Inni mogą ci przerywać, jeśli ci nie wierzą albo chcą dowiedzieć się więcej.

Kutow przyklasnął temu pomysłowi, ponownie waląc pięścią w stół.

– Doskonale! – wykrzyknął. – Nie znałem tej gry, ale już mi się podoba!

Lewis zerknął na Ursulę z udawanym przerażeniem. Był śpiący, ale poczucie obowiązku i do pewnego stopnia ciekawość kazały mu zostać przy stole.

– Ja zaczynam – ciągnął Ziegel. – Przed osobą, która zabiera głos, ustawiamy butelkę. Później przekażę ją siedzącemu po lewej. No więc, gdyby nie wojna... wciąż sprzedawałbym polisy ubezpieczeniowe w Filadelfii. Gdyby nie wojna, nigdy nie zobaczyłbym wieży Eiffla. Gdyby nie wojna, pewnie miałbym już czwórkę dzieci, a nie dwójkę. Gdyby nie wojna, ważyłbym parę kilogramów więcej. To na razie tyle. Przekazuję

butelkę. Przygotujcie się. – Przesunął butelkę w stronę Kutowa.

Rosjanin wziął ją do ręki. Miał grube, pokryte bliznami palce. Kiedy pogłaskał butelkę drugą ręką, wszyscy spoważnieli.

– Gdyby nie wojna... – zaczął ponuro, po czym na chwilę zamilkł. Pozostali wyczuli, że zaraz przypomni im, że w tej wojnie to Rosjanie ponieśli najwyższe straty w ludziach. – Gdyby nie wojna, byłbym dzisiaj z żoną w Leningradzie.

Znów cisza. Teraz nikt już nie wiedział, czego się spodziewać. Kutow sprawiał wrażenie zrozpaczonego, niemal rozbitego. Niczym aktor na scenie teatru z trudem łapał oddech.

– Współczuję ci, Wasilij – odezwał się Ziegel, sięgając do jego wielkich dłoni.

Tymczasem twarz Rosjanina nagle pojaśniała, a na jego jajowatej twarzy zagościł chytry uśmieszek.

– Codziennie dziękuję niebiosom, że nie jestem z tą suką!

Wszyscy z ulgą się roześmiali.

– Gdyby nie wojna... – podjął Kutow po kolejnej chwili zastanowienia – ... gdyby nie wojna, mieszkałbym z żoną i trójką dzieci, z Maszą, Sonią i Piotrem. Byłbym złym, wrzeszczącym ojcem. Pracowałbym w Urzędzie Łączności. W soboty łowiłbym ryby w przeręblu. Gdyby nie wojna, nie miałbym wymówki.

– Wymówki? – zdziwił się Bolon.

Kutow wypił kolejną wódkę i znów sobie nalał. Potem raptownie wstał.

– Gdyby nie wojna... – Uniósł koszulę, prezentując okazały brzuch pokryty ciemnymi bliznami po kulach. – Próbowałem ukraść krowę pewnemu chłopu z Połczyna.

– I co się z nim stało? – spytał Bolon.

Kutow wskazał palcem podłogę.

– Mocna opowieść, generale – podsumował Ziegel. – Naprawdę mocna.

Kutow przekazał butelkę Bolonowi.

Lewis nie potrafił wyczuć Francuza. Na pewno nie był żołnierzem. Urzędnik państwowy? Naukowiec?

– Gdyby nie wojna... nie doświadczyłbym braterstwa broni między narodami – rzucił Bolon.

Kutow, któremu najwyraźniej spodobało się to wyznanie, zaczął domagać się aplauzu od pozostałych uczestników biesiady.

– Towarzysze! – zawołał.

– Gdyby nie wojna... – ciągnął Bolon – ... rzecz jasna, nie byłoby mnie tutaj.

Pracowałbym w Beaune. Gdyby nie wojna, obroniłbym doktorat. Gdyby nie wojna, wciąż byłbym z Angèle i nie poznałbym mojej żony.

– Pan daje i Pan odbiera – wtrącił Ziegel.

– Co to za historia z tą Angèle? – zażądał szczegółów Kutow.

– Byłem w Paryżu, kiedy wkroczyli tam Niemcy. Nie mogłem wrócić do Beaune. Angèle pracowała na wydziale jako sekretarka. Nie miała gdzie mieszkać...

– Wiemy, o co chodzi, Jean... – wpadł mu w słowo Ziegel.

Amerikanin był z nich najbardziej pijany, ale Lewis czuł, że jemu samemu też niewiele brakuje. Gdyby wstał, z pewnością by się przewrócił. Mimo to przyjął od Rosjanina kolejną kieliszek wódki, która najwyraźniej koła atmosferę przy stole.

– Co się z nią stało? – spytał Kutow.

– Aresztowali ją. Profesor zadenuncjował ją Niemcom. Była Żydówką. Później odszedłem z uniwersytetu i poznałem moją żonę, Juliette. Wystarczy – zakończył Bolon, podał butelkę Lewisowi i dorzucił: – Pułkowniku, ma pan z pewnością sporo do opowiedzenia.

Owszem, Lewis miał w zanadrzu pełno opowieści – wojna ubarwiła także jego życie – ale nie chciał się nimi dzielić. Nie przy stole. Nie zamierzał porównywać blizn. Przez ostatnią godzinę palił w zasadzie bez przerwy, próbując skryć się w obłokach dymu.

– Pułkowniku?

Przekazał butelkę Ursuli.

– Przepraszam, ale czuję pustkę w głowie. Teraz pani, Fräulein.

– Coś musi nam pan powiedzieć, cokolwiek.

– Później – odparł Lewis. – Teraz pani.

Ursula ujęła butelkę w dłoń.

– Gdyby nie wojna... wciąż byłabym mężatką. Pewnie miałabym dzieci. Chciałam mieć czwórkę. Byłabym nauczycielką na Rugii. Władze... nie odebrałyby mi brata. Gdyby nie wojna, nie przesłabym po zamarznętym morzu.

– Umykała pani przed nami? – spytał Kutow.

Ursula skinęła głową.

– Liczyła pani, że Anglicy lepiej panią potraktują? – Roześmiał się.

– Tak – odpowiedziała, wpatrując się w jego twarz.

– Im było łatwiej niż nam – odparł.

W końcu dał im do zrozumienia, kto więcej wycierpiał.

– Są sprawy, których nie usprawiedliwia nawet wojna, pułkowniku, bez względu na okoliczności.

– Proszę mówić dalej, Fräulein Paulus – zachęcił ją Ziegel.

– Gdyby nie wojna, nie przesłabym pieszo z Rugii do Hamburga i nie przekonała się po drodze, jak ludzie potrafią być okrutni... i dobrzy.

– Szczegóły, Fräulein Paulus, szczegóły! – zażądał Kutow.

Ursula rzuciła mu ostre spojrzenie. Przez cały dzień zachowywał się wobec niej wyzywająco. Można było odnieść wrażenie, iż jest niemal dumny, że zdołał ją sprowokować.

– Gdyby nie wojna, nie byłabym świadkiem okrucieństwa rosyjskich żołnierzy, którzy najpierw zgwałcili starszą kobietę, a później zatłukli ją na śmierć. Gdyby nie wojna, nie przekonałabym się o dobroci ich dowódcy, który nakłonił ich, żeby mnie oszczędzili i puścili wolno.

Kutow zbył to wyznanie machnięciem ręki.

– To miała pani szczęście.

Kolejny pojedynek na spojrzenia, tym razem wygrany przez Rosjanina, który zaczął uśmiechać się do Ursuli, aż w końcu ryknął śmiechem. Teraz jednak nikt inny się nie roześmiał. Lewis cieszył się, że polecił Ursulę do pracy w Londynie i że przyjęła propozycję. Gdyby musiała przebywać w towarzystwie Kutowa jeszcze choćby miesiąc, z pewnością skończyłoby się to międzynarodowym skandalem.

Tymczasem Ziegel postanowił rozładować atmosferę.

– Pułkowniku, zyskał pan nad nami przewagę. Wciąż nic o panu nie wiemy.

Lewis zabębnił palcami w blat stołu.

– Chciałbym się położyć. Czeka nas jutro wczesna pobudka.

– No nie! Przecież to nic strasznego! – Ziegel nie dawał za wygraną.

– Nie przepadam za takimi zabawami.

Poruszona rozgrywką z Kutowem Ursula skupiła teraz uwagę na Lewisie.

– Wysłuchał pan naszych opowieści, więc wypadałoby, żeby i pan czymś się z nami podzielił.

– Właśnie! – przytaknął Ziegel, uderzając w stół. – Teraz pańska kolej. My już się wypowiedzieliśmy. Grajmy fair.

Ursula wzięła butelkę i postawiła ją przed Lewisem. Tylko spojrział, nie sięgając po nią. Zniecierpliwiona znów postawiła ją przed sobą.

– Świetnie. Jako tłumaczka wypowiem się w pańskim imieniu, bo wydaje mi się, że wiem, co mógłby pan powiedzieć. – Spojrzała na Lewisa, który nagle zapragnął odebrać jej tę butelkę. – Gdyby nie wojna, pułkownik Morgan nie zaproponowałby mi posady i nie wybierałabym się teraz do Londynu. Jestem panu za to wdzięczna. Gdyby nie wojna, pułkownik Morgan wiódłby spokojne życie gdzieś w Anglii albo Walii. Gdyby nie wojna, pułkownik Morgan spędzałby więcej czasu z rodziną. Gdyby nie wojna, nie straciłby syna i nie zapracowywał się na śmierć, żeby o tym nie myśleć. Choć to wciąż tu jest, w jego sercu. – Ursula przesunęła butelkę na środek stołu.

Kutow zaczął klaskać, a Ziegel z aprobatą pokiwał głową.

Lewis poczuł wzbierającą w piersi i głowie falę. Za wszelką cenę próbował utrzymać tego demona na uwięzi, lecz ten się wyrwał i postanowił upomnieć o swoje. Łzy cisnęły mu się do oczu. Przełknął ślinę, by się opanować. Wstał. Wypita wódka sprawiła, że jego uda stały się ciężkie. Musiał się podeprzeć. Delikatnie poklepał dłoń Ursuli.

– Dobre tłumaczenie – rzucił i pokłonił się pozostałym członkom komisji. – Idę spać. Panowie, Frau Paulus. Dobranoc. *Spokojnej noczi. Bonne nuit. Gute Nacht.*

ROZDZIAŁ 11

Richard podwiózł Rachael pod dom Burnhamów. Kiedy przyhamował, austin tak szarpnął, że musiała zaprzeć się ręką o deskę rozdzielczą.

– *Dieses englische Auto ist Scheisse!* – burknął Richard, po czym mocno zawstydzony tym wybuchem, dorzucił: – *Entschuldigung*.

Rachael zrozumiałaby słowa szofera, nawet nie biorąc lekcji niemieckiego.

– Nie przejmuj się, Richardzie. To przez ten lód, ale zgadzam się, że to nie jest najlepsze auto na świecie. Dziękuję za podwiezienie. To dużo bliżej, niż myślałam – powiedziała, wspierając się gestami: chodzące palce i dłoń wskazująca krótki dystans, po czym uspokajająco dotknęła jego ramienia.

– Bardzo pani dobra – odrzekł po angielsku.

Ruszywszy wzdluz podjazdu, Rachael stwierdziła, że komplement Richarda schlebił jej, ale jednocześnie wprowadził ją w zakłopotanie. Nie czuła się „dobra”. Zakazane uciechy, jakim się oddawała w ostatnich tygodniach, z pewnością odbierały jej prawo do tego miana.

Jeśli ktoś mógł się czegoś domyślać, to właśnie Susan Burnham. Rachael czuła, że za zaproszeniem na herbatę może się kryć zasadzka. Jej emocje i sytuacja, w jakiej się znalazła, stanowiły naturalną pożywkę dla kogoś takiego jak Susan. Pijąc herbatę w imponującym salonie Burnhamów, Rachael postanowiła skierować jej uwagę na inne tory.

– Pewnie już słyszałaś o Herr Koenigu, nauczycielu Edmunda?

– Tak, od Keitha. Tajna policja. Pewnie go rozstrzelają.

Rachael skinęła głową.

– Nie sprawdziliście go?

– Wypytywaliśmy, ale najwyraźniej nas zwiódł – odparła Rachael. – Jak wszyscy, wypełnił formularz, pomijając szczegóły, które mogły go obciążyć. Twierdził, że był dyrektorem szkoły w Kilonii. Lewis mu uwierzył.

– Jak go namierzyli?

– Doniósł na niego jakiś znajomy.

– Cóż, metody śledcze twojego męża pozostawiają wiele do życzenia.

Zamiast bronić Lewisa, Rachael uniosła do ust filiżankę i się oparzyła. Dmuchnęła na gorący napój, wywołując drobne zmarszczki na jego powierzchni, i przyjrzała się uważnie filiżance. Miała słabość do porcelany i dobrze się na niej znała. Był to przepiękny zestaw z wykwintnym wzorem cebulowym. Rachael zajrzała na spód filiżanki, by sprawdzić znak producenta. Widniały tam dwa niebieskie skrzyżowane miecze symbolizujące miasteczko nad Łabą w pobliżu Drezna, gdzie wytwarzano najlepszą porcelanę na świecie. Ciekawe, że filiżanka powstała w miejscowości leżącej nad rzeką, która przepływała kilkaset metrów dalej. W kwietniu wypadła dwudziesta rocznica ich ślubu, a Rachael zawsze dawała Lewisowi z tej okazji prezent wykonany z materiału odpowiadającego kolejnym godom. Dwudziesta rocznica to porcelanowa.

– Miśnia – szepnęła.

– To z tego domu. Pełno jej tutaj – wyjaśniła Susan.

Dom Burnhamów był bardziej okazały, niż wynikało to z opisu Susan, która tak zachwycała się willą Luberta, iż Rachael sądziła, że przyjaciółka mieszka w znacznie skromniejszych warunkach. Choć nie tak obszerny, był naprawdę elegancki – może nawet zbyt wyrafinowany dla osoby pokroju Susan Burnham. Rzecz jasna, Rachael nigdy by jej tego nie powiedziała. Obie mogły czuć się jak nieokrzesane sroki w tych stylowych wnętrzach przeznaczonych dla dużo szlachetniejszych ptaków.

– Myślałam, żeby zaprosić cię na święta, ale nie obchodzimy ich zbyt hucznie. Keith tego nie znosi.

– Miło z twojej strony, ale nasze były bardzo udane.

– Twój mąż ciągle gdzieś wyjeżdża. Spotkałam się z nim tutaj chyba tylko raz.

– Sądzę, że w pewnym sensie bardzo mu to odpowiada – wymknęło się Rachael, a Susan od razu zwietrzyła trop.

– Zabrał ze sobą tę tłumaczkę?

– Nic o tym nie mówił, ale pewnie tak.

– Keith widział ją na jakimś lunchu i stwierdził, że Lewis ma „boską asystentkę”.

Zwykle nie zwraca uwagi na takie rzeczy, więc musi być wyjątkowa. Obejrzałaś ją sobie?

– Nie.

– I nie jesteś ani trochę zazdrosna? Słyszałaś o kapitanie Jacksonie.

Rachael nie słyszała – i nie chciała słyszeć – o kapitanie Jacksonie, ale Susan i tak zamierzała jej o nim powiedzieć.

– Związał ze swoją tłumaczką do Szwecji. Zostawił trójkę dzieci, i żadnego listu.

– Po co mi o tym mówisz?

– Bo patrzę na was i zastanawiam się, jak sobie radzicie. Martwię się o was.

Rachael nie bardzo mogła w to uwierzyć. Czy rzeczywiście była to troska, czy zwykła żądza sensacji?

– A wam jak się układa? Jak tam Keith? Nie widziałam go od... tamtego wieczoru.

– Boże, pewnie nawet go nie pamięta! – Susan roześmiała się, jednak wspomnienie to sprawiło, że na chwilę zamilkła. – Zachowuje się jak zwierzak, kiedy się upije. Odkąd tu przyjechaliśmy, jest chyba jeszcze gorzej.

– Był wyraźnie wściekły.

– To przez tę pracę. Keith ma poczucie misji. Nie chce, żeby uszło im to na sucho.

– Im?

– Nazistom.

– Nikt tego nie chce.

– Bardzo poruszyły go zdjęcia z obozów. Jeszcze w tym samym tygodniu, kiedy je opublikowano, poprosił o włączenie go do programu działań denazyfikacyjnych. Poczuł zew do wykorzeniania zła.

Wzrok Rachael powędrował ku stojącym pod ścianą pudłom po herbacie. Pomyślała, że pewnie dopiero co przyplłynęły z Anglii.

– Wciąż się rozpakowujecie?

– Odsyłamy rzeczy do domu.

– Przecież macie tu dość miejsca...

– Wiesz, jak to jest... Wysyłamy różne... drobiazgi.

– Drobiazgi?

– Łupy wojenne. Przecież to i tak wszystko kradzione. Te obrazy w waszej willi...

myślisz, że Herr Lubert nie ma krwi na rękach?

„Jaka ja byłam głupia”, przemknęło Rachael przez głowę.

– Ja bym na to nie wpadła.

– Łatwo ci mówić.

– Dlaczego?

– Pochodzicie z dobrych domów. Dostajecie spadki i piękne antyki, a my nie mamy nic.

– Nieprawda. Ani Lewis, ani ja nie pochodzimy z takich rodzin.

Zjawiała się służąca z tacą słodkich babeczek.

– *Nein!* Na litość boską! – upomniała ją Susan, kierując w stronę kredensu, nagle bardzo poirytowana.

Rachael zaczęła ocierać usta serwetką. Chciała jak najszybciej wyjść z tego domu.

– Przekabacił cię? – spytała Susan.

– Kto?

– Twój przystojny architekt.

Rachael nie potrafiła rozłączyć mechanizmu sprzęgającego jej sumienie z napływem krwi do policzków.

– Co... masz na myśli?

– Widziałam, jak rzuciłaś mu się na odsiecz, kiedy stłukł się ten wazon.

– To się działo w jego domu, Susan. Zniszczyliśmy jego rzeczy!

– Wiesz, o czym mówię.

– Niestety, nie wiem.

– Kiedy do niego podeszłaś, żeby go powstrzymać, tak na siebie spojrzeliście...

– Susan! Proszę cię!

– Uważaj. Oni nie są tacy jak my. Są inni. Całkiem inni. Choć wcale się nie dziwię...

– Czemu?

– Temu, że Lubert chce skorzystać z okazji.

– Susan, błagam cię.

– Jesteś atrakcyjną kobietą, nikt cię nie kontroluje. Mówię to tylko dlatego, że ci zazdroszczę.

– Czego?

– To bardzo skomplikowane – odpowiedziała Susan. Nagle wokół jej oczu i nosa pojawiły się świadczące o silnych emocjach plamy. – Nie cierpię tego miejsca.

– Myślałam, że ci się tu podoba.

– Tylko udawałam. Żony pijaków szybko dochodzą w tym do wprawy. – Susan zaśmiała się nerwowo, próbując obrócić to w żart, ale było już za późno.

W armii roilo się od kryptoalkoholików, ale Rachael nie podejrzewała, że major Burnham może być jednym z nich.

– Nie przypuszczałam, że jest aż tak źle.

Susan położyła rękę na dłoni Rachael.

– Ale nikomu nie powiesz? Proszę cię, nikomu nie mów.

– Nie powiem.

– I o tej drugiej sprawie.

– Jakiej?

Susan Burnham spojrzała na przygotowane do wywiezienia pudła po herbacie.

– O porcelanie i innych rzeczach.

Edmund rozłożył na całej długości sypialni talię kart wierzchem do góry. Frieda leżała na boku, wyciągnięta na dywanie, w sukience zadartej na udach, i przyglądała się szwom

na szyi Cuthberta. Od czasu świątecznego seansu filmowego zaczęła okazywać Edmundowi więcej sympatii, a z kolei on starał się poświęcać mniej czasu swojemu szmacianemu żołnierzowi oraz wszelkim zabawom, które Frieda mogła uznawać za dziecinne. Nie bawił się już samochodzikami na podeście schodów i nie polował na wyimaginowane bestie w ogrodzie. Teraz liczyły się tylko filmy i karty.

– Angielski żołnierz czuje się już lepiej – rzuciła Frieda po angielsku, a Edmund zdziwił się, że mówi tak dobrze. – To żołnierz króla?

– Grenadier wartownik.

Edmund chciał skupić się na grze w karty, lecz Frieda, uśmiechając się, wciąż głaskała palcami szyję Cuthberta i jego bermycę. Może wreszcie wyzna mu całą prawdę o wypadku szmacianego żołnierza.

– Twoja mama naprawiła go po przygodzie w windzie.

Edmund nonszalancko wzruszył ramionami, dając jej do zrozumienia, że wyrósł już z zabaw żołnierzami i fascynacji windą kuchenną. Zająwszy odpowiednią pozycję na podłodze, zaczął wpatrywać się w jej nogi. Ciągnęło go do niej, choć kłóciło się to ze zdrowym rozsądkiem i nie potrafił tego zrozumieć. Wieczorem, kiedy nie mógł zasnąć, wracał myślami do jej akrobatycznego popisu, białych majtek w czeluści ud i pachnącego amoniakiem i cytrusami moczu w nocniku, po czym puszczał wodze fantazji.

Udając, że musi równo rozłożyć karty na dywanie, musnął ją dłonią i już nie odsunął ręki. W rozkosznych przygodach, jakie przeżywał w wyobraźni, nieraz jej dotykał, ale żeby tak naprawdę... Teraz interesowały go właśnie takie zabawy. Chciał ją pogłaskać w miejscu nad kolanem, potrzeć jej skórę, jakby przecierał zaparowaną szybę. Myśl ta najwyraźniej łączyła się w jakiś sposób z jego lędźwiami, w których odczuł nagłe mrowienie. Chciał, by jego dłoń wędrowała dalej ku bieli jej majtek, aż dotknie materiału. I co wtedy? Czy Frieda zacisnęłaby uda i uwięziła jego rękę?

Tymczasem nie dała po sobie poznać, że poczuła jego muśnięcie. Odłożyła Cuthberta i skupiła uwagę na domku dla lalek. Podciągnęła kolana, przysiadła i zaczęła wpatrywać się w jego lokatorów. Wskazała na chłopca w sypialni.

– To ty – powiedziała. – To Frau Morgan. – Skierowała palec w stronę lalki siedzącej przy fortepianie. – A to mój ojciec i ja. – Pokazała lalki siedzące na dachu.

Edmund skinął głową. Chciał wrócić do tamtej drugiej zabawy, jednak Friedę najwyraźniej zauroczyła stworzona przez niego scenografia. Umieściła siebie z Edmundem na pierwszym piętrze, a matkę Edmunda na dachu z Herr Lubertem. Później przeniosła dwójkę dorosłych do głównej sypialni. Bawiły ją te roszady. Edmund też się śmiał, choć tak naprawdę nie był pewien, czy go to śmieszy. Dziwnie się czuł, widząc Luberta i swoją matkę w jednej sypialni.

– A gdzie tata Edmunda? – spytała Frieda.

Chłopiec wskazał samochód ustawiony koło konia na biegunach, na wyspie ze sterty ubrań.

– Na Helgolandzie.

Podeszła do konia, pogłaskała jego lśniący zad, przystawiła stopę do samochodu i zaczęła go przesuwając do przodu i do tyłu.

– Możesz go tu ściągnąć – zaproponował Edmund.

– Teraz?

– Tak.

Frieda pchnęła auto stopą tak mocno, że przejechało przez dywan, zahaczyło o róg domku dla lalek i przewróciło się na bok.

Rachael dostrzegła ruch między drzewami. Równolegle do nich sunęły jakieś postacie, przeskakując od jednego pnia do drugiego. Zwolniła kroku, pociągnęła Luberta za rękaw i skierowała jego uwagę w tamtą stronę.

– Myślę, że ktoś nas śledzi – powiedziała.

– *Trümmerkinder* – odparł, rzuciwszy spojrzenie na las.

Cienie skryły się za drzewem. Jeden z chłopców niósł w ręku duży, przypominający dzidę patyk. Mógł być rówieśnikiem Edmunda.

– Nie przejmuj się. Pewnie mają nas za uchodźców albo parę spacerujących kochanków.

Określenie „kochankowie” wydało się Rachael zbyt śmiałe. Przekonała się, że bycie kochanką wymaga więcej sprytu, przebiegłości, intryg i planowania, niż opisują to w romansach. Rachael i Lubert spędzili wiele wieczorów przed kominkiem, pogrążeni w głębokich rozmowach, ale w końcu ściany mają uszy, i zimą, kiedy wszyscy przesiadywali w domu, niełatwo im było zachować intymność. Nawet gdy wybierali się na tę krótką eskapadę, ona musiała wyjść pierwsza. Powiedziała, że „chce się przewietrzyć”. Lubert podążył za nią dopiero po jakimś czasie, niby żeby „poszukać drewna na opał”. Od wyjazdu Lewisa minęły już prawie dwa miesiące, ale dopiero teraz pierwszy raz byli naprawdę sami.

Spacerując po parku Jenisch, Rachael doszła do wniosku, że zima to najlepsza pora na romans. Gdy wszystko pokrywa śnieg, łatwiej o anonimowość. Z oddali każdy wygląda tak samo. Oboje ciepło się ubrali. Ona miała na sobie kalosze i czarny wełniany płaszcz, a on czapkę narciarską i plecak, w którym niósł podpałkę do kominka w leśniczówce – i z powodzeniem mogli uchodzić za parę wysiedlonych, zmierzających do pobliskiego obozu.

Z willi do parku szło się ledwie kwadrans, ale oboje poczuli się tutaj jak w innym kraju.

Śnieg był tu nietknięty, jeśli nie liczyć śladów jeleni. Z architrawów wielkiego domu, Jenisch Haus, stojącego pośrodku parku, zwisały sople lodu. Lubert opowiedział Rachael o historii parku.

– Zaprojektował go Casper Beck, utalentowany architekt, ale postać tragiczna. Na próżno usiłował odnaleźć uniwersalny język architektury. W końcu się załamał i odebrał sobie życie.

Kiedy zbliżali się do leśniczówki, Lubert wyjaśnił Rachael, że dzięki koneksjom rodziny Claudii Lubertowie zyskali prawo do polowania na terenie parku. Sama leśniczówka była przedziwną budowlą udającą amerykańskie domy z bali. Roztaczał się z niej widok na staw, który latem służył za prywatny basen. Zasypana śniegiem i obrośnięta sosnami budziła skojarzenia z chatą na jakimś odludnym pograniczu. Lubert wyjął klucz, usunął śnieg i lód z zamka i otworzył drzwi.

Wewnątrz stały ciężkie drewniane krzesła. Na podłodze leżały bieżniki. Stojak na strzelby oraz poroże jelenia zdobiły ścianę nad kominkiem, pod którą był także piec. Lubert wyciągnął z plecaka podpałkę – szczapy ze skrzynki po herbacie i egzemplarz „Die Welt” – i zaczął rozpalać ogień. Podłogę zaścielały zeschnięte, chrzęszczące pod butami owady. Rachael wymiotła je za drzwi jodłową gałązką i ułożyła bieżniki na wprost kominka, tworząc z nich posłanie. Potem usiadła i patrzyła, jak Lubert rozpala ogień. Oczekał, aż podpałka zgaśnie, po czym dorzucił do żaru trochę węgla, starannie układając bryłki. Później spoczął obok Rachael i razem, niczym harcerze na obozie, obserwowali tłący się ogień. Mimo powagi ich wzajemnych relacji Rachael nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ten romans przypomina dziecięcą zabawę.

Śnieg, który oblepił im ubrania, zaczął już parować. Lubert zdjął czapkę i szalik. Rachael poszła w jego ślady. Pocałował ją i przytrzymując dłonią jej głowę, położył na plecach. Długo się całowali, a potem zaczęli się kochać, tym razem w ubraniu. Było inaczej niż w tamtą pierwszą noc. Chłód sprawił, że ich ruchy były pośpieszne i niezdarne. Rachael, choć ubrana, czuła się bardziej obnażona niż wtedy, gdy leżała przy nim naga. Teraz była zbyt świadoma siebie i okoliczności, w jakich przyszło jej żyć. Później, gdy leżeli, wpatrując się w pajęczyny spowijające belki stropu, Rachael zastanawiała się, jak długo jeszcze zdołają odsuwać od siebie realny świat.

– Kiedy wrócę do pracy, będę projektował chaty w stylu Dzikiego Zachodu. – Lubert wstał i zaczął rysować coś palcem wskazującym na zaparowanej szybie. – Tego właśnie ludzie naprawdę potrzebują.

– Kiedy wydadzą ci certyfikat?

– Niedługo, choć major za wszelką cenę próbuje coś na mnie znaleźć. Cokolwiek, byle tylko dowieść, że byłem umoczony. Wyobraź sobie, co by było, gdyby nas teraz zobaczył...

– Przestań.

Teraz oboje byli umoczeni. Myśl, że Burnham mógłby dowiedzieć się o ich romansie, sprawiła, że Rachael poczuła się wyjątkowo brudna.

Tymczasem Lubert nie przestawał rysować.

– Jeden pokój, ale za to z biegnącą wokół galerią i większą werandą. Myślę, że to nam wystarczy.

Patrzyła na niego z lubością. Gdy uruchamiał wyobraźnię, był niezrównany. To, co początkowo uznawała za tupet i arogancję, było w istocie pełną entuzjazmu kreatywnością. Bezustannie chciał z nią rozmawiać, o wszystkim – o religii, małżeństwie, sztuce, rozpaczy, stracie i śmierci. Rachael miała poczucie, że przez tych kilka tygodni powiedzieli sobie więcej niż ona i Lewis przez niemal dwadzieścia lat.

– Dość willi dla milionerów. Dość zleceń od przejeżdżonych i niewrażliwych hamburskich kupców pragnących prześcignąć sąsiadów. Odtąd będę projektował budynki służące dobru ogólnemu – zakończył i odsunął się od okna, by pokazać jej swój rysunek. – Co o tym myślisz? Mogłabyś w tym mieszkać?

Rachael spojrzała na wyrysowany kilkoma kreskami na szybie zarys projektu, dwuwymiarową iluzję, która nie dawała odpowiedzi na czające się, przyziemne pytania o Edmunda i Lewisa.

– Pewnie tak.

– Ze mną? – spytał z jeszcze większą powagą.

Nagle w oknie zamajaczył brytyjski hełm. Rachael przysiadła na posłaniu, okrywając się tym, co miała pod ręką. Ktoś zastukał w szybę i przycisnął do niej twarz. Twarz szubrawca. *Trümmerkinder*.

– *Weg!* – wrzasnął Lubert, pukając w szybę.

Chłopak wykonał palcem wskazującym i zagiętym kciukiem obsceniczny gest i nie przestawał się w nich wpatrywać, radośnie się uśmiechając. Lubert otworzył drzwi, żeby przepędzić intruza. Ciepłe powietrze wewnątrz chaty przeszył mroźny podmuch. Rachael okryła się płaszczem, wstała i podeszła do okna. Lubert pobiegł za chłopcem i rzucił w niego śnieżką. Malec czmychnął między drzewa, wykrzykując słowa, których Rachael nie umiałaby przetłumaczyć.

Lubert wrócił roześmiany do chaty.

– A to urwis! Dobrze, że nas nie podejrzwał.

Rachael zapięła płaszcz, zaniepokojona, że ktoś mógłby zobaczyć ich razem.

– Czas na piknik – powiedział Lubert, otrzepując ręce ze śniegu.

Sięgnął do plecaka i wyjął ser, słoik ogórków, pół bochenka chleba, porcelanowy pojemnik z margaryną i małą butelkę brzoskwiniówki. Miał też kraciasty obrus, sztuce

oraz dwa kieliszki. Ułożył to wszystko starannie na stole, jak ktoś, kto robił to już wcześniej.

– Przychodziłeś tu z Claudią?

Przez jego twarz przemknął grymas zniecierpliwienia.

– Oczywiście. Czemu pytasz?

– Przepraszam. Jestem po prostu ciekawa... jaka ona była, to wszystko.

– Co chciałabyś usłyszeć?

– Nie wiem. Prawdę.

Lubert westchnął, gdyż te wspominki najwyraźniej nie mieściły się w jego planach.

– Była wyniosła, bezwzględna wobec głupoty, wręcz do przesady elegancka. Umiała wydobywać z ludzi to, co najlepsze. Uparta. Towarzyska introwertyczka. Lubiła czytać, ale nie była czytana. Miłośniczka muzyki, głucha na dźwięki. Była lepszym człowiekiem ode mnie.

– Dlaczego?

– W sytuacji, w jakiej się znalazłem, okazałaby więcej opanowania.

– To znaczy, że była lepsza ode mnie?

– Nie, ale nigdy nie zgodziłaby się zamieszkać pod jednym dachem z obcymi.

– Wciąż za nią tęsknisz? – spytała, choć właściwie nie było to pytanie.

– Przez jakiś czas, niemal do waszego przyjazdu, nie mogłem myśleć o niczym innym.

Po tamtej burzy ogniowej szukałem jej miesiącami, zapominając o całym świecie.

Zwłaszcza o Friedzie. Bardzo przez to cierpiała. Myślę, że właśnie wtedy straciłem z nią kontakt. Jak dotąd go nie odzyskałem. Odmienił mnie... twój przyjazd. – Spojrzał na nią, by przekonać ją, że mówi prawdę. – Sądzę, że za dużo rozmyślasz.

– Przepraszam. To przez tego dziwnego chłopca.

Chłopak o twarzy gargulca rzeczywiście ją wystraszył i przerwał ich idyllę.

Lubert podał jej kieliszek z odrobiną brzoskwiniowego sznapsa.

– Zastanawiasz się, rozmyślasz o nas i o tym, co robimy.

Aż do tej chwili Rachael nie analizowała całej tej sytuacji, a kiedy nagle zaczęła to robić, on od razu to wyczuł.

– Mnie też przychodzą do głowy takie myśli – wyznał. – Twój mąż okazał mi dobroć. Zaufał mi. – Ujął jej dłoń. – Ale to, co nas łączy, jest takie cenne. Rozumiemy się. Przy tobie znowu coś czuję i wydaje mi się, że ty możesz powiedzieć to samo.

Pochyliła się i pocałowała go z czułością. Tutaj, w tej chacie, łatwiej było o takie myśli. Tu i teraz.

– Mam poczucie, że muszę uciec, żeby pomyśleć. Daleko od tej willi i jej demonów, w miejsce, gdzie możemy rozmawiać bez obaw, że ktoś nas podsłucha albo podejrzy.

– Zabiorę cię w takie miejsce, do najpiękniejszego niemieckiego miasta, do Lubeki. Na kilka dni. Tam się urodziłem. Pojedziemy pociągiem z *Hauptbahnhof*. Znam tam pewien miły hotel. Heike i Greta zostaną z dziećmi. Możemy tam pojechać, Rachael, choćby jutro albo w przyszłym tygodniu.

Nie chciała wybiegać myślą zbyt daleko w przyszłość, bo znów zaczęłyby się zastanawiać nad konsekwencjami.

– Rachael?

– Tak, ale nie mówmy o tym teraz.

ROZDZIAŁ 12

Ozi wręczył Hokkerowi tysiąc papierosów i poszedł odebrać broń od zamieszkałego w Altonie niejakiego Grüna. Nazwisko okazało się bardzo adekwatne. Jego twarz była szarobiała niczym tania filizanka. Miał na sobie dwurzędowy garnitur i kapelusz, taki jak Hokker. Z lubością popisywał się dwoma złotymi zębami, kwitując każde słowo Ozięgo szerokim uśmiechem. Broń leżała okutana w koc, niczym niemowlę, na łóżku polowym w kącie jego cuchnącej klitki. Grün uniósł brzeg koca, by pokazać Oziemu towar.

– Mosin 91/30 z celownikiem z poczwórnym zoomem firmy Carl Zeiss. Rosyjska prostota, niemiecka precyzja. I dwa pudełka amunicji.

Ten karabin o prostych kształtach robił wrażenie. Ozi pogłaskał jego chłodną lufę, kiwając z uznaniem głową niczym koneser broni.

– Wygląda nieźle – ocenił.

– Pewnie. – Grün się roześmiał. – Dzięki tej broni Rosjanie wygrali wojnę. Masz dla mnie napiwek?

Hokker uprzedził Ozięgo, że ma wręczyć Grünowi napiwek w złocie lub kosztownościach. Berti dał mu naszyjnik z granatów. Ozi wyciągnął go teraz i podał Grünowi, który uważnie mu się przyjrzał w świetle nagiej żarówki.

– To nie rubiny – stwierdził i przygryzł jeden z kamieni. – Ale może być. – Zadowolony, schował naszyjnik do kieszeni. Następnie zawinął karabin w koc i wręczył go Oziemu. – Na co ci on? – spytał.

Berti wyraźnie przykazał Oziemu, żeby ten powiedział, że potrzebuje broni do polowania.

– Będę polował nim na zające. I może na te tłuste kruki, które latają nad rzeką. Na cholerę mają gnojki żyć, skoro my chodzimy głodni?

Grün spojrział na niego badawczo.

– Nie powinieneś chodzić do szkoły?

– Moja szkoła to teraz sterta gruzu. Ale chodzę na angolskie prelekcje. Spytaj mnie,

o co chcesz, na temat brytyjskiego stylu życia albo króla Findsoru. Wszystko ci powiem.

– Ach tak?

Ozi przyniósł ze sobą walizkę. Teraz ją otworzył, ułożył w niej ukośnie karabin i wcisnął po bokach dwa pudełka naboju.

– Mam nadzieję, że ustrzelisz z tej broni parę bażantów. Tak na oko, przydałoby ci się pojeść trochę mięsa.

Ozi dojechał tramwajem do końca Elbchaussee, po czym ruszył pieszo do willi Petersena. Po drodze zaczął się zastanawiać, do czego naprawdę miała służyć ta broń. Im dłużej o tym rozmyślał, tym cięższa stawała się walizka. Przystawał co jakieś sto metrów, żeby przerzucić ją do drugiej ręki i zetrzeć z dłoni czerwone ślady po zardzewiałej ręczce. Berti szykował jakiś plan, żeby dołożyć Angolom. Nie zdradził, o co chodzi, powiedział tylko, że to duża rzecz. Ozi próbował go przekonać, że Angole nie są tacy źli, ale Berti wiedział swoje. Był jak kamień. Czy nie tak mówiła ich matka – że jeśli nie możesz wybaczyć grzechu, zamieniasz się w kamień? Berti nie mógł zapomnieć o nocnych nalotach i swoim przyjacielu Gerhardcie, którego wybuch przenicował na lewą stronę. Nie mógł wybaczyć tego Angolom, ani też tego, co stało się z ich matką, kuzynami, ciotkami, wujami oraz innymi podczas wielkiej burzy ogniowej. Lekki co prawda pomagały, ale Bertiemu wciąż śniły się koszmary. I nie mógł spać. Może powinien łykać coś silniejszego.

Ozi znów chwycił walizkę i ruszył dalej, rozważając różne możliwości.

„Wyrzucę karabin do rzeki i powiem Bertiemu, że gonili mnie Angole”.

„Domyśli się, że to nieprawda”.

„Wyrzucę karabin i wyniosę się z Hamburga”.

„Berti w końcu cię dopadnie”.

„Ostrzegę Edmunda. Zakradnę się pod bramę”.

„To zbyt ryzykowne. Jeśli Berti się o tym dowie, to...”.

„Kto może go powstrzymać?”.

„Jest tylko jedna taka osoba”.

„Kto?”.

„Ja”.

„On cię nie usłyszy. Wiesz, że tylko ja cię słyszę, *Mutti*”.

„Rozpozna mój głos. Kiedy mnie usłyszy, dwa razy się zastanowi... Pozwól mi z nim porozmawiać”.

„Tak, ciebie posłucha. Dla ciebie wciąż jest małym Bertim, który płakał po nocach i nas rozśmieszał, śpiewając piosenki pod wodą. Jest tym Bertim, który wpychał sobie w spodnie komiks, kiedy czuł, że dostanie lanie. Tym Bertim, który kiedyś uśmiechał się jak Lew Ayres^[7]. Nie uśmiecha się już od paru lat, ale dla ciebie się uśmiechnie, *Mutti*”.

Ozi zastał Alberta drzemiącego na fotelu przed kominkiem w jadalni. Sądząc po zwisającej ręce i dziwnym uśmiechu, musiał dopiero co wstrzyknąć sobie nowy lek.

– Cześć, Berti.

Albert nie zareagował. Ozi wolał, kiedy jego brat brał poprzednie lekarstwo, bo przynajmniej był z nim jakiś kontakt, a po nowym leku Berti kompletnie odlatywał.

„Nie jest gotów. Może innym razem”.

„Teraz. Koniecznie”.

„Spójrz na niego. Jest nieprzytomny. Wierz mi, *Mutti*, że lepiej z nim nie gadać, kiedy jest w takim stanie”.

„Koniecznie teraz!”.

Albert otworzył jedno oko i wyprostował się w fotelu.

– Masz?

– Mam, Berti. Rosyjska prostota i niemiecka precyzja.

– Powiedziałeś, że to do polowania?

– Powiedziałem. Tak jak mi kazałeś.

– Gdzie go masz?

Ozi otworzył walizkę, wyjął z niej owinięty kocem karabin i położył go u stóp brata. Albert wychylił się z fotela, by mu się przyjrzeć. Trzęsły mu się ręce, a twarz błyszczała od potu. Odwinął koc, chwycił karabin i oparł kolbę na barku. Wycelował w ścianę, później w sufit, a na końcu w Oziego.

„Teraz, kiedy ma broń, nie będzie chciał rozmawiać”, pomyślał Ozi.

„Zaufaj mi”.

– Ktoś widział, jak tu szedłeś? – spytał Albert.

„Nie usłyszał, że wszedłem, *Mutti*, to jak ma usłyszeć ciebie?”.

„Niech mnie zobaczy”.

– Z kim tam mamrociesz?

– Z nikim.

– Przecież gadałeś do siebie. Nadal rozmawiasz z mamą?

– Nie.

– Jak to nie! Słyszałem, jak się do niej zwracałeś.

„Niech mnie zobaczy”.

Albert wstał i podszedł do Oziego, wciąż mierząc do niego z karabinu i nastawiając celownik.

– Ona chce z tobą porozmawiać. Powiedziała, że ciągle jesteś tym samym Bertim, który bez przerwy się śmiał i zbierał wszystkie butelki w Hammerbrook. Wie, że widziałeś straszne rzeczy... ale uważa, że twój plan, aby zrobić krzywdę Angolowi, jest kiepski.

Lepiej znaleźć jakiegoś Ruska, Francuza albo pieprzonego dipisa ze Śląska.

– Tak uważa?

– Tak, Berti. Pokażę ci. – Ozi wskazał mu ręką walizkę. – Sam zobacz. W dolnej części.

Albert uniósł końcem lufy miękką przegrodę, odsłaniając zawartość walizki. W środku leżały głowa i zebra – w połowie szkielet, w połowie skamielina – zmumifikowane i skurczone szczątki ofiary burzy ogniowej, ubrane w poźólkłą ze starości dziewczęcą szatkę chrzcielną z koronki. Czaszka miała brązowoszary kolor i wciąż przylegały do niej kępki przypalonych, czarnych włosów. Była skurczona niczym zdobycz łowcy głów.

– *Bombenbrandschrumpffleisch?* – zdumiał się Albert. – Na cholere ci to?

– To *Mutti*. Spójrz, Berti. To nasza *Mutti*. Znalazłem ją przed palarnią kawy przy Wendenstrasse. Trzy dni po wielkim pożarze. Musiałem ją ubrać. Była naga. I nie w całości. Skurczyła się przez te angolskie bomby.

Albert utkwiał wzrok w szkielecie.

– To zwykły trup.

– To ona. Zobacz, co ma na szyi. – Ozi wskazał na srebrny łańcuszek i stopiony krzyżyk. – Ona chce z tobą porozmawiać, Berti. Jeśli się wsłuchasz, na pewno ją usłyszysz... Wiesz, co mówi? Słyszę ją. Mówi: „Odłóż karabin. Zapomnij o grzechu!”. Tak jak kiedyś. Nie słyszysz jej, Berti?

Albert spojrzał na przerażające szczątki. Usta zaczęły mu drżeć z wściekłości.

– Słyszysz ją? – dopytywał się Ozi. – Ona naprawdę do nas mówi.

– Ty stuknięty świrze! Stuknięty, popierdolony, durny czubie! – wrzasnął Albert, chwycił Oziego za poły smokingu i przyciągnął do siebie. – Odbiło ci. Żar stopił ci mózg! Ona nie żyje. Nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

– Ale przecież wiesz, że ma rację! – zaprotestował Ozi.

– Nie ma racji, bo nie żyje! O niczym nie wie, bo nie żyje! Nie mówi, bo nie żyje!

Odeszła. Do widzenia. Nie żyje!

– Ale... właśnie to... by powiedziała.

– Nie. Chciałaby, żebym to zrobił. Gerhardt też by chciał, i wszyscy moi przyjaciele, i nasi kuzyni. Nasze ciotki i wujowie też. Mama słuchałaby mnie, nie ciebie. Zawsze mnie słuchała. Byłem jej pupilkiem, a ty dziwolągiem, urodzonym w czepku!

– Powiedziała, że to przynosi szczęście.

– Nawet cię nie chciała. Słyszałem, jak powiedziała ojcu. To była wpadka.

Albert odepchnął Oziego od walizki mogiły, chwycił lekkie, wyschnięte szczątki niczym wiklinową klatkę dla ptaków i ruszył w stronę kominka. Jedno z żeber upadło na podłogę. Ozi przypadł do niego, podniósł je i wcisnął za pasek.

– Co ty wyprawiasz, Berti?!

Albert uniósł szkielet i cisnął go do kominka. Wysuszony materiał chrzcielnej szatki spłonął natychmiast niczym hubka. Ozi próbował ugasić ogień, lecz Albert znów go odepchnął, stanął przed kominkiem jak strażnik i patrzył, jak szczątki ich matki obracają się w popiół.

– Poradzisz sobie beze mnie... jak pojedę do Kilonii odwiedzić Buckmanów?

– Tak, mam. Pytałaś mnie dziś o to już trzy razy.

Rachael przekonała się, że romans wymaga rusztowania kłamstw, aby go podtrzymywały, dopóki budowla nie będzie na tyle solidna, by mogła ustać samodzielnie. Codziennie musiała wzmacniać całą konstrukcję nową przyporą. Relacje Rachael z Edmundem były najtrudniejszym sprawdzianem dla fundamentów tej budowli.

– Jeśli nie chcesz, nie pojedę.

– Poradzę sobie.

– A będziesz grzeczny? Nie odchodź za daleko. I będziesz się słuchał Greta i Heike, tak?

– Tak.

Nie mogła się powstrzymać, by nie dotknąć jego twarzy, ślicznych, miękkich włosów na policzkach, które kiedyś przemieniały się w zarost.

– Mogę jeszcze raz pokazać Friedzie filmy? Powiedziała, że najbardziej lubi Bustera Keatona.

– Oczywiście. Cieszę się, że wreszcie stała się miłsza.

– Przedtem była zazdrosna. Pewnie dlatego że nie ma mamy.

Rachael z ulgą przyjęła fakt, że Edmund wciąż uważał, iż warto mieć matkę.

– Mamusiu, to prawda, co mówią, że będzie jeszcze jedna wojna?

– Jestem przekonana, że nie.

– Czy tata próbuje jej zapobiec?

– Tak, w pewnym sensie.

– Przykro ci, że tak często go nie ma?

Było to niewinne pytanie, ale Rachael przypomniawszy sobie o solidnym rusztowaniu.

– Owszem, bardzo – odpowiedziała i nie zabrzmiało to jak całkowite kłamstwo. –

Dlaczego pytasz?

– Bo już nie wydajesz się smutna.

Rachael uważała, że wyjątkowa spostrzegawczość syna nie była zwykłą cechą właściwą wszystkim dzieciom, lecz stanowiła przedziwny rezultat jej własnego roztargnienia. Edmund szybko posiadał dar obserwacji, gdyż był do tego zmuszony. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie zyskał na jej ułomnościach.

– Mam?

– Tak?

– Myślisz, że Herr Lubert jest czysty?

– Jestem tego pewna.

– Nie tak jak Herr Koenig.

– Nie tak jak Herr Koenig – powtórzyła.

Nagle rozbrzmiał dzwonek przy drzwiach.

– Czyli to nic złego, że bardzo go polubiłem?

– Oczywiście. Zobaczą, kto to.

Rachael otworzyła drzwi i ujrzała kapitana o urodzie cherubina, trzymającego w rękach aktówkę i jakąś paczkę, na której leżało jeszcze kilka listów. Jego volkswagen terkotał na podjeździe. Rachael nie знаła go, ale od razu domyśliła się, kim jest, gdyż Lewis wielokrotnie opisywał jej swojego zastępcę.

– Pani Morgan?

– Tak.

– Kapitan Barker. – Wyciągnął do niej rękę. – Zastępuję pani męża, z lepszym lub gorszym skutkiem.

– Miło mi. Lewis bardzo pana ceni.

– Przestanie, kiedy się zorientuje, jak tu nawywijałem. Prosił, żebym przekazał pani tę wiadomość. – Kapitan był zbyt radosny jak na zwiastuna złych wieści, jednak Rachael poczuła nagły przypływ adrenaliny i kołatanie serca, gdy odczytał jej treść leżącego na stercie listów telegramu. – Nadano go z bazy królewskiej Marynarki wojennej dziś rano. „Przedłużony pobyt na Helgolandzie. STOP. Kwestie logistyczne. STOP. Prawdopodobny powrót 1 marca. STOP”.

Jeszcze niedawno ucieszyłaby się na myśl o pierwszym marca – Dniu Świętego Dawida – kiedy to Lewis zawsze przynosił jej żonkile, lecz teraz skupiła się wyłącznie na słowie STOP. „Przestań to robić. Przestań, póki nie jest za późno”. Lewis wraca za kilka dni? Nie było go dwa miesiące, ale Rachael wydawało się, że znacznie dłużej. Ten telegram w brutalny sposób przywrócił jej poczucie czasu.

– Dziękuję.

– I jeszcze te listy, i paczka. Powinienem był doręczyć je pani wcześniej. Przeleżały w biurze dwa miesiące, ale lepiej późno niż wcale...

Barker wręczył jej przesyłki i owiniętą w szary papier paczkę zaadresowaną do Edmunda. Nadawcą była siostra Lewisa, Kate. Sądząc po ciężarze, pewnie wydziergała mu obiecany sweter do gry w krykieta. Myśl o szwagierce przyniosła Rachael ulgę, lecz i poczucie żalu. Bardzo ją lubiła.

– A to dla pułkownika. Niech to przejrzy, jak wróci. – Kapitan postukał palcem

w teczkę na akta.

– Co to takiego?

– Jego kolejne zmyślne przedsięwzięcie. Lepiej, żeby te dokumenty się nie zapodziały. –

Podsunał jej aktówkę, żeby mogła umieścić na niej paczkę. – Może pani pomoże?

– Dziękuję, nie trzeba, poradzę sobie.

Zaczęła się zastanawiać, czy Barker aby nie przeniknął przez jej skorupę idealnej żony – pewnej siebie, lojalnej, wykazującej stosowne zainteresowanie pracą męża – i nie dostrzegł kłębiących się w niej emocji.

– Przepraszam, że nie zajrzałem wcześniej, ale miałem okropny kocioł. Tutaj pewnie wszystko w porządku? Wygląda na to, że dobrze sobie pani radzi.

– Owszem. A jak tam... w pracy?

– Już tak bez żartów, to wolałbym, żeby pani mąż wrócił, zanim wszystko trafi szlag. To taki człowiek, że jak go zabraknie, od razu sprawy się walą.

Komplement wypowiedziany przez kapitana Barkera nieoczekiwanie nappełnił Rachael dumą.

– Cóż, czas na mnie – rzucił kapitan i ruszył w stronę samochodu. – Nareszcie słońce! – dodał, w dziękczynnym geście podnosząc rękę ku niebu.

Patrząc, jak odjeżdża, Rachael poczuła ciepły powiew na twarzy. Wiatr zmienił kierunek na zachodni i rozgonił ciężkie szare chmury, które przez wiele tygodni przesłaniały niebo. Teraz miało ono kolor błękitu niczym wzory na porcelanie z Miśni.

Rachael weszła do domu i zaniósła pocztę do gabinetu. Położyła aktówkę na biurku Lewisa i otworzyła przesyłki – kartki świąteczne od teściowej i szwagierki. Kartka od matki Lewisa była jak zawsze oszczędna w słowach i konkretna. Lewis odziedziczył po niej niechęć do ozdobników. Za to jego siostra świadomie dołączyła do listu tandetną kartkę przedstawiającą rudzika, który przysiadł na gałęzi, z idylliczną, podświetloną na żółto wioską u podnóża gór w tle.

Kochana Rach!

Tkwimy w okowach potwornej zimy. Razem z Alanem na cztery tygodnie utknęliśmy w hotelu w Ross-on-Wye! Nie wiem, czy ten list w ogóle do Ciebie dotrze. Tutaj wszyscy narzekają. Niedostatek to najmodniejsze słowo. Za to Wam podobno wiedzie się całkiem nieźle. Czy to prawda, że macie służbę? Z tęsknotą wypatrujemy słońca. W hotelu serwują nam okropne posiłki. Czynią to z ponurym triumfem, który sprowadza się do nienawiści wobec ludzi i ich potrzeb! Przesyłamy bardzo spóźnione życzenia wesółych świąt i szczęśliwego nowego roku. Cóż, pogoda sprzyja dzierganiu. Mam nadzieję, że sweter

będzie pasował! Uściski od K. i A.

Kate była jedną z dwóch osób, który nazywały ją Rach. Bardzo kochała brata, co sprawiało, że mogła bezlitośnie się z nim droczyć. Kiedy Lewis zaprosił Rachael, żeby przedstawić ją rodzinie, Kate spojrzała na niego i powiedziała: „Pierwszy raz przyprowadzasz dziewczynę, która nie ma dwóch głów i łuski na ciele! Co ci się stało, Lew?”.

Rachael rzuciła wzrokiem na leżącą na biurku teczkę. Jak to powiedział Barker? „Jego kolejne zmyślne przedsięwzięcie”. Te komplementy pod adresem szefa wykraczały poza wymogi ich służbowych relacji. Czy tylko jej się zdawało, czy też Barker próbował coś jej powiedzieć? To mianowicie, że jej mąż pozostawał niedoceniony. Sam Lewis był zbyt skromny, by pozwolić sobie na takie stwierdzenie.

Rachael zajrzała do teczki. Przeczytała nagłówek: „Rejestr osób zaginionych. Hospicja i szpitale. Kreis Pinneberg”. Do strony dołączono odręczną notatkę: „Akta pacjentki, strona 27. Krewna? Może nie. Barker”.

Rachael wyjęła z teczki stustronnicowy dokument i otworzyła go na stronie dwudziestej siódmej. Były tam dane pacjentki. Do napisanego na maszynie tekstu dołączono zdjęcie, zamazaną, zrobioną latem fotografię przedstawiającą kobietę na wózku w otoczonym murem ogrodzie. Kobieta skierowała wzrok nieco poza obiektyw, jakby pozowała do portretu w jakimś czasopiśmie, a nie do zdjęcia do szpitalnych akt. Mimo że była wychudzona, bez makijażu i potargana, Rachael natychmiast rozpoznała w niej Claudię ze zdjętego ze ściany płótna – grube brwi, uparte i bystre spojrzenie. Zaczęła czytać notatkę.

„Przyjęta na leczenie we wrześniu 1944 roku po wypisaniu ze szpitala w Buxtehude. Obrażenia spowodowane przez falę uderzeniową. Pacjentka na kilka miesięcy straciła władzę w nogach. Uszkodzenie słuchu. W zeszłym roku zaczęła mówić. Cierpi na amnezję, ale powoli odzyskuje pamięć. Pamięta parę szczegółów dotyczących jej życia. Twierdzi, że nazywa się Lubert, jest mężatką, ma córkę i że mieszkała nad rzeką”.

Rachael jeszcze raz przeczytała tekst – żeby mieć pewność, żeby zyskać na czasie – jednak nie zdołała dobrać do końca. Zresztą wcale nie musiała. Ta strona odcisnęła się w jej myślach już za pierwszym razem. Patrzyła na zdjęcie i dotykała twarzy Claudii.

– To ty – powiedziała, osunęła się na krzesło i z jej oczu polały się gorzko-słodkie łzy.

Rachael osłoniła oczy rondem kapelusza i postawiła kołnierz płaszcza, by zmniejszyć prawdopodobieństwo, że ktoś ją rozpozna. Wszyscy obcy ludzie, którzy mijali ją na dworcu, wydawali jej się znajomi. Bagażowy mógł być Richardem albo jego bratem

bliźniakiem, a pyzaty kasjer przypominał jej kapitana Barkera.

– Dwa do Lubeki poproszę – powiedziała po niemiecku, pokazując paszport, który uprawniał ją do darmowego przejazdu.

Znała niemiecki już całkiem nieźle, ale nie na tyle, by powstrzymało to kasjera przed przejściem na angielski.

– Ten drugi bilet dla kogo?

– Dla znajomego.

– Jest tutaj?

– Jeszcze nie. Mam wrócić, jak już się zjawi?

– To Anglik?

– Niemiec.

Kasjer obejrzał jej paszport.

– W jakim celu państwo podróżujecie, służbowo czy dla przyjemności?

– W jakim... celu?

– Tak.

– Dla przyjemności.

– Ten skład nie ma wagonu dla przedstawicieli władz okupacyjnych. Będzie pani podróżować z Niemcami.

– Nie szkodzi.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak... Trochę się przeziębiam.

– Tu jest bilet. I dla pani znajomego.

Rachael wytarła nos i ruszyła, tak jak się umówili, pod zegar bez wskazówek. Postawiła torbę na ziemi między nogami, dociskając ją łydkami, lecz po kilku minutach uznała, że nie jest tam całkiem bezpieczna. Podniosła ją, przewiesiła przez ramię i przytrzymała ręką.

Zapaliła papierosa. Ptaki przelatywały w tę i z powrotem przez pozbawiony szyb dach dworca. Papieros jej nie uspokoił. Zaciągnęła się dwa razy i rzuciła go na peron. Gdy jakiś mężczyzna schylił się, żeby go podnieść, zawstydzona swoją rozrzutnością podarowała mu całą paczkę.

Kiedy mijała ją grupa brytyjskich żołnierzy, przypomniawszy sobie o konieczności kamuflażu i jeszcze głębiej nasunęła rondo kapelusza na oczy. Słyszała strzępki ich rozmów. Mówili, że „Brighton jest elegantsze od Travemünde”. Nie odczuwała jakiegóż szczególnej nostalgii do tego angielskiego kurortu, ale słysząc tę nazwę, zatęskniła za domem.

Gdy w zwieńczonej łukiem bramie dworca pojawił się Lubert, nawet z odległości

pięćdziesięciu metrów dostrzegła, że ucieszył się na jej widok. Wyciągnął rękę z gazetą, która niczym peryskop prowadziła go przez morze ludzi. Kiedy wreszcie do niej dotarł, pocałował ją bez skrępowania w usta.

– Stefan... – zmitygowała go. – Twój bilet. Musimy już wsiadać.

Wydawało się, że wszyscy hamburczycy postanowili nagle dotrzeć pociągiem do Lubeki. Było wśród nich wielu *Hamsterer*, którzy z kosztami i torbami ruszali na wieś, by zdobyć cokolwiek do jedzenia. Wzdłuż peronu stały już trzy albo cztery rzędy podróżnych. Gdy nadjechał pociąg, wszyscy rzucili się do drzwi, pragnąc zdobyć miejsce siedzące. Młodzieńcy bez biletów wskakiwali na bufory, z których bez ceregieli ściągali ich strażnicy z gwizdkami. Pociąg był w opłakanym stanie. Ściany wagonów nosiły ślady po kulach. Siedzenia były bardzo niewygodne. Rachael usiadła na twardej ławce między dwiema kobietami. Torby nie umieściła na półce, tylko trzymała ją na kolanach. Lubert usiadł naprzeciw, odsuwając innych pasażerów, by być jak najbliżej Rachael. W wagonie cuchnęło tanim tytoniem i potem. Lubert zaczął węszyć nosem, figlarnie dając Rachael do zrozumienia, że źródłem tych zapachów są siedzące obok niej kobiety. Jedna z nich obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. W oczach Rachael pojawiła się niema prośba, żeby dał spokój. Pochylił się ku niej.

– Pytanie numer sto trzydzieści cztery z kwestionariusza: „Czy wolno być aż tak szczęśliwym?”.

Rachael zaczęła patrzeć w okno, żeby wykręcić się od odpowiedzi.

Od trzech dni niebo pozostawało bezchmurne. Słońce mogło wreszcie czynić swą powinność – topić śnieg w delikatnie pofalowanym, pierwotnym krajobrazie, bardziej przypominającym Sussex czy Kent niż Szlezwik-Holsztyn. Rachael dostrzegła jakiegoś parobka, który motyką kruszył lód w korycie. Gdzie indziej para koni ciągnęła pług po przykrytym przez wiele miesięcy śniegiem polu. Gdy na horyzoncie pojawiły się wreszcie słynne zielone iglice Lubeki, Lubert wstał, by nacieszyć nimi wzrok.

– Moje rodzinne miasto – oświadczył z dumą. – Widzisz te iglice?

Rachael zobaczyła je – prężące się ku niebu zaśnieżone iglice z brązu.

– Marienkirche stracił swoją, ale i tak wkrótce się przekonasz, że to najpiękniejszy kościół w Niemczech.

Kiedy wysiedli z pociągu, Lubert wziął jej torbę, a gdy ruszyli w stronę starych bram miasta, Rachael chwyciła go pod ramię.

– Wolisz najpierw pójść do hotelu czy obejrzeć miasto? – spytał.

– Nacieszmy się słońcem – odpowiedziała.

Lubert okazał się rozkochanym w swoim mieście przewodnikiem erudyty. Pokazał jej dom tuż za murami starówki, w którym się urodził i w którym mieszkali jego rodzice.

– Przedmieścia Lubeki mocno ucierpiały. Brytyjscy lotnicy testowali tu bomby, których użyli później podczas nalotów na Hamburg. Stare drewniane domy płonęły jak papier. – Zamyślił się i wyraźnie posmutniał. Wróciły bolesne wspomnienia: – Mój bliski kolega, Kosse, mieszkał tutaj. – Wskazał na szkielet domu. – Miał fioła na punkcie kina. Sprzedałby własną babcię, żeby tylko dostać się na seans. A teraz pokażę ci mój ulubiony budynek w Niemczech. – Ruszył żwawo przed siebie, pragnąc podzielić się z nią kolejnym ważnym szczegółem ze swojej przeszłości.

Przeszli przez Holstentor – średniowieczną bramę miejską – minęli kanał i zaczęli piąć się pod górę ku wzniesionemu z czerwonej cegły Marienkirche. Była to okazała, ale wysmakowana budowla, uszkodzona przez bomby i może właśnie dlatego robiąca jeszcze większe wrażenie. Dzwonnicę strawił ogień. Pozbawiona dachu, potężna, zwieńczona łukiem nawa poprzeczna była otwarta na działanie żywiołów. Wszedłszy tam, Lubert zaczął natychmiast kreślić dłońmi plany i w myślach ją odbudowywać.

– Widzisz, jaka jest piękna? Nawet w takim stanie. Wspaniała ruina. Może odbudują drewnianą dzwonnicę.

Uwagę Rachael przyciągnęły dwa zniszczone dzwony leżące na spękanej i wyszczerbionej kamiennej posadzce w kaplicy południowej. Brytyjczycy zabezpieczyli teren i pozostawili je jako memento, a może zadośćuczynienie. Cóż to musiał być za widok! Upadek z wysokości stu metrów, w ciszy, a później dudnienie, gdy z łomotem opadły na ziemię. Leżały obok siebie. Przeżyły katastrofę, ale wciąż w jakimś sensie były razem.

Lubert mylnie odczytał łzy w oczach Rachael.

– Wzruszyłaś się. Nic dziwnego. To rzeczywiście niezwykle. Niezwykle. – Ujął jej łokieć i poprowadził ją dalej. – Jest tu dużo więcej do obejrzenia. Ulice, na których bawiłem się w dzieciństwie, moja dawna szkoła i najwspanialszy na świecie sklep z marcepanami.

Im więcej było tych jego wspomnień, tym więcej własnych wspomnień odżywało w pamięci Rachael. Gdy wychodziła za Lewisa, pastor powiedział, że tak oto dwie biografie splatają się w jedną opowieść. Czy ich opowieść dobiegła końca? Mimo wszystkich przeciwności Rachael nie chciała, by się zakończyła.

W hotelu Alter Speicher Lubert, pomny tego, że wkrótce ma otrzymać certyfikat, podał nazwisko Weiss. Pokój był skromny, ale przytulny. Nad łóżkiem wisiał sentymentalny landszaft przedstawiający jakiś górzysty wiejski zakątek w Bawarii.

– Marny, ale pasuje tu – stwierdził.

Rachael zdjęła kapelusz, potrząsnęła włosami i położyła swój kamuflaż na stoliku pod oknem, za którym wciąż świeciło słońce. Lubert stanął obok i zaczął wpatrywać się w jej twarz, a ona wpatrywała się w widok za oknem. Powiodł dwoma palcami po jej policzku.

– Teraz znasz mnie już trochę lepiej – powiedział.

Zaczął ją całować, ale odwróciła głowę i przyłgnęła twarzą do jego płaszcza. Tuliła go bardziej jak siostra niż kochanka. Próbowwała znaleźć słowa, od których powinna zacząć tę rozmowę.

– Ta długa zima wreszcie zbliża się do końca – rzuciła.

– Chcesz rozmawiać o pogodzie?! – Uniósł jej brodę, starając się przeniknąć jej myśli. – Co to za szyfr? O czym myślisz?

– Cieszę się, Stefan. Cieszę się, że masz przed sobą przyszłość.

Znów próbował ją pocałować, ale mu nie pozwoliła. Chciała, żeby ochłonał po tym pełnym emocji dniu. Ujęła jego dłoń i zaczęła się jej przyglądać. Dostrzegła tam siatkę dróg, rozwidleń, skrzyżowań, linii, które kończyły swój bieg nagle lub łagodnie.

– Myślę, że czeka cię dobra przyszłość. Masz swoje plany, dobre plany. Chcesz odbudować swoje życie i swoje miasto. Musisz je zrealizować.

Zmarszczył brwi.

Rachael podeszła do torby i wyjęła spod ubrań teczkę. Nigdy wcześniej nie spakowała się tak niedbale. Zapomniała o kosmetyczce, za to wzięła ze sobą książkę, której na pewno nie będzie tu czytać. Zajrzała do teczki. Odręczna notatka kapitana Barkera wciąż leżała na wierzchu. Rachael odszukała właściwą stronę i podała dokumenty Lubertowi.

Wziął je i zobaczył zdjęcie Claudii. Wpatrywał się w nie tak długo, nie okazując żadnych emocji, że Rachael aż zwątpiła, czy rzeczywiście przedstawia jego żonę. Lubert wciąż stał bez ruchu. Wreszcie zaczął powoli potrząsać głową z miną człowieka, który cierpi i nie rozumie. Odpiął fotografię od akt i trzymając ją w wyciągniętej ręce, przyglądał się jej z ukosa. Chciał oddać zdjęcie Rachael.

– To jakaś sztuczka. Szukałem jej, miesiącami. Ona nie żyje.

– Stefan, to ona...

Znów spojrzał na fotografię i ciągle potrząsając głową, starał się zaprzeczyć faktom. W końcu dotknął twarzy Claudii, ale nie potrafił pogodzić się z prawdą zawartą w szpitalnych notatkach, którą Rachael przyjęła w jednej chwili.

– Stefan, przeczytaj to. Przeczytaj notatki. Claudia przebywa w hospicjum franciszkanów w Buxtehude. Właśnie odzyskała mowę. Utracona pamięć też powoli wraca. Wraca jej pamięć, Stefan.

Wciąż był zbyt oszołomiony, więc Rachael przeczytała:

– „Twierdzi, że nazywa się Lubert”. To twoje nazwisko. Pamięta je. Wspomina, że mieszkała nad rzeką. To ona, twoja żona. Ona żyje.

Spojrzał na nią.

– Ale... przecież między nami coś się zaczęło.

Już zaczął używać czasu przeszłego.

– Przebudziłeś mnie, przypomniałeś to, o czym zapomniałam, ale... – Urwała, nie chcąc przedłużać jego cierpień, a jednocześnie pragnąc wypowiedzieć słowa prawdy. Ujęła jego dłonie, w których wciąż trzymał zdjęcie Claudii. – Połączyła nas strata. Ty swoją odnalazłeś.

Lubert pochylił się, skulił w sobie i zaczął szlochać.

^[7] Amerykański aktor (1908–1996).

ROZDZIAŁ 13

Lewis obudził się z twarzą wtuloną w ramę okna i stwierdził, że zaślinił całą szybę. Mercedesa prowadził Barker, który zerkał teraz na niego z troską, ale i z rozbawieniem.

– Wszystko w porządku, sir?

– Przyśnił mi się koszmar – wyjaśnił Lewis, ocierając usta i prostując się na siedzeniu. –

Mówiłem coś?

– Kilka razy pan krzyknął.

– Mam nadzieję, że nie zdradziłem żadnych tajemnic państwowych.

– Wołał pan swoją żonę.

Po tym, jak Barker odebrał go z siedziby sztabu, monotonne niczym szum fal oceanu kołysanie samochodu sprawiło, że Lewis zapadł w sen. Ujrzał w nim willę Lubertów w porze roku, w jakiej jeszcze jej nie widział. Soczysta zieleń trawnika, wszędzie kwiaty, rabaty pełne żonkili. Było jednak w tej scenie coś zbyt wyrazistego. Niepokoił sposób, w jaki żonkile zdominowały ten obraz.

– Długo spałem?

– Dziesięć minut.

Lewis potarł twarz i poklepał się po policzkach.

– A czuję, jakby kilka godzin.

W czasie wojny taka drzemka postawiłaby go na nogi i pozwoliła przetrwać parę kolejnych nocy bez snu, lecz teraz poczuł się całkowicie wyczerpany. Podczas pobytu na Helgolandzie zaczął doświadczać stanów poirytowania, co wcześniej mu się nie zdarzało. Z początku przypisywał to męczącej wilgotności powietrza i znużeniu tym, że wykonywał niepotrzebne zadanie, nadzorując przygotowania do największej niejądrowej eksplozji w dziejach świata. Tymczasem po opuszczeniu wyspy cierpiał jeszcze bardziej. Mógł to opisać jedynie jako ból szpiku kostnego – taki sam, na jaki skarżyła się Rachael po śmierci Michaela.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– W zasadzie bez zmian.

– Czyli beznadziejnie.

– Fatalnie. – Barker się uśmiechnął.

Przydałby mu się ktoś taki na wyspie. Po tym jak Ursula wyjechała do Londynu, a Kutow, Ziegel i Bolon obejrzeli już wszystko, co mieli obejrzyć, dni zaczęły wlec się w nieskończoność.

– Rada Kontroli Niemiec łagodzi przepisy dotyczące kontaktów z miejscowymi. Chłopcy z wywiadu przeglądają kwestionariusze i zaczynają skupiać uwagę na Wschodzie.

Najważniejsza wiadomość: pakiet pomocowy proponowany przez Amerykanów. Tak szczodry, że nawet nie pamiętam kwoty. Rosjanom się to nie podoba. Wygląda na to, że będą dwa państwa niemieckie. Nie powiedział mi pan jeszcze, czego chciał od pana generała.

Lewis do tej pory próbował to rozszyfrować.

– Zaproponował mi posadę.

– A widzi pan. Awans dostaje się za demolkę, a nie za naprawianie. W Berlinie?

– W Berlinie.

Barker nieco się zasępił.

– Cholera, kolejna linia frontu. Zgodził się pan?

– Postawiłem dwa warunki. Nie każą mi dzielić domu z Rosjaninem, Francuzem ani Amerykaninem...

– Spokojna głowa. Tam są same kamienice – zażartował Barker, choć był wyraźnie rozczarowany perspektywą wyjazdu Lewisa z Hamburga. – A drugi warunek?

– Że pojedziesz ze mną.

– O, cholera.

– Nie musisz mi odpowiadać od razu. Możesz za pięć minut.

– O, cholera.

Lewis dostrzegł na tylnym siedzeniu sporą stertę dokumentów, które Barker przywiózł mu do przejrzania.

– Kolejne akta, które mogę gdzieś posiać?

– Przykro mi. Raport na temat nielegalnego wywozu kosztowności jest dosyć pilny.

Parę swojsko brzmiących nazwisk... Niewdzięczna lektura. Będzie pan miał co czytać w wannie.

Właśnie o wannie marzył teraz Lewis. Za kilka minut będą w domu. Mercedes mijał już patrycjuszowskie kamienice przy Klopstockstrasse. Lewis znów poklepał się po policzkach i zlustrował fryzurę w lusterku. We własnym mniemaniu wyglądał okropnie. Włosy były nieregulaminowo długie. Od kilku dni się nie golił. Nawet drobne niedospanie sprawiało,

że miał podkrążone oczy. Nigdy nie dbał o wygląd – uważał, że ma zbyt długi nos i zbyt wąską twarz – i zawsze się dziwił, kiedy Rachael mówiła mu, że jest przystojny. Nigdy nie domagał się od niej takich komplementów, ale gdy ujrzał w lusterku swoją zmęczoną twarz, doszedł do wniosku, że bardzo chciałby je teraz usłyszeć.

Samochód skręcił w Elbchaussee i Lewis mógł już dostrzec po lewej stronie między drzewami rzekę. Łaba pozostawała skuta lodem przez sto dni, co – jak mówiono – było rekordem nie do pobicia, jednak gdzieś tam widać było płynącą wodę. Najwyraźniej lód zaczął się już topić.

– Pewnie było panu przykro, że Frau Paulus wyjechała.

– Spytali mnie, czy nie znam tłumaczki, która chciałaby pracować w Londynie, więc ją poleciłem.

– Szkoda. Nie sądzę, żeby dziewczyny w Berlinie mogły jej dorównać.

Lewis zauważył krokusy i przebiśniegi kwitnące na skraju zagajnika.

– Mają tu żonkile?

– Nie widziałem.

– Zatrzymaj się, jeśli je zobaczysz.

Nagle na przedniej szybie pojawiło się pęknięcie i rozeszło się po niej niczym pajęczyna. Lewis pomyślał, że pewnie w szybę uderzył żwir czy jakiś kamyk. Dopiero gdy auto wpadło w poślizg, dostrzegł, że Barker osunął się na fotelu, z głową odchyloną do tyłu. Powyżej brwi widniała ciemnoszkarłatna rana. Lewis chwycił kierownicę, zsunął stopę Barkera z pedału gazu i zaciągnął hamulec. Samochód zatrząsł się, zahaczył o platan i stanął, częściowo na drodze, częściowo na poboczu.

Krew i tkanki mózgu bryznęły na tylną szybę i kanapę za fotelem kierowcy. Jeszcze zanim przyłożył rękę do jego szyi, Lewis wiedział, że Barker nie żyje. Skulił się i sięgnął do schowka po pistolet. Sprawdzając, czy jest załadowany, dostrzegł jasną ciepłą krew na swoich rękach. Przednia szyba była całkiem popękana, więc wyrzwał na drogę przez okno w drzwiach. Z tyłu Elbchaussee nikła za zakrętem, a z przodu ciągnęła się w linii prostej, obrośnięta po obydwu stronach drzewami, i dopiero później skręcała w prawo, odbijając od rzeki. Strzał musiał paść z jednej ze stojących przy brzegu wielkich willi. Lewis zauważył około stu metrów dalej jakąś postać, która przebiegła przez drogę i pognęła ku rzece.

Wyskoczył z samochodu, zdjął płaszcz, wrzucił go do środka i ruszył w pościg. Biegł, ile sił w nogach. Adrenalina pozwoliła mu pokonać zmęczenie i brak kondycji. Dotarł do krętej ścieżki i podążył nią w stronę rzeki. Wciąż widział przed sobą biegnącą postać. Mężczyzna wszedł na zamarznięty lód, jednak w pewnym momencie lód zapadł mu się pod stopą. Wrócił na brzeg i pobiegł dalej, szukając miejsca, gdzie lód byłby twardszy. Gdy je wreszcie znalazł, znów ruszył po zamarzniętej rzece. Obejrzał się za siebie i pewnie

wtedy zorientował się, że Lewis podąża za nim. Przyśpieszył kroku i zaczął ślizgać się po lodzie. Widząc jego smukłą sylwetkę i sprężyste ruchy, Lewis doszedł do wniosku, że to ktoś młody, bardziej chłopak niż mężczyzna. Siedemnaście lat, nie więcej.

Lewis już nie biegł, tylko szedł szybkim krokiem. Czuł kłujący ból w ramieniu. Serce waliło mu jak młotem. Kiedy dotarł do brzegu, chłopak był jakieś sto metrów dalej. Lewis zatrzymał się, pochylił i oparł dłonie na kolanach, próbując złapać dech. Ponownie sprawdził liczbę naboji w magazynku. Sześć kul. Sześć szans na to, że zastrzeli zabójcę Barkera.

Młodzieniec zatrzymał się i zaczął sprawdzać pokrywę lodu, stukając w nią butem. Lód ponownie pękł i chłopak odskoczył w tył. Wokół słychać było dźwięk przypominający trzeszczenie starych drzwi, co dowodziło, że lód kruszy się także w innych miejscach. Lewis obserwował, jak chłopak szuka drogi ucieczki. Tuż przed nim oderwał się wielki kawał kry. Teraz już nie umknie.

Lewis poczuł spływające po ciele zimne strużki potu. Był skonany. Przysiadł na pniu powalonego drzewa. Chłopak nie mógł mu się wymknąć i chyba nie miał żadnej broni. Lewis czekał na jego kolejny ruch. Młodzieniec zaczął nerwowo dreptać w miejscu, aż wreszcie krzyknął po niemiecku:

– *Guten Morgen, Morgan!* – Zaśmiawszy się z własnego dowcipu, kilkakrotnie powtórzył to powitanie. Lewis zdziwił się, że zna jego nazwisko. – Proszę bardzo! – Rozłożył ręce, by stać się łatwiejszym celem, i zatrzymał się na granicy zasięgu strzału.

Lewis mógłby go trafić, ale żeby mieć większą pewność, powinien wejść na lód, który przy brzegu jeszcze nie odtajał. Został jednak na miejscu. Teraz oddychał już normalnie. Czuł się jak kibic podczas zawodów w jakiejś dyscyplinie zimowej.

– Śmiało, pułkowniku!

Lewis nie chciał do niego strzelać, lecz chciał, żeby zginął.

– Ta kula była dla pana, ale nieważne. Każdy pański przyjaciel jest moim wrogiem. – Lód znowu zatrzęszczał, tym razem w miejscu, w którym stał młody Niemiec. – Lody puszczają. Już czas, żebyście wynieśli się z Niemiec! To mój kraj! Moja rzeka! I moje niebo!

Chłopak wciąż dreptał po lodzie, bez przerwy trajkocząc trzy po trzy. Zrobiło się z tego istne przedstawienie. Zanosił się maniakalnym śmiechem i gestykulował, a jego podekscytowanie sprawiło, że łamał mu się głos. Im więcej gadał, tym bardziej irytowało go milczenie Lewisa. Tymczasem ten wyczuł w głosie chłopaka strach i wciąż uparcie milczał, by ów lęk spotęgować. Było mu z tym dobrze.

– Chodź tu, aresztuj mnie!

Z różnych zakątków rzeki dobiegał dźwięk przypominający buczenie sonaru. Woda

i słońce zmówiły się, by rozkruszyć lód. Lewis na chwilę zamknął oczy. Słońce pozostawiło odblaski na jego siatkówce. Zamrugał oczami, by znikły. Chłopak na kilka sekund zamarł w bezruchu, po czym zaczął przeskakiwać z kry na krę, gdy lodowa platforma podzieliła się na kilkanaście mniejszych fragmentów. W końcu wylądował na największej bryle, wielkości drzwi, rozkładając ręce, by utrzymać równowagę. Kra jednak przechyliła się pod jego ciężarem i chłopak wpadł do lodowatej wody. Przez chwilę jeszcze rozpaczliwie chwycił rękami powietrze, nim się w niej zapadł. Porażony zimnem krzychał, próbując wdrapać się na krę, ale nie znalazł żadnego punktu zaczepienia. Szamotał się przez kilka chwil, po czym podpłynął do innej. Usiłował się na nią wciągnąć, lecz na próżno. Trzykrotnie powtórzył próbę, aż w końcu dał za wygraną i zaczął dryfować w ciemnej wodzie.

– Hej! Pomóż mi! – Buta gdzieś zniknęła, pozostał tylko strach. – Podaj mi gałąź! Drzewo! – To ostatnie słowo wykrzychał po angielsku.

Nawet z tej odległości Lewis wyczuł w jego głosie drzenie, ale tylko go obserwował, konstatuując z pewnym smutkiem, że los tego chłopaka nic go nie obchodzi.

– Błagam... Pułkowniku! – W ciągu ledwie minuty wyzywającą pogardę zastąpiły panika i błaganie o litość. – Drzewo! – powtórzył po angielsku.

Teraz znajdował się jakieś dwadzieścia pięć metrów od brzegu. Jeśli Lewis chciał go uratować, musiał działać natychmiast, jednak zamarł, zgodnie z prądową zasadą, którą przez całe życie z mozołem odrzucał. Oko za oko. Chłopak za chłopaka. Świat wciąż działał właśnie w taki sposób.

Tracąc oddech, Niemiec z trudem wykrzykiwał kolejne słowa.

– Frieda! Znasz ją! Frieda!

Imię to dotarło do świadomości Lewisa z pewnym opóźnieniem.

– Frieda... prawdziwa... niemiecka... dama...

Pułkownik Morgan patrzył i odliczał sekundy. Wkrótce będzie po wszystkim. Chłopak szamotał się w lodowatej wodzie dłużej, niż wydawało się to możliwe. Teraz prąd unosił go z wolna na środek rzeki. Lewis słyszał, jak bezradnie łapie powietrze. Wyjąkał jeszcze płaczliwie jakieś słowo – chyba *Mutti* – i zniknął pod wodą.

Lewis stał i przypatrywał się rzece. Słuchał odgłosu tworzących się na powierzchni lodu rys i podziwiał moc topnienia, które uwalniało rzekę spod srogich okowów mrozu. Przypomniał sobie, iż ma różne rzeczy do zrobienia, ale stwierdził, że ich nie zrobi. Czuł, że coś w nim pęka. Wpatrywał się w horyzont ze świadomością, że sam się rozpada. Był jak ta spękana szyba w samochodzie. Jeśli zdoła dotrzeć do domu, nim ktoś go dotknie, może się nie rozsypie.

Ból w ramieniu stawał się coraz silniejszy. Zawsze pojawiał się po szybkim biegu, a wiek i nadmiar papierosów powodowały, że coraz bardziej mu doskwierał. Lewis poruszył ręką i zaczął ją rozcierać, lecz kłucie nie ustępowało. „Już prawie na miejscu”, mruknął do siebie.

Jak dotąd, trzymał wszystko w ryzach – nawet kiedy oglądał znieruchomiałe ciało Barkera i popękane naczynka krwionośne w jego oczach i gdy składał zeznania żandarmom wojskowym, których zastał przy samochodzie, gdy tam wrócił. W jakiś sposób potrafił oddzielić ten bezwładny korpus od żywego Barkera, którego tak bardzo lubił. Teraz jednak, kiedy dotarł do bramy willi Lubertów, właściwie nie był pewien, co takiego miał utrzymać w ryzach.

Opuścił ten dom jak z obrazka, cały w bieli, dwa miesiące wcześniej. Tymczasem nagły koniec zimy i nadejście wiosny sprawiły, że spod śniegu wychynęły brzydkie bruzdy wygniecionej trawy i burej szaroczarnej brei. Lewis wszedł bocznym wejściem, ciesząc się, że nikt go nie wita. Zdjął płaszcz i potarł twarz, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Chciał usiąść, napić się herbaty, zapalić papierosa, wypić drinka i ujrzeć Edmunda i Rachael – jednak nie od razu. Nalał sobie whisky i połknął ją jednym haustem, żeby jak najszybciej się pokrzepić, a później jeszcze jedną – i dopiero wtedy ruszył na górę.

Edmund stał przed toaletką w swoim pokoju i podziwiał własne odbicie w lustrze. Był ubrany w sweter do gry w krykieta, identyczny, jaki nosił kiedyś Michael, tyle że serek pod szyją ozdobiła turkusowa lamówka. W ciągu tych dwóch miesięcy syn bardzo wyrósł. Lewis chciał go uściskać.

– Ed.

– Tata! – Chłopiec rozpromienił się, choć był najwyraźniej speszony, że dał się nakryć przed lustrem.

– Ładny sweter.

– Od cioci Kate. Zrobiła mi go na drutach.

Nagle Lewis uświadomił sobie, że wspiera się o drzwi, by utrzymać równowagę. Zwykle wejście po schodach sprawiło, że jego nogi stały się jak z waty. Nigdy jeszcze nie zemdlał i zaczął się zastanawiać, czy mrowienie w rękach nie zwiastuje przypadkiem zaśląbnięcia.

– Mamy nie ma?

– Ma dziś wrócić z Kilonii.

– Pojechała odwiedzić Buckmanów?

– Tak.

– A tu wszystko w porządku?

– Tak, wszystko dobrze. – Edmund z niepokojem popatrzył na ojca. – Źle się czujesz, tato? Zraniłeś się?

– Miałem... wypadek... ale nic mi nie jest. – Lewis spojrział na swoje zakrwawione ręce. Wyglądało to gorzej, niż myślał. Musiał usiąść. Natychmiast. – Pilnowałeś kramu, kiedy mnie nie było? – spytał, osuwając się na fotel.

– Jasne.

– U Lubertów w porządku?

– Tak, ale Herr Luberta nie ma... Chyba też dokądś wyjechał. Chodzi o weryfikację, chociaż tak do końca nie wiem.

– A więc... jesteś sam?

Edmund skinął głową.

– Przykro mi... że tak długo to trwało. Znowu nie było mnie na święta.

– Trudno. Dużo rzeczy wysadziłeś w powietrze?

– Parę fabryk i bunkrów dla łodzi podwodnych, ale największa eksplozja jeszcze przed nami. Zwożą w jedno miejsce amunicję z całych Niemiec, a później ją wysadzą. Usłyszą ten wybuch nawet w Londynie, może ciotka Kate w Berkshire też.

Lewis wyjął papierośnicę z kieszeni płaszcza. Tego dnia był to jego pierwszy papieros. Po pierwszym pociągnięciu zakręciło mu się w głowie.

– To ta papierośnica od mamy?

– Tak.

Lewis podał ją Edmundowi, a ten otworzył wieczko i spojrział na fotografię Michaela. Jego brat miał na sobie sweter do gry w krykieta.

– Dlaczego nie masz mojego zdjęcia? – spytał otwarcie ojca.

Lewis nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ale poczuł, że jeśli nie skłamię, sprawi synowi przykrość.

– Dlatego że Michael zginął? – wybawił go z kłopotu Edmund. – Chciałeś go wspominać?

– Tak... właśnie dlatego. Twojego zdjęcia nie potrzebuję, bo mam cię na co dzień.

To wyjaśnienie najwyraźniej przekonało Edmunda.

Lewis zauważył, że rozrzucone na podłodze części garderoby nie leżą tam przypadkowo, lecz że kryje się za tym jakiś zamysł. Podążył wzrokiem za bulwarem skarpetek wiodącym od domku dla lalek do wyspy z ubrań i zobaczył, że samochodek stoi w połowie drogi.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– To tylko głupia zabawa – odpowiedział zawstydzony Edmund.

– Wygląda całkiem nieźle.

– Ten samochodek to twój mercedes, ale jeszcze takich nie produkują, więc musi być lagonda. A to Helgoland. – Edmund wskazał na stertę bluz i koszul, na której szczybie

stał samotny cynowy żołnierz.

– To ja? – spytał Lewis.

Edmund skinął głową.

Lewis zerknął w stronę domku dla lalek i ujrzał dwójkę dzieci w pokoju na pierwszym piętrze oraz kobietę i mężczyznę przy fortepianie w bawialni na parterze.

– To mama i Herr Lubert? Grają na fortepianie?

– To nie ja ich tak umieściłem, tylko Frieda... Wciąż ich przestawiała – wyjaśnił Edmund, czerwieniąc się, wyraźnie na siebie zły.

Lewis rzucił okiem na miniaturową Rachael i Luberta i skinął głową.

– Szczęśliwy dom. Wygląda na to, że wszyscy żyją tu w zgodzie, a to najważniejsze.

Rachael wróciła już po zmroku. W domu świeciło się w trzech oknach – w bawialni, pokoju Friedy i ich sypialni. Rachael miała wrażenie, jakby willa mrużyła oczy, a deski na balkonie uśmiechały się do niej. Mercedesa nie było na podjeździe, lecz na samą myśl, że zaraz spotka męża, poczuła ucisk w żołądku.

Heike powitała ją w holu, dygnęła i wzięła od niej torbę. Jeszcze bardziej spłoszona niż zwykle, nerwowo zerkała w stronę bawialni. Dobiegały stamtąd niewprawnie wystukiwane, początkowe dźwięki *Króla elfów*.

– Wszystko w porządku, Heike?

– Pułkownik... – bąknęła służąca, rzucając jej lęклиwe spojrzenie.

Rachael podała jej płaszcz.

– A Edmund?

– Jest już w łóżku.

Rachael ruszyła do bawialni i ujrzała Lewisa pochylonego nad klawiaturą, z głową wspartą na rękę. Nie spojrzał na nią, tylko tłukł palcami w klawisze, na próżno usiłując odegrać melodię arpeggio.

– Lewis?

Nie podniósł wzroku. Uparcie stukał w instrument.

– Lew? Dlaczego grasz tę pieśń?

Przerwał, ale jego głowa wciąż spoczywała na dłoni. Był blady. Rachael zauważyła krew na rękawach munduru.

– Początek jest łatwy, ale ten kolejny kawałek... Nie wiem, jak ty to robisz.

Rachael od razu przyszło na myśl, że on już o wszystkim wie. Podeszła do niego.

– Lew? – Usiadła obok niego na stołku. Na stojaku stała otwarta partytura pieśni *Warum?* Lewisowi ciekło z nosa. Klawisze fortepianu były mokre. Chciała unieść jego głowę, by zajrzeć mu w oczy, lecz odwrócił twarz. – Co się stało? Bo coś się stało...

Otarł nos rękawem. Rachael zauważyła zaschniętą krew na jego dłoni. Dotknęła jej,

była przeraźliwie zimna.

– Twoje ręce... To krew...

– Nie moja.

– A czyja? Lew? Przerażasz mnie.

– Barkera... Koniecznie chciał prowadzić... Powinienem był odmówić... Ta kula była przeznaczona dla mnie.

– Jaka kula?

– Wystrzelona przez chłopaka, któremu pozwoliłem umrzeć.

– Jakiego chłopaka? Komu pozwoliłeś umrzeć?

– Chłopakowi, który zastrzelił Barkera. Krzyczał, że zna Friedę...

Nie mogła za nim nadążyć.

– Nie dostrzegłem zagrożenia, choć czaiło się pod moim nosem, w moim domu.

Rachael obróciła ku sobie jego twarz i zmusiła go, by na nią spojrział. Rozbity i odarty ze swego zwykłego opanowania, niepokoił ją i hipnotyzował.

– Pobiegłem za nim... Mogłem go uratować, ale pozwoliłem mu umrzeć... Chciałem, żeby zginął... Nie tylko w odwecie za Barkera... Za Michaela też... za wszystko. –

Wyciągnął do niej ręce. Jego dłonie pokrywały brunatne plamy krwi Barkera. – Obrąłem złą ścieżkę, Rach. Wywiesiłem swój sztandar na nieodpowiednim maszcie. Burnham miał rację... Jeśli zaufasz wszystkim, ktoś za to zapłaci.

Rachael ujęła w dłonie jego twarz.

– Nie mów tak...

– Przecież wiesz, że tak jest. Powiedz mi, Rach... Czy byłem zbyt ufny? – Spojrzał jej w oczy.

– Tak... – Przesunęła palcami po jego skroni i pogładziła włosy. – Ale... chcę, żebyś zaufał znowu... Potrzebuję cię, Lew... – Pocałowała go w czoło, wciągając wargami i nosem jego smak i zapach.

– Przepraszam – wyszeptał.

– To ja powinnam przeprosić. Żałuję.

– Ja też. Czyli żałosna z nas para.

Przyciągnęła jego głowę do swojej piersi.

– Odpocznij.

Tuliła go i z wolna kołysała. Wcześniej rzadko widziała jego łzy. Kiedyś powiedział, że to ona płacze za nich oboje. Teraz zaczął cichutko pojękiwać. Nie sądziła, że usłyszy od niego ten dźwięk, ale natychmiast go rozpoznała. Tak szlochał ktoś, kto stracił syna.

Lewis nie mógł zwlec się z łóżka, ale nie mógł też zasnąć. Wyczerpanie i szok odebrały

mu siły. Obrzydzenie do samego siebie, lecz i coś w rodzaju dającej ukojenie rozpacz nie pozwalały mu zmrużyć oka. Pojął mądrość zawartą w starym porzekadle, że „obiboki i pracusie umierają jednak”, więc czym tu się przejmować? Osiągnie tyle samo, leżąc w łóżku, jak i krzątając się po domu. Zresztą, zważywszy na jego ostatnie dokonania, należało raczej przyjąć, że byłoby lepiej dla świata, gdyby już nigdy nie wstał. Radzenie sobie z problemami i ludźmi wymagało jakiejś dozy energii oraz cierpliwości, które z niego uleciały, a także systemu wartości, w które przestał wierzyć. O ileż łatwiej było burzyć, niż budować. Miasto wznoszone przez tysiąclecia można zrównać z ziemią w jeden dzień. Życie człowieka zostaje przerwane w ułamek sekundy. W przyszłości dzieci Edmunda będą znały nazwy samolotów, czołgów, bitew i inwazji i bez trudu będą wyliczać okrucieństwa wojny oraz nazwiska tych, którzy je popełnili, ale czy będą w stanie podać nazwisko choć jednego naprawcy wyłomów i zawalonych murów?

Pogrążywszy się w tych filozoficznych rozważaniach, Lewis poczuł się niemal zadowolony. Czyżby minął się z powołaniem? Może powinien być zostać poetą, filozofem albo nihilistą.

Doleciał go zapach mydła. Uniósł dłoń i stwierdził, że Rachael zmyła z niej ślady krwi. Zdjęła mu też buty i rozpięła koszulę. Musiała rozsunąć zasłony. Drobinki kurzu tańczyły w sączących się do sypialni promieniach słońca. Widocznie jednak zasnął, bo nie pamiętał, by widział, kiedy to wszystko robiła. Pamiętał jedynie, jak tuliła go przy fortepianie, gładziła po twarzy i wpatrywała się w niego niczym w jakiś odnaleziony skarb. Co sprawiło, że raptem stał się dla niej taki kochany i cenny? To, że o mało nie zginął? Powiedziała, że popełniła straszliwy błąd. I że odnaleziono żonę Herr Luberta. Później, bez żadnych czułych wstępów, oznajmiła, że go kocha, a nigdy nie rzucała takich słów na wiatr. W istocie nie wyznała mu tego od czasu, gdy... Nie pamiętał już kiedy.

Tymczasem do sypialni wszedł Edmund ze śniadaniem na tacy: gotowane jajko na srebrnej podstawce, kromka chleba pokrojona na kawałki w kształcie żołnierzyków i filiżanka. Wolnym krokiem przemierzył pokój, skupiając cały wysiłek na tym, żeby nie rozlać ani kropli herbaty. Lewis usiadł w łóżku i podciągnął nogi, by zrobić miejsce na tacę. Bolał go kark i odczuwające trudy pościgu łydki.

– Mama kazała obudzić cię w południe i przypomnieć, że masz pojechać do sztabu.

– Już południe? Kurczę!

Edmund wpatrywał się w niego wyczekująco.

– Nie zjesz jajka? Sam ugotowałem. Greta pokazała mi jak.

Lewis przytknął nóż do cieńszego końca jajka, ale się zmitygował i obrócił je grubszym końcem do góry.

– Mama też zaczyna od grubszego końca. Wszyscy tak zaczynamy.

Odkroił wierzchołek i zamoczył głowę żołnierzyka w nieściętym żółtku.

– Doskonale, dokładnie takie, jakie lubię.

– Herr Lubert woli od cieńszego końca, Frieda też. Zastanawiam się, co z panią Lubert.

– Wkrótce się przekonamy.

Lewis wyjadł żołnierzykami żółtko, po czym wziął łyżeczkę, żeby dobrać się do białka.

– Tato? Jeśli uważasz, że coś jest złe, to jest tak, jakbyś sam popełnił zło?

Lewis poczuł, że to jedno z tych pytań, na które należy udzielić właściwej odpowiedzi.

– To zależy. Musisz dać mi przykład.

– Kiedy o mało wczoraj nie zginąłeś, pomyślałem... Ucieszyłem się, że to kapitan

Barker, a nie ty. Chociaż to smutne.

Lewis odstawił tacę i skinął na Edmunda. Gdy ten podszedł bliżej, Lewis ujął w dłonie jego puciołowatą twarz i go pocałował. Chciał w czoło, ale jego usta wylądowały na nosie syna, gdyż zawstydzony Edmund trochę się skulił.

– Czy to jest złe?

– Nie, Ed. Złe jest to... że znalazłeś się w sytuacji, w której musisz rozmyślać o takich rzeczach.

– Ty też miewasz złe myśli?

– Owszem. Dzisiaj przynajmniej kilka.

– Były bardzo złe?

– Pomyślałem na przykład, że nie wstanę z łóżka, bo to i tak bez różnicy. Nie chciałem już pomagać ludziom. Stwierdziłem, że nie prowadzi to do niczego dobrego. Nie chciałem pomagać Niemcom, Brytyjczykom, Herr Lubertowi, Friedzie, mamie, tobie ani sobie.

Chciałem się poddać. Myślisz, że to złe?

– Ale w końcu się nie poddasz? – spytał nieco zmieszany Edmund.

– Najwyżej na parę minut.

– To do ciebie nie pasuje.

– Rzeczywiście.

– Wiesz, że aresztowali Friedę?

– Nie.

– A wiesz, co z nią zrobią?

– A co, twoim zdaniem, powinni zrobić?

Edmund przez chwilę się zastanawiał.

– Jeśli się dowiedzą, że jej mama żyje... to może ją wypuszczą.

Przydałby się ktoś taki w wywiadzie, pomyślał Lewis. Zaoszczędziłby im masę czasu i papierków. Chciał znów ucałować syna, przytulić go tak jak wtedy, kiedy był malutki, ale dwa buziaki na dzień byłyby jednak przesadą.

– Postanowiłeś już, co zrobisz? – spytał Edmund.

– Owszem, ale najpierw podaj mi pomocną dłoń.

Lewis wyciągnął rękę. Edmund chwycił ją obiema dłońmi i pomógł ojcu wstać.

ROZDZIAŁ 14

Siedziała w fotelu i haftowała. W jej bujnych włosach pojawiła się siwizna, a twarz – z korzyścią dla niej – stała się pełniejsza. Była spokojna, spokojniejsza niż kiedykolwiek wcześniej i zgodnie z tym, co usłyszał od siostry przełożonej, wydawała się całkowicie zdrowa: czujne wejrzenie, bystre oko i ten ledwo widoczny, a tak dobrze mu znany uśmiezek.

Siostra przystała na jego prośbę, by mógł zobaczyć ją, nim ona zobaczy jego. Stała obok, gdy przypatrywał się Claudii przez wizjer.

– Haftuje całymi dniami – poinformowała go. – Ma spory przerób. Wieszamy na oddziałach mnóstwo oprawionych w ramki próbek haftów. Kiedy nie haftuje, pisze. Wspomina.

– Miała bardzo żywy umysł – powiedział Lubert, bardziej do siebie niż do siostry przełożonej. – Pozostał sprawny?

– Tak, nawet jeśli jeszcze nie wszystkie obszary mózgu się zregenerowały. Jest wybitnie inteligentna, dowcipna, twórcza i sprawna.

Ileż to razy się ścierali, pomyślał Lubert. Ileż to razy przegrywał!

– Pamięta cokolwiek?

– Przypomina sobie pewne rzeczy, niektóre bardzo szczegółowo, po czym na powrót je traci. Pamięć jest jak budowla, tworzy się kawałek po kawałku. Jedno wspomnienie wywołuje kolejne. W ciągu ostatnich miesięcy odnotowaliśmy spory postęp. Zachęcamy ją, by wszystko zapisywała. Proszę spojrzeć. Teraz też pisze. Wspomina.

Claudia odłożyła haft na kolana i wzięła notatnik i ołówek ze stojącego przy fotelu stolika.

– Zdarza się jej to coraz częściej. Codziennie coś zapisuje. Robi też rysunki.

Claudia pisała szybko, nie przerywając. Lubert zastanawiał się, co też takiego pisze. Co pamięta? Czy on jest częścią jej wspomnień? Czy go pamięta? To, co w nim najlepsze? Najgorsze? Czy dorówna jej wspomnieniom?

– Pamięta, co jej się przydarzyło? Tamtą noc i burzę ogniową?

– Nie mówi o tym ani nie pisze. Sądzę, że jeszcze nie jest na to gotowa. Jak dotąd, wspomina jedynie dobre rzeczy, wszystko, co dotyczy relacji z innymi: rodzinę, przyjaciół, dom. To typowe dla takich przypadków. Umysł pamięta to, co może znieść dusza. Tak to wymyślił Bóg.

Zazdrościł jej – zacząć od nowa, tylko z tym, co dobre. Była w tym jakaś niewinność. Claudia sprawiała wrażenie szczęśliwej. Może powinien zostawić ją w takim stanie? Nowa odsłona. *Godzina Zero* duszy. Po co kłaść jej wspomnienia zbędnymi komplikacjami?

– Nie jestem tą samą osobą, co kiedyś. Nie... dochowałem wierności jej pamięci.

Siostra patrzyła na niego uważnie. Chciał się odwrócić od jej dobroci, czuł, że nie jest tego wart, ale jej ciepło sprawiło, że zdobył się na dalsze wyznania.

– Myślałem, że nie żyje. Chciałem rozpocząć nowe życie, z inną. Wydawało mi się, że ją kocham.

Siostra ujęła dłonie Luberta, niezrażona tą spowiedzią.

– Wciąż kocha pan swoją żonę, Herr Lubert. Proszę się tego trzymać. – Niezmiennie pewna swego uściśnęła mu rękę. – Pozwoli pan? Coś panu pokażę. – Poprowadziła go do stolika, na którym leżały trzy gotowe hafty. Jeden abstrakcyjny, jakieś zygzaki i motywy roślinne, drugi, szkolny, wyszyty ścięciem krzyżykowym, przedstawiający alfabet, a trzeci figuratywny. – Oprawimy je, kiedy będziemy mogli. – Wzięła do ręki trzeci haft i rozłożyła go Lubertowi na dłoniach. – Ten wykonała pierwszy – oznajmiła.

Widniał na nim dom z kolumnadą, z długim, wysadzonym drzewami podjazdem i z ciągnącym się ku rzece, po której płynęła żaglówka, ogrodem. Przed domem stały trzy postacie: mężczyzna w tradycyjnym niemieckim stroju, z liniałem kreślarskim, i kobieta w kapeluszu i staromodnej sukni, a między nimi dziewczynka z warkoczami.

– Powiedziała, że to kopia zdjęcia, które kiedyś zrobiła. Nie była pewna, czy to był jej dom i jej rodzina. Wyjaśniła jedynie, że żaglówka to symbol nadziei. A jednak pan je rozpoznaje...

Lubert nigdy nie zwracał większej uwagi na tamto zdjęcie, zresztą utracił prawo do wypowiedzania się na jego temat po tym, jak wyśmiał Claudię za jej „ludowe ciągoty”, ale rzeczywiście przypomniał sobie tę fotografię. Teraz trzymał w ręku wierną kopię haftu wiszącego w pokoju Friedy.

– To pański dom?

Skinął głową.

– I ten mężczyzna to pan?

– Tak.

– A ta dziewczynka to pańska córka?

– Frieda.

– I pańska żona.

Znów przytaknął.

– Czy czegoś tu brakuje?

Lubert potrząsnął głową.

– Nie... niczego.

– Proszę spocząć, pułkowniku.

Lewis usiadł na krześle. Po drugiej stronie biurka stali Donnell i Burnham. Siedzenie było jeszcze ciepłe po ich poprzednim rozmówcy. Obaj sprawiali wrażenie, jakby chcieli rozprostować kości i łyknąć świeżego powietrza po całym dniu przesłuchań. W tym duecie śledczych Donnell najwyraźniej pełnił funkcję specjalisty od wstępów i uprzejmości, a Burnham tylko obserwował i czekał.

– Przykro nam z powodu śmierci kapitana Barkera – zagaił Donnell. – Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ująć zabójcę. Mamy kilka tropów. Zatrzymaliśmy paru wichrzycieli, w tym Friedę Lubert.

– Przesłuchaliście ją?

– Zaczęliśmy, ale musieliśmy przerwać – wyjaśnił Donnell. – Skarżyła się na bóle brzucha. Właśnie jest u niej lekarz.

„Musieli ją nieźle przycisnąć”, pomyślał Lewis. Na stole leżały narzędzia tortur Burnhama – fotograficzna dokumentacja nazistowskiego okrucieństwa: obozów zagłady, linczów, eksperymentów medycznych. Lewis mógł dojrzeć jedno ze zdjęć. Naga przerażona dziewczyna w wieku Friedy, patrząca w bok na niewidzialnego napastnika. Ta jego widmowość jeszcze bardziej mroziła krew w żyłach.

– Zatrzymaliśmy ją w jednym z zarekwirowanych domów przy Elbchaussee. Najwyraźniej sabotażyści urządzili tam sobie bazę operacyjną.

– Uznaliście ją za winną? – spytał Lewis.

– Za winną? – zdziwił się Donnell.

– Tych wszystkich zbrodni. – Lewis skinął głową w stronę groteskowego fotograficznego kolażu.

Tu włączył się Burnham.

– Uważa pan, że to prymitywne, pułkowniku, ale to niezwykle skuteczny papierek lakmusowy. Jedni nie mogą na nie patrzeć, inni patrzą i odwracają wzrok, a jeszcze inni się wpatrują. Niektórzy patrzą i szlochają. Niektórzy się tym napawają, a są i tacy, którzy patrzą i wybuchają śmiechem. Te reakcje różnią się jeszcze niuansami. Pan, jak zauważyłem, spojrział i szybko odwrócił wzrok, co sugeruje zrozumiałe znużenie tą

tematyką, ale może i niechęć do zmierzenia się ze złem lub też skłonność do udawania, że problem nie istnieje.

Burnham wypowiedział te słowa bez emocji, jakby stwierdzał jakiś empiryczny fakt. Kapitan Donnell, który z pewnością nieraz miał okazję wysłuchać tej kwestii, skwapliwie pokiwał głową.

– I jak zareagowała Fräulein Lubert? – spytał Lewis, sięgając po papierośnicę.

Był bardziej zdenerwowany, niż powinien. Trochę się bał zbliżającej się konfrontacji.

– Nie chciała na nie spojrzeć. Wciąż wpatrywała się we mnie.

– Kto mrugnął pierwszy?

– Słucham?

– Nieważne. Podejrzewacie, że jest z tym jakoś powiązana?

– My to wiemy – odparł Donnell. – Oto, co znaleźliśmy w tamtym domu. – Wyciągnął akta dotyczące demontażu fabryk i pchnął je w stronę Lewisa, który dotąd sądził, że musiał je gdzieś zapodziać. – Znaleźliśmy też inne obciążające dowody. Ten dom był jak drogeria. Kartki żywnościowe, guma do żucia, penicylina, chinina, sacharyna, sól, zapalki, kamienie do zapalniczek, prezerwatywy. Mieli tam wszystko, nawet walizkę pełną szczypiec do cukru.

Lewis spojrział na akta, ale nie wziął ich do ręki. Otworzył papierośnicę, wyjął papierosa i zapalił.

– I czego to dowodzi? – spytał.

– Frieda Lubert przyznała się do kradzieży tych akt – pośpieszył z wyjaśnieniem Burnham. – I do wielu innych rzeczy.

Stosował ciekawą taktykę. Im był pewniejszy swego, tym bardziej nieruchoma stawała się jego twarz, jak u pokerzysty.

– Frieda Lubert należała do grupy dowodzonej przez pańskiego niedoszłego zabójcę. Z tego, jak o nim mówi, wnoszę, że są sobie bliscy. Twierdzi, że nie wiedziała o planach zabójstwa, ale wydaje się to mało prawdopodobne. Ten chłopak nazywał się Albert Leitman – powiedział Donnell i podał Lewisowi zdjęcie. – Miała je w torebce w chwili aresztowania. Pod koniec wojny Leitman był jednym z członków obsługi baterii przeciwlotniczej w Schwanenwik.

Lewis spojrział na fotografię i poczuł się podle. Albert był w mundurze, włosy miał zaczesane na brylantynę. Uśmiechał się z dumą, stojąc przy stanowisku dział przeciwlotniczych. Dumny, przystojny chłopak, gotów bronić swojej ojczyzny.

– To jedyne zdjęcie, które wywołało u panny Lubert emocje – dodał Donnell.

– Widzę, że go pan rozpoznał – wtrącił się Burnham. – Zna pan tego mężczyznę?

– Z wyglądu bardziej chłopaka.

– Mężczyzna czy chłopak, to zabójca pańskiego zastępcy. Podejrzewamy, że on i jego banda stali za uprowadzeniami ciężarówek i kradzieżami mienia Rady Kontroli Niemiec. Profil tej grupy odpowiada charakterystyce innych band sabotażystów spod znaku Werwolf, działających w tym rejonie.

– Co ich charakteryzuje, majorze? Niedożywienie? Sieroctwo? Wiek poniżej szesnastu lat? To przeżywająca swój dramat dziewczyna, zmanipulowana przez kogoś silniejszego, kogoś, kto też przeżył jakiś dramat.

– To alibi wszystkich Niemców: „Zmanipulowali nas, wysoki sędzie!” – zażartował Donnell.

– Ta dziewczyna jest wyjątkowo niewdzięczna jak na kogoś, komu okazano tyle dobroci – oświadczył Burnham. – Wini nas za mord na jej ojczyźnie, mieście, matce. Wini za kradzież domu. Skarzy się na wszystko i wszystkich, nawet na pańską żonę.

– Rachael dołożyła wielu starań, by odnosić się do nich przyjaźnie.

– Zdaniem Friedy trochę zbyt przyjaźnie. Jak to powiedziała? – Burnham zajrzał w notatki z przesłuchania. – „Frau Morgan próbowała ukraść mi ojca”.

Lewis spojrzał badawczo na Burnhama, by sprawdzić, czy major wie o tym coś więcej niż on.

– Rzecz jasna, dziewczyna jest rozgoryczona, żyje urojeniami i nie można traktować jej uwag zbyt serio – ciągnął Burnham. – Ale wygląda na to, że nie zdołał pan jej do siebie przekonać, pułkowniku.

– Ona ma piętnaście lat.

– Obaj dobrze wiemy, że jej wiek to żadne usprawiedliwienie. Już za samą bliznę na rękę moglibyśmy ją rozstrzelać. – Burnham znów zerknął do notatek. – „Nie mogę wam powiedzieć, gdzie on jest. Nie powiem wam, nawet jeśli zatrzymacie mnie tu na tysiąc lat!”. Zwrócił pan uwagę, że fanatycy zawsze bredzą o tysiącletniach?”

Lewis cały się spiął w oczekiwaniu na to, co za chwilę usłyszy.

– Czy z tego, że pan milczy, mam wnosić, że nie jest pan zainteresowany ujęciem Leitmana? Tym, żeby stanął przed sądem?

– Proszę mi powiedzieć, majorze... gdybyście go schwytali, jak brzmiałby pański wyrok?

– Sąd skazałby go na karę śmierci.

– Ale czy pan byłby usatysfakcjonowany?

– Kiedy go złapią, czeka go egzekucja.

– Egzekucja Alberta Leitmana już się odbyła.

Spokój Burnhama wreszcie został zburzony – zafrasowane czoło, niepewne spojrzenie rzucone Donnellowi, znużone westchnięcie.

– Ruszyłem za nim w pościg nad rzeką. Próbował uciec na drugi brzeg, ale łódź pękł

i chłopak wpadł do wody. Widziałem, jak zginął.

– Zastrzelił go pan?

– Utopił się.

Donnell przestał notować.

– Żeby to było jasne, pułkowniku. Widział pan, jak zginął? Jest pan tego pewien? Czy w jakiś sposób nie umknął, nie przepłynął rzeki?

– Pozwoliłem, żeby zginął. Nigdy tego nie zapomnę.

– Zapomniał pan, opisując to zdarzenie żandarmom.

– Byłem... w szoku.

Reakcja Burnhama na to wyznanie – pogardliwy grymas ust – wydała się Lewisowi dziwnie krzepiąca, poszedł więc za ciosem.

– Pamiętam, majorze, że wspomniał pan kiedyś o chęci odbudowania psychiki tego zdeprawowanego narodu. Czyż nie tak pan to ujął w rozmowie z Shawem? „Niemcy przez dwanaście lat żyli w kraju ignorancji i ciemnoty, co uczyniło z nich zwierzęta”.

Burnham nie odpowiedział. Udał, że temat go nudzi, ale Lewis w to nie wierzył.

– Wciąż jest pan przywiązany do tej idei, jak rozumiem?

– W przypadku panny Lubert jest już za późno.

– Nieprawda.

– Przecież to niedorzeczne – zaprotestował Donnell. – Pomagała zabójcy. Mamy dowód.

– Rozstrzelacie ją za to, że ukradła akta? Mam propozycję. Jeśli ją wypuścicie, w jeden dzień odbuduję jej psychikę – rzucił Lewis i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: – Mam tu dwa raporty, które muszę przedłożyć de Billierowi. Obydwa przygotował Barker. Dotyczą różnych spraw, ale coś je łączy. Jeden to rejestr osób, które uznano za zaginione, a przebywają w tutejszych szpitalach i hospicjach i mogą powrócić do swoich rodzin. Całą pracę wykonał kapitan Barker, ja tylko go do tego zachęciłem. Dzięki temu raportowi okazało się, że żona Herr Luberta żyje i znajduje się w hospicjum ojców franciszkanów w Buxtehude. Z pewnością nie chcecie ukrywać tej informacji przed dziewczyną, która myśli, że jej matka zginęła, i której działania wpływały właśnie z tego przeświadczenia. Chciałbym pokazać raport Friedzie i zawieźć ją do matki.

– To bardzo interesujące – przyznał Burnham – lecz nie zmienia to faktu, że panna Lubert udzielała pomocy przestępcy.

Nadeszła chwila, by wyłożyć wszystkie karty na stół.

– Drugi raport zainteresuje pana osobiście.

Lewis wyciągnął z aktówki niebieską teczkę i pchnął ją po blacie w stronę Burnhama. Ten spojrzął na nagłówek: „Nielegalny wywóz niemieckiego majątku”. Z kamienną twarzą otworzył teczkę i zaczął przebiegać wzrokiem skwapliwie zaznaczone przez Barkera

strony. Lewisa zaszokowały informacje na temat liczby wywożonych precjozów. To nie było dyskretne przywłaszczanie drobiazgów – Burnhamowie poszli na całość. Lewis czekał na reakcję majora.

Tymczasem Burnham tylko spuścił oczy i zamknął teczkę. Mimo że starał się zachować zimną krew, Lewis czuł, że szala zwycięstwa przechyliła się na jego stronę. Po długiej chwili milczenia Burnham wreszcie zamrugał oczami, po czym spojrzał na Lewisa. Jego wzrok wyrażał kompletne zdumienie. Major wciąż trzymał teczkę w dłoni, jakby próbował oszacować wagę raportu.

– Pańska zdolność... do przymykania oczu... na cudze występki nie zna granic. Jest pan dla mnie... prawdziwą zagadką, pułkowniku.

Kwadrans później Lewis stał pod ciężkimi zakratowanymi drzwiami celi i obserwował Friedę przez wizjer. Siedziała na ławce, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Najwyraźniej nie odniosła żadnych obrażeń, ale była całkowicie przybita. Piętnastoletnia dziewczyna, a nie groźna sabotażystka. Lekarz, który ją badał, nie stwierdził objawów niedożywienia, obrzęku mózgu, gruźlicy ani żadnych innych chorób nękających jej rodaków. Znalazł jednak wytłumaczenie dla bólu brzucha.

– To nic groźnego, choć jej rodzice mogą być innego zdania. Jest w ciąży.

Frieda skuliła się na widok wchodzącego do celi Lewisa. Żeby ją uspokoić, stanął przy drzwiach i wyciągnął rękę. Dziewczyna wycofała się pod ścianę i jeszcze mocniej zwarła kolana. Tupet i niechęć ustąpiły miejsca zwierzęcemu lękowi.

– Nie wiedziałam... Nie wiedziałam, co on zamierza.

– W porządku, chodź.

– Dokąd?

– Do domu.

– Jak to?

– No przecież tam jest twoje miejsce.

– To już nie jest mój dom.

– Ale będzie ci tam lepiej niż tutaj.

– Tamten facet powiedział, że pójde siedzieć.

– Zaparkowałem samochód przy Ballindamm. Poczekał na zewnątrz – rzucił i zostawił ją tam wpatrzoną w otwarte drzwi celi.

Polecił strażnikowi, żeby wypuścił ją, kiedy będzie gotowa, i wyszedł. Zapalił papierosa na schodach przed aresztem i czekał, obserwując dwóch młodych mężczyzn próbujących spuścić żaglówkę na wolne już od lodu wody Binnenalster. Na Jungfernstieg roiło się od przechodniów. Setki ludzi zmierzających w różne strony, podejmujących decyzje,

popołniających błędy, szukających okazji, dokonujących transakcji, udających się na randki i składających obietnice.

Kiedy wypalił kolejnego papierosa, z budynku wyszła Frieda. Zatrzymała się kilka metrów od Lewisa. Przydeptał papierosa, pokazał jej, w którą stronę się kieruje, i ruszył przed siebie. Szedł kilka metrów przed nią. Sprawdzał, czy idzie za nim, ale pozwolił jej zachować dystans. Udawał, że nie są razem, żeby jeszcze bardziej jej nie zawstydząć.

Na końcu Jungfernstieg stał nowy, pomalowany na biało drewniany kiosk z dachem z blachy falistej, gdzie sprzedawano słodycze i gazety. Lewis kupił torbę miętówek na podróż i „Die Welt”. Na pierwszej stronie widniało wykonane z powietrza zdjęcie Helgolandu, które opatrzone nagłówkiem: „Wyspa przygotowuje się na wielki wybuch”. Lewis przebiegł wzrokiem pierwsze linijki tekstu: „Resztki nazistowskiej maszyny wojennej wylecą w powietrze wskutek potężnej eksplozji”.

Frieda przystanęła kilka metrów dalej. Lewis nie poczęstował jej cukierkami. Wiedział, że jeśli zrobi to przy ludziach, dziewczyna odmówi. Ulicą sunął długi sznur ciężarówek z gruzem. Spadające z wywrotek kamyczki z brzękiem opadały na jezdnię. Lewis i Frieda odczekali, aż samochody przejadą, po czym przeszli na drugą stronę ulicy, do burego volkswagena. Lewis otworzył drzwi od strony pasażera i podał Friedzie torebkę ze słodyczami.

– To dla ciebie.

Wzięła ją i wsiadła do samochodu.

Skierowali się na południe, a później skręcili na wschód. Minęli wielkie magazyny HafenCity i podążyli wzdłuż północnej Łaby do zrównanego z ziemią Hammerbrook. Frieda milczała. Zwinęła się w kłębek i odwróciła tyłem do Lewisa. Gdy wjechali na autostradę w stronę Buxtehude, wyprostowała się na fotelu.

– To nie jest droga do domu.

– Wiem.

– Jedziemy w przeciwnym kierunku. Dom jest tam.

– Wiem – powtórzył Lewis. – Ale pojedziemy inaczej.

– To nie ta droga. Dłuższa.

– Lepsza. Zaufaj mi.

ROZDZIAŁ 15

Po drodze do urzędu weryfikacyjnego Lubert minął jedyną ocalałą ścianę dawnego muzeum sztuki, pełną ogłoszeń typu: „Może widziałeś...?”, naklejanych, jedno na drugie, przez osoby poszukujące zaginionych bliskich. Teraz utworzono tam dział ze zdjęciami dzieci szukających swoich rodziców. Pochylała się przy nim jakaś para, z uporem wpatrując się we wszystkie fotografie. Kilka miesięcy po Katastrofie, gdy mieszkańcom Hamburga w końcu pozwolono na powrót do miasta, Lubert zaglądał tu niemal codziennie. Mimo że dział się to jesienią, roślinność zareagowała nietypowo – drzewa i krzewy, które spłonęły podczas letnich nalotów, nagle znów rozkwitły. Lilie i kasztany się zazieleniły. Wystawiona na działanie żaru ziemia odżyła i ruiny pokryły się w dzikim tempie najróżniejszymi roślinami. Jaskry, gwiazdnice, malwy i wierzbowki rosły dosłownie wszędzie na spopieliałych szczątkach tych, którzy odeszli. Lubert nie uwierzył w opowieść znajomej Claudii, Trudi, która jako naoczny świadek twierdziła, że jego żona zginęła w czasie burzy ogniowej, i uparł się, żeby zamieścić ogłoszenie na murze, pośród tysięcy podobnych.

Dziś pierwszy raz przeszedł tędy, nie spoglądając w tamtą stronę.

– Mam nadzieję, że je odnajdziecie – rzucił do wpatrującej się w zdjęcia pary i ruszył do urzędu weryfikacyjnego mieszczącego się przy końcu Steindamm.

Teraz skupił wszystkie myśli na uzyskaniu dokumentów, dzięki którym wróci do zawodu architekta. Starał się jednak nie rozbudzać w sobie nadziei. Nie wszyscy, którzy zjawiali się w urzędzie po odbiór certyfikatu, wychodzili szczęśliwi. Wielu odsyłano z pustymi rękami. Kazano im stawić się na kolejne przesłuchanie, nie podając powodów takiej decyzji.

Tymczasem odkąd Lubert odzyskał Claudię, w jego głowie zaczęły rodzić się wciąż nowe pomysły, jasne wizje budynków wyrastających na gruzach – nowego ratusza, mostu nad Łabą, sali koncertowej w dawnych dokach. Były to projekty wydumane i nierealne, może będące wyrazem jego zawodowej frustracji, jednak nie mógł się od nich uwolnić. Claudia

namówiła go, by sięgnął do swoich starych planów. Przestał się nimi interesować jeszcze przed wojną, a teraz trochę go śmieszyły, a trochę się ich wstydził. Biły z nich studencki idealizm i arogancja. Oglądając je, czuł się, jakby czytał stary list miłosny. Odnalazł swój projekt „Domy bez historii”: robotnicze osiedle z ogrodami, kanałami, fontannami i terenami rekreacyjnymi. Sama nazwa świadczyła o młodzieńczej bucie – bo komu udało się wybudować dom bez odniesień do przeszłości? Profesor Kramer odrzucił jego plany jako zbyt burżuazyjne i podszyte ideologią. Lubert był wtedy za młody, by wdawać się w polemikę z tuzem architektury, lecz teraz, po dwudziestu latach, dostrzegł w tych projektach pewną wartość.

W poczekalni siedziały dwie osoby – obgryzająca paznokcie kobieta oraz mężczyzna, który czytał książkę. Lubert zajął miejsce na ławce naprzeciwko i zaczął się zastanawiać, kto z nich dostanie certyfikat, a kto nie. Kobiecie, która wciąż wpatrywała się w swoje buty, dbając, by jej stopy były ustawione idealnie równo, przyznałby uprawniającą do pracy kartę w jakimś odcieniu szarości, choć była wyraźnie zdenerwowana. Za to mężczyzna przerzucający strony obleczonymi w rękawiczki dłońmi był zbyt spokojny, by można uwierzyć w jego niewinność. Lubert z łatwością wyobraził go sobie w nieskazitelnym mundurze oficera SS, pucującego swoją srebrną trupią główkę. Był pewien, że teraz mężczyzna ubierał się mniej ostentacyjnie niż kiedyś. Dlaczego on, Stefan Lubert, trafił do tej samej poczekalni, co ten człowiek?

– Długo pan czeka? – spytał go, licząc, że uzyska jakieś informacje, które potwierdzą jego podejrzenia.

– Nie pamiętam – odparł mężczyzna, nie odrywając wzroku od książki.

– A pani?

– Jestem tu już trzeci raz – odpowiedziała nie na temat. – Wciąż słyszą ode mnie to samo. Nie byliśmy małżeństwem. Nawet nie byliśmy kochankami! Kilka razy poszłam z nim do teatru, a teraz chcą mnie wysłać do obozu dla internowanych!

Reszty Lubert mógł się domyślić – facet musiał być jakąś partyjną szychą, a ona jego Bogu ducha winną flamą. Opowieść, jakich wiele.

– Opanuj się, kobieto! – skarcił ją ten od trupiej główki. – Im więcej pleciesz, tym mniej ci wierzą. Daruj sobie. Trzymaj się jednej wersji, to nic ci nie zrobią – dodał i wrócił do swojej lektury.

Teraz Lubert był już pewien: facet miał sumienie czarne jak jego buty.

Oczekiwanie przeciągało się. Może robili to celowo – im masz więcej czasu, tym więcej rodzi się wątpliwości. Niech siedzą w zatęchłej poczekalni z innymi, z których część na pewno jest umoczona. Może zaczną się nawzajem oskarżać.

– Rosa Turnweg?

Kobieta pośpiesznie podeszła do blatu przypominającego kontuar w banku, z oknem i wyciętym okrągłym otworem, przez który przekazywano petentom dobre albo złe wieści. Lubert wyteżał słuch, ale trudno było uchwycić przebieg rozmowy. Kobiecie wręczono jakieś pismo.

– Co to? – spytała i nagle zawyła, waląc pięścią w kontuar. – No nie! Żadnych dodatkowych przesłuchań! Jezu, błagam! Nie mam wam nic więcej do powiedzenia. Potrzebuję certyfikatu! Dajcie ludziom żyć!

Siedzący za szybą urzędnik nie pokwapił się ze słowami pociechy. Milczał. Gdy kobieta nie przestawała protestować, strażnik wyprowadził ją na zewnątrz, żeby nie urzędzała więcej scen. Trzykrotnie odprawiono ją z kwitkiem. Lubert był przekonany, że potraktowano ją złośliwie.

Po kilku minutach urzędnik wywołał nazwisko Trupiej Głównki.

– Herr Brück.

Typowe nazistowskie nazwisko, jeśli takie istnieje. Tymczasem Herr Brück sprawia wrażenie bardzo pewnego siebie. Łobuza czeka przykra niespodzianka.

Trupia Głównka podchodzi do okienka. Znów ten sam, stłumiony głos zza szyby i dokument na kontuarze. Brück rzuca okiem i unosi go zwycięsko. Certyfikat – śliczny, śnieżnobiały.

Claudia miała rację. Lubert działa zbyt impulsywnie. Kramer też zawsze mu powtarzał, że czyni go to jednocześnie bardzo dobrym i bardzo kiepskim architektem.

Nie brał pod uwagę, że nie dostanie certyfikatu. Wierzył w swą niewinność i mglistą brytyjską koncepcję sprawiedliwości, jednak teraz ogarnęło go z wątpienie. Może doszukali się czegoś, o czym sam nie miał pojęcia, znaleźli jakieś związki rodzinne, kuzyna spokrewnionego z Bormannem lub wuja skoligaconego z Himmlerem. Może odkryli jego romans z Rachael.

– Stefan Lubert?

Zła wróżba. Brytyjski urzędnik wymówił jego nazwisko z francuska, bez „t” na końcu. Lubert wstał i poczuł mrowienie w nogach. Urzędnik za szybą miał na sobie granatowy mundur formacji podporządkowanej Radzie Kontroli Niemiec i nosił wąsik niczym włosie szczoteczki do zębów, znak rozpoznawczy Hitlera. Lubert nigdy nie lubił wąsów i te, które wyhodował sobie Führer, uznawał za przejaw nedorzecznej afektacji. Dziwiło go, że tak wielu brytyjskich urzędników wciąż hołduje tej modzie. Nie wiedzieli, do kogo ich to upodabnia?! I pomyśleć, że jego wolność może ograniczyć angielski sobowtór Hitlera!

– Pański certyfikat.

Na kontuarze spoczęła biała karta z nadrukiem: „Certyfikat weryfikacyjny, Rada Kontroli Niemiec”. Lubert wbił w nią wzrok. Właściwie nie miała napisów. Połowę miejsca

zajęły stempel rady i podpis oficera wywiadu – staranny i wyważony, jeśli nie liczyć zamasztytego „B” na początku nazwiska. Burnham.

Pogłaskał certyfikat, powąchał, a nawet przytulił do piersi niczym liścik od ukochanej. Miał swój *Persilschein*! Chciał ucałować sobowtóra Hitlera, pomachać zaświadczeniem i krzyknąć do wszystkich mieszkańców Hamburga: „Jestem czysty! Mogę pracować! Podróżować! Życ!”.

Wyszedł z siedziby urzędu na ulicę. Wziąwszy głęboki oddech, przeszedł na drugą stronę i stanął na skraju ruin. Ulica Steindamm wyznaczała granicę szalejącej w Hamburgu burzy ogniowej i było to widać gołym okiem nawet po czterech latach. Po jednej stronie stały sześciopiętrowe budynki, a po drugiej ciągnął się na południe, aż do Hammerbrook, obszar zrównany z ziemią, niczym wielka, ograniczona urwiskiem równina. Nie było tam żadnych oznak życia – tylko pleszki poszukiwały pożywienia w śnieżnej brei i mościły sobie gniazda pośród ruin.

Przyglądając się ptakom, Lubert puścił wodze fantazji. Uprzątnąć gruz i wykopać fundamenty pod nowe budynki, które kiedyś tu wyrosną: biblioteka z loggią z widokiem na dziedziniec, szpital z arkadami, szkoła pokryta płaskorzeźbami! Kino z balkonem do wyświetlania filmów pod gołym niebem. Drogi. Ścieżki rowerowe. Chodniki. Drzewa przy wspaniałych bulwarach. Łodzie mieszkalne na jeziorze. Pociągi przemykające po estakadach ponad dachami domów. Fontanny bryzgające wodą tworzącą esy-floresy w kształcie kwiatów. Parki i ogrody, w których będzie można pomyśleć, porozmawiać, pobawić się i poznać innych. Lubert widział już oczyma wyobraźni całkiem nowe miasto wyrastające na tym pustkowiu. Piękne miasto przyjazne dzieciom, rodzicom i dziadkom, kochankom i szukającym miłości, załamany i tym, którzy się podźwignęli, zaginionym i tęskniącym, zagubionym i odnalezionym.

EPILOG

Ozi i Ernst podążali wzdłuż brzegu Łaby w stronę domu dobrego Angola.

– Dlaczego jej nie zabiłeś? – spytał Ernst. – Przecież miałeś okazję.

Rzeczywiście, Ozi miał Bestię na celowniku z poczwórnym zoomem firmy Zeiss, a jego palec spoczywał na spuście karabinu marki Mosin, którego kolbę zablokował barkiem, tak jak pokazał mu Berti. Przemierzali park niczym myśliwi, na szeroko rozstawionych i ugiętych w kolanach nogach, rozglądając się za bażantami, gdy nagle, tuż przed nimi, wyrosła czarna pantera rozszarpująca padłego jelenia. Mięśnie na jej szyi tężały, gdy odrywała mięso od kości. Ozi widział jej kły jak klawisze fortepianu, czarne futro jak u eleganckiej damy i ślepie jak szmaragdy.

– Strzelaj! – szepnął Ernst. – Na co czekasz?

Ozi mógł ją zabić na miejscu, ale się na to nie zdobył. Kiedy się zawahał, wielki kot spojrzał na nich, mrugnął szmaragdowymi oczami i czmychnął.

– Nie wiem. – Ozi wzruszył ramionami. – Nie potrafię tego wyjaśnić.

Gdy ruszyli dalej, Ozi zaczął opędzać się od roju much krążących wokół jego głowy.

– Słowo daję, że te muchy nie dadzą nam żyć. Gnojki panoszą się w całym mieście. Nie są wybredne. Taka mucha znajdzie gówno, zaprosi tam całą rodzinę i dalszych krewnych i nazwie je swoim domem.

– Tęsknię za śniegiem – wyznał Ernst. – Przynajmniej zatrzymywał smród.

Doszli do pomostu na zakolu rzeki, gdzie Ozi rozsypał prochy swojej matki. Zaczął się zastanawiać, gdzie ona teraz jest. Trudno było stwierdzić, dokąd zawiódł ją prąd. Mogła być w Cuxhaven, na Helgolandzie albo na Sylt, pod warunkiem że nie ugrzęzła na mieliźnie w Grünendeich, gdzie te przeklęte tłuste kruki od razu zżarłyby ją na śniadanie. Przez chwilę, gdy wiatr zawiął jej prochy na jego buty i do ust, Ozi żałował, że nie rozsypał ich pośród ruin dzielnicy Hammerbrook lub na trawniku w parku Jenisch. Później przypomniał sobie jednak zdanie, które często mu powtarzała: „Chciałabym mieszkać nad rzeką”. Odczekał więc, aż wiatr przycichnie, wygrzebał garścią cały popiół

z tortownicy i rozrzucił jej prochy, które opadły niczym płatki śniegu na powierzchnię Łaby i popłynęły na zachód, do morza.

W miarę jak zbliżali się do willi, Ernst zaczął się denerwować.

– Nie wiem, czy powinniśmy to robić. Myślisz, że tak?

– Edmund to nasz kumpel. Zawsze przynosił nam szlugi.

– Policja wciąż może nas szukać.

– Przemkniemy między drzewami, niepostrzeżenie jak Bestia.

Przeszli przez łąki i przecięli ulicę, stąpając od drzewa do drzewa, aż znaleźli się na wprost bramy willi Lubertów. Wspięli się na jakiś pień, żeby mieć lepszy widok na to, co dzieje się w ogrodzie. Ozi zabrał ze sobą celownik od karabinu. Wyjął go z kieszeni i zaczął lustrować teren.

– Widzisz go? – spytał Ernst.

Stary wóz pułkownika nie stał na podjeździe, a brytyjska flaga nie powiewała na maszcie. Wokół nie było ani śladu po Edmundzie, pułkowniku i jego żonie.

– Nie widzę tych Angoli.

– Może wrócili do siebie – rzucił Ernst. – Pewnie siedzą pod białymi klifami Finsoru i nabijają się z jaj Hitlera.

Ozi poczuł ogromny smutek, gdy to usłyszał – nie tylko dlatego że zabrakło mu papierosów. Wciąż pilnie obserwował dom i ogród, licząc, że wypatrzy tam swojego przyjaciela albo innego dobrego Angola. Nagle zobaczył jakiś ruch w oknie na parterze. Nastawił celownik i dojrzał nogi stojącego na drabinie mężczyzny. Ojciec dziewczyny Bertiego zawieszał jakiś obraz na ścianie. Ozi chwilę popatrzył, po czym znów zaczął wodzić wzrokiem – okno, ściana, okno, ogród. Wreszcie dostrzegł jakąś kobietę, która siedziała na fotelu, z twarzą zwróconą ku rzece. Coś szyła, ale Ozi nie potrafił powiedzieć, co.

– Co tam widzisz?

– Jakąś panią, ale to nie *Mutti* Edmunda. Nigdy jej tu nie widziałem. Ładna, ale Marlena D. to nie jest.

– Ktoś jest w ogrodzie, jakaś gruba dziewczyna – zauważył Ernst.

Ozi skierował na nią soczewkę celownika i zobaczył dziewczynę zmierzającą w stronę siedzącej kobiety.

– To dziewczyna Bertiego! – rzucił i spojrział na nią raz jeszcze. – Ktoś wcisnął jej piłkę pod sukienkę.

– Jak to?

– Dziewczyna Bertiego zostanie *Mutti*.

Ozi podał celownik Ernstowi i zaczął przyglądać się tej scenie gołym okiem. Pomyślał

o bracie. Powinien o tym wszystkim wiedzieć.

– Pojawił się jakiś mężczyzna – poinformował Ernst.

Ozi dostrzegł ojca dziewczyny Bertiego. Zmierzał przez ogród w stronę tamtych dwóch, z kawą i ciastem na tacy. Postawił ją na stole, wziął krzesło i usiadł obok kobiety. Coś do niej powiedział i chwycił jej dłoń.

– Może wrócimy później? – spytał Ernst. – Jak myślisz, Ozi?

– Zostańmy tu jeszcze trochę. Ciekawe, co się wydarzy.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję ojcu, że opowiedział mi, jak to w 1946 roku mój dziadek, Walter Brook, zarekwirował w Hamburgu dom dla swojej rodziny, po czym zrobił coś wyjątkowego, pozwalając właścicielom, by w nim pozostali. I tak dwie rodziny, niemiecka i angielska, mieszkały pod jednym dachem przez pięć lat. Opowieść ta zainspirowała mnie do napisania tej książki.

Dziękuję mojemu wujowi, Colinowi Brookowi, który – podobnie jak ojciec – podzielił się ze mną szczegółami, wspomnieniami, atmosferą oraz zdjęciami z tamtych czasów. Bez tego nie zdołałbym nakreślić tej historii.

Dziękuję mojej agentce, Caroline Wood, która latami cisnęła mnie, bym opisał tę historię, nastając, by była to powieść oraz scenariusz, i nie przestała mnie cisnąć, póki nie przedstawiłem jej zarysu, który zainteresował wydawcę.

Dziękuję Jackowi Arbuthnotowi, producentowi z wytwórni filmowej Scott Free, który wysłuchawszy mojego streszczenia, zamówił u mnie scenariusz, co spowodowało, że moja agentka zaczęła cisnąć mnie jeszcze bardziej, bym napisał powieść.

Dziękuję wydawcom, Willowi Hammondowi z wydawnictwa Penguin oraz Dianie Coglianesie z wydawnictwa Knopf, którzy uwierzyli w sukces powieści napisanej zaledwie w jednej szóstej, po czym pomogli mi przygotować materiał, na podstawie którego stworzyłem coś, co może warto przeczytać.

Dziękuję wszystkim przyjaciołom, którzy przez lata zachęcali mnie do napisania kolejnej książki, podczas gdy ja sam nie byłem pewien, czy chcę, powinienem i jestem w stanie to zrobić. Wiecie, kim jesteście.

Dziękuję mojej żonie i redaktorce, Nicoli, która znosiła moje pisarskie próby, gdy sama przez ostatnie dwadzieścia lat wykładała naprawdę wielką literaturę.

Dziękuję Twórcy Wszechrzeczy.

W domu innego

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

Wrzesień 1946

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
THE AFTERMATH

Redakcja
Anna Jutta-Walenko

Korekta
Jadwiga Przeczek
Jadwiga Piller
Bogusława Jędrasik

Zdjęcia na okładce:
kobieta: Cecil Beaton/Vogue (C) Condé Nast., 1932
okno: Photodisc/Getty Images
samochód: Culture/Getty Images
ruiny: Ullsteinbild/Topfoto

Copyright © Rhidian Brook, 2013
Copyright © for the translation by Bohdan Maliborski, 2014
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2014



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-64142-30-7



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl